WYCIECZKA DO MORSKIEGO OKA

przez przełęcz Mięguszowiecką.

odbyta w połowie Lipca r. 1877 pod kierunkiem D-ra Chałubińskiego.
Opisał Bronisław Rejchman.

Hej za mną w Tatry! w ziemię czarów
Na strome szczyty gór,
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur!

Anczyc.

I.

Szalony projekt.—Przygotowania.—Lux a non lucendo.—Nogi przekładane.—Ulubiona muzyka D-ra Chałubińskiego.—Droga przez Bukowinę.—Głodówka. — Rozkoszna śliwowica.—Poziomki i prelekcya p. Millera.—Fiasco z jej powodu. — Przybycie do Roztoki.

— Panie Bronisławie, — rzekł do mnie pewnego razu doktór Chałubiński, gdym w roku zeszłym rozmawiał z nim o Tatrach, znalazłem śliczną drogę do Morskiego Oka. Jeśli więc pan pojedziesz w lecie do Zakopanego, to wybierzemy się na tę wycieczkę.

Podziękowałem profesorowi za dobre chęci i rzekłem:

— Ale ja już znam Morskie Oko.

— Wiém o tém, lecz pan szedłeś zwykłą drogę przez Zawrat, a teraz pójdziemy przez przełęcz (1) Mięguszowiecką.

(1) Przełęcz jest to przegub czyli siodło (Sattel) pomiędzy dwoma szczytami.

Wyobraźcie sobie czytelnicy, że ktoś chce wejść do krzeseł teatru nie przez korytarz właściwy, lecz udaje się na paradyz i stamtąd dopiéro schodzi na parter po ścianie, a będziecie mieli obraz téj drogi. Góra bowiem Mięguszowiecka jest jedną z otaczających amfiteatralnie Morskie Oko. Gdym w r. 1875 spojrzał na te pionowe prawie skały i zapytał przewodnika, czy można wejść na ich szczyty, odpowiedział, że z téj strony, od Morskiego Oka, niepodobna. P. Walery Eliasz zaś, w swoich „Szkicach z Tatr," powiada o nich: „Kształty zwłaszcza Mięguszowskich turni (t. j. nagich szczytów skalistych) są bardzo fantastyczne, przepaściste, że strachem przejmuje myśl drapania się na te skały"…..

Uderzony więc wielce zostałem projektem prof. Chałubińskiego.

— Jakto, zapytałem zdziwiony, z góry na dół, po tych pionowych ścianach, po których nikt nie chodzi.

— Niezupełnie nikt, odrzekł z uśmiechem profesor, bo chodzili tamtędy górale, uganiając się za kozicami, a w tym roku i ja tamtędy przeszedłem.

To mi wcale nie mogło służyć za dowód łatwości drogi. I owszem upewniło mnie, że jest nadzwyczaj trudną. Choć przebyłem Zawrat, uważany za jednę z trudniejszych przepraw, jednakże nie mogłem mierzyć się z myśliwymi biegającymi za kozicami, lub z dr. Chałubińskim, zwanym w Zakopaném Królem Tatrzańskim, za prawdziwie szalone wycieczki, które w Tatrach odbywa. Ucieszył mnie jednak ten projekt, gdyż był dowodem dobréj opinii o moim talencie turystowskim. Zgodziłem się nań.

Zaczęliśmy rozmawiać o bliższych szczegółach téj wycieczki.

— Zapewne stamtąd piękny widok? zapytałem.

— O prześliczny!

— Ale droga musi być strasznie spadzista…..

— Tak, jest trochę przykra, ale za to bardzo przyjemna, odparł profesor, używając gry wyrazów zrozumiałéj tylko w Karpatach, przykry bowiem znaczy tam stromy.

— Cóż tam widać mianowicie tak szczególnego. Było to pytanie wywołane przez krytycyzm wzbudzony ową „przykrą przyjemnością" czy „przyjemną przykrością." Wiedziałem co znaczy w ustach prof. Chałubińskiego „trochę przykra."

— O co za gorączka! odrzekł. Bądź że pan cierpliwy. Niedługo — niedługo — za kilka miesięcy sam pan zobaczysz.

Zamilkłem na chwilę, a profesor zaczął mówić o ogromie materyału, który mu jeszcze w Tatrach pozostał do zbadania, a któryby choć w części chciał poznać.

Ledwie skończył, a ja znowu powróciłem do owéj wycieczki, która mi kolcem utkwiła w mózgu.

— Jak długo trwa ta wycieczka?

— Trzy dni.

— Więc się dwa razy nocuje w schroniskach (Są to chaty wystawione przez Towarzystwo Tatrzańskie).

— O nie! Trzeba raz obozować pod gołém niebem; dopiéro drugą noc przepędza się w schronisku przy Morskiém Oku.

— Więc raz pod gołém niebem! W takiém zimnie, często przy marcowéj lub listopadowéj pogodzie!

— No, no nie lękaj się pan, dodał profesor z uśmiechem, wszakże mam namiot.

Przyznam się, że więcéj mnie uspokoił uśmiech profesora niż wzmianka o namiocie. Że dwóch ludzi nosi za nim namiot płócienny, to o tém dobrze wiedziałem, ale nie bardzo dowierzałem temu namiotowi. Jeżeli w Zakopaném, myślałem sobie, drży się często w nocy pod kołdrą, derką, paltem i całém niemal ubraniem jakie się z sobą przywozi, to cóż dopiéro wśród gór, gdzie dziką naszę dekoracyą skał urozmaicają śniegi, gdzie wichry i deszcze mają swe ulubione siedlisko.

Nic już jednak na to nie odpowiedziałem.

— Ha! zobaczymy — pomyślałem sobie. Przecież i profesor i towarzyszący mu zawsze w wycieczkach syn Ludwik nie są z kamienia. Jeśli oni wytrzymują te niewygody, dla czegóżbym ja ich nie przeniósł.

W kilka miesięcy potém puściłem się w upragnioną podróż do Zakopanego. Po przybyciu na miejsce udałem się zaraz do doktora Chałubińskiego.

Zajmuje on w Zakopaném dość wygodny i obszerny domek, należący do miejscowego proboszcza. Przed domkiem jest werenda, na któréj zwykle czas przepędza podczas dżdżystéj pory. Tam też przyjmuje gości, aby nie tracić w zamkniętym pokoju swobodnego tatrzańskiego powietrza. Przyszedłszy na ganek, natrafiłem na walną naradę, w któréj pod prezydencyą profesora brali udział znani przewodnicy Tatrzańscy: Szymek Tatar, Wojtek Roj, Wojtek Ślimak, oraz Stary Sabała muzyk zakopiański.

— Panie Bronisławie, rzekł do mnie profesor, udajemy się pojutrze na wycieczkę.

— Czy przez Mięguszowiecką?

— Jeszcze nie. Rozumiesz Pan, że ponieważ już tam byłem, więc nie mogę jéj uważać za wycieczkę. Odbędziemy ją kiedyin-

dziéj w antrakcie pomiędzy dwiema wyprawami. Tymczasem zaś, idziemy na Rohacze, t. j. gałęź zachodnią Tatr, mało zwiédzaną któréj jeszcze nie znam.

Ponieważ jestto wycieczka czterodniowa, a pan dopiéro co jesteś po podróży, więc nie namawiam pana, abyś całą odbył z nami. Ale będzie można tak urządzić, że pan pójdziesz z nami przez część drogi, a późniéj się zawrócisz jeśli poczujesz brak sił dostatecznych. W każdym razie zyskasz pan kilka pięknych widoków, a strata żadna, bo z każdego punktu łatwo panu będzie wrócić z swoim przewodnikiem.

Serce mi się rwało do téj wycieczki, ale czułem, że mi sił nie stanie. Niedawno co byłem po dość uciążliwéj podróży koleją i furką odbytéj, po dwóch bezsennych nocach, a co najgorsza, po kilkomiesięcznym pobycie w powietrzu Warszawskiém, marzyłem tylko o odpoczynku. Podziękowałem więc profesorowi za jego dobre chęci i pozostałem w domu.

Po powrocie zawiadomił mnie profesor, iż następuje teraz koléj na wycieczkę przez Mięguszowiecką.

— Szykuj się pan — rzekł — na Wtorek. Co do odzieży, to wiész pan co zabrać potrzeba, w jedzenie zaś należy się zaopatrzyć na trzy dni. Szczególniéj radzę wziąć z sobą nieskończenie wielkie ilości herbaty i cukru. Zużywa się ich na wycieczkach bez miary.

— A czy tylko będzie pogoda?

Pytanie moje wyda się każdemu z czytelnikow naiwném. Meteorologia nie postąpiła tak daleko, aby można było przepowiadać pogodę na kilka dni przedtém, szczególniéj w naszym kraju, gdzie nie ma dostatecznéj ilości stacyj meteorologicznych, przesyłających telegraficzne wiadomości o wszelkich zmianach, dokonywających się w atmosferze. Kto jednak był w Zakopaném, ten wié, że dr. Chałubiński posiada szczególny dar odgadywania pogody, tak dalece, że na dzień, w który on ma wyruszyć w góry, naznaczają niemal wszyscy swe wycieczki. Ja przynajmniéj nigdy się na jego przepowiedniach nie zawiodłem.

Zapytacie się, na czém dr. Chałubiński je opiéra. Mogę wam tylko powiedzieć, że większą w nich odgrywa rolę jakiś spryt, aniżeli pozytywne dane, których niewiele meteorologia posiada. Za podstawę służy mu ruch barometru, który starannie obserwuje kilka razy na dzień, kierunek wiatrów, widoczny na chmurach, stan nieba na zachodzie, a szczególniéj nad Babią górą, oraz przezroczystość powietrza w kierunku Tatr. Nadto w kombinacye meteorologiczne profesora wchodzi stosunek księżyca do ziemi, któremu Humboldt

zupełnie wpływu na pogodę zaprzeczył, a który jednak zdaniem astronoma Falba jest bardzo ważny. Ciekawych téj kwestyi odsyłam do lipcowego zeszytu „Ateneum,“ gdzie podałem poglądy Falba. Tu dodam tylko, że profesor Chałubiński jeszcze przed Falbem używał stosunków księżyca do kombinacyj meteorologicznych, uznawszy za słuszny pomysł miłośnika astronomii i meteorologii warszawskiego mecenasa, p. Wincentego Majewskiego, który już przed kilkunastu laty stanowczo, a według mego zdania, bardzo słusznie utrzymywał, że jeżeli księżyc ma wpływ na ruch oceanów, to nie może nie mieć wpływu na ruchy atmosfery.

— Czy będzie we Wtorek pogoda? zapytałem profesora.

Profesor uśmiechnął się z pozytywnéj formy mego zapytania.

— Zdaje się, rzekł, według wszelkiego prawdopodobieństwa że będzie; ale.....

— Jest jednak jakieś ale?

— Tak, widzi pan, zdaje mi się, że należałoby już wyruszyć w Niedzielę lub Poniedziałek, bo długiéj pogody nie można się spodziéwać, ale będę zajęty w domu przez te dwa dni. Mam jakieś przeczucie, że pogoda nie dotrwa do Czwartku, ale cóż robić. Zresztą nie wielka będzie szkoda, jeśli w powrocie zmokniemy; musi na to być każdy z góry przygotowany, kto podróżuje po Tatrach.

— Naturalnie.

— Więc bądź Pan tutaj we Wtorek o 6-éj rano. Pojedziemy furką przez Bukowinę do Roztoki, a stamtąd puścimy się pieszo.

Gdy w Zakopaném rozeszła się wiadomość o tém, że we Wtorek dr. Chałubiński wyprawia się w góry, 40 osób przedsięwzięło zrobić wycieczkę do Morskiego Oka (zwykłemi drogami), dwóch zaś wybornych turystów udało się na górę Wysoką, skąd wrócić mieli do Morskiego Oka, aby się tam z nami spotkać. Wspominam tu o tych szczegółach dla tego, że mają wielki związek z przygodami naszemi przy Morskiém Oku.

W Poniedziałek wieczorem zacząłem przygotowywać zapasy do podróży. Były one takie, jakbym się udawał w jaką bezludną okolicę północną. Z odzieży przygotowałem palto syberynowe, pled dziesięciołokciowy, serdak (kaftan barani bez rękawów, którego zimą i latem górale używają), mięso, chléb, wino, arak, szklankę i wiele innych przedmiotów. Zaopatrzenie się w podobne artykuły jest niezbędném. Żaden *porządny* turysta nie wyrusza bez nich na dłuższą wycieczkę, choć zwykle wyprawy podobne odbywają się tylko w Lipcu i Sierpniu.

W nocy z Poniedziałku na Wtorek ani oczu zmrużyć nie mogłem. Ciągle przedstawiały mi się rozmaite tatrzańskie widoki, a gdy

wyobraźnia zmęczona usypiała na chwilę, rozważałem czym zabrał wszystko potrzebne do podróży. Szło mi o to, aby z jednéj strony mieć to wszystko, czego może zajść potrzeba w drodze, a po drugie aby u towarzysza podróży zyskać opinią zdolnego turysty, o wszystkiém pamiętającego.

Zaledwie o 3-éj zasnąłem, a obudziłem się już o wpół do 5-téj.

Wkrótce nadszedł przewodnik, który zabrał wszystkie przedmioty przeznaczone do podróży w sakwy, naturalnie oprócz manierki, którą miałem na sobie, i ruszyliśmy ku mieszkaniu profesora.

Tam zastaliśmy już wszystko w ruchu. Profesor sprawdzał czy wszystko jest w porządku, a górale uwijali się, pakując na wózek potrzebne do wycieczki przedmioty.

Gdy pakowanie ukończono, odezwał się do mnie profesor.

— A czyś pan tylko wszystko zabrał co potrzeba? W górach nie żarty!

— Zdaje mi się, że wszystko.

— Ale czy tylko *wszystko*? Czy masz pan co ciepłego na nogi, aby w nocy nie zmarzły?

— Mam!

— A igły, nici, szpilki?

— Mam także.

— Świécę łojową?

— Naturalnie.

Ostatnia odpowiedź nie była dość ścisłą, co mi później na dobre nie wyszło. Myśląc — naiwny! — że świéca jest od świécenia i że służy do oświetlania grot, mających się napotkać przy drodze, wziąłem świécę stearynową. Tymczasem, przekonałem się wkrótce smutném doświadczeniem, że świéca jest to *lux a non lucendo* i tak samo nie służy turystom do świécenia, jak dyplomatom mowa do wyrażenia swych myśli.

Profesor wyegzaminowawszy mnie rzekł z uśmiechem ukontentowania.

— Pan masz dalibóg talent na turystę. Nowicyusze nie bywają tak przezorni.

— Wątpię tylko, rzekłem, czy moje siły usprawiedliwią ten talent.

— I ja przecięż nie jestem Herkulesem.

Podczas téj rozmowy nadszedł p. W. czwarty towarzysz wycieczki, w wyprawie téj bowiem mieli wziąć udział, oprócz profesora Chałubińskiego, syn jego p. Ludwik, daléj p. W. oraz ja.

Plan wycieczki był taki. Górale mieli pójść pieszo przez halę Waksmundzką do schroniska w Roztoce i tam czekać na nas, jadących furką przez wieś Bukowinę. Z Roztoki zaś, ostatniego punktu, do którego dojechać można, mieliśmy się udać pieszo w dalszą drogę.

Drogi przez Waksmundzką i Bukowinę są to zwykłe tory podróżnych, dążących do Morskiego Oka, a niemających sił do przebycia Zawratu. Przez pierwszą trzeba iść pieszo, przez drugą można jechać, dlatego téż damy zwykle obiérają ostatnią. Obie drogi słyną z tego, że są bardzo nudne, więc każdy, kto może, unika ich i wdziéra się na Zawrat. Jeśli więc dr. Chałubiński obrał drogę przez Bukowinę ku Roztoce, to uczynił to tylko dlatego, żeby nam nóg oszczędzić, gdyż nie wolno trwonić sił niepotrzebnie, mając przed sobą trzydniową wycieczkę po stromych górach.

Droga przez Bukowinę ma bardzo złą renomę. Deotyma Rautenstrauchowa, P. Walery Eliasz i inni, którzy odbywali wycieczki po téj drodze, prześcigają się w opisie trudności i niewygód na niéj doznawanych. Z wszystkich tych opisów można wyciągnąć konkluzyą, że jeśli się nie powraca z niéj ze złamanemi kośćmi, to przynajmniéj z dobrze nadtłuczonemi. Taka więc podróż kilkogodzinna miała być najłatwiejszym prologiem do dalszych trudów.

Gdyśmy wsiadali na furkę zakomenderował doktór „porządne ułożenie nóg.“ Rzeczywiście wielka tego zachodziła potrzeba, gdyż w furce było tylko miejsce na trzy pary nóg, my zaś niestety posiadaliśmy aż cztery.

Podnieśliśmy najprzód na komendę wszystkie cztery pary nóg w górę, a potém ostróżnieśmy je spuszczali na dół, po jednéj na przemian. Pomimo wszelkich starań, postawiłem lewą nogę na stopie p. Ludwika Chałubińskiego, a prawa była tak ściśniętą przez nogi p. W., że zanim koła wozu zrobiły kilkadziesiąt obrotów, zawołałem z odpowiednią miną.

— Oj! kostka!

— Oj palce, zawołał jednocześnie p. Ludwik.

Doktór i p. W. także nie spoczywali na różach, ale pierwszy jako doświadczony turysta a drugi, będący zawołanym myśliwym, zbyt często doświadczali podobnéj niewygody, aby na nią narzekali.

Znowu więc nastąpiła malownicza zabawka. Kilka nóg podniosło się w górę i odbyło się nowe przekładanie, cokolwiek wygodniejsze od poprzedniego ale jeszcze niezupełnie niebolesne.

— Trzeba od bólu nóg abstrahować, zrobił uwagę profesor, to rzecz konieczna na furce.

Teraz już będę abstrahował, odparłem, ale poprzednio było to niepodobieństwem, gdyż konkretność nóg sąsiada nie pozwalała na żadną abstrakcyą.

— Panie Bronisławie, odezwał się w téj chwili do mnie p. Ludwik, czy nie mógłbyś troszeczkę lżéj opiérać swego obcasa o moją nogę.

Tak grzecznéj prośbie, z takiém zaparciem się samego siebie, bez cienia ironii wyrzeczonéj nie mogłem nie uczynić zadość. Uniosłem więc trochę nogę i trzymałem ją prawie w powietrzu. Trwało to jednak niedługo, gdyż wkrótce mi zdrętwiała. Nie chcąc korzystać z poświęcenia p. Ludwika, upatrywałem sobie miejsce w sianie przeciwległego siedzenia i tam nogę wkopałem. Z początku krzywiliśmy się trochę wszyscy, ale wkrótce nogi jakoś się utrzęsły, jak ulęgałki w beczce, i było nam bardzo dobrze, naturalnie przy silném abstrahowaniu od bólu w nogach, które tém łatwiéj przyszło, iż p. W. mówił, że podczas jazdy na polowanie bywa jeszcze gorzéj, albowiem siada się na drabiniastą furę w ten sposób, że nogi są wyłączone za nawias, t. j. za drąg drabiny. Siedzi się zaś na sianie wewnątrz położoném, w dwa szeregi, opiérając się plecami o siebie.

Cieszyło nas tedy bardzo, że mogło być jeszcze gorzéj, a gdy nowe widoki gór ukazały się, niewidzialne z Zakopanego, abstrahowaliśmy już rzeczywiście od wszelkich poziomości.

Panowie Chałubińscy objaśniali nam nazwy szczytów, a ponieważ na horyzoncie malowały się już zarysy takich wierzchołków, jak Lodowy szczyt, uchodzący przed kilkudziesięciu laty za najwyższy w Tatrach, daléj Łomnica, który aż do roku 1872 uważano za najwyższą, Ganek na którym jeszcze stopa ludzka nie spoczęła i t. d. więc p. W. i ja cali zamieniliśmy się w oczy i uszy.

Objaśnianie to sprawiało mi przyjemność nietylko „an und für sich“ ale nadto dlatego, że przerwało muzykę Sabały, starego górala 70-letniego, pierwszorzędnéj gwiazdy muzycznéj w Zakopaném, którą zawsze dr. Chałubiński zabiéra na wycieczkę, jedynie gwoli muzyki. Sabała bowiem usadowiwszy się na przedniém siedzeniu, opiérając się plecami o p. Ludwika, rzempolił od ucha od chwili wyjazdu. Grał jakąś ulubioną góralską melodyą d-ra Chałubińskiego, która na mnie takie wrażenie sprawiała, jak gdyby mi kto uszy zgrzebłem pociérał, lub jak gdybym na własnéj grzesznéj skórze obsuwał się po ostréj skale. Wolałbym już, żeby nam przekładane nogi zupełnie się pogniotły i nie dały odróżnić od tortu przekładanego, aniżeli słuchać téj skrzypiącéj muzyki.

Profesor jednak lubował się nią bardzo i opowiadał, że Sabała jest ostatnim samorodnym muzykiem tatrzańskim, że po jego śmierci

caly ten skarb melodyi zaginąłby, ale na szczęście przyjechał do Zakopanego warszawski skrzypek, p. Górski, którego uwagę zwrócił profesor na te melodye, a ten spisał znaczną ich część.

— Muzyka ta, dodał w końcu profesor, wydaje się panom zapewne dość nieprzyjemną, gdyż składa się z mnóstwa dyssonansów, ale upewniam was, że się do niéj przyzwyczaicie, a wtedy odkryjecie w niéj pewną oryginalną piękność.

Wiedząc, że profesor nic na wiatr nie mówi, nie protestowałem przeciwko temu. Nie przeszkodziło mi to jednak pomyśléć w duchu: „zanim słońce wejdzie rosa oczy wyje.“

Wśród przymusowéj abstrakcyi nożnéj i usznéj, przerywanéj tylko rozmowami o górach, dojechaliśmy do wsi, przy któréj wyczytałem napis

Wieś Murzasichle.

— Cóż to za nazwa, wśród kraju polskiego? zapytałem się.

Profesor objaśnił mnie, że tu była osada tatarska, z jeńców niegdyś jak się zdaje powstała, nazwana od dwóch gospodarzy Murzy i Sichły. Potomkowie ich naturalnie ani słowa po tatarsku nie rozumieją, lecz w rysach ich ma się jeszcze uwydatniać ślad dawnego pochodzenia. Żałowałem bardzo, że nie miałem sposobności osobiście go odnaléźć, gdyż mieszkańcy gdzieś daleko na polach pracowali.

Trudno mi było powstrzymać bieg kombinacyi wyobrażeń, która nagle połączyła w umyśle moim nazwę téj wsi z nazwą „Tatry“ z nazwiskiem jednego z przewodników tatrzańskich Tatarem. A może nawet, pomyślałem sobie, Sabała powstała z jakiegoś Sab-ałłah, Marduła z Mard-ułłah? Kto wié? Jednakże fizyognomie górali zakopiańskich nic mongolskiego w sobie nie mają.

Wiém jak śliskie są podobne analogie lingwistyczne, szczególniéj przez ludzi tak mało jak ja znających się na lingwistyce upatrywane. Jednakże często fałszywe hipotezy doprowadzają do prawdy, gdy kogo z kompetentnych zachęcą do badania.

Przejechaliśmy wreszcie wieś Bukowinę, a jeszcze droga nie dawała się we znaki.

— Czy to jest ta osławiona droga przez Bukowinę, zapytałem, o któréj tak źle piszą „Przewodniki?“

— Ta sama.

— Więc to widoczna przesada. Wszakże na niektórych ulicach m. Warszawy trzęsienie jest większe, choć się jeździ powozami na resorach; a cóż dopiéro mówić o szosie do Radomia. A przecięż droga przez Bukowinę jest tylko drogą poboczną i o w górach.

— Rzeczywiście.

— Ależ to wyborna droga — dodał nasz myśliwy.

— Ma się rozumiéć, zawołałem.

— Ale tylko wtedy, dodał prof. Chałubiński, kiedy się umie abstrahować od małych przeciwności życia. Szczególniéj za Głodówką jest kawałek dość nieprzyjemny. Ale w ogóle jest znośną. Tylko.... dla większéj ostrożności nie radziłbym jéj tak chwalić, bo można przechwalić....

— No cóż, w najgorszym razie, wywrócimy się, zauważył myśliwy.

— Ależ naturalnie!

Dr. Chałubiński uśmiechnął się tylko.

Dojechaliśmy do Głodówki.

Jestto wzgórze, z którego roztacza się jeden z najpiękniejszych widoków Tatrzańskich. Wszystkie najwyższe szczyty, Łomnica, Lodowy, Gierlach, Ganek, Wysoka, Rysy, Krywań, Świnnica rozwinęły się wachlarzowato przed Głodówką, jakby środkiem koła. Nikt z podróżnych nie zaniedbuje wejść na wzgórze i nasycić swe oczy przecudnym widokiem.

P. Ludwik usunął się opodal, usiadł pod cieniem świérka i rysował kontury gór. Doktór zapoznawał nas z ich nazwami i stosunkami.

Wreszcie odezwał się — głód.

Niedarmo byliśmy na Głodówce. Zresztą 6 czy 7 godzin upłynęło od śniadania.

Poskoczyłem do furki, wyciągam z worka zapasy i częstuję niemi towarzyszy.

— Panie, na wycieczce myśli się tylko o sobie, rzekł profesor, który myślał o wszystkich i za wszystkich.

— Naturalnie, dorzucił p. W., i nie przyjmując mojéj manierki z arakiem napił się prawdziwéj węgierskiéj śliwowicy, którą miał z sobą.

Po wypiciu jéj zmienił się tak, jakby się napił witryolu.

— Ależ to coś okropnego! zawołał.

— Czy tęgie?

— Nietylko tęgie, — daj no pan co przekąsić — ale....

Mina p. W. najlepiéj mi opisała co to za *ale*.

— Nic dziwnego zauważył doktór. Śliwowica tém jest lepszą, im gorszy ma smak; ale potrzeba do niéj węgierskiego podniebienia. Zaciekawiła mnie ta uwaga, więc poprosiłem o trochę śliwowicy.

Zapewne dobrą minę zrobiłem po wypiciu kilku kropel, bo czułem w ustach piekło ze wszystkiemi wonnościami zjełczałego masła i łojowéj świécy.

Po skosztowaniu tego przysmaku węgierskiego zrozumiałem już, że dla podniebienia potomków Attyli może być bardzo przyjemną papryka i arszenik.

— I pan będzie to pił? rzekłem do p. W. zamykającego starannie manierkę.

— A cóż robić, kiedy nie będzie nic innego, a przecięż niepodobna się obéjść bez wódki.

— Mam dużo araku a nie wiele piję, więc bez żadnego poświęcenia mogę się z panem podzielić.

— O nie, nie przyjmę, rzekł p. W., panu samemu będzie potrzeba. Nie, nie, na takich wycieczkach każdy ma zapasy dla siebie, a zresztą przecięż się przyzwyczaję.

— Tak jak ja do melodyi Sabały, dodałem w duchu, i przestałem nalegać, czego dotychczas żałuję, gdyż śliwowica ta jak czytelnicy zobaczą, wyszła na złe p. W. i nieprzyjemną stronę naszéj wycieczki stanowiła.

Po posiłku wsiedliśmy znowu na furkę. Naturalnie rozpoczęła się nowa manipulacya nóg, czyli raczéj pedipulacya, przyczém jednak wszyscy milczeliśmy, choć dość było powodów do: ach! i och!

Droga stała się strasznie wyboistą.

Jechaliśmy przez las z korzenia na korzeń, z dołu w dół. Wóz trzeszczał, przechylał się na wszystkie strony, ale byliśmy w jak najlepszym humorze i dowodziliśmy, że jeżeli to ma być najgorsza część drogi, to mylą się co mówią, iż droga przez Bukowinę jest nieznośną.

Profesor potakiwał, robiąc jednak pewne zastrzeżenia i uśmiechał się znacząco. Przyczynę tych uśmiechów zrozumieliśmy dopiéro w powrocie.

Dla mnie osobiście, ta część drogi była najznośniejszą, gdyż Sabała musiał przerwać grę na „gęśli,“ czyli po naszemu skrzypcach, różniących się tém co do postaci od naszych, że są ostro zakończone.

Przyjemność tę powiększyły jeszcze dziewczęta, które przybiegły ze świéżemi poziomkami w korowych garnuszkach. Nieopatrzni! kupiliśmy z 10 takich garnuszków, aby mieć w Roztoce poziomki z mlékiem i cukrem. Zapomnieliśmy o tém, że tę przyjemność trzeba okupić wielkiem poświęceniem, gdyż do Roztoki daleko, a poziomki trzeba koniecznie w ręku trzymać.

Niewygoda ztąd była nielada. Szczególniéj cierpiał p. Ludwik, któremu dziéwczyna nie chciała odprzedać glinianego garnuszka razem z poziomkami. Wziął je więc w papiér, w którym wkrótce zpowodu trzęsienia powstała marmolada i sok poziomkowy zaczął

ściekać na nogi „przekładane.“ Dla tortu przekładanego możeby to było bardzo dobrém, dla nóg jednak mniéj w tém widzieliśmy korzyści, tém bardziéj, że prof. Ch. i W. mieli na sobie białe pantalony gór lskie, dla których nie znajdowali dość słów pochwalnych.

Wreszcie papiér zaczął się rozdziérać. Dodaliśmy drugi. I ten jednak zagroził po niejakim czasie pęknięciem.

Byliśmy w prawdziwém niebezpieczeństwie.

Każdy zamyślił się głęboko nad środkami zaradczemi, aby uniknąć ostateczności—wyłączenia poziomek za nawias; ale tylko moje rozmyślanie (mówię to z dumą tak wielką jak ważność sprawy) doprowadziła do rezultatu praktycznego.

Przypomniałem sobie, że byłem niegdyś na prelekcyi pana Milicera o pergaminie roślinnym, że prelegent pokazywał ów pergamin i że dał mi na pamiątkę znaczną jego ilość, w postaci arkuszy, kiszek, torebek itd. Wyjeżdżając do Zakopanego wziąłem je z sobą, a teraz zabrałem kawałek pergaminu na wycieczkę, sądząc że może się przyda. Przypomniawszy sobie o tém, wyjąłem z tryumfującą miną kawał tego papiéru i obwinąłem rozlatujące się poziomki.

— A to co?

— Papiér pergaminowy, odrzekłem z udaną skromnością, ciesząc się w duchu z kolosalnego wrażenia jakie wywołałem.

— A zkądeś go pan tu wziął?

— Z prelekcyi Milicera.

Profesor uśmiechnął się w sposób dla mnie bardzo pochlebny.

— Ale czy on tylko soku nie przepuści?...

— To jest... właśnie.... na szczęście dla fabrykantów cukru, a na nieszczęście dla nas, dyffunduje płyny; no, ale to nic nie szkodzi, bo nie rozmaka i z tego powodu nie pęknie.

Czułem w téj chwili, że lepiéjby zrobił kolega Milicer, gdyby onego czasu mówił o papiérze woskowanym, lub w ogóle o materyach nieprzemakalnych.

— Milicer to bardzo zdolny prelegent, zacząłem, chcąc odwrócić uwagę od różowiejącego już od spodu papieru pergaminowego, ale w téj chwili zawołał p. Ludwik: kapie! i wśrod nóg powstał straszny popłoch, powiększony jeszcze tém, że każdy z nas miał ręce obciążone poziomkami.

Zrobiliśmy miny takie jak wojsko, gdy wśród obozu ukazuje się nagle nieprzyjaciel.

Jeden tylko prof. Ch. nie stracił przytomności i zawołał: Mam sposób! To mówiąc i zaczął pociągiem pośpiesznym przesełać poziomki do gardła, zrzekłszy się już śmietanki, czekającéj nas w Roztoce.

Naturalnie poszliśmy za jego przykładem, ale pomimo najszczerszych chęci i godnéj pochwały energii, nie mogliśmy ich uprzątnąć dość prędko, aby usunąć zupełnie niebezpieczeństwo grożące naszéj odzieży. Ucierpiały też szczególniéj, jako białe, pantalony góralskie p. W., który je już z góry przeznaczył na dar dla Teatru Wielkiego w Warszawie, aby Jontek mógł prawdziwie po góralsku występować na scenie.

Przedstawienie więc Halki, co do kostyumu Jontka, musi pozostać jeszcze bez reformy.

Nie pozostawało nam nic innego jak zrobić bonne mine au mauvais jeu i jechać daléj w spokoju, pocieszając się tém, że gorzéj byłoby, gdybyśmy spadli z drogi przylepionéj do stoku góry, na pieńki i korki, niebardzo się do nas uśmiechające.

Zjeżdżaliśmy bez najmniejszego wrażenia po stroméj drodze, która niezatarte ślady w umysłach dam zostawia. Konstatowaliśmy tylko, że w nocy trudnoby było na niéj uniknąć kalectwa.

Wreszcie zajechaliśmy na tór tak kamienisty, że furka podskakiwała jak kijek, który dziecko przesuwa po parkanie. Boki boleć zaczęły, zeszliśmy więc z wózka i postanowiliśmy już pieszo dotrzéć do Roztoki. Uczyniliśmy to zresztą i ze względu na konie, które się wyprężały jak struny, aby toczyć koła po drodze utworzonéj z ł.toków wielkości zwykłych brukowców.

Szliśmy ciągle przez las, dość rzadki, lecz zawsze zasłaniający nam widok, który tu zresztą, jak na Tatry, jest dość pospolity. Nagle dał się słyszeć wystrzał. Nie wiedziałem co to znaczy, ale mnie dr. Chałubiński objaśnił, że górale nasi, którzy przyszli przez Waksmundzką, dojrzeli już nas i dają znak swéj obecności na miejscu.

Wkrótce też dojrzałem szarzejącą się pomiędzy drzewami odzież górali, i w kilka chwil potém weszliśmy do Schroniska w Roztoce, które od imienia poety i geografa naszego zostało nazwane schroniskiem „Wincentego Pola".

II.

Obiad w Roztoce.—Opis przewodników.—Las.—Polana i Szałas.—Szampan tatrzański.—Znowu las.—Klawisze.—Siklawa.—Rozpaczliwe położenie.—Alkohol wybawca.—Staw Czeski.—Koléba juchasów.—Obóz cygański.—Roskosze ogniska.—Browar.—Pijta wartko!—Znowu melodye Sabały.—Taniec juhasów.—Urok dzikości.—Zdziczenie turystów.—Przyczyny.—Watra.—Zadama.—Nocleg w namiocie.

Ponieważ posiłek w Roztoce mógł tylko czynnych aktorów zajmować, a czytelników znudziłby bezwątpienia témbardziéj, że nie czuję w sobie dość poetycznego polotu do oddania zapału, z jakim

się mu oddawaliśmy, więc oszczędzę czytelnikom jego opisu i zajmę się przedstawieniem osób, należących do naszéj wyprawy, o których jeszcze dotąd nie wspomniałem.

Każdy turysta tatrzański wychodzi zwykle na wycieczkę z jednym, a rzadko z dwoma przewodnikami. Pan Chałubiński zaś potrzebuje ich dla siebie i dla syna najmniéj dziesięciu, i to nie dlatego, żeby nosił z sobą tyle pakunków, bo ostatecznie, udźwignęłoby je czterech lub pięciu górali,—licząc już w to dwóch ludzi do noszenia namiotu płóciennego, ale po prostu dlatego, że doktór lubi miéć w swym orszaku wszelkich specyalistów, jakich tylko można znaléść w Zakopaném. Ludzie należący do jego wycieczek stanowią niejako mały światek przenośny, któryby nawet na bezludnéj wyspie mógł sobie żyć dość wygodnie przy doskonałym podziale pracy.

Opiszę pokrótce każdego z nich. Z wielu należy się pierwszeństwo staremu Sabale, o którym już wspomniałem. Jestto starzec około 70-letni, trochę niedowidzący, a pomimo to doskonale wspinający się po skałach. Niegdyś był zawołanym strzelcem na kozice (Antilope rupicapra), dziś, nie mogąc strzelać i uganiać się za zwierzyną, umila sobie i kolegom życie muzyką.

Szymon Tatar, człowiek 50—60 letni, rzeźki, silny, młodzieńczy brunet o twarzy oryentalnéj, jest specyalnym przewodnikiem, najdoświadczeńszym ze wszystkich należących do orszaku. Nie leni się do roboty, ale gdy wróci do domu, to śpi 2 lub trzy dni z rzędu, nawet posiłku nie chcąc przyjmować.

Wojciech Roj (czy téż Ràj) należy, podobnie jak wszyscy pozostali, do młodszéj generacyi. Na przewodnika wykierował go dr. Chałubiński, zauważywszy w nim wielki spryt i oględność. Jest on nadzwyczaj troskliwy o turystów, którym towarzyszy, i z tego powodu zyskał powszechną dla siebie sympatyą. Specyalnością jego jest kuchnia.

Drugim kucharzem jest Wojciech Ślimak, brunet bardzo przystojny (warszawianki mówiły to głośno w Zakopaném), sympatyczny, z łagodną melancholią rozlaną na twarzy. Jest on przytém cerulikiem, który umié wybornie golić, stawiać bańki itd.

Roj i Ślimak należą także do pierwszorzędnych przewodników.

Szczepan Roj i Wojtek Giewont są specyalistami od noszenia i rozbijania namiotu. Ponieważ drążki namiotu stérczą, gdy są nim obładowani, z obu stron ich grzbietu, więc nazwano ich „skrzydlatymi.“ Nadto obydwaj umieją buty naprawiać, a ostatni jest drugim skrzypkiem towarzystwa i stałym akompaniatorem Sabały.

Jan Sabała młodszy jest krawcem. Szyje on Zakopianom i gościom odzież góralską.

Dwaj inni, należący do orszaku doktora, których nazwisk nie pomnę, przewodnik p. W. nazwiskiem Jarząbek, oraz mój, Jacek Rebel Król, grają w towarzystwie rolę baletników. Jacek celuje przysiudami a Jarząbek fantazyą i pomysłowością w tańcu. Nadto obadwaj najlepiéj umieją przyśpiewywać.

Najmłodszy ze wszytkich górali, Józek Roj, syn Wojciecha, chłopiec dwunastoletni, jest przybocznym adjutantem dra. Chałubińskiego. Nosi on za nim zielnik, oraz puszkę do zbiérania mchów. Jest tak sprytny, że raz przypatrzywszy się jednemu z licznych i bardzo delikatnemi cechami odróżniających się gatunków mchów, już go umié znaléść. Wielce w skutek tego jest pomocnym doktorowi, gdyż mając bystry wzrok, nie opuści ani jednego krzaczka mchu przy drodze, aby go nie obejrzał, lub w razie wątpliwości nie podał profesorowi.

Towarzystwo tedy nasze, oprócz lekarza, naturalistów i literata, składało się z muzyków, tancerzy, kucharzy, cerulika, namiotników, szewców, krawca, a zapewne i innych specyalistów, którzy jednak nie mieli sposobności okazać swe talenta na wycieczce.

W godzinę po przybyciu do schroniska w Roztoce, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Szliśmy najprzód przez las ścieżką (po góralsku perć) dość wygodną, w znaczeniu tatrzańskiém, bo można było stąpać bez ciągłego baczenia na kamienie, po niéj rozrzucone. Doktor z Józkiem zbiérali mchy, p. W. szukał owadów, które uśmiercał w flaszce zawierającéj cyanek potasu, a p. Ludwik i ja przypatrywaliśmy się malowniczym grupom drzew i szczerniałym głazom, mchem obrosłym.

Po dwóch może godzinach wyszliśmy na jakąś polanę, na któréj zobaczyliśmy szałas pasterski. Bardzo on nas ucieszył, gdyż spodziéwaliśmy się dostać mléka.

— Czy panowie lubią szampana? zapytał prof. Chałubiński.

— I bardzo!

— A kwaśną żentycę?

— Żadnych serwatek nie lubię, odrzekłem.

— To się pan nie znasz na dobrych rzeczach. Jeśli jéj tu dostaniemy, to przekonasz się pan jaki to nektar.

Usiedliśmy dla odpoczynku na kamieniu, a uwędzony w dymie pastérz wyniósł nam mléko i kwaśną żentycę. P. W. i ja piliśmy mléko, pp. zaś Chałubińscy raczyli się żentycą. Wreszcie i my daliśmy się do niéj namówić. Rzeczywiście był to napój bardzo smaczny, podobny do kumysu, z sernikiem zbitym w kłębki. Piłem

go z taką chciwością, jakiéj nigdy nie doznałem przy piciu najlepszych win. Następnie na zakąskę dał nam profesor po „talarku“. Są to kruche ciasteczka, wielkości dziesiątki miedzianéj, które pieką profesorowi w domu na każdą wycieczkę. I talarki te, co prawda pięknemi rączkami przyrządzane, połykałem z takiém łakomstwem, jak dziecko wyroby cukiernicze. Nie wiedziałem zkąd mi to się wzięło. Dopiéro późniéj zreflektowałem się, że ruch i powietrze uczyniły mnie tak łakomym.

Wkrótce ruszyliśmy daléj, rozmawiając o życiu pasterskiém i o delicyach napotykanych w szałasie. Unosiliśmy się szczególniéj nad kwaśną żentycą. Jednakże niezadługo musieliśmy przerwać rozmowę, albowiem Tatar prowadził nas przez las gęsty błotnisty, w którym korzenie, mech, kamienie i gałęzie składały się na to, aby pochód czynić jak najtrudniejszym. Przebrnęliśmy wreszcie ten las dziewiczy, nie wiém ile razy potknąwszy się lub zawadziwszy o gałęzie i doszliśmy do miejsca, od którego grunt zaczął się daleko stromiéj niż dotąd wznosić ku górze. Szliśmy z pół godziny po głazach silnie w ziemię stoku wmurowanych. Zapytałem się czy tak pewny punkt pod nogami prowadzi aż do samego Czeskiego stawu, do którego teraz bezpośrednio dążyliśmy.

— Niewiele gorszy, brzmiała odpowiedź.

Ponieważ ani p. W., ani ja nie znaliśmy wodospadu, czyli jak górale wodospad nazywają, siklawy z stawu Czeskiego, więc udaliśmy się na prawo, aby go zobaczyć w całéj długości. Towarzyszył nam jeden góral, reszta zaś towarzystwa udała się na lewo, drogą nic ciekawego nieprzedstawiającą, lecz lepszą.

Idąc ku siklawie, straciliśmy wkrótce pewny grunt pod nogami. Weszliśmy na głazy kanciaste, luźno na stoku góry leżące, chyboczące się niemal za każdém stąpnięciem.

— To są klawise—odezwał się góral.

Nazwa była bardzo odpowiednią, bo rzeczywiście głazy usuwały się tak z pod nóg, jak klawisze pod naciśnięciem palców.

Dotarliśmy wreszcie do punktu, z którego widać było z trzech stron zakrytą srébrną wstęgę wody. Dla tego widoku i dla odpoczynku po niezmiernie utrudzającéj drodze usiedliśmy na lepiéj trzymających się kamieniach i z kwadrans wpatrywaliśmy się wciąż w pęd srébrzystego płynu, rzucającego się ze skały na skałę, liżącego odwieczne granity i rozpylającego się w powietrzu.

Nasyciwszy się widokiem, postąpiłem daléj.

Droga stawała się coraz stromszą. Usiadłem znowu na kamieniu. Byłem osamotniony, p. W. bowiem przypatrywał się jeszcze z niższego punktu siklawie a przy nim góral pozostał.

Byłem bardzo zmęczony.

Po krótkim odpoczynku, widząc że niezadługo ściemniać się zacznie postanowiłem iść daléj, ale wstawszy poczułem, że mnie zupełnie siły opuściły.

Szliśmy już z 5 godzin bez odpoczynku.

Cel już był niedaleko.

— Przecięż tyle jeszcze ujdę, rzekłem sobie w duchu, i poszedłem naprzód. Lecz zaledwie kilkadziesiąt kroków ku górze zrobiłem, a już słaniać się począłem.

Jestem zawsze przygotowany na wszelkie ewentualności. Tembardziéj w górach.

Nie doznałem więc strachu, lecz po prostu nieprzyjemności.

Obawiałem się zemdlenia, a więc narażenia towarzystwa na fatygę i zły humor. P. W. bowiem i góral towarzyszący mu, którzy poniżéj mnie byli, musieliby się mną zająć.

Lecz po chwili nabrałem przekonania, że nie zemdleję. Czułem, że wola moja silnie trzyma cały organizm.

— Wyczerpał się tylko, pomyślałem, zapas sił, tak jak para z kotła lokomotywy. Lokomotywa zatrzymuje się, lecz może pójść daléj, gdy się węgla doda.

— A więc dodajmy węgla, błysnęła mi myśl, w któréj nie było nic dziwnego, albowiem często fizyologowie przyrównywają organizm człowieka do machiny parowéj.

Węgiel miałem przy sobie w postaci płynnéj—araku. Zwilżyłem sobie usta kilku kroplami.

Chciałem pochłonąć więcéj materyału palnego, ale nie mogłem tego uczynić, nie będąc przyzwyczajony do tak mocnegó trunku; woda zaś była daleko.

Lecz i ta mała ilość wystarczyła. Wlała we mnie nowe siły. Regeneracya była zupełną. Spróbowałem pójść naprzód, szedłem tak, jak gdybym dopiéro zaczął wdrapywać się na górę.

Wątpić należało, aby tak mała ilość araku działała w tym razie tak samo, jak węgiel w machinie. Widocznie tylko nerwom potrzeba było bodźca: w mięśniach był jeszcze zapas sił.

Widząc, że p. W. już jest niedaleko zatrzymałem się, aby pójść razem. Postanowiłem nie opowiadać mu swego przypadku; wstydziłem się méj słabości. Gdy się przybliżył, ruszyłem daléj.

— Ależ pan chodzisz znakomicie! rzekł do mnie p. W.—ja zaś ledwie co nie ustanę. Odpoczywałem tam niżéj, lecz wcale mi to sił nie przywróciło.

Uśmiechnąłem się. Więc nie tyle mój organizm był winien, ile droga, pomyślałem.

— Muszę znowu usiąść, rzekł p. W.

— Napij się pan tylko kilka kropel araku, rzekłem, a siły z pewnością powrócą. Jestto zapewne tylko nerwowe osłabienie, dodałem nauczony doświadczeniem, potrzeba więc dać nerwom bodźca.

P. W. nachylił do ust manierkę..... z śliwowicą.

— Nikczemy trunek, rzekł, ale jednak alkohol.

Po chwili ruszyliśmy z miejsca, za pół godziny może, byliśmy na tarasie górskim, okolonym amfiteatralnie nagiemi szczytami, na którym jezioro Czeskie rozlewa swe czarne wody.

Trzeba było obejść bokiem stawu, aby się dostać do miejsca, gdzie była reszta towarzystwa.

Siedzieli oni na urwisku, z którego było widać wodospad z góry.

Kładliśmy się po kolei na piersiach w miejscu skąd widok był najlepszy. Nachyliwszy głowę ku przepaści, gdyż występ skały zasłaniał wodospad, widzieliśmy w wielkim formacie ów srébrzysty słup wody, który się rozpryskiwał na drobne kropelki, a który z dołu niewielką wstęgą się wydawał.

Patrzyłbym tak bardzo długo, gdyby można było dłużéj utrzymać głowę w téj nienaturalnéj pozycyi. Piękność rywalizowała z potęgą, aby nęcić ku sobie wzrok wędrowca. Zresztą zmrok zaczął zapadać i profesor dał znak do ruszenia z miejsca.

Trzeba było obrać dogodne miejsce do rozłożenia obozu.

Szliśmy jeszcze z kwadrans po tarasie, usianym wielkiemi zwałami skał, pomiędzy któremi rosła trawa i kosodrzewina. Szczekanie dużych białych psów dowodziło, że taras ten nie jest bezludnym. Jakoż wkrótce przybiegli pastuchy, którzy zapał psów ochłodzili i ujrzeliśmy centrum téj czasowéj kolonii pasterskiéj, ognisko pod skałą, która jednym swym, ściętym ukośnie bokiem, jakby dach nad niém tworzyła.

Była to *koléba*, schronienie *bacy* i starszego *juhasa* (1).

Obaj oni dokładali kosodrzewiny do ledwo tlejącego się ognia. Zabiérali się do snu. Z dwóch stron ogniska, pod poczerniałym od dymu dachem kamiennym było dość miejsca dla obydwóch. Ogień pali się przez całą noc, skała od wiatru zasłania, więc śpią na gołéj ziemi, lepiéj jak wielcy mocarze świata. Niebardzo widać boją się

(1) Koléba nazywają górale szałas drewniany, skąd znaczenie jego rozciągnięte zostało na namiot, dach skalisty itd. Baca jest przedsiębiercą karmienia i dojenia owiec przez lato. Juhas znaczy pasterz.

zimna, bo choć chłód jest dotkliwy, w téj arcy wilgotnéj okolicy, okolonéj śniegami; jednakże, oprócz krótkiéj koszuli i spodni nic na sobie nie mają.

Koszula jest czarna, jak węgiel. Wygotowują ją przed udaniem się na letnie koczowisko w baranim łoju, aby starczyła na całe lato. Sięga ona tylko do pasa i jest u dołu zupełnie wolno zwieszoną, tak że za każdém przegięciem się, za każdém podniesieniem ramienia, widać ciało juchasa, współzawodniczące o czarność z koszulą.

— Ach! jakbym chętnie przespał się w ich kolébie, rzekłem do towarzyszącego mi górala. Nadzwyczajna, do maksimum doprowadzona prostota i dzikość ich życia stanowiły dla mnie silny magnes. Chciałem się własnemi oczyma przypatrzéć jednemu z epizodów tego życia.

— A jabym tam nie chciał spać, rzekł góral z uśmiechem.

— No, nic dziwnego, dla was w tém nic nowego, a dla mnie bardzo ciekawe.

— Nie dla tego. I oniby (tj. ja—górale mówią w trzeciéj osobie) zaraz stamtąd uciekli.

— A to dla czego?

— A bo hań tyla robaków co haw owiec.

Poetyczność koléby wydała mi się w téj chwili mniejszą, a choć dzikość na tém wiele zyskała, jednakże zaprzestałem już myśléć o przenocowaniu w kolébie.

Poszliśmy daléj.

Nocleg w tém dzikiém miejscu wcale mi się nie uśmiechał, gdyż woda prawie wytryskiwała z pod nóg, z trawy przerywającéj jednostajność głazów. Wreszcie znaleziono miejsce cokolwiek wyższe, gdzie wilgoć była mniejszą.

Górale zaczęli ścinać kosodrzewinę i rozpalali ognisko. Usiedliśmy, a raczéj rozłożyliśmy się obok niego, oparci plecami o maleńki garb ziemi. Choć mieliśmy na sobie serdaki, jednakże okazała się konieczność owinięcia się w pledy, bo zimno było nie doźniesienia.

Wkrótce ogień buchnął wysoko, oblewając całą grupę czerwoném światłem.

Roskoszowałem się tym ogniem niedouwierzenia. Dym, który często wiatr na nas nawiéwał, choć mi oczy szczypał, jednakże czynił tylko roskosz, jaką miałem z światła i ciepła więcéj „piquante.“ Nawet iskry padające na pled niebardzo mnie obchodziły. „Gdyby się bardzo zaczął palić pomyślałem, to mnie górale ostrzegą“ i utkwiwszy oczy w fantastyczne wężyki płomienia, leżałem nierucho-

my, oderwawszy się od całego świata cywilizowanego, od całéj swojéj przeszłości, i byłem w téj chwili tylko najprostszém dzieckiem natury, które roskoszuje się ciepłem, barwami i wężykowemi ruchami sutego, bogatego ogniska.

Kiedy niekiedy tylko spoglądałem na dekoracye, które nas otaczały. Z początku widać było szare skały i bielejące na nich śniegi, późniéj, gdy już nawet z wierzchołków otaczających nas w półkole blaski dnia spełzły, widziałem tylko ciemne kontury gór na jaśniejszém cokolwiek tle nieba.

Spoglądałem także czasami na twarze górali. Roj gotował wodę na herbatę, Ślimak wydobywał zapasy z torby, a inni siedzieli naokoło ogniska; oparłszy się na kolanach i paląc krótkie fajeczki, spoglądali jak ja w ogień, lub téż posilali się tém, co w sakwach z sobą przynieśli.

O kilka kroków ztamtąd szarzał namiot płócienny, w którym dwaj górale słali nam wspólne łoże na miękkiéj kosodrzewinie.

Istny obóz cygański! Tylko dr. Chałubiński stanowił w nim dyssonans. Usiadł na boku i porządkował mchy zebrane w ciągu dnia.

Silny wiatr odchylał na bok płomień i za ogniskiem zobaczyłem starego Sabałę, który wlókł za sobą ogromną gałęź kosodrzewiny. Nie spoczął on aż do téj chwili i możeby jeszcze poszedł ścinać drzewo na ogień, co jest jego najulubieńszém zajęciem, gdyby mu wprost doktór nie nakazał, aby odpoczął.

— Jeśli jeszcze kosówki potrzeba, rzekł, to młodsi po nią pójdą; a wy mój Sabało odpocznijcie tu; a najprzód napijcie się, dodał, wódki.

Sabała machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że wcale zmęczony nie jest i że jeżeli usiądzie, to tylko dla uczynienia zadość profesorowi. Wódki napił się chętnie i usiadłszy zaraz zaczął swoję „gęśl" stroić.

Tymczasem woda zagotowała się i Roj ze Ślimakiem zaczęli nam podawać herbatę. Piliśmy jednę szklankę po drugiéj, z taką pożądliwością, jakiéj już dawno nie pamiętam. Zrozumiałem w téj chwili dla czego dr. Chałubiński radzi brać na wycieczki „nieskończenie wielkie" ilości herbaty i cukru. Wypiliśmy po kilka szklanek, a gdyby jeszcze starczyło, to bezwątpienia jeszczebyśmy pili, ale na nieszczęście „browar" nie był nieskończenie wielkim.

„Browarem" nazywają górale używany przez doktora kociołek z blachy żelaznéj, który się okazał najwygodniejszym na wycieczkach. Do samowara potrzeba węgle z sobą nosić, kociołek zaś można ogrzewać na ognisku kosodrzewiny. Stawia go się wprost na

drzewie, albo węglach albo zawiesza się uchem na drążku wbitym ukośnie w ziemię i opartym na kamieniu.

Ponieważ browar jest naczyniem uniwersalném i służy kolejno do gotowania następnych dań, więc należy go prędko opróżnić i dlatego też nie wolno pić herbaty powoli. Roj, podając każdą szklankę, wołał tonem stanowczym, niedozwalającym na żadne tłómaczenia:

— Pijta wartko!

Piliśmy więc wartko, tak żeśmy aż usta sobie parzyli.

Ponieważ profesor bardzo mało jada na wycieczkach (mięsa wcale nie) i tylko napojów chętnie używa, więc Roj najwięcéj go częstuje herbatą.

— Pijta wartko, rzecze, podając mu czwartą, czy piątą szklankę.

— Dosyć będzie, już nie mogę, pomyśl lepiéj o sobie Wojtku.

— Już ja myślę, ale wy się napijta, bo małośta pili.

Profesor bierze szklankę do ręki, a Roj stoi nad nim i woła.

— A pijta wartko!

Nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu.

— No już dosyć będzie, rzekł profesor, oddając szklankę. Już teraz na pewno więcéj pić nie będę. Ale ty się napij Wojtku.

Roj wlał pozostałą herbatę w szklanki i poczęstowawszy starszych górali sam zaczął pić.

— A pij wartko, Wojtku, zawołał nagle profesor.

— Wartko! zawołaliśmy wszyscy, chcąc się zemścić na Wojtku i śmieliśmy się prawdziwie homerycznym śmiechem. Wojtek nie przestraszył się tém, wartko wypił i zabrał się do mięszania bigosu, który się w jednym z „browarów“ przygrzewał; w drugim zaś gotował się ryż z mlékiem.

Jedliśmy wkrótce te potrawy z nadzwyczajnym jak się spodziewać należało apetytem. Zdawało mi się, że Roj jest najlepszym kucharzem w świecie, że gdybym był królem, to na stole moim niczby innego nie postało, oprócz bigosu i ryżu z mlékiem.

Miały bowiem te potrawy smak tak przedziwny, że nie mogłem w pamięci znaléść nic takiego, coby się z niemi dało porównać. Musiałem po porównanie sięgnąć aż do czasów dzieciństwa mego. Wtedy smakowały mi tak ulubione potrawy, gdym zgłodzony ze szkoły przychodził.

Tylko p. W. nie jadł ich wcale. Śliwowica owa tak silnie nań oddziałała, że stracił zupełnie apetyt. Nie narzekał jednak, nie chcąc nam psuć humoru. Sądził, że niedyspozycya będzie chwilową, że ją przemoże siłą swéj woli. Pomimo to spostrzegliśmy, że jakoś nie

ma się dobrze, i skutkiem tego śliwowica dostała się góralom, a p. W. w zamian otrzymał sodę, której niestety zbyt mało zabraliśmy z sobą. Po lekarstwie uczuł się zdrowszym, tak, że nam zaręczył, iż ma się zupełnie dobrze. Wątpiłem o tém, bom poznał, choć w małéj mierze, smak i działanie owéj śliwowicy. Następny dzień okazał, iż podejrzenie moje nie było bez podstawy.

Sabała zaczął grać po śliwowicy z większym jeszcze zapałem niż na furce. Gdym usłyszał pierwsze dźwięki owinąłem głowę w pled i zatkałem uszy palcami. Pomimo to dźwięki dochodziły do mojego słuchu; ale nie wydawały mi się już tak przykremi jak rano. Odsłoniłem więc otwory uszu. O cudo! melodya wydała mi się znośną. Ten utwór, pomyślałem sobie, jest jeszcze jaki taki — nawet... doprawdy — dodałem ostrożnie, nieco przyjemny, ale broń Boże, żeby zagrał ulubioną melodyą profesora Chałubińskiego. Ledwie myśl ta w mojéj głowie powstała, a już profesor zawołał:

— Mój Sabało, zagraj no tamto, już wiész....

Uszanowanie dla osoby przywódcy wyprawy nie dozwoliło mi prosić go o oszczędzanie moich nerwów. Postanowiłem mężnie wytrzymać tę napaść dyssonansów na moje błony bębenkowe.

Lecz — o cudo powtórne! — nawet ulubiona melodya doktora wpadała dość mile w moje uszy.

— Czy to śliwowica tak podziałała na ręce Sabały, pomyślałem, czy otoczenie.

Na tym punkcie popełniłem omyłkę. Zmiana była nie w muzyce, lecz w moich uszach, w całéj raczéj mojéj istocie.

Odpoczynek na kamieniach wśród kosodrzewiny, dekoracya nagich gór, ognisko wśród dzikiéj ciemności, rozwiewane przez wiatr to w tę, to w owę stronę, iskry sypiące się deszczem na ludzi i kamienie, twarze koczujących błyskami przerywanemi oświetlane, oto tło z którém muzyka Sabały była w najzupełniejszéj harmonii. Potrzebną ona nawet była do całości obrazu, a kto wié, czy mazurek Szopena lub sonata Beethovena nie wydawałaby się fałszywą nutą w téj ogólnéj harmonii dzikości.

Przyzwyczaiłem się tedy do melodyi Sabały, znalazłem w niéj nawet pewien urok, choć nie mogłem tego pierwotnie przypuścić.

Im dłużéj grał, tém chętniéj go słuchałem, a gdy niektórzy z górali tańczyć zaczęli, spostrzegłem, że jeszcze tego szczegółu brakowało, aby obraz był skończonym.

Góralowi niewiele miejsca do tańca potrzeba. Trzy kroki wzdłuż i wszerz — to dla jego choreograficznych popisów dostateczna arena. Taniec ich powstał w szałasie, gdzie bywa natłok ludzi i bydła i gdzie zaledwie pozostaje kilka stóp kwadratowych

miejsca na tany. Tańczy się więc z wielką oszczędnością miejsca, prawie na jednym punkcie. Jest to coś nadzwyczaj monotonnego, piérwotnego, na co jednak godzinami patrzéć można, gdy się jest w górach, przy ognisku.

Gra Sabały zwabiła juchasów z owéj szczerniałéj pod skałą koléby.

Z początku stali zdaleka, niedość śmiali, aby się zbliżyć do ogniska, a témbardziéj rozpocząć tany, choć się im oczy do tańca śmiały. Byli to młodzi juchasi.

— Potańcz że który! zawołał jeden z przewodników.

Dwóch czy trzech chłopców rzuciło się na równiejsze miejsce przed ogniskiem i zajęło miejsce zmęczonego tancerza, lecz ponieważ niedość wprawnie tańczyli, powiedziano im, że mogą się niefatygować.

Staliśmy się wybrednymi — nie każdy tancerz mógł nas zadowolnić.

Pogrążyłem się w zadumie filozoficznéj, usiłując sobie wytłómaczyć, dla czego to wszystko, czego w téj chwili doświadczam, ma dla mnie czar niesłychany, dla czego zostałem pochłonięty przez dzikość i nie mogę zachować tego *ja* odrębnego, jakąś przepaścią otoczonego, wyodrębnionego, które czuję na każdym kroku wtedy, kiedy jestem w towarzystwie nie tych osób, z któremi tak się zrosłem, że prawie całość z niemi stanowię. Przebiegłem w myśli długie wieki, które dzielą człowieka cywilizowanego od piérwotnego i zadałem sobie pytanie, jak można było taki skok wstecz uczynić w jednéj niemal chwili? Czém się różnię od tych górali? Kamień pod głową nie dokucza mi, ognisko sprawia mi roskosz, muzyka i taniec w pierwotnéj postaci są dla mnie pełne poezyi, rzucam się na najprostsze pokarmy, jak dziécię na łakotki... Czém się więc różnię od owych prostych, niemal dzikich ludzi, i dla czego taki urok widzę w ich życiu?

Odezwanie się prastarego nałogu, — dziedziczność! — taką sobie dałem odpowiedź.

Bez wątpienia okrés dzikiego życia ludzkości był bez porównania dłuższy od okrésu kultury, zaczynającego się choćby od téj chwili, kiedy człowiek osiadł i ziemię zaczął uprawiać. We krwi więc naszéj dłużéj mieszkał popęd do życia dzikiego niż do cywilizowanego, a powiédzmy prawdę filistrowskiego, bo je filisterya grubo obwinęła w swoje szlafmyce i pierzyny. Powiedziałbym, że niejako w nerwach naszych śpi nieświadoma pamięć owych piérwotnych czasów, która się budzi wtedy, gdy wstąpimy w warunki życia piérwotnych ludzi. Wpadamy wtedy w zadumę, zdaje się nam

jakobyśmy już kiedyś wszystko to widzieli, wszystkiego tego doświadczali; zdaje się nam, żeśmy już to kiedyś przechodzili i natężamy pamięć, usiłując dociec, kiedy to miało miejsce? Pomimo jednak wszelkich usiłowań nie możemy dokładnie sobie powiedzieć, w jakim czasie wrażenia i obrazy podobne postały w naszym umyśle. Wiémy tylko, że były. Czy takie same? Nie. Tylko podobne. Kiedy? Bezwątpienia w dzieciństwie.... Lecz jeżeli tu mamy na myśli dzieciństwo indywidualne, to się mylimy; pochodzą one chyba z czasów dzieciństwa wszechorganizmu, do którego należymy, z młodzieńczych wieków ludzkości.

Jest to może zbyt śmiała hipoteza. Nie dowiodę jéj pozytywnie co prawda, ale nie wątpię wcale, że istnieje ścisła łączność duchowa pomiędzy nami a zamierzchłą, dziką przeszłością, tak ciągła, nierozerwana a silna, jak nasza łączność cielesna z koczującymi przodkami. Sądzę, że jednym z dowodów, popierających to przypuszczenie, są marzenia dziecka o obrazach, których nigdy nie widziało, o których nie słyszało, a o których przypomina sobie człowiek dojrzały, gdy się błąka po lasach i górach...

Cóżby wreszcie dziwnego było w tém, że po umyśle człowieka majaczą się mgliste obrazy dalekiéj przeszłości, jeśli jest rzeczą dowiedzioną, że instynkt jest dziedzicznym, że popędy odzywają się w odległych pokoleniach, że istnieje pewien charakter ras, a nawet rodzin. I owszém, według mnie byłoby dziwném, żeby się działo inaczéj.

Hipoteza ta powstała już dawno w mojéj głowie, z innego zupełnie powodu. Zamknąłem ją w mojém archiwum umysłowém, aby drzémała w towarzystwie innych, dopóki pozytywnych nie nabędzie podpór. Lecz dotąd także nic sprzecznego z nią nie znalazłem; na poparcie zaś jéj przytoczyć mogę zdania dwóch mężów, umiejących czytać księgę natury. „Próbowałem poniekąd, powiada Tyndall w swém dziele „w Alpach,“ zbadać początek zajęcia, które we mnie wzbudza piękna przyroda. Nie mogę go przypisać wyłącznie tylko pierwszym moim wrażeniom; albowiem już dzieckiem kochałem naturę, więc *muszę sięgnąć aż do czasu przed mojém własném urodzeniem. Zapomniane stosunki do dawno minionéj przeszłości są zapewne najpotężniejszemi pierwiastkami w naszych uczuciach*“. Pan Herbert Spencer pisał z głęboką przenikliwością o wzrastaniu z wiekiem naszéj miłości ku obrazom natury. Ale do stosunków pojedynczego człowieka, dodaje on „*pewne głębiéj leżące, teraz tylko przeczuwane (śnione) zjednoczenia stanów, które się w rodzie naszym wytworzyły w owych barbarzyńskich czasach, gdy znajdywał przyjemność w działalności pośród gór, lasów i wód.*“ Zdaje mi się, że ci dwaj uczeni, mówią tu o tém

samém, do czego niezależnie od nich doszedłem przed kilku laty, gdym się zastanawiał nad początkiem pewnych bezświadomych, jakby bezprzyczynowych zjawisk psychologicznych.

Bieg mojéj myśli przerwał p. W., który widocznie podobnym oddawał się marzeniom. Umysł jednakże jego zatrzymał się na innéj stacyi w téj chwili.

— Nie dziwi mię teraz, rzekł, że cyganie nie chcą osiąść w miastach i wsiach. Po cóż mają się pozbyć wolności, po co zaprządz do pracy, kiedy w dzikości tak dobrze? Niewiele mają, ale za to bicz potrzeb i obowiązków nie chłoszcze ich. Czyż nie szczęśliwszy taki półnagi baca od zamożnego mieszczanina? Nie ma odzieży, pościeli, śpi na gołéj ziemi wśród wiatrów, ale mu wygód nie potrzeba, bo i z tém mu dobrze. Żelazne jego ciało czuje w wypoczynku na wilgotnym i twardym głazie więcéj roskoszy niż my na puchach i włosiach. Stosunkowo do potrzeb swojego ciała i umysłu, ma on w tém pustkowiu więcéj wygód niż my, ciągle czegoś nowego pragnący, ciągle stroskani.

— Słuszna uwaga rzekłem. I gdyby ten baca został przeniesiony do wygód miejskiego życia, gdyby jego ciało zmiękczyły nasze obyczaje, gdyby jego nerwami owładnęła gorączka cywilizacyjnego życia, gdyby troska o przyszłość zajrzała do jego dzikiéj duszy, gdyby w nią wpadły ziarna walk i zwątpień, to z pewnością przeklinałby tę chwilę, kiedy swą zaczerniałą kolébę nadzianą wiatrami opuścił, żałowałby czasu, kiedy sypiał na kamieniu lub w błocie, kiedy się żywił samą serwatką i uciekłby na pustkowie, lub wpadł w spleen i stałby się może samobójcą....

Zamilkliśmy na chwilę, ale myśl ta nie opuszczała mnie. Patrzyłem wciąż na zasmolonych juchasów, na ich twarze spokojne i naiwne.

— Gdzie wy sypiacie, zapytałem, czy w kolébie?

— O nie, hań sypia ino baca i starszy juhas.

— A wy gdzie?

— Przy owcach.

— A macie kolébę?

— Nie.

— Więc tak, pod gołém niebem?

— Co oni mówią — zapytał się juchas jednego z przewodników.

Przewodnik wytłómaczył mu tatrzańskim dyalektem moje pytanie. Zdziwiło mnie bardzo, że tych prostych słów nie rozumiał. Kiwnął głową potakująco.

— A nie zimno wam.

— My śpiemy przy *watrze*?

Tu znów ja nie wiedziałem co juchas mówi.

— Co to jest watra? zapytałem.

Przewodnicy wskazali na ognisko, a dr. Chałubiński rzekł.

— Watra czyli ognisko, jest to czysty, niezmieniony wyraz sanskrycki, który się dotąd w mowie ludu polskiego w górach zachował.

Wyraz sanskrycki, w pierwotnéj swéj czystości, o tysiąc mil od miejsca swego powstania, o tysiące lat od chwili, gdy wyszedł ku zachodowi z swéj kolébki! Fakt to był dla mnie zupełnie niespodziany i nic dziwnego, że przeniósł mnie znowu w czasy, kiedy rodziły się plemiona europejskie.

Znowu dumałem....

Tymczasem milcząca przez czas niejaki gęśl Sabały znowu zabrzmiała, a baca, który po przyniesieniu mléka stał nieruchomy przy naszéj watrze, puścił się w tany.

Był to mistrz w swoim rodzaju. Żaden z naszych przewodników nie dorównałby mu w pląsach. Nie było to już jednostajne dreptanie, była to sztuka i fantazya. Widzieliśmy nowe ruchy, wykonane zręcznie, lekko, harmonijnie a przytém z werwą, która nie tylko górali, ale nas wszystkich excytowała, i gdybyśmy umieli tańczyć przy téj muzyce, to bez wątpienia widok ten pociągnąłby nas do towarzyszenia bacy.

— Ach jakież to śmieszne, powiedziałem sobie, gdym taką chęć do tańca uczuł, jakież oryginalne!

Skończyło się jednak naturalnie na przyglądaniu się. Patrzyłem długo, a zaduma moja zaczęła coraz bardziéj przybiérać charakter marzenia. Wyobraźnia zaczęła mi przedstawiać bujne obrazy fantastyczne. Widziałem grupę pierwotnych aryjczyków, która oderwawszy się od pnia głównego dążyła na północ-zachód. Widziałem ją przy watrze pląsającą, a w dzikim i poetycznym tańcu przyjmowały téż udział gibkie dziewice. Marzenie stawało się coraz zawikłańsze i byłoby się może snem twardym skończyło, gdyby doktór Chałubiński, który już leżał w namiocie nie zawołał.

— Panowie, czas do kolében!

Owinąwszy się w pledy, kołdry, palta, włożywszy na nogi ciepłe pantofle lub buty sukienne, zaczęliśmy się wślizgiwać do namiotu na posłanie, zrobione przez górali z gałęzi kosodrzewiny.

Namiot p. Chałubińskiego jest oryginalnym namiotem oficera francuskiego, sprowadzonym umyślnie do wycieczek tatrzańskich. Dwie osoby mogą w nim spać bardzo wygodnie, trzy nieźle się jeszcze pomieszczą, lecz dla cztérech mało jest miejsca. Nas zaś było cztérech. Leżeliśmy więc przy sobie w ścisłym szeregu, tak jak np.

cygara w pudełku, z tą tylko różnicą, że skrajne cygara mają nad sobą deseczkę w takiéj saméj wysokości jak środkowe, zaś prof. Chałubiński i ja, którzyśmy na brzegach leżeli, mieliśmy po nad sobą płótno stropu w wysokości kilku cali z jednego, a kilkunastu z drugiego boku. Gdy więc wiatr zawiał,—a wiał w nocy silny wicher, płótno drgało i uderzało o moje policzki, tak żem się po dwugodzinnym co najwyżéj, twardym śnie obudził i już więcéj zasnąć nie mogłem. Widocznie tego samegó doświadczył losu profesor, ale się nań nie skarżył, gdyż się na nic podczas wycieczki nie skarży. Abstrahuje od wszystkiego. Leżałem ze dwie czy trzy godziny, myśląc że zasnę, ale napróżno. Płótno nie dawało mi spokoju, a ciągłe leżenie w grubéj warstwie powijaków, jako pozbawiające wolności ruchów, tak mi się sprzykrzyło, żem postanowił wyjść a raczéj wyśliznąć się z namiotu. Chciałem się położyć przy gasnącém ognisku, myśląc że zasnę. Lecz górale wyprowadzili mnie z illuzyi, opowiedziawszy, że sami spać nie mogli z powodu zimna. Wiatr bowiem zwracał ogień w coraz to inną stronę i budził nietylko tych, od których go odwiéwał, ale i tych, na których go kierował, ziębiąc pierwszych a parząc ostatnich. Przekonałem się wkrótce, że o spaniu w tak przejmującym chłodzie ani mowy być nie może i bardzo byłem zadowolniony, gdym zobaczył wysuwającego się z namiotu profesora, który nas zawiadomił, że wkrótce ruszymy w drogę.

— Czyż ja podołam tym trudom, po śnie dwugodzinnym? Myśl ta wielce mnie zakłopotała. Ale ponieważ nie było dwóch alternatyw do wyboru, więc myśléć o tém przestałem i pobiegłem za towarzyszami wyprawy, którzy po bohatérsku, zdjąwszy z siebie w takiém zimnie palta i serdaki, myli się w potoku. Poskoczyliśmy potém bardzo raźnie na śniadanie, składające się z herbaty i chléba z masłem.

— Cóż pan profesor sądzi o pogodzie, zapytałem dr. Ch.

Poznałem po minie, że jakoś nie bardzo dowierza jéj stałości.

— Spodziewam się, że dziś jeszcze będzie dészcz padał, ale nieprędko; może mu się jeszcze wymkniemy.

Spojrzałem dookoła. Niewielką część sklepienia niebieskiego można było widziéć. Byliśmy jakby w kadzi, z któréj kilka klepek odpadło. Widziałem tylko nad sobą pogodne niebo i lekko zaróżowione od wschodzącego słońca wierzchołki gór.

Dochodziła już piąta, puściliśmy się więc w dalszą drogę.

III.

Na Wagę! Miłe wspomnienie niebezpiecznéj chwili.—Staw przy dobréj woli zielony.—Śnieg.—Lux a non lucendo.—Głazy ruchome.—Śmiało ale ostrożnie! - Na Wadze.—Odpoczynek.—Charakterystyka wnętrza Tatr.—Na Rysy!— Bodziec poezyi. — Widok z Rysów.—Obawa o d-ra Chałubińskiego.

— Dokąd teraz idziemy? zapytałem p. Ludwika, który już tę drogę odbywał.

— Najprzód do Zielonego stawu, tu zaraz na pierwszym tarasie znajdującego się, a następnie na Wagę.

— Cóż to jest Waga? Szczyt?

— Nie, tylko przełęcz. Miłe mam wspomnienie, dodał p. Ludwik z przeszłorocznéj wycieczki na Wagę.

— Ciekawym usłyszéć.

— Byliśmy już prawie u celu, gdy jeden z towarzyszy, idąc nieostróżnie strącił ogromny głaz w miejscu takiém, że, nawet mając dość czasu do usunięcia się, nie moglibyśmy się usunąć. Włosy nam się zjeżyły na głowie, głosy przerażenia wyrwały się z wielu ust, ale na szczęście kamień przeleciał obok, drasnąwszy tylko co najwyżéj jednego czy dwóch ludzi mniejszemi odłamkami, na które się rozprysnął.

— Będziemy zapewne tamtędy przechodzili?

— Naturalnie.

— I może nam się to samo wydarzyć?

— Dla czegoby nie. — Ale, to był przypadek, skutek nieostróżności; jeśli tylko będziemy ścisłym szeregiem postępowali to nic złego stać się nie może — dodał, sądząc, że mnie to „miłe“ wspomnienie zastraszy.

— Nie lękaj się pan, rzekłem, o moję odwagę. Według mnie, każdy człowiek powinien być zawsze na wszystko przygotowany,— cóż dopiéro w górach! Jeśli tam ludzie chodzą, więc przejście jest możliwe, a ponieważ nie sądzę, żebym należał do niezręcznych turystów, więc nie myślę o możliwém niebezpieczeństwie.

Szliśmy po dużych kamieniach, po których stąpać należy nie tylko nogami ale i okiem. Idąc bez uwagi bardzo łatwo się potknąć. Przerwałem więc rozmowę i pomyślałem sobie w duchu, że więcéj się lękam braku sił po nocy nieprzespanéj, aniżeli przejść niebezpiecznych, gdzie nietylc potrzeba siły, ile ostróżności i zręczności.

Wkrótce dotarliśmy do stawu zielonego, który jest tak samo ciemnogranatowym, jak wszelkie niemal stawy w Tatrach. Przy zna-

cznéj jednak dozie dobréj woli, spostrzegłem, że jest on przy brzegach zielonawy.

Stamtąd, znowu idąc po stoczonych z boków gór kamieniach, dość spadzistą drogę tworzących, doszliśmy wkrótce do śniegu; w wielu bowiem miejscach w Tatrach, ocienionych, lub na północ albo téż północ-wschód zwróconych, śnieg utrzymuje się przez całe lato. Płat na który wstąpiliśmy nie był śniegiem zlodowaciałym, tak jak się to zwykle w Tatrach zdarza, lecz nieco na powierzchni stopniałym, ustępował więc cokolwiek pod naciskiem stóp.

Szliśmy jedną nogą po kamieniach, a drugą po śliskim śniegu, niechcąc na téj niepewnéj podstawie obu nóg opiérać. Niezadługo jednak musieliśmy się na to zdecydować. Stawialiśmy więc stopy w ślady, wyciśnięte przez osoby idące przed nami.

Nietyle mi dokuczała pochyłość tego płatu oraz jego śliskość, ile wilgotność. Buty moje zaczęły przepuszczać wodę.

— Czemużeś pan nie kazał łojem butów wysmarować, zapytał p. Ludwik. Poznałem w téj chwili o ile wyższą była prosta świéca łojowa nad stearynową i żałowałem szczerze a mocno, żem się przed wycieczką nie przyznał profesorowi do braku łojówki.

Po półgodzinném co najmniéj chodzeniu po spadzistym śniegu zwróciliśmy się na prawo i znowu na głazy weszliśmy. Droga była dla mnie przyjemniejszą, bo suchszą, ale coraz stawała się trudniejszą. Przybyliśmy wreszcie do występu skały, gdzie już rąk użyć trzeba było. Wdzieraliśmy się po nim dość długo, po największéj części na czworakach, gdyż skała była tak gładką, że trudno było nieraz znaléść punkt oparcia dla stóp. Wreszcie skończyła się lita skała i weszliśmy na głazy ruchome.

— Trzymać się w ścisłym szeregu, zakomenderował profesor.

— Oto tu jest owo miejsce, zawołał pan Ludwik, gdzie w przeszłym roku skała się zwaliła.

— Ach, mój Luciu, odezwał się prof. Chałubiński, z wyrazem przykrości w twarzy, nie wspominaj tego okropnego wypadku, bo mi staje przed oczyma chwila, w któréj kilku z nas uważałem za straconych!

Odezwanie się to nieustraszonego turysty zrobiło sensacyą w moim umyśle.

— Panowie, dodał doktór, w ścisłym szeregu, noga za nogą ostrożnie!

Starałem się wszystkie moje zmysły wtłoczyć w nogi. Szedłem więcéj oczyma, niż stopami.

— Ot, z za tego występu.... zaczął pan Ludwik.

— Luciu! późniéj panom opowiész.

— Jużem słyszał, rzekłem, lękając się oczu oderwać od kamieni, na które trzeba było wstąpić.

— No więc śmiało, ale ostrożnie, zakonkludował profesor, uśmiechem dodając nam odwagi.

Szliśmy też śmiało a ostrożnie i przebyliśmy szczęśliwie to miejsce, wywołujące tak przykre dla profesora wspomnienie niebezpieczeństwa, w którém się kilku towarzyszy jego znajdowało i niezadługo potém znużeni i zziajani, bez sił prawie (stosuje się to przynajmniéj do p. W. i do mnie) znaleźliśmy się na przełęczy zwanéj Wagą.

Było około dziesiątéj. Więc 5 godzin wspinaliśmy się na Wagę, wyszedłszy z nad czeskiego stawu.

Zaprawdę poważna ta Waga! Obwinąwszy się w pled dla ochrony od zimnego wiatru, który bardzo silnym bywa na tych wysokościach, rzuciłem się w porosłą trawą kotlinkę na urwisku. Zamknąłem oczy, pragnąc wypoczynku dla wszystkich zmysłów. Sądziłem, że będę tak leżał z godzinę, ale już po kilku minutach pierwszy najsilniejszy napad znużenia przeminął. Otworzyłem oczy i spojrzałem przed siebie. Widok był czarujący. Przed sobą miałem „Ganek,“ szczyt zupełnie niedostępny, drażniący oczy każdego „porządniejszego turysty“, z prawéj strony—„Wysoką“ wprawdzie nie najwyższą w Tatrach, ale odznaczającą się przystępem jednym z najtrudniejszych. Z lewéj były „Rysy nad Morskiém Okiem,“ a wszystkie te szczyty wychylały swe głowy z pośród wzbałwanionego morza skał, obsypanych u podstaw stoczonemi z wierzchów kamieniami, lub śniegiem.

Pusto i smutno jest w téj okolicy, tak jak w ogóle w tych punktach Tatr, gdzie drzewo, ani krzew utrzymać się nie może. Gdzie spojrzysz, szary ponury kamień zatrzymuje twój wzrok. Nie zobaczysz ani ptaszka nad głową, ani muszka nawet nie siądzie ci na twarzy. Pragnąłbyś ją widzieć wśród téj martwoty, jako coś żyjącego. Ale i ona unika ruiny i ona bowiem zmarłaby zgłodzona w tym labiryncie skał ku niebu strzelających, zginęłaby, tak jak ty wędrowcze, gdybyś się w tém pustkowiu znalazł bez chleba i bez przewodnika.

Jest to zaiste obraz świata zmartwiałego—majestatycznie ponury, wielki swą dzikością, straszny martwotą. Człowiek czuje się tam tak obcym, jak obcymby się poczuł na martwym, bezwodnym, skalistym księżycu. Doré miałby tu doskonały materyał do ilustracyi piekła Dantego. Gdy pierwszy raz wstąpisz w tę krainę kamieni, gdzie straszna cisza przerywana jest tylko dzikim poświstem wichru, lub hukiem gromu, jesteś przerażony i instynktownie stajesz jak wry-

ty, bo czujesz, żeś wszedł do krainy zawalonéj gruzami zamarłego świata, lub będącéj areną tytanicznéj gry żywiołów, które po wielu wiekach przemienią tę okropną i jałową jednostajność w świat dla roślin, zwierząt i ludzi.

Ze wszystkich stron martwa ta pustka przemawia do ciebie niejako dumnie, majestatycznie, groźnie, z przerażającą impozycyą: „zdala się trzymaj niewtajemniczony;“ i ty rozumiész tę niemą przemowę, doznajesz bojaźni, jakbyś wszedł do ukrytéj pracowni groźnego mistrza, który ci podpatrzenie tajemnicy srogą karą zagroził, lub jak gdybyś odchylił zasłonę Izydy i czekał na męki okropne, na opisanie których słów nie ma nawet legenda. To biblijna dolina jęków, wołasz i szukasz na okół ognistego napisu, który Dante na wrotach piekła wyczytał: głosek nie widzisz, lecz treść jego czytasz wszędzie, martwota z zewsząd ją zieje.

Gdym przed dwoma laty, po pięknych romantycznych, sielankowo-miłych, ożywionych bujną roślinnością widokach w dolinie Kościeliskiéj i Strążyskiéj, ujrzał się pierwszy raz w podobném pustkowiu, oddech zamarł mi w piersiach, oczy się znieruchomiły, struchlały niemal nie mogłem oczu oderwać od obrazu śmierci powszechnéj, który wzbudzając we mnie niewytłómaczoną trwogę magnetyzował jednak całą mą istotę, jak śmiercią ziejący wzrok węża wiewiórkę. Nogi możeby się cofnęły, ale wzrok, przykuty łańcuchem niebywałych wrażeń, trzymał je na uwięzi. Pochłaniałem dziki amfiteatr oczyma, a raczéj on mnie pochłonął, bo mi podciął podstawy refleksyi, prawie świadomości pozbawił i uczynił mnie bierném narzędziem, aparatem optycznym, w którym się obrazy rysują, a który ich rozbiérać i porównywać z dawniejszemi nie może.

Naturalnie, że olśnienie takie, jeżeli olśnieniem wolno nazwać działanie potęg ujemnych, jest tylko chwilowe. Porwane i przykute do przerażającego obrazu zmysły przechodzą wreszcie pod władzę świadomości. Zaczyna się człowiek oryentować, przypominać, że przyszedł z dolin dzierganych kwieciem, z miast ruchem kipiących, że wróci tam, gdzie życie wszystkie swe czary roztacza, przypomina sobie, że jest tu gościem chwilowym, którego tylko głód wrażeń przywiódł w krainę zniszczenia. Przeciwstawia więc przeszłość i przyszłość chwili obecnéj i... zaczyna myśléć objektywnie.

Objektywność zaś poczyna natychmiast nazywać, określać, porównywać i rozumować. Porównywasz, jaki wyraz jest właściwszy na kontury skał czy poszarpane, czy wyszczerbione, wyzębiane, lub porwane. Przekonywasz się, że nie masz dokładnego wyrazu na oznaczenie ogólnego charakteru widoku, który na tobie tak silne uczynił wrażenie. Martwy chłód, dzika wielkość, ponura majesta-

tyczność, przerażająca wspaniałość—wszystko to tylko w części oddaje wrażenie jakiegoś doznał, i choć złączone w jedno wydaje coś przybliżonego do całości obrazu, jednakże czujesz, żeś powiedział niewszystko. Rozpoczynasz więc poszukiwania w pamięci, sądząc, że znajdujesz u poetów wyrażenia, które do twego widoku przystaną. Utkwił ci tylko w umyśle wiersz Pola; jeśli go obraz obecny z archiwum twego umysłu na wierzch wydobył—to nie darmo; musi w nim być wiele prawdy:

Górą nad mgłami, kolczasto szarpane
Straszyły jak duchy turniska,
Olbrzymie, wyrosłe z powodzi obłoków
Poczwarne jak widma sumienia
Samotne śród ziemi jak słowa proroków
A wielkie jak słowa stworzenia!

Gdym sobie przypomniał te słowa, postać Pola stanęła przedemną okolona jakimś blaskiem, z którym mi się przedtém nigdy nie przedstawiała. W téj chwili sprawdziłem, że Pol jest poetą natury, że umié wkładać słowa w usta skał, abyśmy je rozumieli. On odgadł tajniki Tatr, wytłómaczył nam na nasz język hieroglify, któremi do nas mówią, bo z skałami przestawał, zżył się z niemi i podsłuchiwał je uchem syna natury.

Prawem kontrastu przyszedł mi na pamięć wiersz Deotymy, który przeczytałem w jednym z opisów Tatr jako cytatę:

Jak mieniące pióra pawie
Tak się mieni wachlarz gór;
W Tatrach świeci staw przy stawie
Jakby oczy pawich piór.

Na wachlarz—zgoda, pomyślałem; porównanie stawów do ócz pawich piór także jest udatne, lecz analogia pomiędzy wachlarzem skał jednostajnie szarych, odrapanych z mieniącemi się piórami pawiemi, wydała mi się mniéj stosowną—chyba że Deotyma nigdy w samém łonie Tatr nie była i odmalowywała tylko niższe ich, zielone odgałęzienia. I rzeczywiście zdaje się, że poetka, która jak zobaczymy umié czuć widoki natury, tylko na wózku zwiédzała Tatry.

— Pijta wartko! usłyszałem nad sobą głos Roja, podającego mi herbatę.

Spostrzegłszy, że niedaleko odemnie siedzący profesor nie pije, rzekłem do Wojtka.

— A dajcież profesorowi!

— Zaraz, zaraz, mój panie, odrzekł profesor. Pozwólcie mi najprzód skończyć robotę.

Spojrzałem na niego. Był jeszcze zajęty układaniem i znaczeniem mchów, do czego się zabrał w chwili, gdyśmy weszli na Wagę. Czynił to tak spokojnie i uważnie, jakby nie przebył kilkogodzinnéj drogi. Przez cały ten czas nie położył się na trawie, choć zaleca leżenie jako jedyny sposób wypoczynku po silném strudzeniu. Ja, który wychodząc z domu, postanowiłem sobie notować szczegóły podróży, nie zdobyłem się nawet na sięgnięcie po notyskę i ołówek, doktór zaś nie pozwolił sobie użyć odpoczynku, napić się herbaty, dopóki nie uporządkował zebranych na drodze mchów. Wstydziłem się za siebie i jeszcze wyższy szacunek uczułem dla profesora. W téj energii i w tym porządku, rzekłem do siebie, leży część tajemnicy jego stanowiska pomiędzy ludźmi;—trzeba go naśladować, pomyślałem bardzo szczerze, i wziąłem—nie książeczkę i ołówek, lecz szklankę herbaty.

— Zapamiętam przecięż do wieczora, tłómaczyłem sobie. Lecz tego lenistwa dotąd odżałować nie mogę.

Sprawiedliwość jednak względem siebie samego każe mi przyznać, że nie zupełnie zawiniłem. Lenistwo to miało pewne uzasadnione podstawy. Czym się tu wybrał, dla notowania? Niech przynajmniéj tutaj odpocznę i oddam się całkowicie prądowi wrażeń, rzekłem duchowi porządku, który mi kazał notować. Spytajcie się literatów, czy nie miałem racyi.

Odpoczynek nie trwał dłużéj jak pół godziny. Ku wielkiemu memu zdumieniu odzyskałem wszystkie siły, choć w chwili przybycia na Wagę sądziłem, że stałem się na kilka godzin niezdolnym do marszu. Poszedłem za pp. Chałubińskiemi na prawo, nie wiedząc gdzie idą i nie mogąc się o cel ich zboczenia zapytać, gdyż wyruszyli wtedy jeszcze gdym w najlepsze spożywał dary Boże. Słyszałem wprawdzie, że profesor mówił Rojowi, iż prawdopodobnie powróci na Wagę, skąd się udamy do Mięguszowieckiéj doliny, ale nie wiedziałem dokąd zmierza. Zdawało mi się, że to zboczenie nie zabierze dużo czasu, że potrwa co najwyżéj kwadrans, gdyż na lewo rozciągała się dość pozioma równia pochyła, założona stosunkowo równo płaskiemi odłamami skał, która się ostro kończyła. Z początku, dla oszczędności sił, nie miałem zamiaru pójść na nią, gdyż profesor odchodząc rzucił słówko, iż kto zmęczony niech na Wadze poczeka. Sądziłem więc, że nic tam nie ma ciekawego i że profesora prowadzi tylko chęć rozejrzenia się i ztamtego, choć może nieważnego punktu, po okolicy. Jednakże i moja ciekawość przemogła tém bardziéj, że uważałem cel za bliski. Sądziłem, że nie więcéj przejść potrzeba jak przez długość Saskiego ogrodu. Tymczasem doznałem

wielkiéj niespodzianki zarówno co do długości drogi jak i widoku, który się na jéj końcu oczom moim przedstawił.

Szło się rzeczywiście dość wygodnie, bo ani wielkich kroków nie potrzeba było robić, ani też równowaga ciała nie ulegała częstym zachwianiom. Ale droga była bardzo długa. Już pół godziny szedłem, a byłem ledwie na jéj połowie. Nadto, choć z Wagi widziałem dobrze całą tę równię pochyłą,—przynajmniéj tak mi się zdawało,—na środku jéj nie wiedziałem już gdzie postąpić. A szedłem bez przewodnika, pewny będąc, że to zboczenie jest igraszką. Zacząłem więc wołać. Usłyszałem słaby głos, lecz nie mogłem odróżnić brzmienia wyrazów. Wdrapałem się więc na jakieś wywyższenie, z którego zobaczyłem przewodnika zostawionego dla mnie na drodze przez profesora. Kierując się według jego znaków przeszedłem na lewy brzeg pochyłości, gdzie już droga nie była tak równą. Trzeba było zejść na dół, po wąskim gzémsie, aby wejść znowu na górę. Wreszcie przybyłem do rozpadliny, nad którą sterczał garb skały. Objąwszy go, według rady przewodnika ramionami, przeszedłem przez 3 stopową szczelinę, mając pod sobą i o kilka cali za sobą głęboką przepaść.

— O o! oni śmiało chodzą, rzekł przewodnik, bo drugi pan to stanie nad przepaścią i drży. Trzeba mu wtedy kazać zamknąć oczy i przeprowadzić go nad przepaścią za rękę. A panu nie ćmi się w głowie?

— Nic a nic; najmniejszego zawrotu nigdy nie doznaję.

— A to dobrze, to pan wszędzie chodzić może.

Byłem uczciwie zmęczony, lecz ten pochlebny dla mnie sąd górala dodał mi tak silnego bodźca, że bez odpoczynku poszedłem daléj. Poczułem w sobie duch Tatrzanina, sądziłem, że zdałem egzamin maturitatis, i zacząłem sobie po cichu deklamować wiersz Anczyca:

Hej za mną w Tatry! w ziemię czarów
Na strome szczyty gór!
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur!
Po nad przepaście nasza droga
Odważnie bracie mój
Od ludzi daléj, bliżéj Boga
Ha, już jesteśmy, stój!

Powtarzałem sobie ciągle ten wiersz, kipiący śmiałością i dzielnością, czując, że działa tak na mnie, jak muzyka na wojsko podczas marszów forsownych. Mając nim umysł zupełnie zajęty, a oczy przykute do skał pod nogami, nic oglądałem wokoło. Gdym sta-

nął wreszcie na cyplu, na którym znajdowali się już pp. Chałubińscy z przewodnikami, widok który się przedemną roztoczył uderzył mnie niezwykle. Ujrzałem się nagle na wierzchołku jednym z wyższych, który pozornie wydawał się równym, a może i wyższym od najwyższych. Wokół mnie falowało morze skał. Byłem w środku koła, a ze wszystkich stron zbiegały się ku mnie promienie od wyniosłości i dolin. Widziałem z lotu ptaka, wszystkie najwyższe szczyty, szturmujące do nieba, jak skamieniałe tytany, widziałem ich kształty, stożkowe, ostre, lub szerokie i krępe, ich rozmieszczenie, ogólne stosunki; widziałem jeziora czarném okiem na nas patrzące, widziałem wszystko, co tylko objąć można okiem z jednego punktu, dającego bezwarunkowo najobszerniejszy i najpiękniejszy widok w Tatrach.

Powietrze było czyste. Ani jednéj chmurki nad głową lub pod nogami nie było widać. Cały więc obraz rzucających się ku niebu fal skalnego morza rysował się jasno. Dalsze tylko kontury były jakby mgłą przysłonięte; wzrok nie mógł przebić tak grubych warstw powietrza, zdawało się, że powietrze z odległością gęstnieje.

Spojrzałem pod stopy swoje. Nagła zmiana dekoracyi. Wzrok krótko tylko spadał w jakiś jar olbrzymi wśród nagich i martwych skał. Uderzył wkrótce o zwierciadło wody Morskiego Oka i spłynął na zieloną dolinę obramowaną z boków ciemnym borem świerków. Zobaczyliśmy nawet schronisko nad brzegiem jeziora. Tam byli ludzie.

Huknęliśmy wszyscy z siłą na jaką nas stać było. Roj wypalił z rewolweru. Okrzyk i huk rozpełzł się po skałach, ale odpowiedzi nie słyszeliśmy. Zapewne była, lecz nie zmogła odległości.

— Profesorze, rzekłem, to jest chyba najpiękniejszy widok w Tatrach. Będąc tu tylko, można sobie powiedzieć widziałem Tatry.

— Bezwarunkowo. I rzecz szczególna, Rysy, na których jesteśmy nie są wcale najwyższemi w Tatrach, bo wznoszą się tylko na 2.311 metrów, czyli nie wiele więcéj jak 7.300 stóp wiedeńskich. Widok więc ten zawdzięczamy centralnemu Rysów położeniu.

To rzekłszy profesor wpił wzrok w dal, starając się utrwalić w swéj pamięci najdrobniejsze szczegóły stosunków grzbietów i dolin. Już dawno widok ogólny nie ma dla niego przeważnego interesu, stara się on teraz poznać kształty szczytów, jak się z różnych stron przedstawiają, kierunki dolin i ich szczegółowe stosunki.

Wierzchołek na którym siedzieliśmy nie był z litéj skały, lecz potrzaskany na duże kanciaste głazy, leżące jeden na drugim. Powierzchnia wynosiła nie wiele więcéj jak sążeń kwadratowy. Trzeba

więc było ostróżnie zachowywać się na tym szczycie. Tymczasem profesor zeszedł na sam jego brzeg i tak zatopił swój wzrok w stronę, gdzie najwyższy z szczytów, Gierlach (2.659 m., 8.414 stóp) wznosi swe czoło, że zapomniał widocznie, gdzie stoi, bo nie patrząc posunął się na bok. Zachwiał się nieco. Chciałem krzyknąć instynktownie, lecz głos mnie w piersi zamarł. Jednakże profesor w oka mgnieniu odzyskał równowagę. Po chwili znowu się zachwiał—i znowu poczułem jakby mnie kto hakiem szarpnął za cały systemat nerwowy. Ostrzeżenie z mojéj strony byłoby z pewnością nieusłuchaném, profesor skarciłby mnie niezawodnie za brak zaufania jego doświadczeniu i śmiałby się jako z nowicyusza. „Przecięż profesor nie jest dzieckiem, pomyślałem, i wie co robi.“ Milczałem więc i wyciągnąłem się znowu wygodnie na kilku głazach, bynajmniéj płaszczyzny niestanowiących.

Jednakże nie mogłem się uspokoić, dópóki profesor nie usiadł. I potém nawet długo jeszcze nerwy moje nie mogły powrócić do równowagi. Być może, iż zmęczenie przyczyniło się do tego,—ale drżałem.

Pan Ludwik przez cały czas téj nieméj kilkuminutowéj sceny patrzył w inną stronę, rozpytując się Tatara o nazwy pomniejszych szczytów. Dobrze, iż jéj nie widział, bo uczucie synowskie jeszcze większym wstrząśnieniom by uległo.

— Pan profesor tak mało ostróżności zachowuje, rzekłem, nie mogąc się już wstrzymać od uwag.

— Gdzie, kiedy?

— A tutaj ot, nie patrząc stąpał pan i zachwiał się parę razy.

— Ech! to nic.

Nie było na to co odpowiedzieć.

IV.

Po przekątni. – Gdzie droga?—„Puszcza!“—Żleb.—Obsuwające się kamienie nad głową i pod nogami.—Jazda po śniegu bez sań.—Moje zakłopotanie.—Dolina Mięguszowiecka.—Przełęcz Mięguszowiecka.—Droga po skrawku skały.—Co znaczy wyraz „bezpiecznie.“—Taras.—Znowu nie znamy drogi.—Obawa zmroku.—Szalony pośpiech.—Nareszcie!—Ale jeszcze nie..... — Spóźnienie się p. W.—Burza nadchodzi! — Przesada poetyczna pewnéj autorki w obec rzeczywistości.—Czém przepłyniemy? — Trzeba iść jeszcze. — Dach nad nami!—Zbudzenie śpiących.—Przygoda pp. G. i D.—Przestrach z powodu niewinnego mléka. — Nocleg na podłodze.

Ruszyliśmy wkrótce z miejsca. Z początku szliśmy tą samą drogą, którąśmy przyszli, ale profesor spostrzegłszy, czy też domyśliwszy się, że pozostali na Wadze poszli w dalszą drogę, rzekł:

— Pocóż mamy wracać na Wagę, kiedy można iść bliższą drogą. Nieprawdaż, panie Bronisławie?

— Naturalnie, rzekłem ucieszony, sądząc żem zyskał z godzinę drogi.

— Więc pójdziemy sobie ot tak przekątnią.

Gdyby to nie była pierwsza moja wycieczka z dr. Chałubińskim, to z pewnością zapytałbym się: — „A czy pan profesor, lub który z przewodników zna drogę według téj przekątni?“ W takim razie z pewnością usłyszałbym odpowiedź.

— Nie, ale pocóż mamy chodzić zwykłemi drogami, przecięż poradzimy sobie.

Jabym zaś na to odpowiedział.

— Zapewne, ale wolę pójść z moim przewodnikiem przez Wagę, choć to dłuższa droga....

Że zaś byłem niedoświadczony, więc bardzo się ucieszyłem, bo w prostocie ducha sądziłem, że po przekątni droga będzie krótszą i łatwiejszą.

Z początku szliśmy, po naturalnie niewygodnéj, ale bezpiecznéj drodze; wreszcie przychodzimy do miejsca takiego, że ani myśléć o zejściu.

— Szymek, Wojtek, zawołał profesor, którędy tu lepiéj obejść na prawo czy na lewo.

Szymek Tatar twierdził stanowczo, że trzeba się udać na lewo ku Wadze, przejść przez krawędź góry i dopiéro zejść na dół. Poszedł też tam szukać drogi.

Kilku górali udało się na prawo. Ponieważ nie byli to pierwszorzędni przewodnicy, więc nie poszliśmy za nimi.

Wreszcie Roj, chcąc znaléść najkrótszą drogę, zboczył cokolwiek na lewo, nie dochodząc do owéj krawędzi góry, za którą poszedł Tatar.

Po kwadransie przyniesiono nam wiadomość od Tatara i Roja, że „*puszcza.*“

„Puszcza“ — znaczy: można zejść. Udaliśmy się za Rojem, gdyż kierunek, w którym poszedł, bardziéj był zbliżonym do przekątni idealnie nakreślonéj.

Droga była fatalna. Szliśmy po żlebie (1) zawalonym kamieniami kołyszącemi się, tak, że trzeba było całą uwagę skupić, aby

(1) Żleb jest to mniéj lub więcéj strome koryto na stoku góry, którém główna masa wód spływa i walą się oderwane od szczytów bryły. Żleby zwykle zawalone bywają w skutek tego piargami, t. j. gruzem lub większemi kamieniami ruchomemi.

utrzymać równowagę. Ale w dalszym ciągu żleba nie było już tak źle; stało się jeszcze gorzéj. Spadzistość była tak wielka, że musieliśmy się trzymać kamiennego żebra, biegnącego na dół bardzo stromo. Lewy bok jego był wielce zniszczony, zrujnowany, więc przedstawiał dużo chropowatości, za które można było chwytać rękami. Wzdłuż niego ciągnęła się rynna, rynną tą schodziliśmy. W wielu miejscach była gładką, w innych leżały kamienie, które za lada naciśnięciem obsuwały się. Nadto boki jéj były tak potrzaskane, że sterczące z nich kamienie wysuwały się często, gdy się ich kto ręką chwycił. Trzeba więc było postępować, a raczéj zsuwać się po niéj z największą ostróżnością, trzeba było każdy kamień ręką lub nogą próbować, aby samemu nie spaść i nie strącić towarzyszy naprzód idących. A szło nas tędy z pięć osób, góral zaś, zamykając nasz orszak miał skrzydła o których wyżéj wspomniałem. Ponieważ bezpośrednio przed nim szedłem, więc byłem w ciągłéj obawie, aby skrzydłami nie strącił kamienia.

Przebyliśmy jednak ten niebezpieczny żleb bardzo szczęśliwie. Kilka tylko razy obsunęły się niewielkie kamienie. Sam nawet, pomimo największéj ostróżności, zrzuciłem kamień na nogi profesora, który szedł przedemną o dwa kroki, ale, ponieważ na tak krótkiéj przestrzeni, kamień nie zdołał się rozpędzić, więc uderzenie było słabe, tak, że profesor nawet bólu nie doznał. Zawołał tylko jak zwykle w takich miejscach:

— Uważnie, ścisłym szeregiem!

Przedostaliśmy się potém na powierzchnią równą, bez odłamów, niegrożącą już spadkiem kamieni, ale za to gładką, jak dach pochyloną i w wielu miejscach zwilżoną przez źródła z nad niéj bijące. Nie posuwaliśmy się po niéj na dół, lecz w szerz, bo poniżéj była ściętą pionowo. Na szczęście droga po tym dachu nie była zbyt długą i po kilku aktach zręczności, przy których nie trudno było nabawić się kalectwa, stanęliśmy nad śniegiem.

Uważałem niebezpieczeństwo za minione. Skończyło się tylko na zdarciu butów i spodniego ubrania, oraz nic nieznaczącém pokaleczeniu ręki w kilku miejscach.

— O wy dobrze chodzicie, wy na kozice chodzić możecie, rzekł do mnie Roj.

— Co? zapytałem niedowierzająco.

— O wy doprawdy na kozice możecie chodzić; mało panów tak dobrze chodzi.

Ponieważ dla turysty porównanie ze strzelcami polującymi na kozice jest tyle zaszczytne, jak porównanie żołnierza ze spartaninem, więc wyobrażą sobie czytelnicy, ile mnie ono ucieszyło.

Ukontentowanie to jednak ustąpiło miejsca zakłopotaniu.

Spojrzałem na profesora, który się gotował do przeprawy przez śnieg. Góral usiadł na śniegu i wbił przed siebie rękojeść ciupagi (siekierki do podpierania). Za nim usiadł dr. Chałubiński, objąwszy go końcami nóg i wbił również kij w śnieg, dla hamowania prędkości spadku.

Ta dość wesoła jazda wywołała we mnie wielkie zakłopotanie. Miałem zawsze wstręt do zsuwania się po śniegu bez sań,—a cóż dopiero teraz. Ale nie było czasu do namysłu. Przewodnik zawołał:

— Niech siadają!

— Ale mój Jacku, widzisz... wolałbym zejść pieszo.

— Na nogach nie można; spadną dołu (na dół) na skale (skały). Widziałem, że tu żartów nie ma. Dr. Chałubiński przemknął się przed memi oczyma jak strzała, przez płat śniegu dłuższy niż plac Saski.

Siadam więc na śniegu, robiąc bonne mine à mauvais jeu. Na środku płatu uciekł mi przewodnik, gdyż za silnie się ciupagą hamowałem. Jechałem więc sam z wielką pompą, tak że stojący na dole zaczęli mi klaskać. Ale nagle zaczęli wołać, że nogi źle trzymam. Rzeczywiście były skupione, w skutek czego łatwo mogłem się zwrócić plecami na dół, a wtedy jazda byłaby niebezpieczną. Nie domyśliłem się tego z góry, choć to było tak proste. W czas mnie ostrzeżono, bo już zacząłem wykręcać się na bok.

Zjechałem wreszcie na dół bez przypadku i przeszedłszy z wielką ostróżnością po krańcu śniegu, stopionym z dołu, a więc cienkim i nakrywającym często jamy, czyli tworzącym coś w rodzaju wilczych dołów, udałem się za towarzyszami.

Weszliśmy znowu w dolinę taką, jak około stawu Zielonego, gdzie jak górale powiadają

„Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a ná tym kamieniu kamień na kamieniu.“

Przedstawiała ona tę tylko różnicę, że głazy były ogromne, metr lub kilka metrów średnicy mające, po których trzeba było już to chodzić, już wspinać się, już skakać z jednego na drugi, już zeskakiwać. Po małym odpoczynku, który nam się bardzo należał, przeszliśmy przez niską grań (krawędź) góry do drugiéj części doliny, rozlegającéj się pod szczytem Mięguszowieckim.

Rozłożyliśmy tam watrę i zaczęliśmy ucztować po cygańsku.

Odpoczynek trwał długo, głównie ze względu na p. W., któremu śliwowica wciąż jeszcze dawała się we znaki. Odpoczywaliśmy choć czas naglił, bo chmury zaczęły się pokazywać na horyzoncie

a długą drogę jeszcze mieliśmy przed sobą. Wreszcie dr. Chałubiński, zbadawszy puls p. W. i dawszy mu wskazówki, jak ma chodzić, aby się nie zmęczył, dał znak do wymarszu.

Stąd bezpośrednio wejść mieliśmy na wspomnianą już przełęcz Mieguszowiecką, oddzielającą nas teraz od Morskiego Oka.

Przed oczyma naszemi wznosił się uważany do roku bieżącego za niedostępny szczyt Mięguszowiecki. Pierwszy na nim nogę ludzką postawił w Czerwcu r. b. p. Ludwik Chałubiński. Piramida kamienna i bilet wizytowy młodego turysty zostawiony wśród kamieni są dowodem jego bytności.

Skierowaliśmy się ku prawéj stronie i zaczęliśmy się piąć po stroméj pochyłości obrośniętéj trawą. Droga była trudna, długa i dość nudna. Za to, gdyśmy się na przełęcz dostali, wynagrodzeni zostaliśmy po królewsku za jednostajność, która nam od czasu obiadu aż do téj chwili towarzyszyła.

Siedząc na skrawku skały poniżéj przełęczy! lubowaliśmy się dekoracyami Morskiego Oka, które nam się z bliska w szczegółach przedstawiały. U stóp skrawka rostwierała się przepaść przeszło 2.000 stóp głęboka, na dnie któréj ciemniało Morskie Oko, a właściwie Rybie jezioro (1). Za pomocą lornetki zobaczyliśmy nawet na niém tratwę.

Huknęliśmy kilka razy, strzelaliśmy z rewolweru i rozstawiliśmy się rzędem na przełęczy, aby nas dojrzano z szałasu i wysłano prom ku brzegowi, na który zejść mieliśmy.

Zégarki wskazywały już siódmą, trzeba więc było ruszać, aby zejść przed nocą, w przeciwnym bowiem razie całość naszych członków byłaby bardzo wątpliwą. Posuwaliśmy się na dół najprzód po skrawku, o którym wspomniałem, jakby po skręcie jakiéjś gigantycznéj szruby, lub gzémsie pionowéj ściany. Chodnik ten był wąski i dość ślizki a w niektórych punktach bardzo spadzisty. Z niego zeszliśmy na grań ostrą, najeżoną kolczastemi wyrostkami, na które

---

(1) To co polacy nazywają Morskiém Okiem zowie się u węgrów Rybiem jeziorem, a nazwę Morskiego Oka stosują ci ostatni do t. z. „Czarnego stawu nad Morskiém Okiem.“ Nomenklatury téj używa Staszic w swojem „Ziemiorodztwie Karpat;“ nadto jeżeli głębokość ma dawać prawo do nazwy Morskiego Oka, to więcéj zasługuje na nią „Staw czarny“ niż „Rybie jezioro.“ Z tego powodu należałoby zostawić nazwę Morskiego Oka Czarnemu stawowi, bez względu na to, że leży po za granicą Galicyi, która to okoliczność skłania niektórych do przyswojenia tego poetycznego miana Rybiemu jezioru „abyśmy i my mieli swoje Morskie Oko.“ Jestto tam mniéj stosowném, że granica owa jest tylko polityczną, a Tatry bądź co bądź są polskiemi górami.

trzeba było wchodzić, aby następnie zstępować. Dla większéj „pikantności“ grań ta miała z obydwóch stron przepaści, z prawéj ku Morskiemu Oku (czarnemu stawowi) a z lewéj ku tarasowi kamiennemu. Po przebyciu téj nierównéj grani, zstąpiliśmy na ów taras niezbyt wielki. Sądziłem, że już znajduję się nad Morskiém Okiem, że droga do niego nie potrwa dłużéj jak kwadrans. W téj myśli, zacząłem się dziwić ludziom, którzy zejście z téj strony do Rybiego stawu uważają za „Bravourtour.“ Wprawdzie na powyżéj wspomnianym skrawku trzeba było bardzo pewne kroki stawiać, gdyż w wielu miejscach pochylenie się na lewą stronę groziło niebezpieczeństwem, jednakże któż każe tyryście przechylić się, kiedy można się nie przechylać? Inna rzecz, gdy kamienie usuwają się z pod nogi, gdy z góry na głowę padają, lub gdy droga jest tak wąską i pochyłą, że potrzeba nadzwyczajnych wysileń i sztuk, aby się nie pochylić. Tam zaś tego wszystkiego nie było. Przy zwykłéj ostróżności, pewności nóg i rąk, osoba niedoznająca zawrotu głowy może przejść bardzo bezpiecznie. Naturalnie wyrazu bezpiecznie używam w znaczeniu alpinistowskiém; miejsce jest bezpiecznem wtedy, gdy dobry alpinista może na niém być pewnym siebie; niebezpieczne, gdy nie może być pewnym swego kroku.

Podobnie bezpieczną była też owa ostra grań, dalsza zaś droga wydawała mi się tylko igraszką.

Ale... doktór Chałubiński, który mnie wyprzedzał, usiadł na skale. Wiedząc, że nie ma czasu do stracenia, bo już dobrze się szarzyło, sądziłem, że czyni to dla tego, że jesteśmy bliżéj celu.

— Cóż to? Odpoczynek? zapytałem.

— Ha cóż robić, kiedyśmy zapomnieli drogi.

— Jakto? i górale nie wiedzą?

— I oni zapomnieli; właśnie rozbiegli się szukać.

Spojrzałem z brzegów tarasu. Boki spadały prawie pionowo. Zrozumiałem, iż zejść ztąd można jedynie przez jakieś nierówne żłoby i skrawki, dające nogom punkt oparcia. Takie miejsce wkrótce znaleziono, ale nie można było być pewnym, czy nie zajdziemy za pół godziny lub za godzinę na jakie urwisko, z którego zejść nie podobna. Posłano więc Józka na zwiady.

Siedzieliśmy tymczasem, a zmrok zapadał...

Wkrótce dano nam znać że „puszcza.“ Zaczęliśmy się tedy zsuwać już to po czémś w rodzaju zrujnowanych kominów, już z ogromnych stopni, utworzonych przez głazy. Najczęściéj trzeba było siadać, na skale, ująć się silnie rękoma i po własnym grzbiecie zsuwać się na dół, aby nogami dostać niższéj skały. Czasami długość ciała nie wystarczała i trzeba było zeskakiwać.

Z początku rad byłem wielce z tego sposobu lokomocyi, gdyż pracujące niemal wyłącznie dotychczas nogi były wyręczane przez ręce i grzbiet prawie w połowie swéj pracy. Ale ponieważ granity wcale nie były wysłane aksamitem i ponieważ droga po tych stopniach była bardzo długą, a miejsca, w które się zstępowało często, bardzo niepewne, więc wkrótce z całego serca zapragnąłem co najrychlejszéj sposobności zwalenia całéj pracy na nogi. Wkrótce téż zdarzyła się taka sposobność. Weszliśmy na strome rozsypisko, po którém z przyjemnością kroczyłem jako po czémś miękkiem. Ustępowania z pod nóg gruzu nie lękałem się już, gdyż przyzwyczaiłem się do niego i zanim znaczna się część jego ze mną obsunęła, już przeskoczyłem na inne miejsce. Prędkość przeciw prędkości—to najlepsza metoda. Używałem jéj w téj chwili więcéj z musu niż z zasady, z góry obmyślonéj; albowiem bardzo się ściemniało...

Nie szedłem już, lecz biegłem, dobrze wiedząc co znaczy być zaskoczonym w tém miejscu przez ciemność. Profesor znacznie mnie wyprzedził i kazał rozłożyć na brzegu Morskiego Oka watrę; abyśmy wiedzieli dokąd udać się mamy. Szedłem sam z góralem, który podobnie jak ja piérwszy raz był na téj drodze.

Czasami nie wiedzieliśmy którędy iść. Wtedy Jacek nachylał się i szukał śladów nóg na kamieniach. Na gruzie łatwo je znaleść, gdyż pozostają pewne zagłębienia od wyślizgnięć. Ale na wielkich głazach granitowych....? Czasami zatrzymywałem się i mówiłem.

— Nie, chyba tędy oni nie szli.

— Szli, bo jest perć.

— Jaka perć?

Przecięż raz przeszedłszy po gruncie nie wydeptali perci.

— O! niech patrzą, jest perć!

— Nachyliłem się wtedy i zobaczyłem leciutkie zaczernienie od ziemi startéj z podeszew, gdzieś wyżéj w szczelinach w błocie umaczanych. Czasami nawet i takiego zaczernienia nie mogłem dostrzedz, gdyż ziemia dawno się ze skóry starła, a jednak Jacek utrzymywał, że jest perć—i rzeczywiście dobrze prowadził.

Wkrótce zobaczyłem ogień po prawéj stronie.

Przebiegliśmy następnie szczęśliwie przez ślizką, trawiastą łatę, ciemniejącą na szarém tle piazgów i weszliśmy znowu na kupę wielkich odłamów kamieni. Pochyłość już nie była stromą i za dnia, przy obfitości czasu, można nią było zejść bardzo wygodnie. Ale byłem już zmęczony forsownym marszem, a szarość zmroku coraz bardziéj ciemniała.

Trzeba więc było biedz dalej, dopóki jako tako widziało się cośkolwiek. Skakałem z kamienia na kamień, a raczéj rzucałem się, wprawiwszy nogi w ruch wahadłowy, gdyż skakać według prawideł nie mogłem. Spadałem ze skały na skałę, jakby na sztywnych szczudłach. Wiedziałem, że takie twarde spadanie to na jednę to na drugą nogę uczyni mnie na kilka dni niezdolnym do chodzenia, ale innego wyboru nie miałem. Mięśnie były tak zmęczone, że lekkie skoki stały się niepewnemi.

Po pewnym czasie w kolanach i nad kolanami czułem ból tak dotkliwy, żem zrezygnował się na wszystko i postanowiłem odpocząć.

— Panie, panie, zawołał Jacek, nie można, bo noc.

Ton jego mowy kazał mi się zrzec zamiaru. Biegłem dalej już nie siłą, lecz wolą.

Ciemność zapadła do tego stopnia, że już wcale nie widziałem konturów kamieni. Szarzyły mi się tylko przed oczyma. Rzucałem się na nie, jak machina, pędem nabytym, nie wiedząc czy nie stąpię na pochyłość z któréj się obsunę. Potykałem się, padałem na kolana, ale zawsze tak szczęśliwie, że członki moje pozostały w całości. Kij ostro okuty stanowił dla mnie trzecią nogę, może lepszą w téj chwili od naturalnych. Bez niego, absolutném niepodobieństwem byłoby posuwać się dalej. Zmrok wstąpił w swą ostatnią fazę ołowianéj szarości. Niebo zasnuło się chmurami, ktore noc przyspieszały. Za chwilę ciemność zastąpi ostatnie ślady dnia.

— Już nieprecz, nieprecz (niedaleko) pocieszał mnie Jacek.

Choć zimno było dotkliwe, pot lał się ze mnie strumieniami, płuca wzdymały jak miechy kowalskie, a muskuły pracujące były niemal zdrętwiałe. Wreszcie spostrzegłem przed sobą coś ciemnego, ...trawę. Ucieszyłem się jak żeglarz, który do lądu przybija. Ale to nie był ląd, lecz *mare sargassum*! Upragniona trawa rosła wysoko a wśród niéj leżały kamienie, miary największych brukowców. Były ukryte zapewne nawet przy świetle. Trzeba więc było stawiać nogi na oślep, będąc ciągle przygotowanym na to, że się stopa osunie z otoku, lub wpadnie pomiędzy dwa kamienie. Nie było to chodzenie lub skakanie, lecz wpadanie w coś, w czém się gruntu domyślamy. Biegliśmy jednak śmiało, jakby po asfalcie ....bo innéj rady nie było. Gdyby nie konieczność, uważałbym to za nierozsądną junakieryą i szaleństwo.

Lecz wszystko ma swe granice. Kamienista trawa skończyła się. Jesteśmy u poziomu Czarnego stawu, czyli Morskiego Oka. Jeszcze kawałek drogi po głazach, jeszcze kilka potknięć i upadków, trochę przedzierania się przez kosodrzewinę... i koniec naszych trudów.

Już jesteśmy na wygodnéj ścieżce, która po kilku minutach wyprowadza nas na brzeg wyniesiony, na którym się pali ognisko.

Przyjęto mnie oklaskami i herbatą. Oklask przyjąłem, bo do tego nie potrzeba natężenia muskułów, z herbaty zaś zrezygnowałem, bo trzebaby ją trzymać w ręce. Ja zaś w téj chwili tylko biernym być mogłem.

Położyłem się, chcąc użyć zupełnego odpoczynku, ale profesor nalegał abym się napił herbaty. Napiłem się więc, przemógłszy lenistwo, i natychmiast część sił odzyskałem.

Profesor powinszował mi tego zejścia wśród ciemności, utrzymując, że to jest chef d'oeuvre.

Rzeczywiście były to nie żarty. Nawet i teraz nie może mi się w głowie pomieścić, że w drugim dniu wycieczki, po nocy bezsennéj i po całodziennném zmęczeniu, przebyłem tę drogę w ciemności i przy szalonym prawdziwie pośpiechu, z całemi członkami i maleńkiemi tylko rankami na kolanach oraz starciami na rękach.

— Ale gdyby p. profesor wiedział, rzekłem, co się dzieje z memi nogami?

— Co, rana?

— Ech nie! drobne tylko skaleczenia; ale za to muskuły nóg są tak zbite, jakby je kto drągiem okładał. Zdrętwiały zupełnie.

— To pan abstrahuj od nóg, dodał profesor z uśmiechem.

Wcale mi się wtedy śmiać nie chciało, ale cóż było robić, rzekłem więc.

— Chętniebym poszedł za radą profesora, ale mnie już nogi uprzedziły i abstrahują odemnie, albowiem prawie nie czuję, że są moją własnością.

— Niecnoty! rzekł profesor, chcąc koniecznie myśl moję od nóg oderwać. Napijno się pan herbaty na pocieszenie po ich stracie.

Żartowałem i śmiałem się, ale gdym się zastanowił, że jeszcze pięćset stóp drogi wśród kamieni mamy do Rybiego, gdzie na nas czeka tratwa, że trzeba iść po głazach, po których chodzenie przy świetle wymaga uwagi, zacząłem się śmiać mniéj szczerze.

O téj drodze od Rybiego Jeziora do Morskiego Oka powiada pani Rautenstrauchowa co następuje:

„Jeśli kto chce powziąć o niéj wyobrażenie, niech sobie wystawi trzysta sześciopiętrowych kamieni, jeden na drugim postawionych, w których gdzie niegdzie opadły mur lub jakiś architektoniczny wyskok, zostawia sposobność postawienia połowy stopy, obok przekonania, że za jednym chybionym krokiem, można z samego wierzchołka koziołkiem w Morskiém Oku (Rybiem) się oprzéć."

Gdyby rzeczywiście tak było, to z pewnością zostalibyśmy na nocleg przy Czarnym stawie, ale droga była o tyle łatwiejsza, o ile większą jest trzysta razy wzięta sześciopiętrowa wysokość, od rzeczywistego wzniesienia Czarnego stawu „nad Morskie Oko," t. j. około 500 stóp.

Nie jest jednak, jak powiedziałem, łatwą, szczególniej w nocy, gdyż trzeba stąpać po głazach, usianych po spadzistości, zmuszających do ciągłéj zmiany kierunku drogi.

A noc była ciemna, niebo pochmurne.

— Gdzieś pan zostawił p. W., zapytał mnie nagle profesor, wielce zaniepokojony jego długą nieobecnością.

— O wysoko! Już na téj ostréj grani znacznie się oddaliłem i ostatnio widziałem go schodzącego z grani na taras.

— Pójdę mu naprzeciw.

— Ależ panie profesorze, po nocy? Niech pójdą górale, bo przecież pan nie posiada takiego jak oni wzroku.

— Nie, nie, pójdę, bo może będę potrzebny. I poszedł.

Dość długo czekaliśmy smutni na nieobecnych, wołając ciągle hop! hop!

Wreszcie usłyszeliśmy głos przewodnika p. W. i może w pół godziny pojawił p. W., zmęczony co prawda, ale cały. Podziwialiśmy wszyscy jego siły i energią, bo będąc pierwszy raz na podobnéj wycieczce i do tego po owéj śliwowicy, która działała na niego niemal jak trucizna, przemógł te wszystkie trudności, na które nie każdy doświadczony turysta się odważa.

Wyobrażam sobie co miał za przeprawę, kiedy dla mnie, jeszcze przy jakim takim widoku, przedstawiała ona nadzwyczajne trudności. To pewna, że nie chciałby nigdy w życiu znaléść się w podobnych warunkach.

Należał mu się odpowiedni odpoczynek. Rzucił się więc owinięty pledem na trawę. Ale mu prof. Ch. nie dał spokoju. Kazał mu podawać jednę szklankę herbaty po drugiéj, a p. W. wcale nie odmawiał i wypił tak duszkiem z 6 do 10 szklanek.

Rozmawialiśmy wesoło, chcąc osłodzić p. W. jego nadzwyczajne zmęczenie. Przykładałem się do tego ile mogłem, choć miałem prawo powiedzieć jak Montezuma: i ja nie leżę na różach. Wreszcie prof. Chałubiński, który w ostatnich chwilach rozmowy okazywał jakiś niepokój, zerwał się z trawy i zawołał.

— Panowie już nie podobna dłużéj tu pozostać; trudna rada, ale niepodobna. Za chwilę będzie burza, a mamy jeszcze płynąć na tratwie!

Spojrzałem na profesora, wskazując na leżącego bez sił p. W. Profesor zrozumiał mnie i rzekł: Wiém, ale niepodobna...

Zaledwie to powiedział, a wicher, który i do téj chwili wiał gwałtownie tak się rozszalał, że trudno było utrzymać się na nogach. Rozwścieczony targał drzewa na stoku, spędził chmury, wzburzył wody i splątał wszystko w jeden dziki chaos. Dészcz zaczął padać gęsto i grubemi kroplami.

Obwinęliśmy się szybko w pledy i ruszyliśmy z miejsca ku Rybiemu. Ciemność nie dozwalała widzieć, gdzie się stawia nogę, dészcz uczynił ślizkiemi kamienie, a pledy krępowały ruchy. Bezpieczna ta więc i dość łatwa droga, którą przed dwoma laty przebywałem, stała się dla mnie trudniejszą od najgorszych urwisk. Nogi obute w kamasze z zaokrąglonemi od ostrych skał obcasami, ciągle się obślizgiwały i spadały często pomiędzy dwa kamienie, tak, że cudem tylko nogi nie wykręciłem. Próbowałem iść przy pomocy górala, ale było jeszcze gorzéj. Potykałem się co chwila.

— Ileż wrażeń, ileż wrażeń, odezwał się p. Ludwik. Właśnie téj burzy brakowało!

— Jeszcze teraz brak tylko zwichnięcia, lub złamania nogi, skręcenia karku, lub utonięcia w Rybiém jeziorze, a wspomnienia, szczególniéj w tym ostatnim razie będą zachwycające.

— Jakto? więc panu nie podoba się ten dziki obraz.

— Bardzo mi się będzie podobał w wspomnieniach, a teraz podobałby mi się, pod warunkiem, żebym widział, a przynajmniéj miał nogi zamiast jakichś bolących sztywnych drewien, obutych w wykrzywione kamasze.

Rzeczywiście nóg prawie nie czułem i obawiałem się, żebym któréj nie zwichnął; co chwila wpadałem w jakieś dziury. Wreszcie stanęliśmy nad Rybiem.

— Józek, Józek, Józek! rozległy się wołania z ust wszystkich.

Słychać było tylko szum wiatru i pluskanie fal.

— Józek!

Żadnéj odpowiedzi. Ani tratwy, ani Józka posłanego do pilnowania przewoźników, aby nie odjechali, nie było.

Ha! widać burza ich odegnała i powrócili ku szałasowi.

Pozostała nam więc smutna alternatywa obejścia pieszo brzegu Rybiego ku szałasowi. Droga jest dość równa, lecz usiana a raczéj zawalona kamieniami i gdzieniegdzie pniami. W dzień potrzeba na przejście jéj ze 3 kwadranse.

W nocy, w deszczu, z zdrętwiałemi nieledwie od wysileń nogami z obcasami wykrzywionemi, przeprawa przez nią jest zadaniem trudniejszém, niż wspinanie się po nad przepaściami.

Przebyliśmy tę drogę jakoś szczęśliwie. Ale jak mi się długą wydawała! Zobaczyłem wreszcie po lewéj stronie ziemię; staw się skończył. Sądziłem, żem już przy schronisku.

Ale... trzeba jeszcze było przebyć rzeczkę Białkę, wypływającą z Rybiego. Most jest dość daleko, więc postanowiono przejść przez kładkę.

Był to pień okrągły, zmurszały, ślizki od deszczu jak lód.

Nie było tak ciemno, żeby nie można było odróżnić wysoko położonego okrąglaka po nad wodą nieco odbłyskującą i szumiącą.

Zatrzymałem się na chwilę. Lecz koło mnie przeszedł prof, Chałubiński, wstąpił na kładkę i po kilku zachwianiach się przeszedł ją bez przypadku.

Przeszedłem więc i ja i p. W. szczęśliwie. Za kładką... była druga kładka już nie z pnia gładkiego, lecz ze świérka cienkiego, gałęzistego, w takim stanie w jakim go ścięto.

Dobywamy ostatka sił i zręczności, przedziéramy się po nim jak przez las, obawiając się tylko, aby się nie przechylił.

Wreszcie o radości! jesteśmy już na miejscu. Rój pali z pistoletu, Sabała zaczyna rzempolić, wchodzimy po błocie wśród kosodrzewiny na małe wzgórze i mamy przed sobą schronisko.

Dach i ściany drewniane! Któż zrozumié co to za roskosz? Czekają nas tam sienniki, lub miękkie igły kosodrzewiny. Tam już nie ma ciemności, kamieni ślizkich, deszczu i kładek karkołomnych, tam można używać błogiéj nirwany!

Ach jakimto zaczarowanym pałacem wydawała mi się z bal zbita chałupa!

Okrzyki nasze i muzyka zbudziły towarzystwo śpiące w schronisku, témbardziéj, że górale zaraz puścili się w tany na trzęsącym się jego ganku. Zaczęto pukać w okienice i wołać:

— Prosimy ciszéj, tu ludzie śpią!

Naturalnie uwzględniliśmy to zupełnie uzasadnione wymaganie i zakazaliśmy góralom hałasować.

Zapalono w sionce światło i kilka osób wyszło dla powitania nas.

— A mąż mój? zapytała z drabiny prowadzącéj na poddasze pani G.

— Gdzie pan G.? Gdzie są panowie G. i D., zawołali zaniepokojonym głosem obecni.

Pytania te do nas były skierowane. Nie mogliśmy jednak na nie odpowiedzieć, gdyż nie widzieliśmy ich.

Pani G. spojrzała badawczo po naszych twarzach i nie mogąc z nich nic o swoim mężu wyczytać strwożyła się wielce. Piękne jéj czarne oczy zalśniły się wilgocią, lecz ani cień jęku nie dał się słyszéć z jéj ust, towarzyszka jéj zalała się rzewnemi łzami. To nie szło o jéj męża, więc *mogła* płakać.

Osłupieliśmy wszyscy.

— Na Boga! co to jest, co to znaczy? zawołał profesor,—ja nic nie rozumiém.

— Czy panowie tratwą przypłynęli?

— Nie—tratwy nie było.

— Ach! pewno ją burza roztrzaskała, pewnie utonęli.

Zrozumieliśmy wtedy cały stan rzeczy. P. P. G. i D. udali się tratwą na nasze spotkanie i jészcze nie wrócili.

Zaczęliśmy uspakajać panie, zapewniając, że bałwany nie były wcale zatrważające, że nie zdołałyby tratwy zdruzgotać, że co najwyżéj wiatr odpędził ich w kąt na prawo, skąd przybędą niezadługo, gdyż nawałnica przeszła. Zaręczyliśmy nadto, żeśmy z tamtéj strony widzieli jakiś błysk słaby, jakby zapałki, który był zapewne znakiem danym nam przez pp. D. i G. a który wzięliśmy za światło rozpalone przez juhasa.

Przypuszczania nasze miały pewną zasadę. Zapewnialiśmy więc tak przekonywająco i tak stanowczo, że się panie nieco uspokoiły. Nie chciały jednak pójść na poddasze pomimo przejmującego chłodu, a gdy znaglone niemal przez nas poszły, wróciły za chwilę na ganek.

Wypaliliśmy z pistoletu.

Od strony jeziora żadnéj odpowiedzi. Tylko z wnętrza schroniska huknął ktoś.

— Nie przeszkadzać! My chcemy spać.

— Ależ panowie! tu idzie o danie znaku zaginionym.

Nie dosłyszałem odpowiedzi, ale zdawało mi się, że nie była zbyt grzeczna.

Wypaliliśmy znowu.

I znowu głucho. Tylko świst wiatru mruczenie lekko kołysanych fal i szelest igieł świérkowych.....

Wierciliśmy mrok oczami, i uchem staraliśmy się przedrzéć przez plątaninę dzikich szumów, lecz upłynęła więcéj jak godzina zanim odróżniliśmy jakieś głosy niemartwych potęg.

— To oni! rozległy się okrzyki radości; rzeczywiście po kilkunastu minutach ujrzeliśmy obok siebie zdrowych i całych, tylko nieco zmokłych pp. D. G., których rzeczywiście wiatr zapędził w to miejsce, gdzieśmy widzieli światełko.

Starali się oni przybić do brzegu pod Czarnym stawem, gdzie chcieli czekać na nas,—lecz nie zdołali oprzéć się nawałnicy.

Wszystkie twarze nagle się rozjaśniły, wszyscy winszowali, witali i — naturalnie — towarzystwo śpiące w schronisku znowu zostało wyrwane z słodkiego stanu zasypiania.

Wreszcie zaczęliśmy myśléć o noclegu. Powiedziano nam, że izby na dole są zapełnione, wdrapaliśmy się więc wszyscy po drabinie pod strych, gdzieśmy już znaleźli na podłodze, przygotowaną dla nas bateryą, złożoną z kilkunastu szklanek mleka. Na cztery osoby to dosyć. Ponieważ nie było tam ani stołka, ani łóżka, ani ławki, ani stołu, ani niczego co jego jest, więc siedliśmy na gołych deskach podłogi. Światło dawała nędzna lampka naftowa, oddalona od nas o trzydzieści kroków.

Nic to jednak nie przeszkadzało naszemu apetytowi. Na widok mleka zapomnieliśmy o zmęczeniu i przygodach. Ucztowaliśmy po sybarycku. Aby wyczerpać wszystkie przysmaki, postanowiłem wlać trochę araku do letniego już mleka. W tym celu postawiłem na podłogę ledwie co napoczętą szklankę i wziąłem w rękę leżącą przedemną manierkę z arakiem. I stało się nieszczęście! Szklanka z mlekiém przewróciła się, gdyż stała na sznurku od manierki, za który pociągnąłem podnosząc tę ostatnią do góry. Drogocenny płyn rozlał się po deskach i zaczął spływać na dół przez jedyną, niepokrytą listewką, szparę pomiędzy deską a belką.

— Co to? Co to znowu? odezwały się na dole głosy zaspane.

— A jéj! leje się! Jakże to można coś podobnego....

— Czy deszcz przez dach dziurawy?

— Ale gdzież tam! Coś ciepłego.

Śmiechy sąsiadów i samego poszkodowanego.

Pomyślałem sobie, że panowie ci, tak srodze przezemnie nastraszeni, nie mieli ducha empirycznego. Gdyby zapalili zapałkę, to przekonaliby się, że jest to ciepłe, niewinne mléko.

W każdym razie przepraszam ich niniejszém jak najmocniéj za moję niezręczność, która ostrą filipikę w Dzienniku poznańskim wywołała; ale doprawdy taka ciemność panowała, że niepodobna było dostrzedz cienkiego sznurka, sprawcę mojéj szkody i przestrachu panów z parteru.

Pokrzepiwszy ciało, pomyśleliśmy o spoczynku. Zostałem wydelegowany do postarania się o pościel.

— Na czém będziemy spali? zapytałem dzierżawcy schroniska.

— Albo ja wiém?

— Jakto? czy już nie ma tapczanów?

— Sienników jest dwadzieścia, a już śpi na nich około czterdziestu gości. Nawet własną pościel paniom oddałem.

— To może jest siano, lub kosodrzewina?

— Już zabrane przez państwo z drugiéj strony pod strychem.

— To każ nam pan świeżéj kosodrzewiny narąbać.

— Przecięż teraz mokra po deszczu.

— A, prawda.

— Panowie! rzekłem—z miną tragicznie nastrojoną—nie ma nawet kosodrzewiny, będziemy spać na gołych deskach.

— Wielka mi rzecz, odrzekł p. Chałubiński, ale za to dach mamy nad sobą.

— Prawda! ale co do pościeli to mamy tu jeszcze mniej niż gołą podłogę, bo listwy na szparach wcale się nie uginają pod ciałem.

— Zapewne, ale cóż na to poradzimy.

PP. Chałubińscy mieli ogromne bogactwo pościeli. Coś ze dwie derki, dwie kołdry, jednę ceratę, worki naładowane flaszkami i pudełkami oraz kilka par butów. Było więc czém zastąpić materace i poduszki. Ja podesłałem sobie derkę, wziąłem pod głowę palto, a nakryłem się pledem. P. W. zaś musiał na trochę mniéj wykwintném posłaniu poprzestać. Pod głowę podłożył sobie jakieś zawiniątko, zdaje mi się, że buty obwinięte w surdut, a pod nogi spodnie góralskie, starając się tak trzymać nogi, aby każda z nich leżała na jednéj z widlastych odnóg tego oryginalnego posłania. Naturalnie w nocy zepsuł się ten porządek i nogi leżały między posłaniem i obok posłania, lecz nie na niém.

Ale zmęczenie nie tylko jest przyprawą czarnéj polewki. Sypie ono mak na oczy śpiących. Ach co to był za sen! Tak roskosznego i głębokiego zatopienia się w sferę bezświadomości, jużem od lat kilkunastu nie doświadczał. Tylko dziecko tak śpi. Nie czułem ani listewek pod derką. które mi pozostawiły czerwone pręgi na ciele, ani wiatru, który z pod okapu podwiéwał. Wszyscy podobnie dobrze spali.

V.

Kawa.—Ranek mglisty.—Widok się rozjaśnia.—Kilka słów dopełnienia.—Tajone rozczarowanie.—Żarty.—Toaleta i drabina.—Napisy i utwory poetyczne na ścianach schroniska. Roztoka.—Dr. Chałubiński i zbójnik Janosik.—Nocleg.—Powrót.—Kąpiel w błocie.—Rozprawa o ciepłych kolanach.—Obiad w Poroninie.—Skutki wycieczki.

Obudziłem się o piątej po śnie czterogodzinnym i byłem zupełnie świeży, zdolny do nowych wysileń. Wprawdzie nóg prawie nie czułem; tak były zbite. Wypadałoby dla nich dłużej leżeć, ale czułem tak wielki apetyt, że pomimo dotkliwego bólu nóg za każdém stąpnięciem, przerwałem odpoczynek i zsunąłem się po drabinie na dół, dla zamówienia śniadania. Zastałem kawę już gotową, wypiłem więc szklankę i kazałem kilka szklanek zanieść na górę.

Sądziłem, że przez noc chmury się rozproszą i będę miał piękny widok przy słońcu wschodzącém. Alem się omylił. Gęsta mgła zawisla nad stawem i wypełniła całą przestrzeń pomiędzy górami przelewając się przez ich szczyty. Nic nie było widać. Stałem jednak, gdyż zdawało mi się, że mgła unosi się w górę. Rzeczywiście odskoczyła o kilkanaście czy kilkadziesiąt stóp od wody i powoli widok zupełnie się odsłonił aż do wierzchołków.

Ujrzałem Rybie jezioro, czyli tak zwane pospolicie Morskie Oko w całéj okazałości, choć w zamgloném nieco świetle, które nadawało jeszcze więcéj tajemniczości i grozy obrazowi. Czyż mam opisać ten obraz? Lepiéj na tém wyjdą czytelnicy, jeśli się wyręczę słowami El...y Stożka poety, który umié patrzéć w naturę i wiernie a czarująco ją malować. Uczynię to tém chętniéj, że jego wiersz „Morskie Oko" zbyt mało jest znany w naszym kraju.

Morskie Oko.

I.

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co w koło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro
Odzwierciadlając w łonie głazów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły mchu pokryte korą
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły;
Na niem pogięte, krzywe kosodrzewu karły
Gdzie niegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki wyniesione w chmury
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszczą...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza—tylko w oddali gdzieś potoki pluszczą,
Lub wichry przelatując nad zmartwiałą puszczą
Swym świstem grozę dzikiéj powiększą natury.

II.

Ta myśl twórcza straszliwą pięknością wykwita
Pięknością niezmierzonéj potęgi i siły,
Co gromami na skalach rozdartych wyryta,
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiéj bryły.

Dziki zamęt! Głazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła—rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina;
Poszarpane gór grzbiety, wody co czernieją.
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina....

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje tutaj jak dziecina
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją.

V.

O wielki poemacie natury! Któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wieczystem?
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiazdzistem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafiru przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem.

O wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem
Gdy pijąc wszelkie blaski źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty leci dusza trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

Nie wiém czy mowa poety będzie dla każdego tyle zrozumiałą, ile dla tych, którzy sami byli pod wpływem tego „wielkiego poematu natury“, w którym „myśl twórcza straszliwą pięknością wykwita;“ dla mnie jednak jest ona obrazem saméj natury.

Ze swéj strony dodam tylko słów kilka o położeniu, nazwie i kolorze wody tego czarującego jeziora. Podobnie Rybie, jak i położony od niego na południe wschód, o 500 stóp wyżéj „Czarny staw,“ umieszczone są na dnie gigantycznych lejków skalistych, wystających nad powierzchnią wody na 2.000—3.000 stóp. Z jednéj tylko strony, w Rybiem od północnéj a w Czarnym od zachodu, wycięte są w ścianach tych lejków wyłomy, które dają dostęp do brzegu wód. Zwierciadło wód Rybiego rozciąga się na 75 morgach 534 st. kwadratowych powierzchni, a pomimo to wydaje się dość małém z powodu mimowolnego porównania z olbrzymiém otoczeniem. Czarny staw jest znacznie mniejszy, ale za to o wiele głębszy od Rybiego. W ogóle głębokość ich nie jest dokładnie zbadana.

Zagłębienia, w których się te wody znajdują nie powstały zapewne w skutek wydrążenia przez wodę. Głębokość i natura otoczenia wskazują, że lejki te są szczelinami utworzonemi w skutek skrzepnięcia skał wybuchowych; woda zaś napełniająca je pochodzi ze śniegów. Dawniéj prawdopodobnie poziomy wód obu jezior daleko wyżéj leżały, gdyż wały w szczerbach powyżéj wspomnianych znajdujące się dowodzą, iż i ze stron obecnie otwartych, stawy były ograniczone kamiennemi ścianami. „To okazują,—powiada Staszic, w Ziemiorództwie Karpat o „Czarnym stawie“—pozostałych skalisk węgły; zwalonéj ściany dotond stojące jeszcze reszty i ogromne z tejże saméj ściany na zachód rozwaliska, które zasypały wielką część Rybiego jeziora i dotond na kilkaset stóp wysoko okrywają strasznemi granitów rumami tę resztę stojącéj ściany.“

Jaki jest powód nadania tym górskim jeziorom nazwy morskich ócz? Tego nikt nie wié. Że łączność ich z morzem, że ukazanie się na „Czarnym stawie“ szczątków rozbitego na Baltyku okrętu, jest bajką, to pojmie każdy, kto wié, iż woda, któréj powierzchnia jest wyniesiona na 5.000 stóp nad poziom morza, nie może miéć z niém łączności, gdyż natychmiast opadłaby o 5.000 stóp niżéj, czyli zrównałaby się z poziomem morza. Nadto woda tych jezior jest słodką. Podobnież baśnią jest przechodzące z ust do ust podanie o straszliwym wirze na środku tych stawów, porywającym w bezdenną toń ludzi płynących na tratwach lub łódkach. Jeśli nie ma wiatru, powierzchnia bywa gładką jak zwierciadło. Bajką jest wreszcie opowieść o ogromnych potworach zwierzęcych, kryjących się w ich głębinach. W Czarnym stawie dotychczas żadnych zwierząt nie dostrzeżono, w Rybiem zaś mieszkają pstrągi i niekiedy łososie.

Zapewne poetycznéj téj nazwie dał początek kolor wody. Jest ona przy brzegu zielonawą, podobną do morskiéj. Daléj jednak staje się granatową i wreszcie czarną jak atrament, jak roztwór tuszu chińskiego.

Nie napotkałem dotychczas żadnego dostatecznego tłómaczenia przyczyny téj barwy. Niektórzy odnoszą ją do jakichś czarnych, na dnie rosnących wodorostów, co jednak nie ma żadnéj podstawy. Prawdopodobniejszém może będzie tłómaczenie następujące, na które mi zwrócił uwagę jeden z moich znajomych. Powietrze zawdzięcza swój błękit pyłkom „słonecznym,“ które zawiéra w wielkiéj obfitości, a które rozpraszają światło. Tyndall utrzymuje, że taka sama jest przyczyna niebieskiego koloru wody. Na wielkich wysokościach, do których się wznoszono balonem, gdzie pyłków już nie ma, niebo wydaje się czarném. Woda stawów tatrzańskich jest zapewne także pozbawiona pyłków. Oglądana w szklaném naczyniu jest przezroczystą jak kryształ i ma smak prawie wody destylowanéj. Więc może jest czarną na głębiach dla téj saméj przyczyny co powietrze w znacznych wysokościach? Tyndall utrzymuje, że woda najczystsza, otrzymana z stopionego lodu, bardzo słabo niebieszczy promień światła; woda zaś czarnych stawów pochodzi ze stopnienia śniegów, utworzonych w wysokościach, gdzie ilość pyłków jest nadzwyczaj małą.

Słówko jeszcze o wrażeniach.

Nie sądźcie czytelnicy, że zjednoczenie najsprzeczniejszych z sobą pojęć jak ,,straszliwa piękność“ ,,wspaniała martwota“ itd., używane do określenia charakteru wnętrza Tatr, jest poetyczną przesadą. Bynajmniéj. Każdy z widzów doznaje wrażenia, którego inaczéj oddać niepodobna. Deotyma, która w r. 1860 zwiedziła Morskie Oko, maluje je podobnemi zupełnie słowami. ,,Morskie Oko, powiada, jest zbiorowiskiem najzaciętszych sprzeczności.... Morskie Oko to akkord fałszywy, jeden z tych akkordów, jakich tylko wielcy mistrzowie umieją używać; akkordy takie są nieodzowne w ogólnéj harmonii natury, z którą się grzmiąco zlewają, lecz słyszane osobno, nietylko niepokoją, ale niecierpliwią... Podróżnik, stojąc nad Morskiém Okiem, co chwila zapomina się i woła: „Jakież to piękne!“ Ledwie wyrzekł, poprawia się i mówi: ,,Może nie tyle piękne, ile dziwne.“

Deotyma uchwyciła tu jeden z najciekawszych momentów ogólnego wrażenia. Tak—pierwszém wrażeniem jakiego bezwarunkowo każdy doznaje na widok Morskiego Oka jest zdziwienie—nie podziw, poprostu zdziwienie, że się nie to widzi, czego się oczekiwało. Sława Morskiego Oka rozstrzeliła się wokół dalecko, nie ma czło-

wieka, któryby o niém nic słyszał. Nasłuchaliśmy się tyle o jego piękności, że spodziewamy się zobaczyć coś odpowiadającego wszelkim prawidłom sztuki. Tymczasem najprzód rzuca nam się w oczy dzikość, nagość, ostrość kształtów i stosunków, dysharmonia, wywoływająca nieukontentowanie, rozczarowanie. Deotyma powiada, że na zapytanie górali o piękność Morskiego Oka odpowiadała: „wszystkiemi wykrzyknikami uniesienia, ale w głębi duszy nie byliśmy pewni, czy wszystkie płyną z przekonania.“ Rozczarowanie to u większości podróżników utrwala się w umyśle, staje się wrażeniem dominującém, i dla tego téż wielu myśli sobie w duchu. choć mało kto z tém się zdradza, że widok Morskiego Oka nie opłaca trudów dostania się do niego. Naturalnie ważną rolę gra tu samo znużenie ale téż tkwi przyczyna i w samym widoku. I nic dziwnego. Natura tak jak nauka nie jest przedajną niewiastą, która pierwszemu lepszemu przechodniowi rzuca się w objęcia. Trzeba umiéć zasłużyć na jéj względy, trzeba umiéć na nią patrzéć z miłością i oddać się jéj całkowicie. Wtedy dopiéro przemawia. Wielkie widoki natury nie mają zwykle wydobytego na wierzch gwałtem planu pierwszego przy którym wszystko blaknie jako podrzędne. Tam wszystko jest na pierwszym planie, a jest tak wielkiém, że ani oko, ani wyobraźnia twoja mu nie podoła. Gdziekolwiek spojrzysz, zobaczysz tylko szczegół, a każdy z nich, czy nim będzie woda, czy grupa drzew, czy naga skała, nie przedstawia nic nadzwyczajnego. Jeśli się jednak weń wpatrzysz, jeśli zbadasz szczegóły, to indukcyą podobną zbierzesz w wyobraźni pojedyncze szkice, które ci pozwolą potém ogarnąć całość w jednéj chwili. „Unii“ Matejki lub „Pochodni Nerona“ Siemiradzkiego także nie obejmiesz jednym rzutem oka, a człowiek ograniczony powié, że widok ich nie wart kosztów biletu. Tak! widoki natury, podobnie jak i wielkie dzieła mistrzów, trzeba zbadać aby pojąć całą ich piękność.

Mało kto wié o tém, więc téż natura, tak jak i nauka i sztuka, mało ma kochanków, bo każdy chce łatwych sukcesów, bo nie każdy jest ich godzien. Stąd owo wspomniane wyżéj rozczarowanie, ogarniające dziewięć dziesiątych tłumu cisnącego się do miejsc słynnych z piękności. Niewielu się z tém wprawdzie wydaje, dla braku odwagi, lub chęci uchodzenia za znawcę. Jednakże pewną jest rzeczą, że u większości na dnie serca ukryte jest nieukontentowanie i żal do tych co je chwalili...

Że trzeba umiéć patrzéć na widoki natury, dowodzi najdobitniéj ta okoliczność, że w pierwszéj chwili nie jesteśmy zdolni ocenić nawet miary przedmiotów i wpadamy pod tym względem w kolosalne błędy. Zdaje nam się np. z brzegu Rybiego, że Morskie Oko leży

nad Rybiem wyżéj o wysokość domu trzypiętrowego, tymczasem ta miara jest ośm lub dziesięć razy mniejsza od rzeczywistéj. „W tém miejscu,“ powiada Staszic, „stojąc na brzegu Rybiego — ogromność wszystkich razem przedmiotów nieustannie oszukuje oko, tak w stosunkach ich oddaleń, jak w mierze wielkości. Wszystko w ogół obejmowane okiem zdaje się bliskie i niewielkie. A przyłożona w szczegółach miara zdumiewa, odkrywając wszędzie nadspodziewaną odległość i wielkość.“ (Ziem. Karp. str. 124).

Podobne myśli błąkały mi się po głowie w zamglonych jeszcze kształtach, gdym stojąc na ganku schroniska toczył wzrok po czarnym zwierciadle, po zielonych zboczach i szarych urwiskach, ubielonych śniegami.

Niedługo mogłem się cieszyć pięknym widokiem i uzupełniać w umyśle szczegóły, przed dwoma laty pierwszy raz widziane. Mgła wzniosła się nad szczyty, zbiła się tam w gęstą chmurę, która deszczem rzęsistym polała i zupełnie widok zakryła.

Podczas téj kilku, czy kilkunastu minutowéj pogody, zaczęły się z okien i drzwi wysuwać głowy i główki, a na szczeblach drabiny pokazały się nogi i nóżki. Wszystko to pomknęło ku wodzie i myło się, jakby stado ptastwa, spoglądając od czasu do czasu na otoczenie czarnéj topieli.

Gdy dészcz zaczął padać, wszyscy uciekli na ganek lub do izb. Poszedłem też i ja pod strych, aby użyć jeszcze trochę wypoczynku. Na poddaszu zastałem pp. Chałubińskich i W. z nadzwyczaj poważnemi i surowemi minami.

— Panie Bronisławie, odezwał się do mnie prof. Chałubiński, miałem o panu dotychczas jak najlepsze pojęcie....

Czytelnik przyzna, że wstęp tego rodzaju zawsze zaniepakaja.

— Cóż się stało, zapytałem?

— Miałem, powiadam jak najlepsze pojęcie. Okazałeś pan dzielność, przezorność, zdolność do oceniania wszelkich przedmiotów i położeń, tymczasem dziś rano....

— Na Boga! cóżem zrobił? nic nie wiém.

— Ależ pan nie przerywaj! Tymczasem dziś rano przekonałem się, że dobre o panu mniemanie, przynajmniéj pod pewnym względem, jest zupełnie niezasłużone.

Uroczyście—urzędowy nastrój z jakim to profesor wypowiedział, a który wcale się z jego usposobieniem nie zgadza, wzbudził we

mnie domysł, że jakiś figiel w tém być musi. Śmiałem się już więc w duchu, ale zachowałem minę poważną.

— Pan profesor przestrasza mnie, rzekłem, niechże wiém, com tak złego popełnił.

— Powiedziałeś pan, że kawa jest „wyższa", tymczasem okazała się niższą wszelkiéj krytyki.

— Tak, taak! dorzucił p. W.

Wybuchnąłem śmiechem, a dwaj moi oskarżyciele, siedzący jak ministrowie tureccy, jeden na worku z butelkami a drugi na pantalonach góralskich, ledwie że zdołali zatrzymać swoje poważne miny.

— Zła dyagnoza — rzekłem, kawa była bezwarunkowo „wyższa," ale jeżeli jeden z sędziów nie ma nigdy apetytu w górach, a drugi otruł się śliwowicą, więc nic dziwnego, że im nie smakowała.

— O nie wykręcaj się pan, nie wykręcaj!

— Zresztą należało abstrahować.

— Daj pan pokój! Już się pan nie wywiniesz, lepiéj jakimś „wyższym" czynem popraw pan zachwianą o sobie opinią.

— Położę się tedy spać!

— Rzeczywiście, byłby to dowód przymiotów turystowskich godnych uznania i zazdrości. Ale wątpię, czy pan zaśniesz. Dobranoc. Tymczasem pójdę „zrobić tualetę."

Wątpliwość była uzasadnioną. Nie mogłem zasnąć. Ponieważ znudziło mnie leżenie na twardéj desce, więc zszedłem znowu na dół, gdzie już zastałem profesora po „tualecie" obserwującego chmury. Był tak gładko wygolony, jakby szedł na bal. Dokonał téj operacyi pomiędzy krzakami kosodrzewiny na kamieniu, przeglądając się chyba w stawie.

— A! rzekłem to już jest nadmiar porządku, energii i elegancyi. Jabym nie mógł tego przewieść na sobie. Przecięż tutaj na dziczyznie wolno się trochę zaniedbać.

— Ależ panie Bronisławie, wszakże tu są damy!

— Tak, ale jeśli damy wstępują tu po drabinie, więc i mnie wolno być nieogolonym.

— Drabina swoją drogą, a golenie swoją.

Nie mogłem nie przyznać racyi téj konkluzyi, ale powiedziałem sobie w duchu, że pomimo to wolę drabinę niż golenie. Profesor zaczął z kimś rozmawiać, a ja poszedłem kształcić swój umysł utworami muzy, oraz uwagami wypisanemi ołówkiem na ścianach schroniska.

Napisy te przedstawiają ogromną rozmaitość tak pod względem kaligraficznym, ortograficznym i stylistycznym, jak i pod względem

formy. Niektóre są westchnieniami zbolałego przeciwnością losu serca, jak np. prosty dwuwiersz z Halki „Szumią jodły i t. d.,“ inne gorzkiemi skargami lub przekleństwami skołatanego ducha wygody, wymierzonemi przeciwko nieprzyjaznym potęgom martwym jak:

„Piekielna droga przez Zawrat: bodaj tego dyabli wzięli, kto ją wynalazł!“

lub żywym:

„Czujemy się w obowiązku złożenia panu Tretterowi (dawniejszemu restauratorowi w Zakopaném) serdecznego podziękowania, za cuchnącą szynkę, którą raczył nas obdarzyć (naturalnie za pieniądze).“ W. K.

Są też wśród napisów rady duchowne:

„Kto chce być tego miejsca zwiedzielnikiem
„Niech będzie Matki Boskiéj Miłośnikiem.“

$^{13}/_{9}$ *1875.*

B. Marsis-Lichen z Wieliczki.

(Dobrze zrobił autor, że się podpisał, bo niktby nie wiedział, że w Wieliczce żyje tak wielki wierszodzielnik).

Wiersz ten wywołał ze strony jakiegoś anonima dopełnienie dla wyznań niechrześciańskich:

„Nie chodź więc tutaj żydzie ni muzułmaninie.
„Boć w uchu dźwięk tych rymów do śmierci nie zginie.

Według mnie dopełnienie to jest niezupełne, gdyż i w umyśle chrześcian wieki nie zatrą téj poezyi.

Nie brak też i rad świeckich, praktyczno-turystycznych:

Młodzieńcy! podejmcież te uciążliwe drogi,
Ale się wybierając, wysmarujcie dobrze nogi (!!!)
Mijajcie Kasprową daléj także Zawrat
Nie zważajcie ni na dészcz, ni na grzmot.

Oprócz tego, są jeszcze wiersze niemieckie, angielskie i węgierskie, które mają zapewne taki sam odcień węgierszczyzny, jak polskie. Pomiędzy temi wierszami i uwagami porozrzucane są nazwiska i daty; wszystkiego zaś tego koronę, niestety cierniową, stanowi filozoficzny napis łaciński

„Nomina stultorum ubique locorum.“

Podczas gdym czytał i notował te godne pamięci napisy, całe prawie towarzystwo, korzystając z ustania deszczu na czas pewien, zabrało się do powrotu. Pozostało tylko nasze małe kółko. Czekaliśmy na lepszą pogodę, żeby odbyć jeszcze jakąś wycieczkę, ale na nieszczęście dészcz wkrótce zaczął padać i lał ze dwie godziny.

Zrezygnowaliśmy więc z wycieczki i postanowiliśmy pójść do Roztoki, aby przenocować tam, jeśli się po południu niebo jako tako nie wyjaśni. W półtoréj godziny byliśmy na miejscu. Ponieważ nie było nadziei, żeby nastała pogoda, więc rozkwaterowaliśmy się na dobre, a profesor posłał do Zakopanego dwóch górali z swéj świty, aby zanieśli depesze do rodziny, oraz obstalowali furkę na jutro.

W schronisku Roztoki przepędziliśmy popołudnie i wieczór tak, jak opryszki za dobrych czasów. Zaledwie przyszli górale, a już zaczęli tańczyć i nie ustawali aż do godziny 11-éj w nocy, czerpiąc zapał w piwie i winie, postawioném przez profesora. Sam stary Tatar tańczył z rzędu przez 4 godziny i wcale się jakoś nie zmęczył. Po zwykłym tańcu góralskim nastąpił więcéj rozmaity orawski. Rej w nim wiedli Jarząbek i Rebel, którzy stając od czasu do czasu przed grającym Sabałą przyśpiewywali dwuwiersze i całe koło prowadzili.

Położyliśmy się na tapczanie w kącie i przypatrywaliśmy się znowu téj prymitywnéj zabawie. Muszę wyznać, że choć nie tańczyliśmy, jednak i nas jakiś dziki szał porwał i my straciliśmy na chwilę z pod siebie cały grunt cywilizacyi.

Górale byli w siódmém niebie. Znakomity przewodnik Maciéj Sieczka, który przybył do Roztoki z sekretarzem Towarzystwa Tatrzańskiego p. Świerzem i przyłączył się do towarzystwa naszych górali, rzekł gdzieś na boku do p. Ludwika:

— Chciałbym coś powiedzieć, ale żeby się pan nie obraził.

— Mówcie Macieju, nie bójcie się!

— Ale bo to widzi pan.... ja chcę w dobréj myśli, ale....

— Ależ przecież wiém, że nic złego nie powiécie.

— Ja chciałem o téj zabawie powiedzieć, co to nam teraz pański tatko wyprawił, że już dawno takiéj nie było.

— Więc czegóżbym się miał obrazić?

— Tak, dodał unosząc się Maciéj, od czasów Janosika nikt takiéj zabawy nie wyprawił; tylko Janosik umiał sprawić takie wesele a drugi pański tatko!

Janosik był to „zbójnik" tatrzański, który żył w zeszłym, jak się zdaje wieku; stał się on postacią legendową.

Pan Ludwik uśmiechnął się, zapewnił Sieczkę, że się nie może gniéwać za to porównanie i opowiedział nam swoją z nim rozmowę. Śmieliśmy się do rozpuku z téj paralelli, która w Tatrach za najzaszczytniejszą uchodzi. Pomimo bowiem znacznego złagodnienia obyczajów „zbójnik" uważany jest u nich jeszcze za bohatéra.

Nazajutrz, po ośmiogodzinnym śnie, bardzo pokrzepiającym, wsiedliśmy na furkę Marcina, ogołoconą z części siana przez konie, samopas chodzące koło schroniska, a więc nie bardzo wygodną.

Musieliśmy nogi przymuszać do jeszcze większéj aniżeli podczas przyjazdu „abstrakcyi.“ Wkrótce zaczął padać dészcz gęsty. Okryliśmy się jakeśmy mogli i zabawiali rozmową. P. W. wprowadził ją na tór naukowy i zeszła mowa na Schleidena, którego zasługi zaczął prof. Ch. wynosić daleko wyżéj, aniżeli to czyni ogół uczonych. Według p. Ch. obecne pokolenie jest niesprawiedliwém względem Schleidena, gdyż go nie zna dostatecznie. Opowiadał nam daléj p. Ch. o swoich studyach uniwersyteckich zagranicą, o stanie Warszawy w owym czasie i t. d. Wszystko to było niezmiernie zajmujące, ale nie mogło całkowicie oderwać naszéj uwagi od konwulsyjnych wstrząśnień i wicia się elastycznego wózka po wyboistéj drodze ku Bukowinie. Układanie jednak nóg i poprawianie siedzeń nie przerywało nam rozmowy, abstrahowaliśmy zupełnie dobrze od otaczających warunków i dopiéro, gdy wózek więcéj się przechylił niż zwykle i znaleźliśmy się w błotnistéj wodzie, rozmowa się urwała.

Wylecieliśmy tak zręcznie, że nikt z nas nie upadł na towarzysza, lecz wszyscy znaleźliśmy się obok siebie w wodzie, szeregiem.

— A co? czy dobra droga przez Bukowinę, zapytał prof. Ch.

— Znakomita! odezwał się p. W., bo przecięż nie można zważać na podobny przypadek, tak częsty na polowaniach.

— Jeszcze jedno wrażenie więcéj! zawołał pan Ludwik, mający błoto w ustach, uszach, na szyi i t. d.

— Prawdziwie „wyższa“ dorzuciłem, uderzając nogą o ziemię dla wytłoczenia wody z butów.

Lecz pomimo dobrego humoru żaden z nas nie chciał już wsiąść na furkę i narazić się na drugą podobną kąpiel. Zresztą niektórzy z nas, a ja pomiędzy nimi, mieliśmy ciało od stóp aż do pasa prawie przemoczone, tak, że odzienie przylegało do skóry; przyjemniéj więc było chodzić niż siedzićć. Jednakże błoto stawało coraz bardziéj grzęskiém, a dészcz gęstszym; gdyśmy więc doszli do lepszéj drogi, wsiedliśmy znowu na opuszczoną przed dwoma, czy trzema kwadransami furkę, aby prędzéj się dostać do domu. Rzeczywiście Marcinek zaciął wypoczęte konie i stosunkowo dość szybko jechaliśmy.

Ale od owego miejsca było jeszcze ze 3 i pół do 4 godzin drogi do Zakopanego. Tymczasem było mokro, chłodno i głodno. Wszystkie zapasy wyczerpaliśmy już w Roztoce, a było już około pierwszéj. Radzi nieradzi musieliśmy się kontentować rozmową, która co prawda była wesołą.

— Czy panowie uważali, jakiego ciepłego koloru było to błoto, w któreśmy wpadli? odezwał się pan W.

Zaczęliśmy się śmiać frenetycznie. Spojrzenie na błoto ze stanowiska ciepłoty koloru, było ekstraktem humoru, tém bardziéj, żeśmy czuli, iż nogi bardzo nam ziębną po téj ciepłobarwnéj kąpieli.

Wszczęła się tedy rozmowa o kolorach ciepłych i zimnych, o tém czy zielony kolor bywa ciepłym, czy taki lub owaki zimnym i t. d., przyczém panowie W. i Chałubińscy rozwinęli wielką erudycyą w przedmiocie malarstwa, o co ich nigdy nie posądzałem, bo specyalności ich dalekie są od téj sfery. Słuchałbym téj rozmowy z przyjemnością, jeślibym nie czuł głodu tak strasznego jak gdybym trzy dni nie jadł. Przytém zziębłem od wilgotnego odzienia. Chcąc zwrócić uwagę towarzystwa na potrzebę postarania się o coś mogącego zobojętnić działanie owego ciepłego błota i głodu, przerwałem rozmowę pp. Chałubińskich i W., zastanawiających się w téj chwili nad jakąś ciepłą zielonością i rzekłem.

— Przepraszam panów! A czy kawa ze śmietanką jest ciepła.

Dwaj panowie zainterpelowani, odpowiedzieli na to śmiechem, przechodzącym wszelkie moje oczekiwanie, a p. Ch. domyśliwszy się co mi podyktowało ten koncept, wydobył resztkę „talarków," którą chował na ostateczny przypadek i ze względu na mój dobry apetyt, dał mi o jeden więcéj niż każdemu, mówiąc.

— To za pańską ciepłą kawę.

Ledwie żeśmy przestali się śmiać z kawy, wspomniał p. Ludwik, że w chwili, kiedy nasz wózek, przewracając się pochylił się o 45 stopni, stało się coś, czego... już nie pamiętam. Ścisłe obliczenie dokonane w krytycznéj chwili przechylania się, kiedy nam jezioro błota groziło, dowodziło tak wielkiéj przytomności umysłu i tak bystréj obserwacyi, że w dowód ich uznania śmieliśmy się znowu do rozpuku, aż do saméj karczmy w Poroninie, gdzie, nie bacząc na to, że za godzinę będziemy już w Zakopaném, postanowiliśmy oddać ciału naszemu *co cielesnego.* Tam uraczyliśmy się wódką, jajami, chlébem z masłem i mlékiem, próbując wszystkiego na przemian, a na deser dostaliśmy placka z pieprzem, który nam tak smakował, żeśmy aż postanowili zawieść kawałek „paniom" do Zakopanego. Ale panie, jak zwykle panie, lubiące grymasić, nie poznały się na placku, któremuśmy jednogłośnie nadali nazwę „wyższego." (Co prawda, to i nam w Zakopaném nie smakował).

Przybyłem do Zakopanego opalony i odarty jak cygan, z nosem złuszczonym od wiatru, z nogami skostniałemi od zimna współdziałającego z wilgocią przez 5 godzin.

Sądziłem, że odleżę tę wycieczkę. Ale gdzież tam! W Tatrach po największém zmoknięciu następuje co najwyżéj tylko katar, któ-

ry tak się ma do słynnych na cały świat katarów warszawskich, jak góra, na któréj stoi wodociąg w Saskim ogrodzie do Łomnicy. Po dwóch czy trzech godzinach znikł zupełnie i nazajutrz żadnych już śladów zmoknięcia nie czułem. Mówię to dla tych, którzyby chcieli odbywać wycieczki w Tatrach. Niech ich także nie odstrasza to, że wiatr cyganizuje fizyognomią mieszczuchów: skóra prędko lenieje i nowa się tworzy. Szkody więc z podobnych wycieczek wynikające bywają małe i chwilowe, a korzyści dla ciała i umysłu znaczne i długotrwałe. Wraca się z nich jakby po jakiéj odświeżającéj i odmładzającéj kąpieli w niezmąconéj krynicy. Ciało i duch tężeją i nabiérają nowéj energii do pracy i znoszenia przeciwności życia. Więc—„daléj w Tatry w ziemię czarów na strome szczyty gór!"

STOPA PROCENTU.

Studium arytmetyki społecznej.

Dnia 7 Czerwca 1877 r. sądzoną była w sądzie Krakowskim sprawa sama przez się niebudząca żadnego szczególnego interesu, która jednak głośną się stała z powodu pewnego zajmującego epizodu.

Oskarżony, jak się okazało z zeznań jego i świadków, zrobił deficyt w powierzonéj mu kasie i, chcąc go pokryć, musiał zaciągnąć pożyczkę. Udał się z prośbą o tę przysługę do przyjaciela, który z całą gotowością oświadczył, że mu przyjdzie z pomocą, na „skromny," jak się wyraził, procent po 2% miesięcznie. Co do spłaty długu ułożono się w ten sposób, że dłużnik w miesiącach letnich płacić miał po 30 złr. miesięcznie, a w zimowych (od Października do Marca włącznie) po 20 złr., a nadto do każdéj raty dopłacać 10 złr. jako procent miesięczny od całéj pożyczonéj sumy 500 złr. Tym sposobem, ponieważ pożyczka zaciągniętą została w Maju i spłata rat zaczynała się od Czerwca, dług cały miał być spłaconym w 20 ratach (10 po 30 i 10 po 20 złr.) a jako procent wierzyciel miał otrzymać 200 złr.

Oczéwistą było jednakże rzeczą, że procent ten nie wynosił 2% miesięcznie, lecz więcéj, ponieważ dłużnik tylko w pierwszym miesiącu winien był 500 złr., a w każdym następnym mniéj o opłaconą ratę. Kilku zatem sędziów przysięgłych z prostéj ciekawości zapragnęło wiedzieć ile ten procent wynosił właściwie, a ponieważ na razie nie było nikogo w sali sądowéj, ktoby to zagadnienie umiał rozwiązać, więc sprawa przeniosła się do dzienników i przez to nabrała rozgłosu.

Rozwiązanie tego zagadnienia nie przedstawia żadnéj trudności. Licząc według znanych arytmetycznych prawideł, trzeba wziąć na uwagę, że dłużnik przez pierwszy miesiąc winien był 500 złr., w drugim miesiącu—470, w trzecim—440, w czwartym—410, daléj w sześciu zimowych miesiącach—380, 360, 340, 320, 300, 280; następnie w sześciu letnich—260, 230, 200, 170, 140, 110; w końcu w czterech ostatnich—80, 60, 40 i 20 złr. dodawszy te wszystkie liczby otrzymamy sumę 5.110 złr., z któréj dłużnik korzystał przez jeden miesiąc i zapłacił za to 200 złr. procentu, płacił zatem 3,91 od sta miesięcznie, czyli 46,97% rocznie.

Tak powiada arytmetyka, a gdzie arytmetyka przemówiła zwyczajem jest schylać głowę i kłaść punkt. Tymczasem jednak nastręczają się tu dwie uwagi. Najprzód, że wierzyciel pod pozorem 2% miesięcznie brał procent zupełnie inny, a zatém brał *procent fałszywy*, a powtóre, że... z przeproszeniem wszystkich profesorów arytmetyki, powyższe obliczenie właściwéj wysokości tego procentu jest mylne. Z jednéj strony mamy zatem *fałszowanie stopy procentowéj*, z drugiéj *niedokładności powszechnie używanych sposobów obliczenia procentu*.

Że obie te rzeczy są złem, zbytecznem byłoby dowodzić. Jeżeli na zasadzie teoryi procentu wierzyciel ma możność pod pozorem procentu mniejszego brać procent większy, to bardzo łatwo zdarzyć się może, że dłużnik, mniemając iż zaciągnął pożyczkę na procent tani, zaciągnie ją na lichwę, na którąby się nie zgodził, gdyby wiedział, jaka jest rzeczywista wysokość proponowanego mu procentu. Z drugiéj strony, jeżeli używane powszechnie sposoby obliczania procentu są błędne pod jakimkolwiek względem, to należy koniecznie ten błąd sprostować, ażeby w niektórych razach nie dać powodu do straty któréjkolwiek z dwóch stron zawierających układ o pożyczkę.

Rozwiązanie tych dwóch zagadnień będzie przedmiotem niniejszéj pracy naszéj, nim jednak do niéj przystąpimy, winniśmy najprzód udowodnić to, co się może czytelnikom wydać zuchwałém z naszéj strony twierdzeniem, a mianowicie, że w powyższym przykładzie procent rzeczywisty nie wynosił 3,914% miesięcznie, czyli 46,967% rocznie, pomimo iż tak twierdzi arytmetyka.

Gdyby procent pobierany przez wierzyciela w powyższym przykładzie wynosił rzeczywiście 3,914% miesięcznie, w takim razie ten, ktoby pożyczał 500 złr. na 3,914% miesięcznie i spłacał następnie tę kwotę ratami miesięcznemi tak, żeby pierwsze cztery raty wynosiły po 40 złr. następne sześć po 30, dalsze sześć znów po 40 a ostatnie cztery po 30, powinienby swój cały dług spłacić w tych 20 ratach co do grosza, tymczasem kto zechce wziąć kredkę w rękę

przekona się, że go nie spłaci i po zapłaceniu ostatniéj dwudziestéj raty pozostanie jeszcze winien 36 złr. 62 centy, w dwudziestu zatem ratach spłaci tylko 463 złr. 38 c. długu i zapłaci 236 złr. 62 c. procentu. Że tak jest niezawodnie, przekonywa następująca tabliczka z całą dokładnością obrachowana:

Miesiąc	Rata Złr.	Dług w początku miesiąca	Procent miesięcznie	Upłata kapitału	Dług z końcem miesiąca
1	40	500,00	19,57	20,43	479,57
2	40	479,57	18,77	21,23	458,34
3	40	458,34	17,94	22,06	436,28
4	40	436,28	17,08	22,92	413,36
5	30	413,36	16,18	13,82	399,54
6	30	399,54	15,64	14,36	385,18
7	30	385,18	15,08	14,92	370,26
8	30	370,26	14,49	15,51	354,75
9	30	354,75	13,88	16,12	338,63
10	30	338,63	13,25	16,75	321,88
11	40	321,88	12,60	27,40	294,48
12	40	294,48	11,53	28,47	266,01
13	40	266,01	10,41	29,59	236,42
14	40	236,42	9,25	30,75	205,67
15	40	205,67	8,05	31,95	173,72
16	40	173,72	6,80	33,20	140,52
17	30	140,52	5,50	24,50	116,02
18	30	116,02	4,54	25,46	90,56
19	30	90,56	3,55	26,45	64,11
20	30	64,11	2,51	27,49	36,62
Suma .	700	— —	236,62	463,38	— —

Okazuje się zatém, że procent 3,914% miesięcznie nie jest bynajmniéj równy procentowi pobiéranemu przez wierzyciela w naszym przykładzie, lecz jest to jakiś procent fikcyjny, a ponieważ dłużnik przy téj stopie procentu płaciłby większe odsetki niż było umówione, więc procent rzeczywiście równy pobiéranemu przez wierzyciela musi być mniejszym. Procent ten wynosi tylko 3,52% mie-

sięcznie, czyli 42,24% rocznie (1), i ktoby sobie chciał zadać pracę ułożenia na podstawie tego procentu tabliczki podobnéj do powyższéj, przekonałby się, że przy téj stopie procentu dłużnik w 20 ratach zupełnie wypłaci się z długu, nie płacąc ani grosza więcéj odsetków jak się umówił.

Przekonywamy się zatém, że sposób obliczania używany powszechnie w takim razie jest niedokładny i mylny, czyli że ów tak powszechnie znany dział arytmetyki, który nazywamy regułą procentów, potrzebuje pod pewnym względem sprostowania i uzupełnienia, jakkolwiek może nam się wydawać dziwném i niepodobném do wiary, żeby jeszcze w elementarnéj arytmetyce coś do sprostowania być mogło.

Z tém przekonaniem dopiéro możemy do naszéj pracy przystąpić.

I.

W każdym cywilizowanym kraju dla każdego przedmiotu, który może być przedmiotem handlu, a nie daje się sprzedawać na sztuki tylko na ilość, istnieje pewna miara, lub waga prawna, zastosowana do jego natury, mająca ściśle oznaczoną wielkość, i innych miar, pod karami prawem ustanowionemi używać nikomu nie wolno. Gdyby kto za litr, metr, kilogram, hektar, za czetwert', albo korzec, za funt lub kwartę użył innéj miary, uważanym jest za oszusta.

Ale nie ma reguły bez wyjątku, jest towar, dla którego dotychczas w żadnym kraju miara prawna nie istnieje, a towarem tym jest *używalność pieniędzy.* Jeżeli ktoś pożycza drugiemu pewien kapitał, to mu sprzedaje używalność tego kapitału na czas pewien, za wynagrodzenie zależne od wielkości kapitału i od długotrwałości pożyczki. Z natury rzeczy potrzebną tu jest zatém pewna miara, któraby jednocześnie i wielkość kapitału i czas trwania pożyczki wymierzyć można, tak jak stopą kwadratową mierzy się jednocześnie długość i szerokość przedmiotu. Do wymierzania kapitału pożyczonego używać zatém trzeba pewnéj jednostki kapitału, pożyczonéj na pewien czas. Pospolicie za taką jednostkę uważa się kapitał 100, wypożyczony na pewną jednostkę czasu, np. na rok, kwartał, miesiąc, tydzień a nawet dzień. Dokładna miara téj jednostki nie jest

(1) Okaże się w dalszym ciągu, że procent 3,52% pobiérany miesięcznie jest właściwie równym procentowi 51,46% pobiéranemu rocznie, tyle zatém istotnie brał ów przyjaciel. *(Przyp. aut.)*

jednakże nigdzie prawnie oznaczoną, nigdzie nie istnieje przepis, stanowiący np., że wszelkie umowy o procent zawierane być mogą tylko na procent obliczony od kapitału 100 (rubli, franków, złotych itp.) rocznie, płatny z dołu, to jest po upływie roku. Brak takiego przepisu pociąga jednak za sobą skutek, który przy pożyczkach na niskie procenta jest prawie niedostrzeżony, a przynajmniéj nieuciążliwy, ale przy wysokich procentach staje się szkodliwym, a częstokroć fatalnym. Skutkiem tym jest branie za jedno procentów, które są w rzeczywistości rozmaite.

Jeżeli np. ktoś pożycza dłużnikowi kapitał 100, aby po upływie roku odebrać 110, to się mówi, że pożyczył na 10%. Tymczasem ktoś inny pożyczył niby 100, ale dał tylko 90, aby za rok odebrać 100, i to się nazywa także, że pożyczył na 10%, tylko procent potrącił z góry. Napozór zatem procent jest ten sam, a w rzeczywistości jest w drugim przykładzie znacznie większy. Arytmetyka jest tak łaskawa, że zwraca uwagę na ten rodzaj fałszowania stopy procentowéj i powiada, że w drugim wypadku, to jest przy potrącaniu procentu z góry, nie jest już procent 10%, ale 10 od 90, czyli $11\,^1/_9$%, zobaczymy jednak zaraz, że arytmetyka nie zawsze jest tak uważną.

Weźmy inny przykład. Dwaj dłużnicy winni są po 1000 rubli, obaj płacą po 120 rsr. procentu rocznie, ale jeden płaci procent co rok z dołu, a drugi opłaca po 10 rsr. co miesiąc także z dołu. Arytmetyka powiada tutaj, że obaj płacą 12% rocznie, a tymczasem ten, który płaci procent miesięcznie, płaci oczéwiście więcéj niż drugi, bo się pozbawia używalności każdych zapłaconych 10 rsr. przez resztę roku, kiedy drugi może całych 120 rsr. przeznaczonych na opłatę procentu przez cały rok używać i ciągnąć z nich korzyści. Pierwszy więc płaci więcéj, a drugi mniéj jeżeli procent drugiego jest 12% rocznie, to procent pierwszego jest $12 + X$ %. Jakiém jest to X?... Arytmetyka nam tego powiedziéć nie ma ochoty. Gdybyśmy powiedzieli, że procent 1% miesięcznie równa się procentowi 12,6825% rocznie, zaprotestowałaby zaraz, że mówimy o procencie składanym, a tu jest mowa o procencie prostym... Zobaczymy w dalszym ciągu na czém tu protestacya jest oparta i ile sobie z niéj robić należy.

W powyższym przykładzie różnica procentów jest niewielka, przekonamy się jednak zaraz, że może się ona stać ogromną, jeżeli zamiast stopy umiarkowanéj 1% miesięcznie weźmiemy lichwiarską 10% na miesiąc. Płacić 120% rocznie, to znaczy wziąć dziś 100 a za rok oddać 220, ale co innego jest zupełnie za wzięte 100 oddawać po upływie każdego miesiąca 10. Ten drugi procent wynosi właściwie nie 120 ale 213,84% rocznie. Rzeczą jest jasną, że nieje-

den, co zaciąga pożyczkę na 10% miesięcznie, sądząc że to czyni 120% na rok, zawahałby się i może cofnął, gdyby mu powiedziano jaka jest rzeczywista wysokość tego procentu.

Weźmy teraz jeszcze jeden przykład fałszowania stopy procentowéj, przykład nieidealny, ale wyjęty z rzeczywistości, przykład, który najlepiéj okaże fatalne skutki braku prawnéj, normalnéj jednostki do mierzenia procentów.

Banki włościańskie w Galicyi pożyczają niby to na 12% rocznie. Jest to procent w stosunkach galicyjskich umiarkowany i włościanie tłumami się garną do tych banków, uważając je za dobrodziejstwo.

Przypatrzmy się jednakże bliżéj temu procentowi 12%, a zrozumimy dlaczego te instytucye tysiące już gospodarstw włościańskich sprzedały przez licytacyą, a właścicieli doprowadziły do ruiny i nędzy.

Włościanin pożycza 300 złr., bank włościański przyjmuje od niego oblig notarjalny na tę sumę, ale wypłaca mu tylko 246 złr., a 54 złr. potrąca z góry jako procent za 18 miesięcy, i dłużnik obowiązanym jest spłacić dług w 18 ratach miesięcznych po $16^2/_3$ złr. I to ma być procent 12%!! Gdyby to był rzeczywiście procent 1% miesięcznie, to dłużnik spłaciłby dług w 16 ratach, dopłacając do ostatniéj 81 centów, a już wtedy, jak widzieliśmy powyżéj, procent ten byłby wyższym niż 12 od sta rocznie. Tu jednak jest już prawdziwa lichwa. Gdyby dłużnik pożyczył 246 złr. na procent 2,173 miesięcznie, toby dług spłacił w 18 ratach miesięcznych po 16 złr. $66^2/_3$ c., zatém banki włościańskie w Galicyi pod pozorem 1% miesięcznie, biorą na miesiąc przeszło 2%, a że ten procent płatny jest ratami miesięcznemi, więc czyni na rok nie 26%, jakby z pomnożenia go przez 12 wypadło, ale blisko $29^1/_2$%. Dodajmy do tego koszta pożyczki, to jest wydatek na kilkorazową bytność w mieście, na pisanie podania o pożyczkę, na traktament a częstokroć wynagrodzenie dla poręczyciela, na akt notarjalny, które to wydatki dłużnik ponosić musi, a przekonamy się, że pieniądze pożyczone w banku włościańskim w Galicyi kosztują dłużnika 35 do 40% rocznie. Cóż dziwnego, że takiego procentu dłużnik opłacać nie może, bo mu jego gospodarstwo w najlepszym razie (po potrąceniu kosztów własnéj pracy) nawet 15% nie przynosi, musi się zatém rujnować i musi zostać wywłaszczonym. A dodać należy, że dłużnik ten jest zawsze właścicielem gruntu, że zatém jest go na czém patrzéć, i mógłby może dostać gdzieindziéj pieniędzy na 18, 20 lub 24% rocznie, ale poszedł do banku włościańskiego dlatego, że mu powiedziano, iż tam biorą tylko 1%, to jest tylko 12% rocznie.

Na początku niniejszéj rozprawy przytoczyliśmy, jako przykład, wierzyciela, który pod pozorem 2% miesięcznie, brał przeszło $3\frac{1}{2}$, twierdząc przytém, że czynił dłużnikowi przyjacielską przysługę. Postępowanie tego człowieka zostało potępioném powszechnie, wywołało oburzenie publiczne. A tymczasem był on sumienniejszy od banków włościańskich w Galicyi, bo się przyznawał więcéj niż do połowy pobiéranego procentu, gdy banki włościańskie pod pozorem 1% miesięcznie biorą przeszło $2\frac{1}{6}$%, więc się przyznają nie do całéj połowy pobiéranego procentu i uważają się za instytucyą filantropijną, za dobroczyńców ludu!

Świéżo w Galicyi obowiązywać zaczęła ustawa, mająca na celu położyć tamę nadużyciom lichwiarzy, bez ograniczenia stopy procentowéj. Na mocy téj ustawy, jeżeli wierzyciel wié, że umówiony procent musi pociągnąć za sobą ruinę dłużnika, to podpada karze, a nadto sędzia może według własnego uznania zredukować umówiony procent. Otóż, wykazawszy na cyfrach jaki procent biorą banki włościańskie, nie wahamy się wypowiedzićć, że instytucye te powinny być podciągnięte pod tę ustawę, niepodobna bowiem posądzać ludzi, którzy niemi zawiadują o taką nieświadomość, żeby nie wiedzieli, iż tego rodzaju procent musi zrujnować włościanina, a gdyby nawet o tém z początku nie wiedzieli, to już tysiące przykładów wywłaszczeń, dokonanych przez kierowane przez nich instytucye, musiały ich w tym względzie oświécić.

Jest to jednak tylko okolicznościowa uwaga. Zadaniem niniejszego pisma jest wykazać potrzebę ustanowienia prawnéj miary do mierzenia procentów, celem zapobieżenia fałszowaniom stopy procentowéj, to jest pobiérania większego procentu, gdy nominalnie umówionym był mniejszy. Postaramy się wykazać, że żądanie nasze, nie zmierzając zupełnie do ograniczenia stopy procentowéj, stanie się jednak tamą, do pewnego stopnia skuteczną, przeciwko nadużyciom lichwiarskim.

Co do ograniczenia stopy procentu, jesteśmy mu ze względów ekonomicznych zupełnie przeciwni. Cenę używalności piéniędzy, tak jak cenę wszelkiego towaru, ustanawiać tylko może stosunek zaofiarowania do zażądania, a nie przepis prawny. Przepis taki naruszyć tylko może ten stosunek, a zwłaszcza też przepis wydany raz na zawsze, zawarty w ustawie, dla wszystkich części kraju, przez długi czas i we wszelkich okolicznościach niezmienny. Okażemy to na przykładzie bardzo prostym. Na jarmark przywieziono sto par butów, i na ten jarmark przyszło stu pięćdziesięciu ludzi, którzy butów potrzebują. Oczéwiście, że wszyscy dostać ich nie mogą, ale jest pomiędzy nimi 50 takich, którzy wolą chodzić boso niż zapłacić za bu-

ty więcéj niż 3 ruble, 50 takich, którzy gotowi są zapłacić i 4 ruble, ale nie wyżéj, a 50 takich, którzyby dali więcéj nawet niż 4 ruble. Któż w takim razie kupi buty, a kto bez nich wróci do domu? Ci naturalnie, którzy gotowi dać więcéj i cena butów będzie 4 rs. Przypuśćmy teraz, że cena butów jest ograniczoną i że więcéj nad 3 ruble brać za nie nie wolno. W takim razie, kupią je ci, którzy przyjdą wcześniéj, a że na jarmark wszyscy prawie przybywają jednocześnie, więc buty dostaną się chyba mocniejszym. Tak samo, jak z butami, jest z pieniędzmi. Przy ograniczonéj stopie procentu częstokroć ten, którybу mógł dać większy procent i jeszcze na tém zyskać, albo też ochronić się od znacznéj straty, dostać ich nie może i na mniemaném dobrodziejstwie prawa ponosi najcięższą szkodę.

II.

Przypuśćmy, że w jakimkolwiek kraju uznaną została potrzeba zaprowadzenia miary prawnéj dla procentów, i przypatrzmy się w jaki sposób zmieniłyby się stosunki w tym kraju po wydaniu odpowiedniéj ustawy.

Dajmy na to, że ustawa, o któréj mówimy, zawiéra następne postanowienia:

1. Przy wszelkich interesach pieniężnych stopa procentu nie jest ograniczoną.

2. Umowy o procent za czas pewien zawiérane być mogą jedynie na procent *normalny*, to jest obliczony od kapitału 100 lub 1000 i płatny rocznie z dołu. Wszelkie oznaczenie procentu w innéj formie, naprzykład ryczałtowe za pewien przeciąg czasu, dozwoloném jest tylko jako objaśnienie, za jedynie zaś obowiązującą uważa się umowa o procent normalny czyli roczny, płatny z dołu od sta, albo od tysiąca kapitału.

3. Stopa procentu oznaczoną być powinna wyraźnie i zawiérać ma całkowitą liczbę jednostek od sta, lub od tysiąca kapitału, to jest procentów lub promilów.

4. Jeżeli procent nie ma być płatnym rocznie z dołu, lecz potrącanym z góry, albo wypłacanym w innych terminach, w takim razie obliczanym być ma ściśle w stosunku do umówionego stosunku rocznego na podstawie tablic w tym celu wydanych i aprobowanych przez władzę, których przedrukowywanie i rozpowszechnianie każdemu jest dozwolone.

5. Przekroczenie przepisów objętych punktami 2 i 4 podlega karom za przekroczenia ustawy o miarach i wagach ustanowionym, przekroczenie zaś przepisu objętego punktem trzecim nie podlega

żadnéj karze, lecz w razie sporu sądowego ułamki promilów w rozstrzygnięciu sprawy wcale uwzględniane nie będą.

Pierwszym dobroczynnym skutkiem takiéj ustawy byłoby to, że nikt nie mógłby kusić nikogo do zaciągnięcia pożyczki przez przedstawianie procentów w ten sposób, żeby się wydawał jak najmniejszym.

Dzisiaj np. lichwiarz powiada do swéj ofiary: „pożyczam panu na 10 od sta miesięcznie,“ daje pieniądze i procent potrąca z góry. Pożyczający dostając do ręki pieniądze uważa procent jednomiesięczny za bagatelny, bo zdaje mu się, że za miesiąc będzie mógł oddać dług, a czy procent będzie potrąconym z góry, czy płatnym z dołu, w tém dłużnik pospolicie nie widzi wielkiéj różnicy. Tymczasem, gdyby wydaną została projektowana ustawa, lichwiarz mógłby wprawdzie zażądać takiego procentu, lecz musiałby powiedzieć wyraźnie, że pożycza na procent normalny 254 od sta rocznie. Jest w tém różnica ogromna: całe niebezpieczeństwo takiéj pożyczki stanęłoby odrazu przed oczyma dłużnika. Nie wstrzymałoby to wprawdzie lekkomyślnych, bo na tych nie ma lekarstwa, ale otworzyłoby oczy nieświadomym; nie ocaliłoby wszystkich, ale ocaliłoby niejednego, a to już wiele.

Ale na tém nie koniec.

Jesteśmy najmocniéj przekonani, że ustawa taka spowodowałaby nieuchronnie zniżenie lichwiarskich procentów. Przypuśćmy, że spekulantowi, który umieszcza swoje kapitały na procent szalony, ubyłaby w ten sposób tylko czwarta, lub piąta część klienteli, że tylko jednego na czterech lub pięciu dłużników odstraszyłaby wysokość procentu od zaciągnięcia pożyczki, już samo to byłoby dostatecznem, aby go skłonić do zniżenia w pewnym stopniu pobieranego procentu, na mocy téj saméj ekonomicznéj zasady, na którą się już powoływaliśmy, o stosunku ofiarowania do żądania. Gdyby na owym jarmarku na 150 potrzebujących obuwia, było 200 par butów, naturalnie cena ich spadłaby na 3 rsr., a właściciele 50 par, którzy woleliby wziąć towar do domu niż sprzedać go za tę cenę, odjechaliby z towarem. Tak samo stałoby się i z pieniędzmi.

Nietylko jednak zmniejszenie się żądania wpłynęłoby na zmniejszenie wysokości procentów, ale inna jeszcze właściwość projektowanéj przez nas ustawy.

Gdyby procent 10 od sta miesięcznie, potrącany z góry, został uznany prawnie za równy procentowi 254 od sta rocznie płatnemu z dołu, natenczas dłużnik, któryby umówił się płacić miesięcznie z góry, a nie zapłacił aż po roku, musiałby płacić nie 120, jak obecnie, ale 254 od sta, to jest musiałby płacić procent od zaległego

procentu. Obecnie tak się nie dzieje, procent od procentu się nie liczy i uważa się to za dobrodziejstwo dla dłużników.

Ten przesąd w skutkach swoich bardzo fatalny trzeba raz nareszcie obalić.

Niepobiéranie procentu od procentu jest niezaprzeczenie dobrodziejstwem, ale dobrodziejstwem w takim rodzaju, jakiémby nas obdarzyła wspólność majątków i inne mrzonki komunistyczne. Dwaj dłużnicy zobowiązali się płacić jednakowe sumy co miesiąc, ale jeden jest sumienny i płaci, zarabiając w pocie czoła, drugi lekceważy swoje zobowiązanie i odkłada jego spełnienie aż na ten czas, kiedy go zmuszą, lub kiedy będzie miał większy i łatwiejszy zarobek. Dla któregoż z nich dwóch istnieje owo przechwalone dobrodziejstwo? Oto jedynie i wyłącznie dla drugiego. Niechby sobie wreszcie istniało, ale czyim kosztem istnieje? Przekonamy się zaraz, że istnieje kosztem pierwszego. Pracowity płaci tutaj za próżniaka, sumienny za niesumiennego, zupełnie tak samo, jakby było przy komunistycznéj wspólności majątków.

Okażemy to rachunkiem.

Ów lichwiarz, którego wzięliśmy za przykład, pożycza na 10 od sta miesięcznie. Dajmy na to, że rozpożyczył 3000 rsr. Jeden tysiąc miał u dłużników, którzy płacili regularnie co miesiąc po 10%, drugi u takich, od których odbiérał co kwartał po 30%, trzeci u takich, od których dopiéro z końcem roku odebrał 120% i kapitał. Co miesiąc potrzebował wydać na własne potrzeby 100 rs., a resztę co mu pozostała, to jest po 300 rs. z końcem każdego kwartału pożyczał także na taki sam procent, ale dostawała się w ręce takich, którzy dopiéro z końcem roku kapitał i procent spłacili. Obliczywszy przekonamy się, że kapitalista ten prawie podwoił swój kapitał, bo miał z końcem roku 5940 rsr. Gdyby jednak pożyczał nie na 10, ale na 8½% miesięcznie, ale gdyby wszyscy dłużnicy płacili mu procent sumiennie, lub w razie zwłoki byli obowiązani płacić procent od procentu, to osiągnąłby taki sam rezultat, a nawet lepszy, gdyż miałby z końcem roku 5983 rsr. Otóż okazuje się, że dłużnicy sumienni i punktualni musieli płacić o 1½% miesięcznie więcéj. dla tego że niesumienni i niepunktualni używają przywileju niepłacenia procentu od procentu. Przywiléj ten zatém znieść potrzeba, témbardziéj, że i tak dłużnicy, którzy płacą, płacą nietylko za siebie, ale i za niepłacących, procent bowiem pobiérany przez wierzyciela jest wynagrodzeniem nietylko za używalność kapitału, to jest za zysk, jakiby kapitalista mógł mieć gdyby go sam używał, ale także za ryzyko stracenia tego kapitału, lub zwłoki w jego odebraniu.

Tym sposobem z dwóch wyżéj wykazanych względów, procenta lichwiarskie obniżyłyby się znacznie. Jest jednak jeszcze i wzgląd trzeci, a jak zaraz zobaczymy wzgląd niemałéj wagi, przemawiający za naszym wnioskiem.

Wiadomo z ekonomii politycznéj, że konkurencya obniża cenę każdego towaru, a tém samém i kapitału. Konkurencya jednak między lichwiarzami, z powodu braku prawnéj miary procentów, jest tylko pozorną, obliczoną na to, żeby dłużnikowi zdawało się, iż kapitał jest tańszy u jednego niż u drugiego, a nie żeby był tańszy rzeczywiście. Tak postępują w ogóle niesumienni kupcy. Jeden sprzedaje niby taniéj od drugiego, ale daje gorszy gatunek towaru, albo téż miarę ma fałszywą. W ten sam sposób robią lichwiarze. Nie konkurują z sobą o to, kto taniéj pożyczy, ale kto tak ułoży umowę, ażeby procent mniejszym się wydawał. Dlatego nigdy nie mówią o procencie rocznym, ale o miesięcznym, tygodniowym a nawet dziennym, bo w takim razie nominalna cyfra procentu wypada mało. Dlatego chwytają się takich sztuczek, jak ów przyjaciel z wstępnego przykładu, albo jak banki włościańskie w Galicyi. Niektórzy idą jeszcze daléj. Ustanawiają procent rzeczywiście niski, ale zastrzegają bardzo wysokie kary umowne na przypadek niedotrzymania terminu. Otóż ustawa przez nas proponowana położyłaby tamę wszelkim takim wybiegom, a zatém otworzyłaby pole rzeczywistéj konkurencyi pomiędzy kapitalistami.

Ustawa przez nas proponowana zniosłaby wszelkie t. zw. kary umowne, albowiem powiada ona wyraźnie, że nie mają mocy prawnéj wszelkie umowy o wynagrodzenie za użycie kapitału przez czas pewien, które nie są wyrażone lub wyrazić się nie dadzą w formie procentu rocznego płatnego z dołu. Znaczy to, że nie są dozwolone wszelkie umowy, w których procent nie byłby proporcyonalnym tak do wysokości, jak do czasu trwania pożyczki.

Kary umowne są najgorszém nadużyciem, jakie się wkradło do interesów pożyczkowych, a nawet są wyraźnem obejściem istniejących we wszystkich państwach przepisów, jest to bowiem, jak zaraz wykażemy, pod nazwą dozwoloną rzecz wszędzie i powszechnie zakazana, co do saméj swojéj istoty (1).

---

(1) Musimy tu zrobić zastrzeżenie, że uwagi o karze umownéj zawarte w tym artykule odnoszą się tylko wyłącznie do umów o pożyczki pieniężne. W innych razach są wypadki, w których kara umowna ma najzupełniejsze uzasadnienia. Jeżeli np. ktoś umawia się z przedsiębiorcą o dostawę jakiego materyału, lub wykonania jakiéj budowli, w takim razie, jeżeli przedsiębierca ma pozostawiony do woli czas wykonania téj dosta-

Ażeby się komu nie wydała nieuzasadnioną ta wycieczka przeciw karom umownym, usprawiedliwimy ją zaraz.

Wspomnieliśmy już przed chwilą, że procent jest wynagrodzeniem nietylko za używalność kapitału, ale i za ryzyko właściciela. Kto może sam używać kapitału w przedsiębierstwie, lub handlu, i mieć z niego, oprócz wynagrodzenia za swą pracę, 8% zysku, ten z pewnością tego kapitału nie wypożyczy na procent mniejszy, ani nawet na taki sam, lecz wypożyczy tylko w takim razie jeżeli dostanie więcéj niż 8%. Ta przewyżka mieści w sobie jego korzyść, w widoku której przeniósł wypożyczenie kapitału niż pozostawienie go w obrocie własnym, ale część téj przewyżki stanowi także premią asekuracyjną, że się tak wyrazimy, za możebną stratę, lub trudność w odebraniu kapitału. Jeżeli np. na stu dłużników od jednego, średnio licząc, nie można odebrać kapitału ani procentu, a przy odbiorze od dwóch innych potrzeba ponieść koszta i straty wyrównywające połowie pożyczonego im kapitału i należnego od nich procentu, to w takim razie wierzyciel, oprócz procentu jakiby miał sam, gdyby kapitałem obracał, i oprócz pewnego zysku, którego wysokość zależy od stosunku zaofiarowania do żądania, to jest który jest większy, jeżeli kapitały są bardziéj poszukiwane a w razie przeciwnym mniejszy, musi żądać jeszcze, żeby mu 98 wierzycieli zapłaciło kapitał i procent za 100, czyli musi policzyć sobie jako premią asekuracyjną $^1/_{49}$ kapitału, to jest $2^2/_{49}\%$, a nadto jeszcze całkowity procent w stosunku jak 49 do 50 podwyższyć. Kto zatém ma sam ze swoich kapitałów obracając niemi 8% zysku, ten ich nie może pożyczyć, tam gdzie niebezpieczeństwo straty przy odbiorze wynosi $^1/_{50}\%$, taniéj, jak na procent $(8 + 2^2/_{49}) \times {}^{50}/_{49} = 10{,}246\%$ czyli prawie na $10^1/_4$. Jeżeli mu się uda dostać 12%, to zyska na tym interesie około $1^3/_4\%$ (właściwie $1{,}754 \times {}^{49}/_{50} = 1{,}719\%$), gdyby jednak pożyczył tylko na 10%, toby stracił około ćwierci procentu.

Widzimy z tego obliczenia, że wierzyciel, pożyczając na procent, jest wynagrodzony już tym procentem za możebne straty, bądź w skutek zwłoki, bądź w skutek trudności odbioru kapitału po-

---

wy, lub budowy, to może oznaczyć cenę niższą, ale jeżeli zwiąże się umową, że budowla, lub dostawa bezwarunkowo na termin oznaczony skończoną być musi, wówczas z konieczności oznacza cenę taką, którąby pokryć mogła ryzyko strat powstać mogących z opóźnienia zależnego od przyczyn losowych, a skoro bierze wynagrodzenie za to ryzyko, więc do zapłacenia kary umownéj lub do wynagrodzenia szkód obowiązanym być powinien. (*Przypisek Aut.*)

wstać mogące, a skoro jest wynagrodzonym za ryzyko, to nie ma prawa do żadnego osobnego wynagrodzenia na wypadek rzeczywistéj straty, czyli jedném słowem nie ma prawa umawiać się o osobną zapłatę za to, za co zapłaconym już został. Dlatego kara umowna jest nadużyciem i bezprawiem. Pożyczając pieniądze komuś wierzyciel ustanawia na cały czas trwania pożyczki cenę swojego kapitału, w razie więc zwłoki w wypłacie ma prawo, oprócz egzekucyjnego ściągnięcia kapitału, do procentu od wszelkiéj zaległéj kwoty, czy ona jest kapitałem czy procentem, ale do żadnego osobnego wynagrodzenia prawa nie ma.

Powiedzieliśmy powyżéj, że kary umowne są rzeczą we wszelkich prawodawstwach co do istoty swojéj zakazaną, i tylko w skutek obejścia prawa przez nadanie rzeczy zakazanéj dozwolonego nazwiska mogącą się praktykować. Tak jest w istocie. Jeżeli jeszcze nie we wszystkich prawodawstwach zakazane są gry hazardowne, to niezawodnie we wszystkich zakazane są gry oszukańcze, to jest takie, w których jedna strona nie ma takiéj szansy wygrania jak druga, tymczasem kary umowne za uchybienie terminu wypłaty zaciągniętego długu, lub procentu, nie są niczém inném, jak taką grą oszukańczą. Jest to zakład o wypadek losowy, ale gdy wierzyciel może na tym zakładzie zyskać albo nie zyskać, nigdy zaś nie może stracić, dłużnik jest w tém położeniu, że może stracić albo nie stracić, ale nigdy nie może zyskać. Gra zatém jest tu taka sama, jak gdyby dwóch usiadło do kart i jeden brał stawkę przeciwnika, gdy zgadnie czy karta jest czarna czy czerwona, a gdy nie zgadnie miał prawo cofać swoję. Taka gra jako proste oszustwo jest zakazaną, a kary umowne nie są bynajmniéj grą lepszą, lecz gorszą jeszcze, wierzycielowi bowiem może się nastręczyć bardzo wiele sposobności przeszkadzania tajemnie temu, żeby dłużnik na dzień oznaczony był przy pieniądzach, i trzeba bardzo sumiennego człowieka, ażeby z téj sposobności nie korzystał, trudno zaś podejrzywać o skrupulatną sumienność kogoś takiego, który już przez samo położenie warunku kary umownéj złożył dowód, że pragnie korzystać z przypadkowéj i chwilowéj niewypłacalności swego dłużnika. Przy karze umownéj zatém dłużnik nietylko narażonym jest na stratę zastrzeżoną, ale jeszcze na straty poboczne, których wysokość w żadnym razie obliczyć się nie da, zyskać zaś nic nie może, bo w najpomyślniejszym dla siebie wypadku zapłacić zawsze musi to, co pożyczył wraz z umówionym procentem.

W obec takiego stanu rzeczy dziwić się tylko można, że kary umowne przy pożyczkach i w ogóle zobowiązaniach pieniężnych, mogą być jeszcze w jakiémkolwiek prawodawstwie cierpiane.

To, cośmy dotychczas mówili na korzyść proponowanéj przez nas ustawy, odnosiło się przeważnie do pożyczek na wysokie procenta, do pożyczek takich, które są zdzierstwem, albo z niém graniczą. Wykazaliśmy, że proponowana przez nas ustawa wpłynęłaby na zniżenie nadmiernych stóp procentowych przez zmniejszenie żądania pożyczek lichwiarskich, przez zniesienie przywileju nieliczenia procentu od procentu, który to przywiléj wychodzi tylko na korzyść niepunktualnych i niesumiennych dłużników z krzywdą punktualnych i sumiennych, a wreszcie przez otworzenie pola do konkurencyi rzeczywistéj pomiędzy kapitalistami tego rodzaju, zamiast konkurencyi pozornéj. Czyż jednak projektowana ustawa pozostałaby bez żadnego zbawiennego wpływu przy pożyczkach na procent umiarkowany? Bynajmniéj. I tutaj także okazałaby się jéj pożyteczność, w takich mianowicie wypadkach, w których drobny kapitalista, dla którego skromny procent jest jedynym lub jednym z głównych środków utrzymania, musi w obecnych stosunkach pozwalać na to, aby procent ten leżał nieprodukcyjnie dla niego w ręku jego dłużnika, jeśli ten dłużnik ociąga się z wypłatami, gdy tymczasem właściciel kapitału przez tę niepunktualność narażonym jest na przykrości a nawet straty.

Ze wszystkich względów zatém zaprowadzenie projektowanéj przez nas ustawy wydaje nam się pożądaném, témbardziéj, że byłoby to zapełnieniem luki w prawodawstwie, które, ustanawiając miary i wagi prawne dla wszelkiego rodzaju towarów, jedynie dla kapitału, który jest także towarem, miary prawnéj nie ustanowiło.

III.

Oświadczyliśmy się przeciw ustanawianiu maximum stopy procentowéj, nie idzie jednak zatém, żebyśmy nie uznawali potrzeby ustanowienia procentu prawnego, to jest stopy, według któréj ma być wymierzanym procent w takich wypadkach, w których wysokość jego umówioną nie została, a w których jednak policzonym i pobranym być powinien. Taką stopę procentową ustanawia zwykle prawodawstwo na podstawie stosunków, jakie istniały w chwili wydania ustawy, i pozostaje ona niezmienną raz na zawsze, chociaż stosunki mogły się zmienić i kapitał mógł zdrożéć, albo staniéć. Że tak być nie powinno, nie potrzeba jak się zdaje dowodzić. Stopa procentowa prawna powinna być, o ile podobna, stopą procentową średnią, przeciętnie wziętą ceną kapitału w kraju. W takim tylko razie stopa procentowa prawna będzie regulatorem wszystkich stosunków pieniężno-procentowych w kraju: procenta wyższe od prawnego bę-

dą w takim razie uważane za wysokie, procenta niższe za niskie, gdy tymczasem obecnie stopa procentowa prawna jest rodzajem fikcyi, nie liczącéj się ze stosunkami współczesnemi, mającéj podstawę w powietrzu, w prostém widzimisię prawodawcy.

Z drugiéj strony oczywistém jest, że stopa procentowa prawna nie może się zmieniać z każdą chwilą jak kurs giełdy. Wprowadziłoby to zamęt w stosunki, którego koniecznie uniknąć trzeba. Dlatego należy porzucić stopę procentową prawną ustanawianą raz na zawsze i zastąpić ją stopą procentową prawną zmienną, mogącą się jednakże zmieniać tylko w pewnych oznaczonych terminach, naprzykład raz do roku.

Zdaje nam się, że zadanie to dałoby się rozwiązać w dość prosty sposób.

W każdym kraju istnieją instytucye publiczne, albo zostające pod kontrolą publiczną, które przyjmują kapitały na procent i udzielają procentowych pożyczek, a są obowiązane do corocznego przedstawiania z całą ścisłością swego bilansu. Otóż z pomiędzy tych instytucyj należałoby wybrać trzy, albo cztery największe, i obliczyć na jaki one procent średni w ciągu ostatniego roku przyjmowały pieniądze i na jaki procent średni wypożyczały swoje kapitały. Jeżeli się okaże, że instytucye te dawały średnio swoim uczestnikom np. 5,7°/₀ rocznie, a brały od swych dłużników 8,9°/₀ rocznie, w takim razie połowa sumy tych dwóch cyfr czyli 7,3 od sta, albo 73 od tysiąca, ustanowioną być powinna jako stopa procentowa prawna na cały rok następny. Będzie to cyfra w każdym razie bardzo zbliżona do średniéj ceny kapitału w kraju.

Takie obliczenia powtarzane być winny corocznie, biorąc za podstawę bilanse niezawsze tych samych instytucyj lecz instytucyj, które w ostatnim roku największe zrobiły obroty. Ponieważ instytucye takie niezbyt są pochopne do zmieniania stopy procentowéj i czynią to tylko wtedy, gdy stan targu pieniężnego koniecznie tego wymaga, przypuszczalném jest zatém, że stopa procentowa prawna nie zmieniałaby się z każdym rokiem, ale częstokroć przez znaczniejszy przeciąg czasu utrzymywałaby się w jednakowéj wysokości, a w każdym razie wzrost jéj lub spadek byłby nieomylną wskazówką wzrostu lub spadku ceny kapitałów w kraju, wzrostu jéj i spadku stałego, odbywającego się w dłuższych peryodach czasu, a nie téj codziennéj fluktuacyi, któréj barometrem są kursa giełdowe.

Rozumie się, że w krajach większych, złożonych z części różnolitych, z prowincyj mających swoje własne ogniska pieniężnego ruchu, stopa procentowa prawna ustanawianą być by mogła i musiała w ten sposób oddzielnie dla każdéj z takich prowincyj, przez co

stałoby się zadość ich ekonomicznym właściwościom, których choćby nawet ruchoma, ale wspólna dla wszystkich dzielnic państwa stopa procentowa prawna bynajmniéj uwzględniéby nie mogła.

Zaprowadzenie takiéj stopy procentowéj prawnéj zapobiegłoby raz na zawsze niesprawiedliwości, jaka ma miejsce obecnie, gdy ten kto się nie umówił o procent zostaje zmuszonym do płacenia procentu wyższego, lub niższego niż średni, albo téż do poprzestawania na takim procencie, co jest w każdym razie krzywdą wierzyciela, albo dłużnika.

Za sposobem wreszcie ustanawiania stopy procentowéj prawnéj takim, jak tu podaliśmy, przemawia bardzo ta okoliczność, że tak ustanowiona stopa procentowa, jako wynik prostego obliczenia, nie będzie zależną od żadnych postronnych wpływów, takich np. jak dyskusya parlamentarna w krajach konstytucyjnych, które to wpływy uczyniéby ją mogły mniéj dokładnym wyrazem rzeczywistéj ceny kapitału.

IV.

Musimy się teraz rozprawić z główną wniosków naszych oponentką, z arytmetyką, względem któréj zaraz na początku naszéj pracy nieprzyjazne zajęliśmy stanowisko, zwalczając ją jéj własną bronią, to jest cyframi, i wykazując że z jéj obliczeń procentowych wypadają niekiedy fikcye.

Arytmetyka rozróżnia dwa rodzaje procentów: procent prosty i procent składany, uważając je za coś odmiennego zupełnie i tak różnogatunkowego, jak różnogatunkowemi są np. postępy arytmetyczne i geometryczne. I rzeczywiście, według arytmetyki, kapitał oddany na procent prosty np. 6% wzrasta w postępie arytmetycznym 100, 106, 112, 118 i t. d., oddany zaś na procent składany wzrasta w postępie geometrycznym 100, $100 \times 1{,}06$, $100 \times 1{,}06^2$, $100 \times 1{,}06^3$ i t. d. czyli 100, 106, 112,36, 119,1016 i t. d.

Mimo całego uszanowania dla pamięci Pytagoresa i jego tabliczki mnożenia, ośmielamy się twierdzić, że całe to rozróżnienie jest tylko scholastyczną fikcyą, na naturze rzeczy nieopartą. Nie ma bynajmniéj dwóch rodzajów procentu, jest tylko jeden. Jeżeli dłużnik od kapitału 100 zapłacił po roku procentu 6, to na drugi rok pozostał winien tylko 100 i po jego upływie zapłacić winien także 6, ale jeżeli po upływie pierwszego roku nie zapłacił procentu, to na drugi rok pozostał winien 106, i powinien za ten rok, gdy się skończy, zapłacić procent szósty od 106 czyli 6,36. Jestże tu jakakolwiek różnica w obliczeniu procentu? nie ma żadnéj. Różnica jest tylko

w tém, że dłużnik w pierwszym przykładzie zapłacił procent, a w drugim został go winien. Jest to różnica w sposobie wypłaty, a więc w zadaniu, a nie w sposobie obliczenia czyli w rozwiązaniu. Tymczasem arytmetyka bierze dwa zadania różne za jednakowe i powiada, że je rozwiązać można dwojakim sposobem, za pomocą teoryi arytmetycznego i geometrycznego postępu.

Twierdzenie, że kapitał oddany na procent prosty wzrasta w stosunku arytmetycznym jest także czysto fikcyjném. Jakże kapitał może wzrastać, jeżeli procent nie kapitalizuje się, ale się go płaci wierzycielowi? Kapitał tutaj pozostaje zawsze ten sam, bo wierzyciel procent zabiéra.

Ubolewać należy, że fikcya ta przeszła w życie, w praktykę, skutkiem czego dzieje się tak rzeczywiście, że jeżeli dłużnik nie opłaci umówionego procentu przez kilka z rzędu umówionych peryodów, uważa się, że jest dłużnym tylko procent od kapitału pierwotnie wypożyczonego, a procentu od procentu płacić nie jest obowiązany. Tym sposobem w ręku dłużnika, który nie dotrzymał warunków umowy, tworzy się jakiś kapitał uprzywilejowany, który nie jest jego własnością, a którego jednak używać może zadarmo. Jest to niby premia za niepunktualność i niesumienność, a wykazaliśmy już wyżéj, że koszta téj premji ponoszą nie wierzyciele, ale inni dłużnicy punktualni i sumienni.

Z fikcyi téj rodzą się inne fikcye i cała fikcyjna rachunkowość, jak to zaraz na przykładzie okażemy.

Dwaj dłużnicy zaciągnęli jednocześnie pożyczkę w instytucyi kredytowéj, pożyczającéj na 1% miesięcznie. Każdy z nich pożyczył 1200 rsr., ale jeden zobowiązał się spłacić dług w 12 ratach miesięcznych, a mianowicie: sześć pierwszych rat po 150, a sześć następnych po 50 rsr., procent zaś rozłożyć na raty równe i dopłacać w jednakowéj wysokości przy każdéj racie; drugi pozostawił sobie do woli spłacenie długu, zobowiązując się tylko opłacać procent co miesiąc i w każdym miesiącu coś na rachunek długu upłacić, tak żeby z końcem roku dług cały został spłacony. Ponieważ pierwszy dłużnik miał być tym sposobem winien w pierwszym miesiącu 1200 rsr., w drugim 1050, w trzecim 900, w następnych 750, 600, 450, 300, 250, 200, 150, 100, w ostatnim zaś tylko 50 rsr., zatém dług jego wynosił tyle, jakby 6000 rsr. na jeden miesiąc pożyczył, a zatém należało się od niego 60 rsr., procentu, potrzebował zatém dopłacać co miesiąc 5 rsr., czyli w pierwszych sześciu miesiącach płacił po 155 rsr. a w drugich sześciu po 55 rsr. i z końcem roku dług umorzył co do szeląga.

Co do drugiego dłużnika ten miał wolność upłacania w każdym miesiącu tyle ile mu się podoba, byle tylko dług spłacić w ciągu roku, a zatém służyło mu także najniezaprzeczeńsze prawo spłacania go w taki sam sposób jak pierwszy dłużnik. Przynosił zatém co miesiąc do kasy w pierwszych sześciu miesiącach po 155 rsr., w następnych po 55 rsr., opłacał z tych kwot procent za miesiąc ubiegły, resztę zaś składał na upłatę kapitału i był pewnym, że z końcem roku spłacił swój dług całkowicie. Tymczasem okazało się, że po zapłaceniu ostatniéj raty pozostał winien 1 rsr. 60 kop. Jakim sposobem? Przecięż zaciągnął taką samę pożyczkę i na taki sam procent jak pierwszy, przecięż miał wszelkie prawo spłacać ją tak samo, jak pierwszy, i najzupełniéj tak samo spłacał, dlaczegóż od niego inna ma wypadać należność?

Naturalnie przedewszystkiém nasuwa się tu przypuszczenie, że to jest tylko pomyłka w rachunku, zniewoleni więc jesteśmy podać tabliczkę, wykazującą przebieg umorzenia:

Miesiąc	Rata rsr.	Dług w początku mies.	Procent miesięczny	Upłata kapitału	Dług z końcem mies.
1	155	1200,00	12,00	143,00	1057,00
2	155	1057,00	10,57	144,43	912,57
3	155	912,57	9,13	145,87	766,70
4	155	766,70	7,67	147,33	619,37
5	155	619,37	6,19	148,81	470,56
6	155	470,56	4,71	150,29	320,27
7	55	320,27	3,20	51,80	268,47
8	55	268,47	2,68	52,32	216,15
9	55	216,15	2,16	52,84	163,31
10	55	163,31	1,63	53,37	109,94
11	55	109,94	1,10	53,90	56,04
12	55	56,04	0,56	54,44	1,60
Suma	1260	6160,38	61,60	1198,40	— —

Każdy, kto zada sobie pracę przejrzeć ten rachunek, przyzna nam niezawodnie, że nie ma w nim błędu. Z dwóch zatém dłużników, którzy zostawali w najzupełniéj takich samych warunkach, jednemu policzono więcéj, drugiemu mniéj, jednemu powiedziano, że dług jego wynosi tyle jakby 6000 rsr. pożyczył na jeden miesiąc, a drugiemu, że wynosi tyle jakby pożyczył na przeciąg jednego miesiąca 6160,38 rsr. Różnicy istotnéj między przyjętemi przez nich warunkami nie było, była tylko różnica wysłowienia i ta różnica wysłowienia wyraziła się cyfrą. Z odjęcia od siebie dwóch rachunków jednakowych, ale inaczéj opowiedzianych, lubo w obu razach opowiedzianych dokładnie, wypadła jakaś wartość realna; z odjęcia *a* od *a* wypadło *b*, które nie okazało się zerem. Czyż to nie jest przeciwne wszelkim arytmetycznym i w ogóle matematycznym pojęciom?

Za cóż ten drugi dłużnik ma zapłacić owe 1 rsr. 60 kop? Czy jako karę za mniéj zręczne wysłowienie? Ależ my tu nie obliczamy kar za niepoprawność stylistyczną układających warunki pożyczki, tylko procent, a przytém wysłowienie warunków nie było w jednym razie zręczniejsze niż w drugim, było w obu razach dokładne, chociaż odmienne, więc o jakiéjś karze za to, o jakiéjś różnicy cyfrowéj między temi wysłowieniami mowy być nie może. Czy kto powié: jeżeli za 5 łokci sukna płacę 16 rubli, to ile zapłacę za 12 łokci; czy téż powié: jeżeli za 16 rubli dostanę 5 łokci, to za ile rubli dostanę 12 łokci, wypaść powinna w każdym razie jednakowa cena. Tutaj wypada nam odmienna,—czyż jest do tego jakakolwiek zasada?

Więc może drugi dłużnik zapłacił te 1 rsr. 60 kop. za to, że miał wolność spłacania kapitału tak jak mu się podoba, gdy pierwszy był obowiązanym do spłacania go w ratach oznaczonych? Byłby to w takim razie jakiś rodzaj podatku, nałożonego na tych, którym umowa pozostawia większą swobodę. Ale niestety, gdyby był drugi dłużnik nie pozostawiał sobie żadnéj wolności, tylko gdyby się z góry zobowiązał spłacić w pierwszym miesiącu 143 rsr., w drugim—144, 43, w trzecim—145,87 i t. d. jak w powyższéj tabliczce, toby także musiał zapłacić w ciągu roku o ten 1 rsr. 60 kop. więcéj procentu niż zapłacił dłużnik pierwszy.

Żadnym zatém sposobem jedno z tych dwóch obliczeń prawdziwém być nie może, musi być w jednėm jakiś błąd, jakieś fałszywe założenie, pomimo że arytmetyka zarówno oba aprobuje.

Błąd taki znajduje się rzeczywiście w rachunku, zrobionym dla pierwszego dłużnika. Powiedziano tam, że w pierwszym miesiącu był on winien 1200 rsr., w drugim—1050, w trzecim—900 itd. więc winien zapłacić tyle procentu, jak gdyby pożyczył 6000 rsr. na jeden

miesiąc, to jest 60 rsr., i przypuszczono, że będzie to wszystko jedno, jeżeli zamiast płacić w jednym miesiącu 12 rsr., w drugim—10,50, w trzecim—9 itd. zapłaci w każdym miesiącu po 5 rsr. Tymczasem pokazało się, że to nie jest wszystko jedno. Dłużnik ten zapłacił w pierwszym miesiącu o 7 rsr. mniéj niż był powinien i zyskał na tém procent składany od tych 7 rsr. po 1% miesięcznie za jedenaście miesięcy, co czyni kop. 81, przy drugiéj racie zyskał takiż procent za 10 miesięcy od 5½ rsr., czyli kop. 57, przy trzeciéj zyskał procent za 9 mies. od 4 rsr., czyli kop. 37, przy czwartéj—za 8 mies. od 2½ rsr., czyli kop. 21, przy piątéj—za 7 mies. od 1 rsr., czyli kop. 7, ogółem więc zyskał 2 rsr. 3 kop. Przy następnych ratach tracił:

przy	6-éj	proc.	za	6	mies.	od	0.50	rsr.	czyli	3 kop.
„	7-éj	„	„	5	„	„	2.00	„	„	10 „
„	8-éj	„	„	4	„	„	2.50	„	„	10 „
„	9-éj	„	„	3	„	„	3.00	„	„	9 „
„	10-éj	„	„	2	„	„	3.50	„	„	7 „
„	11-éj	„	„	1	„	„	4.00	„	„	4 „

Ogółem zatém stracił przy dalszych ratach 43 kop., co potrąciwszy od 2 rsr. 3 kop. zysku, otrzymamy właśnie tę kwotę 1 rsr. 60 kop., o którą jeden rachunek różni się ód drugiego.

Słusznym zatém jedynie jest rachunek dla drugiego dłużnika zrobiony, a obliczanie procentów sposobem dla pierwszego dłużnika użytym jest oparte na błędzie arytmetycznym, na przyjęciu za równe ilości nierównych. Arytmetyka musi sprostować i uzupełnić swoje twierdzenie, że kto jest winien w jednéj jednostce czasu kwotę a, w drugiéj kwotę b, w dalszych kwoty c, d, e... n, to jest tyle dłużnym, jak gdyby w jednéj jednostce czasu winien był sumę tych wszystkich kwot $a+b+c+d+e....+n$. Twierdzenie to uzupełnione być powinno dodatkiem, że jest ono prawdziwe jedynie w tym razie, gdy procent od kwoty dłużnéj w każdéj jednostce czasu z upływem téj jednostki zapłaconym został.

Ponieważ w powyższym przykładzie różnica procentu wypadła na korzyść wierzyciela, mógłby kto zatém pomyśléć, że projektowana przez nas reforma wypadłaby w ogóle na szkodę dłużnikom a na korzyść wierzycielom. Tak przęcież nie jest. Reforma, którą projektujemy, nie jest jednostronną i tendencyjną. Nie czyni ona ujmy interesom żadnéj strony, reguluje tylko te interesa i tam, gdzie którakolwiek strona brała, lub płaciła zamało, podwyższa kwotę, a gdzie brała lub płaciła zawiele, to ją zmniejsza. Powyższy przykład zatém nie tak byłby rozwiązywany, gdyby obowiązywała projektowana przez nas ustawa. Jeżeli bowiem instytucya bierze od dłużników swoich 12% rocznie, to przy wypłacie miesięcznéj pro-

centu nie miałaby prawa liczyć 1 % na miesiąc, tylko 0,9489% miesięcznie, a w takim razie drugi dłużnik znalazłby się w inném zupełnie położeniu. Zaraz w pierwszym miesiącu, zamiast płacić 12 rsr. procentu, zapłaciłby tylko 11 rsr. 39 kop. a zatém umorzyłby kapitału o 61 kop. więcéj. W dalszych miesiącach wychodziłby naturalnie także korzystnie, w drugim zapłaciłby procentu mniéj o 54 kop., w następnych mniéj o 48, 41, 33, 27, 19, 16 14, 11, 9 i 6 kop., czyli ogółem mniéj o 3 rsr. 39 kop. niż w poprzedniém obliczeniu, i nie potrzebowałby do ostatniéj raty dopłacać 1 rsr. 60 kop., ale jeszcze otrzymałby z niéj résztę 1 rsr. 79 kop.; nie wierzyciel zatém, ale dłużnik wyszedłby lepiéj na projektowanéj przez nas reformie obliczania procentów.

W ogólności projektowana przez nas reforma wychodziłaby zawsze na korzyść dłużników w takich razach, w których procent spłacanym jest w peryodach krótszych od roku, a na korzyść wierzyciela w takich tylko wypadkach, w których procent upłacany jest w terminach dłuższych od roku, albo w których dłużnik opłatę procentu przewleka. Przy coroczném opłacaniu procentu nasz sposób obliczania niczém się nie różni od powszechnie używanego.

Obecnie istnieje niby przywiléj dla dłużników, że procentu od procentu nie płacą, ale istnieje tylko w teoryi, w praktyce obecna norma obliczania procentów jest wyłącznym przywilejem na ciągnienie korzyści dla wierzycieli. Jeżeli bowiem dłużnik opłaca procent częściéj niż co rok, to jest w terminach krótszych, to procent ten nie zostaje w jego kieszeni jako kapitał darmy, ale owszem przechodzi do kieszeni wierzyciela, który go może oddać na procent i tym sposobem stopę procentową sobie powiększyć. Tak naprzykład jeżeli dłużnik płaci co miesiąc 10%, a wierzyciel zaraz odebrany procent według téj saméj stopy rozpożycza, to w ciągu roku może potroić swój kapitał, a dłużnik z mniemanego swego przywileju nie ma żadnego zysku. Korzysta z niego w pewnéj mierze tylko wtedy, gdy mu się uda termin wypłaty procentu zwlec i uchybić warunkom umowy.

Przeciwnie, jeżeliby procent miał być pobiéranym w terminach dłuższych od rocznego, wtedy dłużnik rzeczywiście używałby przez czas jakiś zadarmo pewnéj kwoty należącéj się wierzycielowi. W praktyce jednak wypadki, w których procent byłby pobiéranym w terminach rzadszych od rocznego, są tak rzadkie, że je można uważać za nieistniejące zupełnie, bo z powodu wyjątkowości swojéj nie mogą stanowić żadnéj normy. Można zatém powiedzieć, że z domniemanego przywileju dłużników sumienni i punktualni dłużnicy nie korzystają nigdy, lecz że się on wyłącznie obraca na korzyść wie-

rzycieli. Mogą zatém dłużnicy rozstać się bez żalu, a nawet z zadowoleniem z tym swoim wrzekomym przywilejem.

V.

Wypada nam teraz zastanowić się nad trudnościami, jakie byłyby do zwalczenia przy wprowadzeniu w wykonanie projektowanéj przez nas reformy.

Jedną z najważniejszych przeszkód, a może jedyną przeszkodę stanowiłoby to, że umiejętność obliczania procentu wymagałaby trochę więcéj znajomości arytmetyki, aniżeli obecnie przy obliczaniu tak zwanego procentu prostego, który właściwie nazwaćby należało procentem krzywym, albowiem prawda tylko jest prosta, a to jest procent, jak wykazaliśmy, fałszywy. Jednêm słowem, trzebaby umiéć i to umiéć bardzo dobrze obliczać procent składany, a więc umiéć manipulować z logarytmami i umiéć dać sobie radę w zawikłańszych zadaniach z równaniami wykładniczemi, albo z równaniami stopni wyższych, niekiedy bardzo wysokich, które dadzą się rozwiązywać tylko za pomocą metody kolejnych przybliżeń, czyli tak zwanego macania (tâtonnement).

Procent, który proponujemy jako normalny, jest procentem składanym z kapitalizacyą roczną. Jeżeli zatém dłużnik zaciągnął pożyczkę *c* na procent normalny *r*, a ma wypłacić ten procent nie w ciągu roku, ale po upływie lat *n*, to zapłacić powinien kwotę $c \times \left(\frac{100 + r}{100}\right)^n - c$. Chcąc więc obliczyć kapitał z procentem, trzeba wziąć logorytm liczby 100 + r, zmniejszyć jego cechę o 2, otrzymaną resztę pomnożyć przez liczbę lat *n* (która to liczba może być ułamkową, więc zamiast mnożenia wypadnie wykonać dzielenie), do otrzymanego iloczynu dodać logarytm kapitału pożyczonego i odszukać w tablicach logarytmów liczbę odpowiednią, która wyrażać będzie kapitał wraz z należnym za lat *n* procentem. Odjąwszy od téj liczby pożyczony kapitał, otrzymamy szukany procent.

Jest to rzecz do obliczania w każdym razie nie tak łatwa, jak zwykłe obliczania procentu, można jednak temu zaradzić, jak już wspomnieliśmy przez wydanie tablic przystępnie ułożonych, praktycznych i łatwych w użyciu, tablic, z których użyciem już w niższych szkołach należałoby uczniów obznajmić i oswoić.

Co do zagadnień zawikłańszych, te nie przytrafiają się w życiu potocznêm jednostek, a przynajmniéj przytrafiają się bardzo rzadko. Miałyby z niemi do czynienia tylko domy handlowe, banki

i instytucye kredytowe, posiadające zdolnych buchalterów, dla których rozwiązanie tych zadań nie przedstawiałoby trudności.

Zresztą, ponieważ procent jest miarą, tak samo jak każdą inna miara lub waga, należałoby z procentami postępować tak, jak ze wszystkiemi innemi miarami i wagami. Tak jak każdy ma prawo sprawdzić w urzędzie miarę lub wagę, tak każdy miałby prawo sprawdzić urzędownie procent, jaki obliczony mu został.

Jeżeli w końcu obliczanie procentu według stopy normalnéj przedstawiałoby niejakie trudności i wymagało cokolwiek wyższéj wiedzy od obliczających, to czyż dlatego trzeba cofać się z reformą i pozostawać przy staréj metodzie, któréj ujemne strony i szkodliwość praktyczną zdaje się żeśmy już dość dosadnie wytknęli, żebyśmy tutaj raz jeszcze wskazywać je mieli potrzebę? Cóż w tém złego, że z biegiem czasu podniesie się cokolwiek ogólny poziom matematycznéj wiedzy, i że ludzie zapamiętają to, czego się już i teraz w szkołach uczyli, ale co im następnie wychodziło z pamięci, bo nie służyło do żadnego praktycznego użytku? Czyż straciłoby co na tém społeczeństwo, gdyby się przekonało, że logarytmy nie zostały wynalezione na specyalny użytek astronomów, ale dla pożytku i oszczędzenia czasu wszystkim, użycie zaś ich jest tak łatwe, że kilkonastoletnie dzieci nauczyć się go mogą?

Wiémy, że z największym oporem mają do walczenia wszelkie reformy, dla przyjęcia których trzeba odwyknąć od starych a wygodnych zwyczajów i zadać sobie pracę nauczenia się czegoś nowego, dlatego nie łudziwszy się bynajmniéj nadzieją, żeby myśl nasza prędko weszła w wykonanie, uważaliśmy jednak za potrzebne poruszyć ją w przekonaniu, że nie zaginie, ale że z biegiem czasu utoruje sobie drogę i zwalczy przeszkody, na jakie natrafiać będzie aż kiedyś znajdzie uznanie i pożytek ogółowi przyniesie.

Kwiryn Anastazy.

STANOWISKO NAUKOWE CIOŁKA

(VITELLIONA)

W ŚREDNIOWIECZNÉJ OPTYCE.

(Dokończenie).

Zabiérając się z polecenia Ojca Morbety do obszernego o optyce dzieła, mającego być obrazem ówczesnego jéj stanowiska, Ciołek musiał się skrupulatnie obznajmić ze wszystkiém, co dotąd było wiadomém, i otoczyć się całym aż do jego czasów nagromadzonym literackim zasobem swojego przedmiotu. I my téż także mamy, zdaje się, obowiązek nieco się w owym zasobie rozpatrzéć, jeżeli chcemy sądzić jak z niego korzystał. Skłoni nas to znowu do nowego epizodu, sięgającego w daleką przeszłość, lecz nie nasza w tém wina, skoro nas zmusza konieczność skupiać rożnorodne składniki na ogólne tło dziejowe, na którém nam wypada naszego uczonego postawić.

Od chwili, w któréj człowiek zaczął się zastanawiać nad sobą, musiało koniecznie przedstawić się w jego umyśle pytanie: *Co to jest widzenie?* Bo rzeczywiście, stawanie w stosunku z oddalonemi ziemskiemi i nadziemskiemi przedmiotami, chwytanie ich w siebie z całą rzeczywistością, na jaką odległość pozwala, zachowywanie ich obrazów w pamięci i przywoływanie ich sobie dowolnie na widownią myśli, gdy nam są potrzebne, lub téż ich mimowolne natrącanie się na myśl, jest niezaprzeczenie największym cudem w przyrodzie, i chyba długie z nim się oswojenie mogło nam podziw względem niego przytępić. Starożytność grecka w najrozmaitszy go sobie objaśniała sposób. Nie stać ją było na pozytywną wiedzę, wymyśliła więc sobie wszystko, cokolwiek można było przypuścić. Kto szuka dro-

gi wśród błędnych manowcy, mającéj go doprowadzić do celu, to po nim nie możemy wymagać więcéj, jak chyba zdrowego instynktu. Otóż na takowym nie zbywało wcale ojcom naszéj nauki i owszem przyznać należy, że dotąd żyjemy tylko ich przypuszczeniami i opiéramy na nich tam wszędzie, gdzie nam się jeszcze nie udało prawdy wyświecić. Przeliczne przypuszczenia greckich filozofów, mające nam *widzenie* objaśnić, na cztery następujące dają się rozdzielić kategorye.

Starzy *Pitagorejczycy* porównywali widzenie z wyciąganiem ręki mającéj czegoś dosięgnąć i przypuszczali, że jakiś czynnik czuły (*emanacya duszy*) z oka przez źrenicę wychodzi, obmacywa przedmiot, na który się zapatrujemy, tak iż bezpośrednio czujemy tym sposobem jego kształty a nawet jego kolory. *Epikurejczycy* pojmowali widzenie zupełnie znowu inaczéj i przypuszczali, że od przedmiotów, które nas otaczają, odrywają się ich obrazy (eidola) w kształcie mglistéj i nader delikatnéj powłoki, że rozbiegają się w powietrzu i trafiają do naszego oka. Ponieważ dusza nasza nie może wyjść z naszego ciała, mówi *Leucipius*, na spotkanie zewnętrznych przedmiotów, trzeba więc, ażeby one same do naszego zmysłu trafiły; że zaś owe przedmioty nie zbliżają się do nas, kiedy na nie patrzymy, musi zatém coś do duszy naszéj wchodzić, co je reprezentuje. Wchodzą zatém materyalne ich obrazy czyli widziadła, które otaczają przedmioty, tak że każdy z tych ostatnich wystarcza do wytworzenia ich mnóstwa. Nic téż nie zdoła wyrównać szybkości z jaką się w przestrzeni rozchodzą, bo jeżeli słońce potrzebuje jednéj chwili, ażeby swoim obrazem całą przestrzeń świata rozjaśnić, to i widziadła pojedynczych przedmiotów muszą się w jednéj chwili we wszystkich rozbiegać kierunkach. Spójrzyj tylko w zwierciadło, a z każdéj strony zobaczysz przybiegające kolory i kształty. Rozléj wodę na ziemię, a jeżeli niebo zasiane jest gwiazdami, to one zaraz okażą się na jéj powierzchni; widzisz więc jak mało czasu potrzeba, ażeby ich widziadła z nieba zstąpiły na ziemię.

Inny znów sposób pojmowania sprawy widzenia w starożytności zawdzięczamy *Atomistykom*, którzy przyjmowali, że wszystkie ciała są dziurkowate, że wszystkie wydają z siebie wyziewy i że wtedy tylko mogą z sobą się łączyć, gdy wielkość cząsteczek składających wyziewy jednego odpowiada dziurkowatości drugiego co do wielkości i kształtu. Odpowiedniość jednych względem drugich stanowi ich powinowactwo, a takowa istnieje pomiędzy ogniem przedwiecznym, odbitym przez słońce, a okiem naszym. Widzenie zatém polega z jednéj strony na wyziewie oka, a z drugiéj — na przedwiecznym ogniu, i wówczas dopiéro przychodzi do

skutku, jeżeli cząsteczki ognia do dziurek w wyziewach oka wnikają. Cząsteczki *tonów* wnikają tym również sposobem do wyziewów ucha, a ich ustosunkowanie pomiędzy okiem i światłem, z jednéj strony, a uchem i tonem, z drugiéj, jest właśnie powodem, że oko słyszéć a ucho widziéć nie może. Pojęcia *Platona* i jego szkoły o wzroku na téj właśnie polegają zasadzie, lecz są tak wysuptelizowane, że je nie łatwo przychodzi pochwycić.

Czwartą nakoniec i to najważniejszą teoryą widzenia winniśmy *Aristotelesowi*, który twierdzi, że światło nie jest wcale ciałem, a tylko sposobem zachowania się *przezrocza (to diaphanes)*. Przez przezrocze rozumié on przestrzeń eterem wypełnioną, służącą za pośrednictwo między widzianym przedmiotem a okiem. Widzenie więc nie polega ani na wyziewie z oka na spotkanie przedmiotu wychodzącego, ani téż na chwytaniu atomów składających obrazy, które wnikają do oka, ale polega na poczuciu ruchu zrządzonego przez ciało czy to świécące, czy téż oświetlone, który się za pośrednictwem przezrocza oku komunikuje.

Każda z tych teoryj ma dziś jeszcze swoję nader wielką doniosłość, jeżeli pod każdą podłożymy nasze dzisiejsze pojęcia. I tak ostatnia jest oczéwiście początkowaniem naszéj dzisiejszéj teoryi *ondulacyjnéj* światła, którą nam *Cartesius* i *Hujgens* rozwinął, na drugiéj oparł się *Gassendi* i *Newton* w swéj emisyjnéj teoryi; w pierwszéj zaś odzywają się nasze dzisiejsze pojęcia o przenoszeniu naszych wzrokowych ideałów na zewnątrz i przypisywaniu ich bytu zewnętrznym przedmiotom.

Niezaprzeczenie metafizyczne Greków pojmowania o wzroku są dla nas drogocennym skarbem, lecz nie stanowią tego, co *Optyką* zowiemy. Pozytywna wiedza czegoś więcéj wymaga nierównie niżeli luźnych, chociażby téż najgenialniejszych nawet przypuszczeń. Owóż powstała ona dopiéro od chwili, gdy zapatrując się na promień przez małą dziurkę wpadający do ciemnéj przestrzeni, przekonano się, że światło rozchodzi się po liniach prostych, że promień jego odbija się pod kątem, gdy padnie na ciało odblaskujące, i że zmienia kierunek, gdy przechodzi w pewnych danych warunkach z jednego przezroczystego ciała w drugie. Odtąd *Optyka* oparła się na faktycznéj podstawie, również jak się oparła na niéj współcześnie z nią rodząca się *Akustyka* od chwili, gdy spostrzeżono że wszelki dźwięk polega na drganiu. Jedna i druga stały się odtąd przedmiotami śledzenia, wymierzania i rachunku, i obie wpadły tym sposobem w wielowładną rękę matematyki, która się od nich poczęła domagać ścisłości. Odtąd hypotezy zastąpiono *prawami* i niemi zaczęto fenomena objaśniać. Widzenie zaczęto wkrótce usprawiedliwiać sobie tym sposobem, że od każdego punktu widzianego przed-

miotu idzie promień prosto do naszéj źrenicy, i że ztąd powstaje ostrosłup świetlny, którego podstawa odpowiada owemu przedmiotowi a wierzchołek oku. Rzecz przeto prosta, że ostrosłup ten musi być tém bardziéj wydłużony, im przedmiot jest dalszym, a w miarę odległości wierzchołek jego będzie téż tworzył kąt mniéj lub więcéj ostry. Pojęcie to doprowadziło do odkrycia tak zwanego *kąta optycznego*, którego wielkość musiała odpowiadać wielkości i oddaleniu każdéj widzianéj rzeczy. Postrzeżenie, że promień światła odbija się od powierzchni gładkich, objaśniło odzwierciadlanie; odkrycie zaś, że przenikając przez środki rozmaitéj gęstości, promień nie idzie prosto, lecz zbacza stosownie do téjże gęstości, dało powód do ogromnéj liczby poszukiwań i do ustanowienia zasad brzemiennych w niezliczone następstwa. Ze zbiorów tych wszystkich danych powstała nauka o widzeniu, *perspektywą* (peri opseos) zwana, którą za greckich już czasów zaczęto na trzy rozdzielać części: na *optykę*, *dioptrykę* i *katoptrykę*. Podział ten dotychczas używa jeszcze prawa obywatelstwa, gdyż wypływa z saméj natury rzeczy, stwierdzając, że widzieć możemy w trojaki sposób: wprost, przez odbicie i przez załamanie świetlnych promieni, jak np. gdy przedmiot, na który się zapatrujemy, leży w wodzie i spostrzegamy go nie tam, gdzie się rzeczywiście znajduje.

Pierwsze więc optyczne odkrycia i pierwsze ich spożytkowanie na podwaliny w nauce, oraz pierwszy téjże nauki zarys, zawdzięczamy niezaprzeczenie Grekom. Odtąd się ona kształciła, uzupełniała i doskonaliła, w miarę jak jéj z przebiegiem wieków coraz więcéj przybywało faktów i coraz nowych na nie poglądów, ale ani na krok nie zboczyła od kierunku, jaki jéj geniusz grecki nakreślił.

Nie tu jest miejsce zastanawiać się krytycznie nad szczegółowym optyki starożytnéj rozwojem, wypada nam jednak na to zwrócić uwagę, że wówczas, gdy ją *Alhazen* i Ciołek wzięli w swe ręce, cały jéj zakrój wyglądał nieco inaczéj od dzisiejszego. Był on więcéj *subjektywnym*, kiedy w dzisiejszém optyki usystematyzowaniu jesteśmy więcéj *objektywnymi*. Dawniéj chodziło o to, jak oko widzi, a dzisiaj jak się zachowuje światło, które do niego przenika. Dawniéj więc około oka stojącego na pierwszym planie grupował się cały optyczny materyał, a dziś oko zdetronizowano i uznano je samo za przyrząd optyczny. Tym sposobem stanęło ono w naszéj systematyce obok teleskopów i drobnowidzów, utraciwszy wszelki po za obrębem nauki stawiający je przywiléj. To nowe pojęcie rzeczy musiało koniecznie ogromnie wpłynąć na cały układ w przedstawianiu całości. Średniowieczna nauka, zwana nauką o *widokach* czyli *perspektywą*,

zaczynała zawsze od uwzględnienia oka, a owe powyższe trzy sposoby widzenia przedmiotów służyły tylko za nitkę, przewodniczącą całemu wykładowi, ale nie stanowiły w nim zupełnie odrębnych gałęzi. Dzisiaj zaś one to właśnie występują głównie na scenę, już nie ze względu na oko, ale ze względu właściwości światła; zmysł zaś widzenia, którego działalność dawniéj do *perspektywy* wchodziła, odpadł dziś do *Fizyologii*, a optyka nasza dzisiejsza o tyle tylko nim się zajmuje, o ile się daje upatrzyć podobieństwo między kulą oka a ciemnią optyczną, lub zwykłą lornetką.

Subjektywność w układzie optyki trwała aż do czasów *Keplera*, to jest do końca XVI wieku, i dopiéro ów wielki jéj reformator objaśniwszy działanie optycznych soczewek, gdy teoryą widzenia na dzisiejszych oparł podstawach, zmienił najzupełniéj cały stan rzeczy. Aż do jego czasów oko w optyce takie samo zajmowało miejsce, jakie dziś jeszcze w akustyce zajmuje ucho, stojące prawie zupełnie po za jéj obrębem, choć kto wié, co z nim w niedalekiéj przyszłości się stanie; postępy bowiem wiedzy pozwalają się dorozumiewać, że również zacznie być niezadługo uważaném za pewien rodzaj muzycznego narzędzia, złożonego z bębna i fortepianu, i że jako takowe stanie w szeregu akustycznych przyrządów.

Po Grekach, starania około optyki objęli Arabowie, lecz jak w całym obszarze wiedzy, tak i na jéj polu niewiele dokazali nowego. *Al-Farabius Ibrahim Heitem* Syryjczyk jakiś *Messala*, o którym Ciołek wspomina, a mianowicie *Alhazen*, odznaczyli się swemi pracami, ale i ten ostatni, jak mu *Roger Bakon* zarzuca, miał być głównie naśladowcą *Ptolomeusza*, pomimo że go tu i owdzie jako fizyk dopełnił i rozwinął, czy sam osobiście, czy z natchnienia zaginionych dziś współpracowników, nie jest nam wiadomo. W każdym razie jestto osobistość wysokiego w nauce znaczenia, tém więcéj zasługująca na naszę uwagę, że ją ściśle z naszym Ciołkiem związały naukowe losy, jak to się zaraz pokaże.

Mając wytkniętą już drogę oraz nagromadzony obszerny naukowy materyał, zobaczymy teraz w jaki go sposób ugrupował *Vitellion* i jak stworzył z niego naukę na podstawach założonych przez Greków. Owóż rozdzielił go na ksiąg *dziesięć*, a nadmienić musimy, że wziął się do tego z niesłychaną na owe czasy systematycznością, rzeczywiście godną nawet podręcznika naszego wieku. Na czele każdéj księgi umieszcza naprzód *definicyą* przedmiotów, o których ma mówić w celu uniknienia nieporozumienia, np. że kulami przecinającemi się zowiemy takie, których przemiary na siebie zachodzą, że przemiarem zwierciadła wklęsłego zowiemy poprzeczny przemiar kuli, któréj jest ono odcinkiem i t. d. Potém idzie szereg *twier-*

dzeń niepotrzebujących dowodzenia, np. że światło natężone jest mocniejsze od przyćmionego; że widzi się wtedy, jeżeli kształty rzeczy widzianych przychodzą do duszy; że każda całość przedmiotu widzi się lepiéj od jego szczegółów itp. Naostatek idą po sobie *teoremata*, czyli paragrafy, każdy właściwie zatytułowany, a potém rozwinięty i wszędzie licznemi objaśniony geometrycznemi wykréśleniami. Słowem, porządek w wykładzie jest wzorowy, porozdzielanie na części a następnie związanie ich w całość jest znamienite i to nawet do tego stopnia, że niejednemu dzisiejszemu podręcznikowi naukowemu mogłoby za wzór posłużyć. Wszystko w téj książce jest razem, a jednak każdy szczegół stoi osobno i z łatwością każdy odszukasz, pomimo że nie ma spisu rzeczy, jaki jest przy każdym tego rodzaju dziele niezbędnym.

Pierwsza księga obejmuje wszystkie wiadomości przedwstępne z dziedziny geometryi, jakie są do objaśnienia optyki potrzebne, a to, ażeby jak się wyraża autor, *omne ens visibile mathematica demonstratione concludere posse.* Wszystkie swoje twierdzenia bierze on częścią z Elementów *Euklidesa*, częścią z sekcyj konicznych *Appolloniusa*, lub ze zbioru *Pappusa*—lecz nie brak także i własnych. Jest wprawdzie nieco drobiazgowym i rozwlekłym, jakby pisał dla ludzi, po których trudno się spodziéwać głębszego przygotowania, lecz widać ze wszystkiego, że znał doskonale greckich matematyków, że umiał z nich dla swego przedmiotu wybiérać i korzystać i że ściśle swéj rzeczy się trzyma.

W drugiéj księdze wykłada przedwstępne wiadomości z dziedziny optyki, np. że światło rozchodzi się po liniach prostych, że w jednéj chwili, jak nauczał *Arystoteles*, całą przestrzeń świata rozświeca. Wyobraża sobie promień światła, jako linią materyalną, mającą pewną szerokość, a nie jako kierunek prostoliniowy *działania*. Mówi w ogóle o ciałach przezroczystych i ciemnych, o ich oświetlaniu, o cieniach, o świetle wpadającém przez otwory kątowate a dające jednak okrągłe obrazy w ciemni na przeciwległych ścianach, o własności odbijania się, załamywania promieni itd.

Załatwiwszy się w ten sposób z przedwstępnemi wiadomościami, w *trzeciéj swéj księdze* przystępuje do opisu oka i jego wzrokowéj czynności. Nieświadomi robią mu tu zarzut, że wszystko, co oka dotyczé, z *Alhazena* odpisał, lecz bardzo się mylą, gdyż anatomia była właśnie najsłabszą stroną Arabów i wszystko bez wyjątku, co o niéj wiedzieli, zawdzięczali szkole Aleksandryjskiéj. Opis oka Ciołka wyjęty jest z *Gollana*, a że go i *Alhazen* z tego samego źródła zaczerpnął, a więc ztąd podobieństwo. Rysunek

oka w poziomém przecięciu, zamieszczony w pierwszych wydaniach dzieła Ciołka, bardzo jest ciekawy i zasługujący na wzmiankę, zwłaszcza że w trzeciéj edycyi, *Risner* po swojemu go zmienił, ulegając pokusie poprawek, która dla naszego właśnie autora była rzeczywistą klęską, jak to zaraz bliżéj postaramy się objaśnić. Rysunek pierwotny podajemy tu, jako *curiosum*, w wiernem odwzorowaniu.



Oko według niego jest kulą, któréj skorupa zewnętrzna składa się od przodu (T. M. B.) z błony rogowéj (*cornea*), a z boków z błony utrzymującéj (*consolitativa*), czyli po naszemu z białkówki. Owa skorupa wysłana jest od wewnątrz błoną naczyniową (H. H.), czyli jagodówką (*vinca*), a ta od przodu przedziurawiona jest otworem tworzącym źrenicę (R). We środku kuli oka znajdują się trzy przezroczyste twory: z przodu płyn wodnisty (*humor albugineus*), we środku ciałko lodowate (*Humor glacialis*) a z tyłu ciało szkliste (*Humor vitreus*). Od tyłu, kula oka jest szeroko otwarta i łączy się z nerwem wzrokowym (*nervus opticus*), nerw zaś ten, wszedłszy do oczodołu od mózgu, odziany jest dwoma powłokami, zewnętrzną i wewnętrzną, z których pierwsza zespaja się z błoną kuli oka *utrzymującą*, a druga—z błoną *naczyniową*. Nerw idąc ku gałce ocznéj

rozszerza się i obejmuje jéj tył w kształcie narzędzia, przez które się wino do beczek nalewa, to jest lejka (*instrumentum ponendi vinum in dolcis*) i wewnątrz jest opatrzony kanałem, który do mózgu dochodzi. Przez ów kanał przypływa duch wzrokowy do oka (*spiritus visibilis*), wytwarzający się w przedniéj części mózgu. Że zaś wnętrze lejka wysłane jest błoną pajęczą (*cella aranea*) B. D. O, ta więc doszedłszy do wnętrza kuli oka nietylko w niéj cały jéj tył zajmuje (E), ale zarazem i całe ciało lodowate, to jest całą naszę dzisiejszą soczewkę otacza a zarazem do niego przenika. Ciało to jest bezpośrednim narządem czującym światło (*organum virtutis visuae*); widzimy zaś za pośrednictwem piramidy świetlnéj, któréj podstawa leży na przedmiocie widzianym, a któréj wierzchołek sięga do oka. Piramida taka z pojedynczych promieni złożona (*pyramis radialis*) padając na soczewkę tworzy w niéj obrazek, obrazek zaś ten duch wzrokowy chwyta i do mózgu przenosi. Teorya taka o wzroku i o budowie oka jest o wiele różną od naszéj dzisiejszéj. Uznawano ją jednak aż do końca XVI wieku i nie mamy prawa wymagać od naszego Ciołka, ażeby już w XIII wieku zapatrywał się na rzeczy z naszego obecnego punktu widzenia. Nasze dzisiejsze pojęcia są dziełem nieśmiertelnego *Keplera*, a dosyć nam na tém, że nam je na podstawie prac Ciołka w swém dziele *Paralipomena ad Vitellionem* rozwinął.

Dalszy ciąg swéj księgi trzeciéj Ciołek poświęca fizyologii oka; mówi o widzeniu dwoma oczami, o zlewaniu się obu obrazów w pojedyncze wzrokowe pojęcie, o ruchach oczów i o zrozumieniu tego, co się widzi. Powtarza i porządkuje ówczesne doktryny, starając się wszędzie utwierdzić je na ściśle geometrycznych podstawach.

W *czwartéj* księdze, zastanawiając się w dalszym ciągu nad warunkami widzenia, przechodzi do teoryi *Euklidesa* o kącie optycznym i również jak on twierdzi, że największym takowym kątem może być kąt prosty, z czego wyprowadza, że największa przestrzeń, jaką oko nasze nie poruszając się ogarnąć może, ma wyrównywać tylko czwartéj części sklepienia nieba. Twierdzenie to, jak dziś wiadomo, jest mylném, o czém nic łatwiejszego jak się wprost przekonać, lecz uczoność średnich wieków należała do téj kategoryi, którą Niemcy *Stubengelehrsamkeit* zowią. Miała ona wstręt do obserwacyi, a tém więcéj do poszukiwania, ale wierzyła na oślep wszystkiemu, co wyszło z pod pióra jakiéjś znakomitości, lub temu co sama *wyspekulowała*. Ciołek wprawdzie w wielu bardzo razach inaczéj nam się przedstawia, jest jednak zawsze człowiekiem swojego wieku i nie wychodzi za jego obręb, a temu może być zawdzięcza, że był w swym czasie wysoko cenionym, doskonale rozumianym i wielce użytecz-

nym. Następnie autor nasz zastanawia się nad faktem, że żaden przedmiot naraz cały dokładnie widzianym być nie może, i że go zawsze rozpatrujemy *częściami*, chcąc dokładne powziąć o nim wyobrażenie; to jest, że przez szybkie ruchy oczyma wodzimy po nim wzrokiem, zbiéramy sobie z niego szczegółowe pojęcia a z tych dopiéro ogólne wyobrażenie sobie składamy. W dalszym ciągu wykładu swego, autor zastanawia się nad ocenianiem wielkości, odległości, kształtu, położenia, spoczynku lub ruchu przedmiotów widzianych, czerpiąc głównie z *Euklidesa*, lecz poprawiając wedle potrzeby jego twierdzenia. Tutaj także zatrudniają go liczne złudzenia optyczne, a mianowicie okazywanie się gwiazd, lub księżyca w pełni większemi na horyzoncie niżeli w zenicie, co bardzo trafnie tłómaczy.

Skończywszy tym sposobem z widzeniem przez promienie wprost od przedmiotów idące, zastanawia się w *księdze piątéj* nad skutkami światła odbitego od powierzchni gładkich, odzwierciadlających. Roztrząsa obszernie prawa odbijania, opisuje szczegółowo przyrząd już przed nim znany do mierzenia kątów wpadania i kątów odbijania, przechodzi do zwierciadeł płaskich, wypukłych i wklęsłych i kończy ciekawém twierdzeniem, że za pomocą jednego zwierciadła płaskiego nie można ognia zapalić, ale że za pomocą kilku w ten sposób pochylonych ku sobie, że od nich promienie słońca odbite w jednèm miejscu się schodzą, żar rozniecić się daje. Twierdzenie to ma związek z powszechnie znaném podaniem, jakoby *Archimedes* za pomocą zwierciadeł żarem słonecznym miał okręty rzymskie blokujące Syrakuzę na morzu palić, chociaż o fakcie samym nie wspomina nic wcale ani *Polibiusz* w swym bardzo szczegółowym opisie oblężenia, ani *Liviusz*, ani *Plutarch* w swojém o nim opowiadaniu. Cóżkolwiek bądź, pytanie zachodzi: czy można w znacznéj odległości w ten sposób skupić promienie słońca, ażeby w miejscu skupienia otrzymać wysoką temperaturę. Że to za pomocą zwykłego wklęsłego zwierciadła nie jest możebne, łatwo pojąć da się, gdyż wtedy wypadłoby chyba słońce między powierzchnią zwierciadła a środkiem jego kulistości ustawić. Rzecz jednak na prawdopodobieństwie zyskuje, jeżeli użyjemy kilkunastu zwierciadeł płaskich, połączymy je z sobą za pomocą zawiasek i tak je ustawimy, ażeby każde z nich promienie odbite odsyłało do jednego miejsca oznaczonego w przestrzeni. *Anthemius*, z którego Ciołek wyraźnie czerpał, przyrząd tego rodzaju dokładnie nam opisuje. Wiadomo także, iż w nowszych czasach *Kirchner* najzupełniéj na jego skuteczność się zgodził, a *Buffon* przekonywającém stwierdził ją doświadczeniem. Kazał on 400 zwierciadełek płaskich sześciokątnych

i sześciocalowych zawiaskami w ten sposób między sobą połączyć, ażeby je ku sobie naginać można, i ustanowiwszy przyzwoicie swój przyrząd w odległości 140 stóp otrzymał skupienie promieni tak silne, że mógł topić ołów, cynę, lub drzewo zapalać.

Księgę szóstą i siódmą poświęca Ciołek zwierciadłom wklęsłym kulistym, walcowatym i ostrokręgowym. *Ósmą zaś księgę* zwierciadłom wypukłym tegoż trojakiego kształtu. Odbicie promieni, miejsca, w których przedstawiają się obrazy, objaśnia bardzo starannemi wykreśleniami i daje dowody bardzo obszernego swego matematycznego wykształcenia. Popełnia jednak kilka błędów przejętych wprost ze źródeł, z których czerpie, a to z powodu, że w owym czasie nie znano jeszcze właściwego położenia ogniska w zwierciadłach wklęsłych. Dopiéro *Roger Bakon*, współczesny Ciołka, zwrócił na nie pilniejszą uwagę, a położenie ogniska dopiéro w XVIII wieku ostatecznie zostało wykazane.

W dziewiątéj księdze Vitellion mówi o zwierciadłach walcowatych oraz ostrokręgowych wklęsłych, przechodzi wreszcie do zwierciadeł parabolicznych . i podaje bardzo szczegółowo sposób ich przyrządzania. Stwierdza następnie, że wszystkie promienie równolegle padające na takie zwierciadło, po swém odbiciu, gromadzą się w jednym punkcie, i okazuje, że zwierciadła te do rozniecenia ognia są najstosowniejsze. Zdaje się, że tego rodzaju zwierciadeł przed Ciołkiem zupełnie nie znano i że jemu wyłącznie ich się nabytek zawdzięcza. Bardzo staranne wykreślenia przebiegu i odbijania się na nich promieni, oraz ich gromadzenie się w ognisku dowodzą, że bardzo szczegółowo zwierciadła te studyował.

Księga dziesiąta traktuje o widzeniu za pośrednictwem załamanych promieni. Własność zbaczania od pierwotnego kierunku promieni, przechodzących ukośnie przez ciała przezroczyste różnéj gęstości, a zarazem zmiany form i położenia przedmiotów zanurzonych, np. w wodzie, znane już były dobrze szkole Aleksandryjskiéj i głębiéj były przez *Ptolomeusza* badane. Na nim téż głównie nasz autor opiéra się w swoim wykładzie. Mówi on najprzód o ciałach przezroczystych, a następnie opisuje zjawiska załamania, gdy światło przechodzi z powietrza do wody, lub do szkła. Opisuje szczegółowo przyrząd jakiego używali jego poprzednicy w celu dokładniejszego zjawiska tego śledzenia; następnie wymienia kilka prawd kardynalnych o płaszczyźnie i o kątach załamania, idąc wreszcie za *Ptolomeuszem* twierdzi, że kąty załamania są w prostym do kątów wpadania stosunku. W tém przekonaniu podaje ich tabelaryczny wykaz, ale pomyłki, jakich się tu dopuszcza, okazują, że się sam bliżéj faktom nie przypatrywał i że zatonął, równie jak i w wielu

innych miejscach swojego dzieła, w teoretycznym na rzeczy poglądzie. Nie robimy mu zarzutu, że nie znał prawa załamywania, gdyż takowe przez *Cartesiusza* w 400 lat późniéj zostało dopiéro odkryte, ale mógł się łatwo przekonać, właśnie za pomocą nader prostego przyrządu, który dokładnie opisał, że stosunek kątów nie jest jednomierny, lecz się zmienia przy różnych stopniach nachylenia promienia wpadającego i że przyszedłszy do pewnego stopnia już nie przechodzi do drugiego ciała przezroczystego, lecz się od jego powierzchni jakby od zwierciadła odbija. Następnie wykłada, według *Alhazena*, o położeniu przedmiotów przez refrakcyą widzianych i wskazuje sposób oznaczenia przez wykréślanie tegoż położenia. W dalszym ciągu przechodzi do refrakcyi astronomicznéj i zastanawia się ponownie nad przyczyną, dla któréj jest ona większą na *horyzoncie* niżeli na *zenicie.* W tym celu przypuszcza, że powietrze stanowi warstwę na około ziemi, która rozrzedza się stopniowo idąc coraz wyżéj, po nad tą warstwą zaś leży warstwa płynu eterycznego, którą on *ogniem* nazywa i wiele o niéj rozprawia, a po nad tym ogniem ma leżyć dopiéro *niebo.* Wysokość warstwy powietrza oblicza na 52.000 kroków i wskazuje, że promień przez niebo, ogień i powietrze idący musi przybiérać kierunek łukowaty, czemu przypisuje, że gwiazdy wydają się większe i więcéj od siebie pooddzielane na poziomie, jak na zenicie. Daléj mówi o mruganiu gwiazd *(scintillatio)* i przypisuje takowe ruchom powietrza, a w końcu zastanawia się nad niektóremi optycznemi zjawiskami meteorologicznemi, a mianowicie nad tęczą, nad pierścieniami około słońca i księżyca, nad zdwojeniem tych ostatnich i t. d. Wszystko to jest powtórzeniem mniemań już wypowiedzianych poprzednio, lecz jest dobrze wyłożone i daleko lepiéj rozwinięte i uzupełnione własnym poglądem, chociaż z objaśnienia tych objawów, a mianowicie z objaśnienia tęczy, zaślepieni jego wielbiciele zanadto mu przypisują zasługi.

Zapatrując się na całą tę rozległą i wyczerpującą swój przedmiot pracę naszego autora i porównywając ją z pracami jego poprzedników, do czego nam edycya *Risnera* jego *perspektywy* niesłychanie dopomaga, przychodzimy do wniosku, że Ciołek nie jest bynajmniéj źródłowym pisarzem, lecz że jest znakomitym i wytrawnym *kompilatorem*, *teoretykiem* i *systematykiem.* Nie dziwota, jeżeli dzieło jego bardzo było w swoich czasach poczytne, gdyż posiada rzeczywiście niemałe dydaktyczne zalety. Brał on wszystko, cokolwiek mógł tylko pochwycić, składał, skupiał i po swojemu najczęściéj przerabiał i pojmował; silił się na objaśnienia, a gdzie nie mógł samodzielnie tego dokonać, pożyczał od innych, sło-

wem postępował zupełnie tak samo, jak my dziś postępujemy, pisząc podręcznik jakiéj bądź nauki. Kto więcéj od niego wymaga jest w błędzie i zapomina wyraźnie, że pisał z polecenia swego opiekuna i przyjaciela i że dzieł źródłowych, mających dla nauki nowe otwierać drogi, na rozkaz się nie pisze. Wyznać téż wypada, że w swoich objaśnieniach i swoich naukowych instynktach nie zawsze był szczęśliwy i nieraz się mylił, lecz to i każdemu dzisiejszemu naukowemu pracownikowi można zarzucić. Kto z nas jest w téj mierze bez grzechu, niechaj na niego rzuci kamieniem. Bez porównania zawinił on więcéj, tém że posiłkując się cudzém, niezawsze cytuje źródła, a wina ta jego odnosi się głównie do Alhazena, z którego bardzo wiele korzystał, nigdzie do tego się nie przyznaje. Jeżeli się po dzisiejszemu na to zapatrywać będziemy, to trudno przyjdzie go usprawiedliwić, lecz starożytność nie była wcale tak delikatną w tym względzie. Wszakże i sam Alhazen czerpał ze starożytnych pełnemi rękami, a wcale o tém nie mówi. Zresztą któż wié, jakie rękopisy Alhazena miał nasz Ciołek pod ręką i czy wiedział, kto był ich autorem. Nadto i o tém pamiętać warto, gdzie pisał i do jakiego należał obozu, i czy odwoływanie się do arabskich źródeł było po myśli jego otoczenia, a mianowicie jego protektorów. Wszakże i dzisiaj, mianowicie u naszych zachodnich sąsiadów, wielce zresztą zasłużonych w nauce, niemało się czerpie z literatur ościennych, nie przyznając się do tego bynajmniéj, a to w przekonaniu, że stojąc na czele cywilizacyi można samowolnie rozrządzać wszelką naukową własnością, tak samo jak dawniéj Papieże i Cesarze rozrządzali obcemi posiadłościami w przekonaniu, że świat cały do nich z prawa należał. Zobaczymy niebawem, że niedelikatność naszego Ciołka względem Alhazena da się jeszcze inaczéj pojąć i w nierównie korzystniejszém dla naszego uczonego wykazać świetle, chociaż w każdym razie jest faktem, któremu niepodobna zaprzeczać.

Jeżeli Ciołek, podczas swéj młodości i swego w Padwie pobytu, zdradzał usposobienie obserwatora, to pisząc swe dzieło stał się bibliotecznym molem. Dzieło jego zyskałoby niesłychanie, gdyby zamiast badać i zestawiać pojęcia cudze, więcéj był badał rzecz samę, o któréj pisał. Lecz w XIII wieku i nawet daleko późniéj, uczony nie umiał jeszcze ufać samemu sobie; oryginalność była zuchwalstwem właściwém tylko geniuszom. Nasz Ciołek nim nie był i występuje tylko przed nami jako dzielny, trzeźwy i logiczny umysł, który z natury swojéj co najwięcéj na samodzielne komentatorstwo zdobyć się może. Bardzo słusznie oceniają go niektórzy bezstronni jego znawcy, porównywając go z Alhazenem, gdy twierdzą, że był więcéj *matematykiem*, kiedy przeciwnie uczony Arab bez porównania

wyżéj jako *fizyk* stoi; ale my moglibyśmy to jeszcze *Ciołkowi* zarzucić, że był matematykiem zanadto, że na wszystko zapatrywał się po geometrycznemu, siląc się o ścisłość w tych nawet rzeczach, które mu nie były jasnemi. Pomimo tego wszystkiego, jego *Perspektywa* jest *pomnikowém* dziełem, wyżéj sięgającém nierównie pod względem swéj całéj naukowéj budowy, od innych dzieł napisanych w téj saméj gałęzi nauki, czy to współcześnie, czy w szeregu kilku następnych wieków. A było ich dwa, mianowicie: *De perspectiva Rogiera Bakona*, stanowiąca część jego ogromnego dzieła *Opus majus* osobno drukiem ogłoszona w Frankfurcie w r. 1514, a druga *Pokama*, wyniesionego późniéj na Arcybiskupstwo w Kantorbery, w r. 1570 wydrukowana. Trzy te dzieła w średnich wiekach, jako rękopisy, bardzo były rozpowszechnione, dzieło Ciołka we Włoszech i Niemczech, *Pokama*—w Anglii; lecz Ciołek był najpoczytniejszym: niezaprzeczenie najwięcéj się przyczynił do rozwoju następnéj optycznéj wiedzy i za głównego jéj w swym czasie przedstawiciela musi być poczytywany. Najwyższego on téż przez trzy wieki używał kredytu, stanowiąc niejako kodeks optyczny, do tego stopnia, iż bardzo rozpowszechniona w średnich wiekach Encykłopedya naukowa Reisch'a *Epitome omnis philosophiae, alias margarita philosophica, tractatus de omni genere scibili* (wyszło 14 edycyj od 1486 do 1535) wszystko co w niéj optyki dotyczé zapożycza wyłącznie z naszego autora, którego *Guictilonem* nazywa.

Jak wielki dzieło Ciołka miało w swoim czasie rozgłos, dowodzą tego trzy jego wydania, wkrótce po sobie wyszłe w XVI wieku, gdy drukarstwo zaczęło rozpowszechniać się po świecie. Wydanie pierwsze, którego nie widziałem, a którém się posługiwał *Wituski*, ma nosić tytuł: *Vitellionis Mathematici doctissimi peri optikes id est de natura, ratione et proiectione radiorum visus luminum, colorum atque formarum, quam vulgo perspectivam vocant*, libri X *Norimbergae apud Io. Petreum Anno 1535, Nunc primum opera Mathematicorum praestantissimorum dd. Georgij Tanstetter et Petri Apiani in lucem edita* in fol. str. 594. Oznajmując czytelnikowi w krótkiéj przedmowie co się w dziele znajduje, wydawcy wyrażają się o Ciołku: „Wszystko to jest dziełem Autora, który zdaniem powszechném uczonych w tego rodzaju pracach przoduje.“

Wydanie to jest przypisane Księciu Elektorowi Filipowi z nad Renu, a w dedykacyi swojéj Tanstetter mówi o Vitellionie: „Autor nazywał się Vitallio, był turyńskiego pochodzenia Polakiem i, jak się dorozumiéwam, żył przed 600 laty (!) i obecne tu dzieło *peri optikes* napisał z wielką pilnością, znajomością rzeczy i wszystko w wielkim

rozmieścił porządku“ Jak widać z przedmowy drugiego wydawcy *Apiana*, było to wydanie zrobione z rękopisu należącego do Tanstettera; o autorze zaś wyraża się daléj, „nasz Vitellio tak doskonale o perspektywie napisał, że przedewszystkiemi, którzy o niéj traktowali, powinien być stawiany.“ Na stronie piątéj umieszczona jest przedmowa dedykacyjna samego Ciołka, pod napisem: „Prawdy miłośnikowi, bratu Wilhelmowi de Morbeta, Vitello syn ziemi Turyngskiéj i Polskiéj życzy szczęśliwego niezałamanym umysłu promieniem wejrzenia w światło odwieczne i jasnego pojęcia rzeczy niżéj wyłożonych.“ W niéj autor sili się na wyznanie swéj naukowéj wiary, lecz się wyraża tak zawile i napuszysto, że mi go niepodobna zrozumiéć, pomimo uprzejmiéj pomocy Doktora Kośmińskiego bibliotekarza naszego Towarzystwa Lekarskiego, bardzo biegłego w średniowiecznéj naukowéj łacinie. Obracając się wreszcie do swego opiekuna Morbety, mówi: „Zamiłowanie w badaniu jestestw powszechnych,' które Tobą włada, tak mnie jako ku temu samemu celowi zamierzającego do Ciebie przywiązało, że wola Twoja jest mi rozkazem i że ona także powstrzymuje mnie od zajęć, w których sobie nie podobasz.“ Daléj zaś pisze: „Ponieważ przy właściwéj tobie pilności i przenikliwości umysłu dostrzegłeś, że zmienia się działanie boskie wpływów niebieskich na ciała, stosownie do tych ostatnich, i że zjawiska zależą nietylko od sił działających, ale i od różnego sposobu działania tychże, przeto postanowiłeś zająć się zbadaniem tego zjawiska tajemniczego (mowa tu o perspektywie) i żądny wiedzy umysł zwrócić ku jego wyjaśnieniu. I kiedyś rozpatrzył dzieła starożytnych o tym przedmiocie, zdjął cię wstręt do wielomówności arabskiéj, zawiłości greckiéj, niedokładności i oschłości łacińskiéj, głównie dlatego, że powierzony ci obowiązek penitencyacyi Kościoła Rzymskiego, która w części do Ciebie należy, i że przekonany jesteś, iż lepiéj możesz pomódz penitentom rozumem praktycznym niżeli spekulacyjnym, co Cię powstrzymało od rozpatrywania się na wielu rzeczach, które zasługiwało na to, ażeby je zobaczyć. Wolałeś boskiém dusz uciśnionych lekarstwem ich uciskowi zaradzać, aniżeli ludzką niewiadomość zmniejszać. Sądząc więc, że mam czas wolny, w imię przyjaźni jaka mnie z Tobą łączy, postanowiłeś zobowiązać mnie do przyjęcia na siebie tak miłego dla ciebie przedmiotu i do zajęcia się materyą *dotychczas mi nieznaną*. Ja zaś pragnąc być posłusznym zleceniu Twojemu, życzenie Twoje za rozkaz uważając, odłożyłem do dalszego czasu większą pracę *O układzie istot*, do któréj się poprzednio zabrałem, i przystąpiłem do napisania niniejszéj księgi według możności sił moich, których słabość uznaję.“ Dedykacya ta powtórzona jest we wszystkich wydaniach.

Drugie wydanie, które mam pod ręką, wyszło w r. 1551 w Norymberdze, za przywilejem Cesarza Karola V. Wydali je ciż sami, *Transtetter* i *Apianus*, nic zupełnie nie zmieniwszy. Przedmowy, dedykacya, text i wykréślenia żadnéj nie uległy zmianie. *Wituski* przypisuje to ogromnéj poczytności dzieła Vitelliona, że drugie wydanie okazało się już w 11 lat po pierwszém, lecz kto wié, czy to nie była tylko wydawnicza sztuczka, tak dobrze praktykowana już w XVI stuleciu jak i obecnie, że na egzemplarzach nierozprzedanych umieszczano nowy tytuł, opiewający drugie wydanie, jako dowód, że dzieło było rozchwytywane.

Wydanie trzecie, którém się także posiłkuję, nosi nazwę: *Vitellionis Turingo poloni opticae libri decem. Instaurati figuris novis illustrati atque aucti infinitisque erroribus quibus antea scatebant, expurgati a Federico Risnero Basileae 1572 in fol. pag 474.* Ponieważ wydanie to najwięcéj jest znane a nadto ponieważ wpływ ogromny wywarło na dalsze losy naszego autora, musimy przeto szczegółowo o niém pomówić.

Potrącaliśmy już kilkakrotnie powyżéj o arabskiego optyka Alhazena, że zaś współcześni naszemu Ciołkowi, *Bakon* i *Pekan*, czerpali z niego, lub też na jego powoływali się zdanie, zwrócono więc uwagę w XVI wieku na jego już wówczas zatracone dzieło, którego fragmenta zapewne w łacińskiém tłómaczeniu tułały się jeszcze po starych bibliotekach. Ażeby tę księgę odgrzebać, potrzeba było znów nowéj umysłowéj ery, powodu z któréj odstępując od naszego przedmiotu zmuszeni znów jesteśmy przejść do historyi.

W XVI stuleciu żył we Francyi filozof i matematyk *Ramus (Pierre de Ramée)*, sławny przeciwnik *Aristotelesa*, wielowładnego w ówczesnéj nauce i to tak dalece, że wpływ jego stanowił niemal drugą religią. Losy Ramusa mało u nas znane, rzeczywiście są tak ciekawe, że trudno nam o nich nie wspomniéć. Pochodził on z drobnéj szlachty Bretońskiéj, a jego ojciec był zubożałym rolnikiem. W dziesiątym roku życia opuścił dom rodzicielski i poszedł piechotą do Paryża szukać sobie chléba, i po różnych kolejach przyjęty został na służbę do Nawarskiego Kolegium, które wówczas było wolnomyślnym Hugonotów gniazdem. Posługując w dzień, uczył się po nocach, i naostatek otrzymawszy stypendium oddał się filozofii a mianowicie badaniom Aristotelesa, który go nie zaślepiał wcale. Odtąd zaczął z niesłychaną naówczas śmiałością występować przeciw jego twierdzeniom i wreszcie wprost oświadczył, że wszystko w nim tchnęło mrzonką i błędem. Było to właśnie w owym czasie, gdy jałowe scholastyczne szermierki wszystkim wyżéj sięgającym umysłom zaczęły się przyjadać, reformatorski zapał młodego uczonego dawał

się przeto usprawiedliwić poniekąd. Według niego, logika była gruntem rozumowania, a nie powagi i tradycye, starał się przeto dobitnie ją sformułować i scholastyce zadać cios śmiertelny. W r. 1543 wydał w tym celu dwa dzieła: *Institutionum dialecticarum* libri III i *Animadversarium in dialecticam Aristotelis* libri XX, które tak rozjątrzyły Sorbonę, iż parlament musiał się wdać w sprzeczkę. Król Franciszek I wyznaczył nawet do rozsądzenia téj sprawy umyślną kommisyą, a ta naturalnie Aristotelesowi i po za nim stojącemu katolickiemu duchowieństwu przyznała słuszność, oba zaś powyższe dzieła uznała za zuchwałe, fałszywe i bezbożne, najsrożéj zakazując ich rozpowszechnienia. Pomimo tego jednakże opozycya przeciw urzędowym pojęciom była tak silną, iż we dwa lata późniéj *Ramus* występuje jako docent w Uniwersytecie Paryskim, rozpoczyna swoje prelekcye i tenże sam parlament staje jako jego obrońca przeciw Sorbonie. W sześć lat późniéj widzimy Ramusa profesorem stałym Retoryki i Dialektyki w Uniwersytecie, a niedługo potém delegowanym do tegoż parlamentu ze strony Uniwersytetu, który mu już wówczas zawdzięczał wiele ulepszeń, a więcéj jeszcze zawdzięczył, gdy zaraz potém został wyniesiony do godności Rektora. Słynny ze swych cnót i swéj dobroczynności przeszedł on późniéj otwarcie do Hugonotów obozu, w skutek czego został z rektorstwa złożony, a nawet wydalony z Paryża, lecz we dwa lata znowu do profesury powrócił. Wreszcie gdy wśród religijnych rozruchów, katolicy na dom jego napadli i całą mu bibliotekę spalili, uszedł do Genewy, a potém do Heidelberga, gdzie znów licznych około siebie zgromadził słuchaczów. Nakoniec w r. 1571 pozwolił się do Paryża zwabić i w rok późniéj został wśród rzezi Ś-go Bartłomieja zamordowany.

Ramus był w całém znaczeniu tego wyrazu *polihistorem* i pokrewnym *Leibnicowi* duchem. Trudnił się bardzo żarliwie matematyką i naukami przyrodzonemi a dowiedziawszy się o Alhazenie zapragnął się z nim bliżéj obeznać, lecz nigdzie znaléść go nie mógł. Dopiéro przypadkiem kupił niekompletny jego rękopis gdzieś na licytacyi i przez lat 20 szukał do kompletu drugiego, a gdy mu się i to udało, oba tomy uratował jedynie ze swéj biblioteki, zabrał je do Genewy z sobą i zasadził do nich swojego przyjaciela i pomocnika *Risnera*. Ten pracował nad niemi rok cały i przy pomocy dzieła naszego Ciołka w jednę całość je związał, lecz ta pokazała się tak zawiłą, nieforemną i tak mało dostępną, że ją wypadało zupełnie przerobić. Risnera nie odstręczyła ta ciężka praca, i dokonawszy jéj wydał nareszcie w jednym ogromnym tomie oba razem dzieła i Alhazena i Vitelliona, pod tytułem *Optycznego skarbu* (*Thesaurus opticus*) w r. 1572 w Bazylei. Dzieło to przypisał królowéj *Katarzynie de Medicis* i obsypał

ją przy téj sposobności komplementami, od których pewnieby mu powstrzymać się przyszło, również jak i od całéj dedykacyi, gdyby mógł był przewidzićć noc Ś. Bartłomieja oraz smutny koniec swego przyjaciela i opiekuna. Ów *Skarbiec* mieści w sobie dwie obok siebie położone przeróbki, lecz w nierównéj dokonane mierze; Ciołka Risner popoprawiał tylko, Alhazena zaś przeistoczył prawie, a to mu przyszło tém łatwiéj, gdyż go w oryginale jak najzupełniéj nie znamy, gdyż wieść tylko niesie, że się jeden arabski jego rękopis ma dotąd w bibliotece florenckiéj znajdować.

Że owe dwa rękopisy Alhazena, przez Risnera skojarzone, nie były po arabsku, lecz po łacinie pisane, że zatém były już tłómaczeniami, mamy na to następujące poszlaki. Najprzód jesteśmy już w końcu XVI wieku, gdy język arabski najzupełniéj był wyrugowanym z nauki i stał się w niéj niepotrzebnym, albowiem wtedy już była rozpowszechniła się greczyzna i wyrobiła łacina na język odpowiedni wszelkim ówczesnym wymagalnościom. Wprawdzie drukowano jeszcze i wówczas w książęcéj drukarni florenckiéj arabskie dzieła, ale to nie dowodzi bynajmniéj, ażeby Risner i Ramus byli w arabskim języku biegli, bo gdyby tak było rzeczywiście, to pewnie pierwszy, w swéj przedmowie do Alhazena, byłby jak najwyraźniéj powiedział, że się arabskiemi posługiwał rękopisami. Tymczasem znajdujemy w téjże przedmowie zupełnie przeciwną wzmiankę, gdyż mówiąc o Alhazenie dorozumiéwa się, że żył w XI stuleciu, i że radząc się ludzi znających język arabski dowiedział się od nich (*a peritis linguae arabicae hominibus*), że było aż czterech arabskich pisarzy tego nazwiska. Wprawdzie wyrażenie powyższe mogłoby się odnosić nie tyle do znajomości samego języka, ile raczéj do znajomości arabskiéj literatury, lecz chociażby też i tak rzeczywiście być miało, to widać zawsze, że Risner z arabszczyzną nie bardzo był oswojonym i że niepodobna, ażeby mając dwa arabskie rękopisy mógł je w przeciągu *jednego roku* ze sobą porównać i na język łaciński przełożyć, boć to nawet dla najbieglejszego ze względu na obszerność dzieła (288 stronnic in folio) byłoby niemałém zadaniem. Owe więc rękopisy Ramusa musiały być chyba fragmentami dokonanego już poprzednio łacińskiego tłómaczenia, wówczas już zaginionego, które francuskiemu wydawcy znakomicie ułatwiły jego zadanie. Być też bardzo mogło, że tłómaczenie to już za czasów naszego Ciołka istniało i kto wié nawet czy on go sam nie dokonał, biorąc za tło Alhazena pracę do napisania swego podręcznika. Jestto wprawdzie przypuszczenie, które już przed nami zrobił *Bęłkowski*, lecz przypuszczenie bardzo podobne do prawdy.

Wspomnieliśmy już, że *Roger Bakon*, który przed 300 laty miał także Alhazena pod ręką i współcześnie z Vitellionem nim się posługiwał, niewiele sobie z niego robi, twierdząc, iż powtarza tylko greckich optyków. Tymczasem Risner wyraża się o nim zupełnie inaczéj i mówi: „Pilność zaprawdę w mężu arabskim zadziwiającą dostrzegłem i naukę (co dobrze osądzić byłem w możności) zupełnie niezależną od starożytnych greckich optyków. Nic tam prawie nie pochodzi z *Euklidesa* lub *Ptolomeusza*. Być może, że cokolwiek wzięto z *Archimedesa*, *Apolloniusa* lub *Avenalla*, o których wiadomo jest z pomników piśmiennictwa, że o optyce pisali. Toż samo od *Damiana* i innych optyków, których dzieła nigdy przez moje ręce nie przechodziły. Że czytał starożytnych, sam się Alhazen przyznaje w księdze VI Rozd. 4, gdzie mowa o błędzie, jaki się wydarzył w obrachowaniu kulistych zwierciadeł wklęsłych, oraz w księdze VII Rozdz. 6, gdzie mowa o tém, że wzrok widzi przedmioty podług refrakcyi. Dlatego gdy spostrzegłem, że znakomity i bogaty optyk nieraz zawiłym i niezrozumiałym się staje, idąc za zdaniem i radą Ramusa, postanowiłem porobić w nim następujące zmiany. *Po pierwsze.* Ponieważ całe dzieło podzielone było na nieliczne i bardzo długie rozdziały z nieprzerwanym wykładem, więc je porozdzielałem na propozycye (paragrafy) i twierdzenia Vitelliona im odpowiadające do nich w ten sposób zastosowałem, ażeby nauka optyki dla nieświadomego rzeczy, lub dla początkującego czytelnika, przy porównaniu dwóch sposobów dowodzenia stała się łatwiejszą i zrozumialszą. *Powtóre.* Poprawiłem i uzupełniłem wszystkie dowodzenia (których po największéj części zupełnie brakowało), podług Euklidesa, Teodosiusa, Apolloniusa, Serana i innych matematyków, i wreszcie dopełniłem przedewszystkiém piątą i szóstą księgę, w których o *katoptryce* jest mowa, i siódmą, gdzie się o *dioptryce* traktuje, z powodu ciemności i niedostateczności dowodzeń. *Potrzecie* figury wszystkich twierdzeń na nowo przerobiłem. Ot i wszystko, co zrobiłem w samym przedmiocie i w myślach; co się zaś stylu dotycze (in verbis), to tu wcale podobnéj nie miałem pracy. W stylu bowiem sądzę, że prawie nic nie zmieniłem, chyba że zamiast wyrazów zaciemniających przedmiot, lub czyniących go dwójznacznym, inne postawiłem i tytuł dzieła *de aspectibus* greckim wyrazem zwięźlejszym i krótszym *Optyka* opatrzyłem."

Zapatrując się jednak na te wszystkie w dziele Alhazena przez Risnera dokonane i nibyto małoznaczne zmiany, nie każdy podzieli zdanie uczonego wydawcy co do ich doniosłości, i owszem niejeden bezstronny pewnie orzecze, iż one właśnie zatarły wszelkie, jeżeli tak rzec można, Alhazena rodzinne cechy, i że oczéwiście nie

chodziło Risnerowi wcale o zachowanie archeologicznéj czystości arabskiego autora, mającéj posłużyć do ocenienia stanowiska, jakie w swojéj epoce zajmował, lecz o zastosowanie dzieła Alhazenowego do potrzeb obecnych w XVI wieku. Jeżeli więc Ciołek, biorąc go za podstawę do napisania swojego podręcznika w XIII stuleciu, po swojemu go przerobił, to znów Risner dokonał na nim tego samego, z tą tylko różnicą, że nietylko zapatrywał się na Alhazena z punktu widzenia ogólnego w XVI wieku kierunku w optyce, który Vitelliona był dziełem, ale nadto bezpośrednio go użył do objaśnienia i uzupełnienia swego ulubieńca. Pomijam jednakże na teraz ważną tę okoliczność i zwracam tylko uwagę na ostatni ustęp powyższego przytoczenia, dotyczący się stylu arabskiego dzieła, gdyż każdy przeczytawszy go uważnie zgodzi się pewnie na to, że tak się nie mówi o dziele naukowém, które się z obcego języka przekłada, gdzie idzie o oddanie myśli a nie wyrazów. Jestto jednym jeszcze dowodem, że Risner posiłkował się nie arabskim rękopisem, lecz jego łacińskiém tłomaczeniem, w którém z zupełną swobodą mógł wszystko dzielić, przerywać, sztukować i dopełniać. Każdy, ktokolwiek jego opracowanie Alhazena weźmie do ręki, na pierwszy rzut oka dostrzeże, że przetłómaczenie takich ustępów i wyrażeń, takiéj rozwlekłości i zawiłości z języka obcego i już umarłego, jeżeliby miało być dokonane bez zmiany w stylu, byłoby rzeczywiście sztuką wymagającą niesłychanéj wprawy, nad któréj nabyciem pewnie Risner się nie wysilał, mając już dobrze wyrobioną terminologią i utarte naukowe wyrażenia w swym czasie, któremiby łatwiéj myśl każdą mógł oddać.

Z pod ręki Risnera wyszła przeróbka Alhazena, gdyż roboty jego inaczéj nie możemy nazwać, która przedstawia nam się w sposób następujący: Całość rozdzielona jest na ksiąg siedm. W *pierwszéj* jest mowa o oku i wszystkiém, co wówczas o czynności wzrokowéj wiedziano. W *drugiéj*—o własnościach ciał, które dostrzegamy oczami. W *trzeciéj*—o złudzeniach optycznych. W *czwartéj*, *piątéj* i *szóstéj* autor za pomocą konstrukcyj geometrycznych, po największéj części przez Risnera dodanych i z Ciołkiem identycznych, oznacza wielkości i położenia obrazów przez różnego rodzaju zwierciadła odbitych. W *siódméj* nareszcie, w któréj najwidoczniéj występuje współudział Risnera, jest mowa o fenomenach załamania światła. Téj to właśnie księdze przyznaje się ogólnie niemałą naukową wartość, i zasługa arabskiego autora w żywszémby się w niéj okazywała świetle, gdyby był dowód na to, że się tu bez późniejszych dodatków obeszło.

Podobieństwo więc Risnerowskiego Alhazena z Vitellionem, co do ogólnego układu, jest uderzające, a zachodzi ono również i co do szczegółów, których tu dla braku miejsca roztrząsać nam niepodobna, ale zawsze pozostaje pytanie, kto się tu upodobnił do kogo, czy Ciołek do Alhazena, czy téż nawzajem? Znakomitego Araba nie znamy ani w oryginale, ani w pierwotnych jego tłómaczeniach łacińskich, i sądzimy o nim jedynie z jego przez Risnera przeróbki, a oprócz zmian i dodatków, jakie on sam do niéj powprowadzał i do których się sumiennie przyznaje, mogło się jeszcze w przeciągu trzech wieków przyplątać do Alhazena mnóstwo późniejszych naleciałości.

Wszakże wiadomo dobrze, jak się to wówczas obchodzono z rękopisami. Na ich marginesach dopisywano wyciągi z dzieł obcych, a te potém w dalszém przepisywaniu wchodziły do textu. Wieleż to mamy dzieł starożytnych, mianowicie lekarskiéj treści, które tym sposobem jak najniewinniéj zostały pomodernizowane. Dotyczé się to owych dzieł głównie, które doszły do nas na arabskiéj drodze, a które dopiéro po odnalezieniu greckich oryginałów potrzeba było oczyszczać i do pierwotnego przywracać stanu. Wszakże i matematyczne dzieła nie uchroniły się również od takich domieszek: i tak np. pierwsze wydania *Euklidesa* zawiérają w sobie twierdzenia *Pappusa*, który po nim przeszło o lat 110 pisał, a wiele stąd w sądach potomności zrodziło się błędów, dotąd nikt nawet nie wié. Że tak być mogło, a nawet, że tak być musiało z naszym Ciołkiem, którego ograbiono na korzyść Alhazena, śmiało twierdzić można, jak to się zaraz pokaże, a że grabierz takowa dokonywała się bezwiednie i z najlepszą wiarą, więc nawet i powstawać przeciw niéj nie można.

Dzieło Ciołka w wydaniu Risnera uległo także niemałéj, lecz sumiennéj i *bezstronnéj* zmianie, za którą nietylko, że wydawcy nic do zarzucenia mieć nie możemy, lecz przeciwnie bardzo obowiązani być mu powinniśmy. Zawiadamia on nas o tém w swojéj dedykacyi do Katarzyny de Medicis, rekomendując królowéj Ciołka i Alhazena zupełnie tak samo, jak gdyby ich osobiście na Dworze przedstawiał, przyczém tak dobrze Arab, jak i Sarmata (bo tak Vitelliona nazywa) dosyć wyglądają pociesznie, a następnie pisze: „Co się pracy dotyczé, jaką w odnowieniu i uporządkowaniu jego dzieła poniosłem, wypadnie je krótko uwzględnić, porównywając dawniejsze wydanie z nowém. W Vitellionie dotąd wydanym nie było ani jednego wykreślenia, w którémby litery były na właściwych miejscach. Przy wielu brakowało dowodzeń, a przy wielu znowu dowodzeniach brakowało wykreśleń. Otóż wszystko to według starożytnych ręko-

pisów, jakie Ramus pozbiérał, starannie przywróciłem. Oprócz tego, w całém dziele poprawiłem 3.645 błędów ważniejszych, co do zdań i wyrażeń, o mniejszych zaś usterkach przemilczam. Nadto przekonałem się, że wiele figur było fałszywych lub nieodpowiednich dowodzeniom; wiele pozamieniano, lub tam gdzie należały wcale ich nie było. Figury więc wszystkie z gruntu poprzerabiałem, ściśle się o to starając, ażeby te ważne przeszkody w późniejszych studyach optycznych nie zawadzały, przejrzałem miejsca ze starożytnych optyków, z których takowe były zapożyczone, i wszystko to w dopiskach wskazałem. Nakoniec wszystkich sił dołożyłem, ażeby użytek z rzeczy optycznych, a jest on nie mały, jak to w przedmowie do Alhazena wskazano, nietylko był pełniejszy i wybitniejszy, lecz ażeby one same były więcéj pociągającemi i dostępniejszemi.“ Praca, którą tu podjął Risner, była rzeczywiście ogromną, zważywszy na dzieło Ciołka, całe na geometrycznych dowodzeniach oparte, zawiérające 620 figur w tekście, nieraz bardzo skomplikowanych, których odszukanie w greckich autorach, o ile nie są samemu Ciołkowi właściwe, musiało być bardzo mozolne.

Dokonawszy wszystkich tych uzupełnień i poprawek w obu wzmiankowanych dziełach, Risner urządził oba w ten sposób, że za pomocą odsyłaczy przy każdéj propozycyi (paragrafie) jednego można odnaléźć z łatwością miejsce w drugiém dziele, gdzie o tym samym przedmiocie jest mowa. I to także wymagało niesłychanego mozołu i cierpliwości, ale téż i korzyść była wielka, gdyż dopięto rzeczywiście zamierzonego celu, ażeby nauka optyki, dla początkującego czytelnika, przy porównaniu dwóch sposobów dowodzenia, stała się łatwiejszą i zrozumialszą. Z dwóch dzieł osobnych tworząc jednę całość, Risner rzeczywiście wielkie oddał szkole i naukowości usługi, lecz czy przy tém całém jego postępowaniu Vitellion pokrzywdzonym nie został, jestto pytanie, nad którém nam właśnie bliżéj zastanowić się należy. I tak pominąwszy już, że układ obu dzieł, dla obu pisarzy stawiających oko na czele optyki, przez samę naturę rzeczy, musiał być koniecznie jednaki, z porównania szczegółów pokazuje się jasno, że takowe nieraz nietylko są indentyczne, ale co więcéj prawie żywcem poprzepisywane z zachowaniem nawet tych samych wyrazów. Miejsca te łatwo odnaléźć, biorąc za przewodnika rozprawę *Wituskiego*,, w któréj starannie są obok poustawiane, że zaś na czele *Skarbu Optycznego* Risnera umieszczony jest jako dawniejszy Alhazen, a potém idzie za nim dopiéro Ciołek, stąd téż ten ostatni nietylko pozbawiony jest wszelkiego znaczenia, ale, zepchnięty na drugi stopień, wygląda na naśladowcę, a nawet na prostego kopistę. Pozory rzeczywiście świadczą przeciw niemu, nie

dziwimy się téż wcale, że się niemi dali cudzoziemcy uwieść, lecz pojąć nam rzeczywiście trudno, jakim sposobem, pomimo nibyto głębszéj krytyki i głębszego się w rzeczach rozpatrzenia, *Wituski* na ich poniekąd podpisuje się zdaniach.

Że Ciołek czerpał z Alhazena obficiéj może jak z wielu innych pisarzy, układając swoje *Compendium*, z góry jużeśmy przyznali. Nie chcemy go także usprawiedliwiać, że pominął Alhazena nazwisko, jeżeli mu ono było znajome, bo i to być mogło, jak to już zauważyliśmy powyżéj, że mógł mieć bezimienny rękopis, który dopiéro późniéj przypisano jednemu z czterech Alhazenów arabskich; wszelako nie możemy żadną miarą pojąć, jakim sposobem można go pomawiać o przepisywanie, boć przecięż Alhazen pisał po arabsku, a jeżeli tłómaczenie łacińskie Ciołka w niektórych miejscach dosłownie odpowiada także łacińskiemu tłómaczeniu o trzy wieki późniejszego Risnera, toć chyba Risner od Ciołka, a nie Ciołek od Risnera przepisał. Musiało tu zatém zajść jakieś zawikłanie z owemi dwoma rękopisami *Ramusa*, które, jak to już dowiedliśmy, nie mogły być po arabsku pisane.

Zdaje się, że nietrudno nam przyjdzie rzecz całą rozwikłać, jeżeli w jednę krytyczną całość zwiążemy szczegóły i wywody, któreśmy z osobna już także traktowali powyżéj.

I tak kiedy Vitellion, czyniąc zadosyć życzeniu Morbety, zabiéra się do napisania książki o *perspektywie*, a nauka ta, jak to sam wyznaje, była mu obcą w téj mierze zapewnie, ażeby o niéj mógł pisać dzieło, pierwszém jego usiłowaniem musiało być koniecznie obznajmienie się gruntowne z całym obszarem ówczesnéj literatury odnośnie do jego zadania. Otóż, wśród tych poszukiwań, musiał natrafić na rękopis arabski nieznany, który dziś przypisujemy Alhazenowi.

Rozpatrzywszy się z nim bliżéj, znalazł w nim nieład, rozwlekłość, brak systematycznego wykładu, brak najistotniejszych dowodzeń, ale zarazem znalazł w nim mnóstwo nagromadzonych faktów, po części nowych, po części już przez dawniejszych optyków zanotowanych, lecz wymagających objaśnienia i dopełnienia. Wszakże i Risner to samo zauważył w swém pierwotném Alhazena dziele i uznał, że go bez bliższego opracowania światu niepodobna było pokazać; nie możemy się dziwić przeto Ciołkowi, że przyszedłszy zarówno do takiego samego przekonania, musiał Alhazena jak najzupełniéj przerobić, biorąc w braku wszelkiego innego, dzieło jego za pierwsze tło do swego podręcznika. Jeżeli dzieło to za czasów Ciołka było już przełożone na język łaciński, co jednak nie jest podobném do prawdy, to uczony nasz miał z niém mniéj kłopotu, ale jeżeli jeszcze przełożone nie było, to je sam musiał sobie przetłómaczyć konie-

cznie, mając sam pisać po łacinie i zamierzywszy na niém się opierać. Być nawet bardzo może, że chcąc się zrazu tanim kosztem ze swego Morbecie wywiązać przyrzeczenia, miał zamiar Alhazena tylko uporządkować i uzupełnić, a to tém więcéj jeszcze, że jak już powiedzieliśmy, arabski autor zapatrywał się więcéj na przedmiot z punktu widzenia fizykalnego, a Ciołek był przedewszystkiém matematykiem, i chodziło mu o to, jak sam powiada, ażeby *mathematica demonstratione omnia concludere*. Lecz ponieważ w miarę zapracowania się i rozmiłowania w przedmiocie rozszerzały mu się jego ramy pod ręką i w nich tło Alhazenowskie prawie się zupełnie zatarło, mogła więc powstać pokusa przemilczenia o Alhazenie, jeżeli autor nasz rzeczywiście na nią był narażonym. Sam fakt jednakże przemilczenia dowodzi nam jasno, że za czasów Ciołka rękopis Alhazena, na którym się opiérał, musiał nadzwyczaj mało być znanym, w przeciwnym bowiem razie przyswojenie go sobie w takiéj mierze, jak tego dokonano, nie byłoby się udało. To też ta właśnie okoliczność prowadzi nas do wniosku, że Ciołek był chyba Alhazena pierwotnym tłómaczem.

Jakiém odtąd powodzeniem cieszyła się *Perspektywa* Ciołka już z powyższego wiadomo, lecz oprócz niéj mogło być także w obiegu owo pierwotne łacińskie Alhazena przetłómaczenie. Przepisywano je różnie, jak wszystkie w owym czasie księgi, i wcielano w tekst przypiski na marginesach przez czytelników podawane, oraz wyciągi z innych dzieł, gdyż rzadko takowe można było mieć do swego rozporządzenia. Że zaś *perspektywa* Vitelliona była przez trzy z górą wieki dziełem najznakomitszém w téj gałęzi nauki, korzystano więc z niego najwięcéj i tym sposobem Vitelion coraz więcéj do Alhazena się wciskał, chociaż i nieład w tém ostatniém dziele coraz bardziéj wzrastał, mnożyły się błędy, gmatwały się wykréślenia i dowodzenia i coraz większy rosł chaos. Takich to zapewne rękopisów odłamki dostał dwa Ramus w swe ręce, a rzecz naturalna, że między niemi a Ciołkiem znalazło się wielkie podobieństwo, a co więcéj dosłowna w niektórych miejscach tożsamość.

Innym znowu źródłem i to bardzo poważném upodobnienia Ciołka do Alhazena stało się samo obudwu opracowanie Risnera, i gdyby nie jego zamiłowanie w nauce i wzorowa jego sumienność, a zarazem wysokie uznanie Ciołka, którego za swego mistrza uznaje, orzec byśmy mogli że w nim przebija duch jego patrona *Ramusa*, owego prześladowcy *Aristotelesa*, który również, jak i nasz polski uczony, tworząc naukę, nie usprawiedliwiał się wcale skąd brał do niéj materyał. Wszakże i Ciołek w swym czasie i w swoim zakrésie był także wielką powagą, logiczność więc doktryny wymagala prze-

konania się o jéj racyi bytu. Schwytano więc, jako dwa *corpora delicti*, owe dwa ze starych rękopisów urywki i wyzyskano je bez bliższego się rozpatrzenia w ich rzeczywistéj wartości.

Pragnąc te dwa rękopisy w jednę związać całość, trzeba było koniecznie wziąć Vitelliona za przewodnika, wszakże się Risner sam do tego przyznaje. Potém idąc daléj, wzbogacono Araba całym przyborem twierdzeń ze starych greckich matematyków, których, jak nam mówi Risner, Alhazen albo zupełnie pominął, albo bardzo mało dbał o nich. Późniéj podążając ciągle za natchnieniem Ciołka, porozdzielano Alhazena na rozdziały i paragrafy odpowiednie, co do układu, dziełu Vitelionowemu, a naostatek dwie najważniejsze księgi, szóstą i siódmą, traktujące o odbijaniu i o załamywaniu się światła, przerobiono i uzupełniono według pojęć XVI stulecia i powiedziano nam wreszcie: Oto jest wielki geniusz XI wieku, patrzcie, czytajcie i podziwiajcie. Ale czy też to przypadkiem nie jest złudzeniem? to bowiem, co Vitellion napisał, wyszło niezawodnie z pod jego pióra, ale to, co uczonemu Arabowi przypisujecie, wtedy dopiéro mogłoby być uznane za jego zupełną własność, gdyby się w pierwotném jego znalazło dziele, które na nieszczęście jest dzisiaj jak najzupełniéj nieznane i gdzieś zaginęło bez śladu.

Kto się na pierwszy rzut oka chce przekonać o owém zmodernizowaniu Ciołka i Vitelliona w wydaniu Risnera, niechaj tylko porówna jego wizerunek przecięcia oka, z tém, które powyżéj przytoczyliśmy w kopii z drugiego dzieła Ciołka wydania (str. 560). Tenże sam wizerunek znajduje się i w dziele Alhazena, a każdy rzeczy świadomy odkryje w nim odrazu pojęcia anatomiczne XVI wieku, o których Ciołek, a tém więcéj Alhazen nie mogli miéć wyobrażenia.

Zapatrując się w podobny sposób na dzieło Araba z punktu widzenia swych własnych pojęć i wyzyskując Vitelliona na jego korzyść, Risner zrobił pierwszego olbrzymem, przy którym nasz biedny Ciołek w swojéj własnéj postawiony postaci zmalał niesłychanie. Służy on bowiem tylko do objaśnienia tego, co w Alhazenie jest ciemném, lecz zepchnięty na drugi stopień traci poniekąd całą swą wartość. A tak też o nim jak najniesprawiedliwiéj sądzono od czasów jego nieszczęsnego zespolenia z Alhazenem, w którym się Risner rozmiłował nad miarę. Rzeczywiście, jeżeli Ciołek znał imię arabskiego swego poprzednika, używając dzieła jego za pierwszą podstawę do swéj pracy, i przez samolubstwo takowe zataił, to naukowa *Nemezis* srodze się na nim pomściła. Wartoby, ażeby ten przykład na wieczną zachować przestrogę, gdyż niewiele tak uderzających się znajdzie w historyi naszéj naukowości.

Lecz wina Vitelliona, chociażby dowiedzioną być miała, nie ujmuje nic wcale z jego zasługi, bo tu mu Alhazen już na drodze nie staje. Ten, kto chcąc go oceniać, zapatrując się na niego z punktu widzenia doskonalenia się i mnożenia się optycznéj wiedzy, dowodzi już przez to samo, że nie ma o nim zdrowego pojęcia. On był tylko jéj mistrzem, mentorem i konstruktorem optyki jako nauki i przez trzy z górą wieki wychował swoim wpływem piętnaście generacyj na jéj usługi; stanowił on ogniwo, łączące starożytność z nowoczesném badaniem i to tak wybitne i niezbędne, że gdyby go nie było, to trudnoby nawet wyobrazić sobie, jakiemi torami byłaby poszła nowożytna optyka, zanimby była dosięgnęła dzisiejszego stanowiska swojego.

Jestto zaiste niemałą z naszéj strony wadą, że w historyi nauk w ogólności zastanawiamy się wyłącznie nad ich tylko faktycznym wzrostem i pomijamy niezbędne ku temu środki, jakiemi są *Systematyka* i *Pedagogia*—a jednak bez pierwszéj wszelkie naukowe usiłowanie kończyłoby się na bezładnym encyklopedyzmie, a w braku drugiéj nie byłoby systematycznéj i dobrze pojętéj tradycyi. Ludzie tym oddający się kierunkom giną bez śladu, a jednak czémżeby była bez nich cała naukowość nasza? Otóż właśnie *Vitellion* do ich liczby głównie należy i nie jego jest winą, że go nie umiano ocenić, a poczuwając się jednak względem niego do obowiązku, wynaleziono sobie do niego przyczepkę, jak gdyby dla zagłuszenia głosu sumienia.

Przyznać jednak wypada, że Risner, działając z najlepszą wiarą, jest wolnym zupełnie od powyższego zarzutu, wyraża się bowiem o Vitellionie w następujący sposób: „Chociaż najprzód z *Alhazena*, a potém z wielu greckich źródeł korzystał, to jednak dowodzenia podziwienia godnemi uzupełnieniami wzbogacił. *Alhazena*, *Euklidesa* i *Ptolomeusza* twierdzenia i przypuszczenia pozgromadzał, uporządkował i przystosował, a to wszystko niesłychanéj wymagało pracy. Lecz i z *Apolloniusa*, *Teona*, *Menelausa*, *Papusa* *Proclusa* i innych z wielką bystrością umysłu pozbiérał liczne dowody, ze sobą powiązał i zgodnie z naturą rzeczy na *optykę*, *katoptrykę i dioptrykę* podzielił, a wszystko to zadziwiająco dokonał. I czegóż więc można zażądać więcéj? Jeżeli twórcą i mistrzem sztuki ma się ten nazwać, kto jéj dał formę i ducha, to Vitellion bez zaprzeczenia za twórcę Optyki powinien być uznany.

Si artis opifex atque author habendus sit qui arti formam animamque dedit, Vitello jure optimo opticae artis author habeatur.

Jestto najsprawiedliwsza i najbestronniejsza naszego autora ocena, a o niéj pamiętać powinni wszyscy, którzy śmią uwłaczać je-

go zasłudze, bo nikt z nowożytnych od Risnera lepiéj z nim się nie zapoznał i nie był w możności uznawać dokładniéj jego usterki i zalety.

Powiedziano już dawno, że *habent sua fata libelli*, a dzieło naszego znakomitego rodaka jest najlepszym tego dowodem. Pod jakiemiż to dziwnemi naukowemi, politycznemi i towarzyskiemi powstało ono konstellacyami i jak szczególne przechodziło kolcje! Niegdyś świetne i czczone, dziś leży zapomniane w pyle biliotek, osławione i niemal wzgardzone, a jednak jakież ogromne oddało nauce usługi. Jestto smutna historya starego nauczyciela, który życie swe strawił na wykształcenie kilku pokoleń, a w późnéj starości gdzieś w kącie dogorywa w zapomnieniu i nędzy. Dzieje nietylko polityczne, ale i naukowe umieją srogo być niewdzięcznemi. Niechajże więc chociaż tych kilka stronic, które tu o Ciołku skréśliłem, będą głębokim hołdem dla jego pamięci.

Dr. Szokalski.

STAN EKONOMICZNY POLSKI

W LATACH 1782 —1792.

(Dokończenie).

VII.

Skarbowość polska ma swoję znakomitą, acz niedostatecznie jeszcze poznaną historyą.

W XVI wieku (od 1512 r.) skarb królewski został oddzielony od skarbu rzeczypospolitéj, w 1562 roku wszystkie wydatki tego ostatniego poddane były pod kontrolę sejmów, od r. 1520 (1) aż do 1794, przechował się do dziś dnia nieprzerwany prawie szereg rachunków skarbowych w porządnych, zwykle starannie, czasem ozdobnie pisanych, w drzewo lub skórę oprawnych księgach. Liczba ich wraz z brulionami i kopiami wynosi 118. Na egzemplarzach głównych znajdujemy zawsze pokwitowania, a czasem uwagi i sprostowania, podpisane przez senatorów i posłów ziemskich, składających deputacye sejmowe, wysadzane do sprawdzenia rachunków.

P. Rossman dopatrzył podobieństwa w rozwoju budżetu polskiego z rozwojem budżetu Anglii, a profesor Dr. Bieliński, podzielając to zdanie, utrzymuje, iż instytucye budżetowe pochodzą z Polski i Anglii, gdzie też jedynie w dawnéj zachowały się czy-

(1) Xżę Jan Tadeusz Lubomirski opracował rachunki z dochodów skarbu królewskiego nawet 1507, 1510, 1511 i 1514 roku w broszurze, p. t. Trzy rozdziały z historyi skarbowości. Kraków 1868 r.

stości" (1) Podstawą tego podobieństwa jest podział budżetu na dwie części: stałą, konsolidowaną, od sejmów niezależną, i niestałą, niby budżet okolicznościowy, na który główną zwracały uwagę deputacye sejmowe. Podział taki został ostatecznie usankcyonowany dopiéro przez konstytucyą z roku 1717.

Jak daleko sięgać mogło to zaszczytne podobieństwo skarbowości polskiéj do budżetów najpiérwszéj dziś potęgi finansowéj świata? o tém żadnego zdania objawić nie jestem w stanie ze względu na niedostateczność wiedzy mojéj co do historyi finansowéj obu porównywanych krajów. Zważywszy jednak, że pisarze-finansiści znajdują we Francyi pierwszy zawiązek budżetu dopiéro w sławném sprawozdaniu Neckera (Compte rendu au Roi) z r. 1781, a w innych krajach na lądzie Europy w XIX wieku, można, zdaje się, przyznać Polsce wysokie stanowisko w zakrésie zasad przewodnich gospodarstwa skarbowego.

Inne wszakże domysły nasuną się nam, skoro zajrzymy do skrzyń podskarbiego i zapytać zechcemy o treść skarbowości, o zawartość realną, o zasoby piénię̇żne skarbu.

Dopóki wystarczało gospodarstwo średniowieczne, gdzie wojsko, administracya, sądownictwo otrzymywało płace w ziemi, jéj produktach i bydle lub futrach, dopóty rząd i królowie słyną z zamożności i potrzebom państwa sprostać mogą bez żadnych prawie podatków. Dwa grosze od łanu, zastrzeżone ugodą koszycką 1374 r., jako znak poddaństwa szlachty królowi, wystarczają nawet na pompę dworską. Ale gdy od XVI wieku rozwijać się zaczęło gospodarstwo piénię̇żne w całéj Europie, skarb popada z każdym niemal rokiem w coraz większe kłopoty. Nie mamy wprawdzie opracowanego należycie obrazu finansów ani z XVI, ani z XVII wieku, możemy więc wyciągnąć powierzchowne tylko wnioski z luźnych cyfr i rachunków; z tego wszakże, cośmy pobieżnie oglądali, domyślać się wolno, iż od czasów Zygmuntowskich rzadko obywał się skarb bez deficytu i prawdziwą mógł się pochlubić zamożnością. Za Zygmunta I, w badanym przez księcia Lubomirskiego okrésie, dochody roczne wynosiły mniéj więcéj około 100.000 złł. ówczesnych, których wartość podług cen żyta z r. 1868 odpowiada $12\frac{1}{2}$ milionom złotych dzisiejszych; suma ta nie wystarczała częstokroć na wydatki i deficyt był pokrywany przez bogatego kupca Krakowskiego Se-

(1) Rossman: Rys historyczny budżetu w Polsce. Ekonomista 1865 I. str. 21 Dr. L. Biliński: System Nauki Skarbowéj. Lwów 1876 str. 407.

weryna Bonera (1). Zygmunt August musiał zaciągać znaczne długi, np. 500.000 złł. w r. 1565; na pokrycie tych długów oraz na potrzeby wojenne sejmy uchwalały wprawdzie hojne podatki, ale te niezawsze szły do podskarbiego: poborcy mieli obowiązek rachować się wprost z sejmikami i deputacyą sejmową, a pieniądze składają czasem w zamkach głównych województw (2). Za Stefana Batorego w r. 1578 dochody wyniosły 133.658 złł., na sejmie 1579 r. wykazanych było wydatków 396.075, dochody zaś przewyższyły tę sumę o złł. 608., ale w 1580 r. znajdujemy dochodów tylko 207.337, gdy wydatki wyniosły o 51.602 złł. więcéj; deficyt pokryty był pożyczką, zaciągniętą u księżny Słuckiéj (3). Nie wielkażto była skala obrotów pieniężnych skarbu, jeśli jedna osoba prywatna mogła dostarczyć sumy, wynoszącéj czwartą część dochodów rocznych!

Bo też skarb owoczesny miał zawsze jeszcze nie wielkie potrzeby. Podskarbiowie w rachunkach swoich mieszczą tylko wydatki na „ludzie służebne,“ na wojsko zaciężne, na żołnierzy kwarcianych, na broń i prochy, na podarki tatarskie i utrzymanie posłów wschodnich, lub wyprawienie poselstw do Tatar, do Turek, do Moskwy oraz pewną sumkę na posłów ziemskich w sejmie. Główną też pozycyą dochodową stanowi kwarta. Przy takiém gospodarstwie państwowém nie było rzeczą niemożliwą prowadzić wielkie sprawy polityczne, spuszczając się na doraźne przez sejm uchwalane pobory, dopóki szlachta nie zatraciła ducha ofiarności. Wszakże i w XVI wieku brak funduszów utrudniał królom wykonanie najważniejszych zadań, a podskarbiowie, hetmani, nawet rotmistrze niejednokrotnie własną musieli nadstarczać kieszenią, dopóki chcieli i potrzebę rozumieli.

Znaczny wzrost cyfr w rachunkach skarbowych znajdujemy za panowania Zygmunta III; najpomyślniejszy bodaj bilans widzimy w dwuleciu 1603—1604, gdzie dochody dosięgły 1.063.492 złł., czyli w stosunku do Stanisławowskich czasów, podług ewaluacyi Czackiego, około 9.400.000 złł. z 1776 r. (a więc po 531.746 złł. równych 4.750.000 złł. Stanisława Augusta, a 19 milionom naszym rocznie), wydatki zaś były mniejsze o 47.911 złł. (4). W roku 1611 rachunek

(1) Xżę J. T. L. Trzy rozdziały ze skarbowości str. 24, 27, 92—93.

(2) Vol. Leg. II. f. 699 s. 55; uniwersał poborowy 1564 Ibid. fol. 668.669 str. 41 takiż uniwersał 1565 Ibid f. 717 str. 64.

(3) Rachunki sejmowe, księga 27, 29 z obu końców. W owéj epoce podług wagi srebra 1 złł. wyrównywał 8 złł. 26 gr. 2 denarom epoki Stanisława Augusta, r, 1776. Czacki o Lit. i Pol. prawach tom I, tablica.

(4) Ks. № 36.

z poborów 1609, 1610, kwarty 1610 i 1611 z doliczeniem zaległości z lat 1601, 1603 i 1607 wynosi 844.300 złł., tak że na koszta wojny Moskiewskiéj skarb musiał dopożyczyć 580.502 złł. i tym tylko sposobem zdołał pokryć bez deficytu wszystkie wydatki w sumie 1.424.803 złł. równéj 9.770.077 złł. z czasów Stanisława Augusta (1).

W epoce wojen kozackich z 1648 i 1649 r. wydatki dwuletnie wyniosły 5.979.970 złł. (równe 16.611.028 złł. Stanisławowskich z 1776 r.) a dochody tylko 5.934.446 złł. Pozornie największe ze znanych nam cyfr XVII wieku pochodzą z dwulecia 1659—1661. Dochody z tego dwulecia wynoszą 7.034.237 złł. Wszakże warte one są tylko 19.539.547 złł. Stanisławowskich z r. 1776 (a więc po 3.517.118½ złł. około 10 milionów Stanisławowskich na rok) (2).

Najbardziéj zapewne zdumiewającym jest rachunek koronny skarbowy ze sławnego dwulecia 1683—1685, kiedy miała miejsce wyprawa wiedeńska Jana III Sobieskiego. Dochód dwuletni w tym okrésie wyniósł zaledwo 2.291.697 złł., a w téj cyfrze mieszczą się 382.761 złł., wypłacone przez Papieża Innocentego XI, oraz 800.000 „z pieniędzy Cesarza Imci Chrześciańskiego in subsidium téjże wojny tureckiéj.“ Wydatki wyniosły znacznie większą sumę 2.673.550 złł. czyli 3.653.851 złł. Stanisławowskich z r. 1776 (3). Któżby przypuszczał, że wyprawa tak trudna i ważna dokonaną była z tak małemi zasobami skarbowemi? A jednak z tych skromnych zasobów pokryte były koszta utrzymania w polu najsławniejszéj armii polskiéj, z gwardyą królewską, artyleryą koronną, wojskiem „zoporohowskiém,“ urzędami kapitaństwa wojskowego, pisarstwa polnego, strażnikowstwa koronnego i wojskowego. Nadto mieszczą się w wydatkach znaczne sumy na traktat Andruszowski, na poselstwa do Holandyi i Anglii, Hiszpanii i Portugalii, Wiednia, Persyi itp.

---

(1) Ks. № 40 Ceny w owéj epoce, mianowicie w r. 1609 były następujące: kopa czyli masa zboża na Rusi i Wołyniu (a więc w żyznéj miejscowości) pszenicy gr. 20, żyta gr. 16 owsa gr. 4, siana wóz gr. 3; na Ukrainie trzecinnik pszenicy zł. 1, żyta gr. 20 owsa gr. 6, baran gr. 10, skórę wrócić; wieprz karmny złł. 2., niekarmny złł. 1., gęś groszy 1½, kur kokosz grosz 1., masła garniec, w którym bywa 24 kwart, złoty 1 gr. 10, sér tworzydłowy grosz 1. Vol. Leg II f. 1704 str. 482.

(2) Ks. № 47 i 49.

(3) Księga № 68. Chcąc zbliżyć podaną podług Czackiego ewaluacyą na złote Stanisławowskie do dzisiejszéj wartości, należy te cyfry zwiększyć jeszcze około czterech razy, ponieważ 1 złł. z lat 1786—1793 wart 3,77 złotego dzisiejszego, jakeśmy obliczyli wyżéj w artykule o handlu: „Ateneum,“ czerwiec 1877 r. str. 611.

Przytoczone tu cyfry stosują się tylko do skarbu koronnego. Nie znamy odpowiednich rachunków Skarbu W. X. Litewskiego; wnioskując wszakże z ustaw budżetowych późniejszych, domyślamy się, że dochody Litwy stanowiły mniéj więcéj około trzeciéj części dochodów koronnych.

Z dzisiejszemi budżetami, nawet z angielskim, taki rachunek skarbowy porównywanym być nie może, gdyż mnóstwo wydatkowych pozycyj, opłacanych obecnie ze skarbu państwa, przypadało wówczas na województwa i ziemie, które używały nader rozległych praw samorządu i mogły być porównywane chyba z kantonami szwajcarskiemi. Nawet funkcyonująca już od stu lat najwyższa władza sądowa Rzeczypospolitéj—Trybunały główne—nie przyczyniała skarbowi ani grosza wydatków, ponieważ utrzymywała się z „salariów,“ z opłat pobiéranych od wydawanych decyzyj i wyroków. Pisarze, podpiskowie, pachołkowie, jednóm słowem kancelarye, urzędnicy subalterni, służba policyjna, nic ze skarbu Rzeczypospolitéj nie pobiérali. Szkoły były utrzymywane przez Akademią Krakowską lub zakony duchowne; Akademia np. miała swój dawny fundusz 160 t. złł. (1). Poczta na głównych tylko traktach utrzymywaną była przez króla z jego własnych funduszów, zresztą na bocznych drogach zastępowaną była przez podwody włościańskie i miejskie. W zarządzie finansowym pensye płacono tylko podskarbiemu wielkiemu i trzem, lub czterem pisarzom skarbowym, wszyscy zaś poborcy i celnicy pobiérali tylko tantiemę, np. grosz od złotego z wnoszonych do skarbu, lub grodu opłat. Lista cywilna nie istniała, bo król miał swoje ekonomie, dzierżawy, młyny, a z intrat jego tworzył się skarb królewski, jak się zdaje, zasobniejszy znacznie od skarbu Rzeczypospolitéj. Nawet sumy, zbiérane na opłatę wojska, niewszystkie wchodziły do rachunków sejmowych podskarbiego już w XVII wieku, ponieważ od r. 1613 do wykrycia i zaspokojenia zaległości żołnierskich wysadzane były co lat kilka Trybunały Skarbowe dla korony w Radomiu (czasem we Lwowie), a dla Litwy w Wilnie. Trybunały te rewidowały poborców, szafarzów i Ekonoma pruskiego, szczególnie z podatków niewyegzekwowanych, i wystawiały pokwitowania, a ponieważ powaga ich równą była powadze Trybunałów Głównych, więc takie kwity nie potrzebowały już potwierdzenia przez sejm. Wszakże wyklarowanie obrotu funduszów, jakie tą drogą przechodziły, nastręczy wiele trudności przyszłemu historykowi finansów polskich, po-

---

(1) Głos Kublickiego posła inflanckiego na sejmie d. 27 Stycznia 1789 r. Dyaryusz, tom 2. Część I, str. 316.

nieważ bieg spraw nie zalecał się tu porządkiem; świadczy o tém wymowny przykład, że Trybunał skarbowy wileński 1700 r. miał sądzić wszystkie sprawy skarbowe od r. 1667 aż do 1669. Nie mogło też być porządnéj rachunkowości, niepodobna obliczyć dokładnie kosztów utrzymania wojska, jeśli deputaci od każdéj chorągwi sami wybiérali żołd „jeżdżąc po całéj Polszcze z asygnacyą, pośrutowaną w drobne kęsy“ (1). To też z powodu nieporządku w wypłatach żołdu, wojska wiązały się po razy kilka przez ciąg XVII wieku w groźne dla kraju konfederacye. (2)

Biorąc na uwagę wszelkie uzupełnienia, nie sądzimy wszakże aby zawartość, zasobność skarbu Rzeczypospolitéj mogła przynajmniéj w końcu XVII wieku dorównać budżetowi rocznemu owoczesnéj Anglii, która przy 5-milionowéj ludności dostarczyła skarbowi państwa w spokojnym 1685 roku 1.400.000 funtów sterlingów, oprócz niemniejszych może, jak w Polsce, opłat autonomicznych. W czasach zaś wojennych, pod berłem Wilhelma III (1689—1702), parlament uchwalał podatki nadzwyczajne, częstokroć w kwocie 1½ miliona funtów i zezwalał na pożyczki, które ku końcowi tego okrésu dosięgły ogromnéj sumy 15.730.439 funtów sterl. (3). Jeszcze uboższym wyda się nam skarb polski w porównaniu ze skarbem francuskim, który już w roku 1610, dzięki umiejętnéj i oszczędnéj administracyi Sully'ego, posiadał 26 mil. liwrów w dochodach zwyczajnych i 13 m. w nadzwyczajnych; spółczesny zaś Sobieskiemu Ludwik XIV wydawał w latach wojennych po 221 milionów, prawda, że nad możność, bo w końcu panowania pozostawił 2.600.000.000 liwrów długu (licząc po 28 liwrów na markę). O takim długu podskarbi polski oczéwiście nie mógłby ani pomyśléć. Cesarz niemiecko-rzymski miał 12.000.000 guldenów dochodu (4).

---

(1) Patrz Vol. Leg. III, f. 246, VI, f. 75, 347 Regulamen chorągwi polskich. Myśmy widzieli zaledwo kilka ksiąg rachunkowych, rewidowanych przez Trybunał Radomski.

(2) Bogaty w szczegóły obraz takiéj konfederacyi żołnierskiéj z r. 1661—1663 znajduje się w księdze Pamiętniczéj Medekszy, w Wydawnictwach Komisyi Histor. Akad. Umiejętn. w Krakowie Nr. 5.

(3) Macaulay, History of England, Tauchnitz edition I, 284, VII, 299, 300; Frederick Martin, The Statesman's Year-Book 1875. London. Macmillan, p. 223

(4) Dr. M. Philippson, Heinrich IV und Philipp III. Berlin. Duncker. II, 330. Voltaire, Siècle de Louis XIV, Oeuvres tome 21 p. 234. Arneth oblicza zwyczajne dochody Francyi około 1700 r. na 140.000.000 liwrów, z nadzwyczajnemi zaś 187.000.000 Prinz Eugen von Savoyen. 1858. Wien III, 96 i I, 189. Nawet elektor brandenburski miał w 1689 roku 1.100.000 reichs-talarów dochodu. Droysen, Gesch. d. preuss. Polit. 2-te Aufl. 1872. Leipzig. Friedr. I, str. 5.

W pierwszéj połowie XVIII w., za smutnych czasów saskich, skarb koronny nietylko nie zwiększał swoich zasobów stosownie do rozwoju gospodarstwa pieniężnego w innych krajach, ale przeciwnie chudł i malał. Rachunki, złożone przez podskarbiego hr. Lubomirskiego Augustowi II w 1701 r. z poprzedniego dwulecia, wykazują dochód ogólny (z percepty i prowentów Rzeczypospolitéj ordynaryjnych) w sumie 2.713.109 złł., z któréj na oszczędność pozostało 20.804 złł, ostatnie zaś sprawozdanie finansowe z tego okrésu, złożone przez podskarbiego w. k. Karola Odrowąża hr. Sedlnickiego Augustowi III i Stanom Rzeczypospolitéj na walnym sejmie warszawskim 1748 r. (zerwanym i dlatego w Voluminach niezapisanym), wykazuje dochód dwuletni w cyfrze 1.792.769 złł. z oszczędnością na wydatkach w kwocie 77.074 złł. (1). Wypada więc na rok 896.389½ złł., niecały milion na koronę! Wprawdzie jestto rachunek tylko z wydatków i dochodów nadzwyczajnych, ponieważ od czasów smutnéj pamięci sejmu 1717 r. wojsko miało zapewnioną sobie „punktualną płacę,“ czyli budżet stały normalny, w sumie 3.940.477 dla korony i 2.046.000 dla Litwy (wraz z hyberną). Nadto od połowy XVII w. miało jeszcze wojsko 1.014.000 złł. hyberny z korony na leże zimowe. Płacę tę wybiérało samo wojsko z województw, ziem, ekonomij, miast i miasteczek za asygnacyami wydanemi od podskarbiego przez swoich deputatów, a niedobory i wszelkie spory podlegały sądowi Trybunału Skarbowego. Ale i ta suma 7-milionowa musiała być niższą od dawniejszych kosztów, ponieważ liczba wojska przez konstytucyą 1717 r. została zmniejszoną do 24.000. Posłowie sejmu czteroletniego niejednokrotnie nazywali to zmniejszenie „zwinięciem.“ Za Sobieskiego uchwalano po 80.000 z korony i po 20.000 z Litwy (2).

---

(1) Summaryusz Rachunków Generalnych Skarbowych etc. pro die 10 Octobris złożony etc. w plice 119 działu II (druk), Rachunki Generalne Sejmowe.... 1748, księga 85.

(2) Vol. Leg. VI, f. 336—337 str. 169. Repartycya Woyska Kor., sumę półroczną rozmnożyliśmy przez 2., f. 381 str. 196, f. 279 sqq. str. 137 nast. Regulamen punktualnéj płacy etc. Hyberna obliczona podług Vol. Leg. V, f. 710 str. 346 z potrąceniem jednorazowych dodatków. W rachunkach sejmowych 1775 r. (księga N. 92 Dochody I), pozycye te różnią się trochę, mianowicie: pogłówne figuruje w sumie złł. 3.924.000, hyberna 1.063.939, gr. 3. Głosy posłów np. Jerzmanowskiego d. 9 Stycznia 1789 r. Sesya 47, w Dyaryuszu str. 50. Cyfrę 100.000 wojska za Sobieskiego znaleźliśmy w głosie Wawrzeckiego, posła Bracławskiego, który ją wziął zapewne z Vol. Leg. V f. 356 str. 177 tit. Ordynacya wojska. Głos Wawrzeckiego, z d. 26 Stycznia 1789 jest w Dyaryuszu urzędowym, 1788 tom 2, cz. 1 str. 337 nast.

Przypuszczamy, że wszystkie chorągwie szczegółową tabelą 1717 r. objęte utrzymywały się za Augusta III, oraz że podług téjże tabeli wszystkie województwa, ziemie, miasta składały wciąż owę „punktualną płacę“ pomimo powszechnego bezrządu; więc doliczając do wykazanéj w rachunkach skarbu koronnego sumy jeszcze 3.940.477 i 1.014.000 hyberny, otrzymamy całkowitą sumę budżetową 5.850.866 złł. na koronę i około 2½ milionów na Litwę (przypuszczając znów, że skarb litewski miał nadzwyczajnych wydatków około 500.000), czyli razem mało co więcéj nad 8 milionów złotych rocznie na armią, poselstwa, zarząd obu skarbów, pensye i wydatki nadzwyczajne całéj Rzeczypospolitéj.

Jestto suma niesłychanie mała w porównaniu ze spółczesnemi dochodami innych państw europejskich. Wszak sama lista cywilna króla angielskiego Jerzego I była oznaczoną na 1 milion funtów sterlingów, a minimum jéj na 800 tysięcy.

Dochody te pochodziły w 1748 r.: 1) z kwarty staréj, nowéj i kwadrupli; 2) z pogłównego żydowskiego w stałéj cyfrze pobiéranego po 220 t. rocznie; 3) z ceł; 4) ze składnego winnego. „Punktualna płaca wojska,“ czyli budżet stały pokrywał się: 1) pogłówném ze wszystkich dóbr i 2) hyberną z dóbr królewskich i duchownych, czyli opłatą na zimowe leże przeznaczoną i pobiéraną w stałéj cyfrze, niezmienianéj w ciągu stulecia prawie (1). Podymne było tymczasowo tylko uchwalone w 1717 r., ale z powodu zrywania sejmów przedłużyło się i utrzymaném zostało w 1733 oraz 1736, pomimo protestacyj posłów litewskich, którzy się powoływali na obiecane zniesienie tego podatku w 1673 r. (2).

Gdybyśmy przypuścili, że ludność całéj Rzeczypospolitéj wynosi tylko 10 milionów, to wypadłoby ogółem zaledwo 20 groszy owczesnych rocznie na głowę; grosz owczesny mógł wynosić około 5 groszy dzisiejszych, więc ciężar podatków owczesnych dochodzić mógł najwyżéj do 50 kopiejek na głowę, gdy dziś (raczéj w r. 1873) przypada w królestwie 6 rs. 3 kop., t. j. złł. 40 gr. 6 wszelkich

---

(1) Cyfra ta, z maluczką różnicą oznaczoną była w konstytucyi 1685 r., a figuruje jeszcze w rachunkach sejmowych 1775 r. Konstytucya 1775 r. (Vol. L. VIII, f. 137 s. 90), powiada, że ten podatek nie był lustrowany przez lat 150, ale zdaje się, że zachodzi tu omyłka w redakcyi. Hyberna ukazuje się po raz pierwszy w 1649 jako podatek uiszczany pieniędzmi (V. L. IV. f. 281 s. 128), ale w konstytucyi 1685 r. jest wyraźna wzmianka o taryfie z r. 1684 „rękami WW. Hetmanów i UU. Deputatów podpisanéj.... a na teraźniejszym sejmie skorygowanéj“ (Vol. L. V, f. 710, s. 346).

(2) Księga 85. Vol. Leg. VI, f. 592, str. 292 f. 674 str. 326.

opłat, a potrącając gubernialne około 5 rs. (4 rs. 95 kop.) (1), płacono zatém co najwyżéj jednę dziesiątą dzisiejszych podatków i opłat. Taka kwota 20-groszowa na rok mogłaby zdawać się uciążliwą chyba dla ostatniego nędzarza, a przecię Rzeczpospolita posiadała kilkudziesięciu magnatów, z których niejeden miał intratę, dorównywającą, albo i większą od dochodów skarbu koronnego; miała ze 40.000 szlachty właścicieli dóbr ziemskich, z których niejeden rachował intraty swoje na 100.000 i 150.000 złł. (2).

A więc w połowie XVIII wieku tanim kosztem miały być utrzymywane instytucye państwowe Rzeczypospolitéj! Budżet jéj miał tę oryginalną stronę, że w porównaniu z innemi państwami mógł być uważany za żaden, za zero. Najzawziętsi z dzisiejszych przeciwników idei państwowéj zadowolniliby się cyframi dochodów skarbu koronnego i litewskiego. Ale i oni zapewne zdziwiliby się, dowiadując się, że w téj Rzeczypospolitéj za czasów saskich utworzyła się znaczna klasa, która podatków wcale nie płaciła i nie znała. Tą klasą była szlachta owoczesna.

Ceł nie opłacała wcale, jakeśmy to zaznaczyli wyżéj, mówiąc o handlu; podymne spadało na poddanych, składne winne—na mieszczan, pogłówne—na żydów, a kwarta i hyberna—na królewszczyzny. Synowie tego pokolenia wyznawali na sejmie czteroletnim, że z dóbr ziemskich nic nie płacili, że z mlékiem matki wyssali zasadę, jako nic dawać nie powinni (3). Powoływali się na sejm 1569 r., gdy Rzeczpospolita podzieloną została pomiędzy króla i szlachtę: król otrzymał na swoje (a więc i państwowe ?) potrzeby prawo własności

---

(1) Załęski: Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego 1876. Warszawa str. 297, N. 102. Czacki podaje na 1717 r. wartość złotego 1 zł. 8 gr. w porównaniu do stopy 1776 r.; złoty zaś z 1786—1793 wart 3,77 dzisiejszych; wypada więc że złoty 1717 wart 4,77 dzisiejszych lub nieco więcéj.

(2) Co do magnatów dosyć jest przytoczyć tylko ilość posiadanych przez w-d; wileńskiego M. K. Radziwiłła królewszczyzn: miast 16, wsi 583, wójtostw 25, prócz niezmiernych dóbr własnych dziedzicznych; co do szlachty uderzającym jest przykład wprawdzie nie spółczesny, ale z niezbyt odległéj epoki: Suchorzewski, poseł Kaliski na sejmie czteroletnim d. 30 Stycznia 1789 r. przyniósł do Izby poselskiéj i złożył u Sekretarza Rady tranzakcye, poświadczające, że wartość dóbr jego wynosiła 3.000.000 złł., zkąd intratę swoją szacował na 150.000 rocznie. Dyaryusz sejmu Ordynaryjnego 1788 (urzędowy) Tom II, część II, str. 229, głos Krasickiego na sesyi 69, d. 3 Marca 1789 i Tomu II część I str. 359, głos Suchorzewskiego na sesyi 57 d. 30 Stycznia 1789.

(3) Głosy Wawrzeckiego, posła Bracławskiego na sesyi 56 d. 29 Stycznia 1789 r. i Czackiego (Michała) posła Czerniechowskiego na sesyi 67 d. 26 Lutego (Dyaryusz Seymu Ordynaryjnego w Warszawie rozpoczętego, roku pańskiego 1788—urzędowy, tom 2, cz. 1 str. 340 i cz. 2 str. 181, 205).

nad królewszczyznami, szlachta wzajemnie prawo nieograniczonéj własności nad dobrami ziemskiemi. Za to bezpłatnie pełniła służbę wojskową i bezpłatnie sprawowała wszystkie urzędy. W istocie, jeszcze w końcu XVII wieku służby te nie były czczym wyrazem. Jan III w r. 1685 nakazał nowéj szlachcie, aby stawili poczty usarskie, po koni trzy od osoby, na koniach dobrych, z rynsztunkiem i ochędóstwem, z żołdem i hyberną na trzy zupełne kampanie pod utratą indygenatów i szlachectwa (1). Ale w XVIII wieku nie było już wojska, któreby żołdu nie pobiérało; pospolite ruszenie, summum robur ac praesidium piersi szlacheckich, figuruje jako czczy frazes w konstytucyach 1712, 1717, 1718, 1724, 1726 r., więc tylko sejmowanie, sejmikowanie i urzędy ziemskie miały wynagradzać Rzeczypospolitéj utratę podatków z najobszerniejszéj części jéj ziem i z najmożniejszéj klasy jéj mieszkańców. Tyle tylko znaczył wtedy szumny frazes, że szlachta służy krajowi darmo.

Bo czyż darmo w istocie utrzymywały się instytucye Rzeczypospolitéj, czy w istocie tak one były taniemi, jak z budżetu wnosićby można?

Nie mamy danych do obliczenia kosztów utrzymania sądownictwa wyższego (Trybunałów) ziemskiego i miejskiego, bo te zaspakajały się taxą sądową (skrzynką) i kwaterami dla członków trybunału. Znamy tylko koszt utrzymania chorągwi trybunalskiéj na Litwie 20.000 złp. (2) i domyślać się możemy szkód wielkich, jakich doznawały strony przez niesprawiedliwe wyroki, gdy wymiar sprawiedliwości stał się igraszką stronnictw, a raczéj magnatów. Policya zaś i sądownictwo kryminalne starościńskie było tak kosztowne, jak nigdzie i nigdy zapewne, oprócz bowiem taxy, starostowie posiadali w dobrach dochód roczny, który w r. 1789 w uszczuplonym już kraju obliczano na 6 do 10 milionów złł. rocznie (3). Ponieważ

---

(1) Vol. Leg. V. f. 715, str. 348.

(2) Vol. Leg. VI, f. 381 str. 1717.

(3) Stan. Potocki, poseł Lubel. d. 8 Stycznia 1789 (Dyaryusz t. 2, cz. I str. 28), Świętosławski, Wołyński d. 20 Lutego (ibid tom 2, cz. 2, str. 118). Podług rachuby Radziszewskiego, posła Starodubowskiego, lustracye były tak dalekiemi od dokładności, że dwie kwarty czyli połowa intraty niemi wykazanéj stanowiła zaledwo 1/6 intraty rzeczywistéj (głos z d. 26 Stycznia 1789 r. w Dyaryuszu t. 2 cz. 1 str. 295). Tym sposobem jedna kwarta wynosiłaby tylko 1/12 intraty rzeczywistéj, a ponieważ z rachunków 1786—88 r. wypada kwarta roczna na 912.255 złł., więc intrata rzeczywista wynosiłaby 10.947.060 złł. Niniejszém prostujemy błąd popełniony w artykule o przemyśle (Ateneum, Listopad 1877, str. 341), gdzie dochód starostów obliczany był podług konstytucyi 1562 w stosunku 1/3 od dochodu brutto i porównany mniéj więcéj z kwartą. Pisząc

wartość pieniędzy w ciągu 40 lat zmieniła się niewiele i ulepszenia w rolnictwie, a więc i w intratach nie mogły być znaczne, cyfry te mogą być przeto przeniesione na ostatnie czasy panowania Sasów z poprawką, że przed pierwszym rozbiorem liczba starostów była większa, a przed lustracyą 1765 r. kwarty płacono jeszcze mniéj, z tém w kieszeni u starostów pozostawało jeszcze więcéj. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że za swe niezbyt pożyteczne a pod wieloma względami zgubne dla kraju usługi, starostowie pobiérali dwa razy więcéj, niż wynosił cały budżet (stały i niestały) Rzeczypospolitéj. Zarząd skarbowy w niższych swoich organach— exaktorach i poborcach — opłacał się tantiemą, a w wyższych sowitą pensyą (podskarbi w. kor. 120.000 złł. od 1736 r.) i dochodami z mętnych źródeł. Już za Jana III z mów i korespondencyj Grzymułtowskiego wyziérają wielkie malwersacye Podskarbiego i jego Urzędu, złożonego z kilku pisarzy: „nieznośne rękawiczne, na które więcéj podobno contrahentes in privatum dają, niżeli rzeczpospolita bierze;“ pisarze Kotowski i Płaskowski posiadają obszerne włości, książęce splendory, kryształowe wazy; deputowani sejmu do rachunków skarbowych dają się przekupywać za ukrycie i pokwitowanie nadużyć. Jednakże w rachunkach 1685 r. znajdujemy wypisany przez deputacyą długi szereg pozycyj fałszywych: sum wypłaconych niby na chorągwie, „które nie były i nie są w obozie,“ sumę (14.404 złł.) utajoną, od podskarbiego Morsztyna należną (1). Za czasów Saskich, wśród anarchii przy rzadko dochodzących sejmach, było jeszcze gorzéj: depredacya grosza publicznego stała się zwyczajem (2). Oświecenie i służba religijna uposażone też były funduszami kolosalnemi, o których pojęcie powziąć możemy z wartości dóbr po-jezuickich i biskupstwa krakowskiego. Zważywszy, że za Sasów Polska okrytą

---

to, nie znaliśmy jeszcze powołanych obecnie głosów sejmowych, które nam wyświeciły, że starostowie po opłaceniu kwarty, bardzo lekko przez lustratorów obliczanéj, zabiérali całą resztę, t. j. sowite $^{3}/_{4}$ dochodu dla siebie, nic nie dając stąd królowi, który ciągnął swoje dochody od r. 1590 tylko z ekonomii czyli dóbr stołowych, albo jak Jan III ze starostw danych mu w dożywocie

(1) Źródła Dziejowe Tom I. Krzysztofa Grzymułtowskiego Listy i mowy, wydał Jabłonowski. Warszawa 1876 str. 116, 119, 115. Rachunki Sejmowe księga 68, na końcu.

(2) Kilku podskarbich z kolei nie składało rachunków i sejm konwokacyjny 1764 wyznaczał w tym celu deputacyą do obliczenia się z ich sukcesorami: „Ponieważ, sukcesorowie zmarłych Podskarbich Wielkich Koronnych jedni, od których nie zupełnie oddane są rachunki, drudzy od których za cały czas podskarbstwa należy się kalkulacya dotychczas jéj nie uczynili.“ Vol. Leg. VII, f. 100, str. 51. Odzyskano od nich 332.508 złł., jak wykazują rachunki sejmowe 1766 r. w percepcie.

była gęstą chmurą ciemnoty i do gruntownéj doszła demoralizacyi, wypada zawnioskować, że szkoły i kler kosztowały zbyt drogo. Niepłatnemi w istocie były liczne urzędy ziemskie, ale téż nie wielki z nich był pożytek, gdy służyły tylko do nasycania próżności i do parady, a świadczy przeciwko nim dowodnie powszechna anarchia. Sprawdziło się tedy na nich przysłowie: jaka płaca, taka praca. Sejmikowanie, a szczególnie pobyt w Warszawie lub Grodnie podczas sejmów narażał szlachtę na wydatki, stanowił przeto uciążliwy obowiązek obywatelstwa, ale téż posłowie i senatorowie po większéj części wynagradzali sobie ten uszczerbek jurgieltami wodzących rej magnatów, albo nawet — żołdem obcych ambasadorów i ministrów.

Nie śmiemy tedy zalecać owych najtańszych budżetów polskich z epoki Sasów dzisiejszym znawcom nauki skarbowości do studyów i podziwiania. Służyć mogą one chyba za wyraz rozkładu Rzeczypospolitéj i narodu szlacheckiego. Kosztowały drogo, bo się opłaciły całkowitém rozprzężeniem machiny rządowéj, a w końcu rozbiorami kraju; działały zgubnie, bo przyzwyczaiły urzędników, szczególnie wyższych, do bezkarności, a szlachtę i magnatów napoiły najgrubszém, bezmyślném samolubstwem.

Takąto puściznę pozostawił naród szlachecki Stanisławowi Augustowi.

Wiadomo, że podczas konwokacyi i elekcyi tego ostatniego króla Czartorysty zabrali się do reformy i po części wykonali ją. Jako trwały owoc ich wysileń pozostały dwie nowe instytucye: Komisya wojskowa i dwie komisye Skarbowe—Koronna i Litewska.

Komisya Wojskowa, ustanowiona w celu ograniczenia władzy hetmańskiéj, nie zjednała sobie w ciągu 30-letniego istnienia tytułów do czci i wdzięczności narodu: nie zorganizowała wojska, nawet wtedy, gdy naród ją naglił i środki dawał, nie wydała wodzów, okryła hańbą sztandary wojskowe.

Ale Komisye Skarbowe, szczególnie Koronna ma swoje dosyć poważne zasługi i może dopominać się baczniejszéj oceny 30-letnich jéj trudów. Gotowi bylibyśmy naszkicować jéj historyą, ze względu wszakże na zakrés artykułu odkładamy to zadanie na inny czas, poprzestając tutaj na samych tylko głównych zarysach.

Komisya Rzeczypospolitéj Skarbu Koronnego „ufundowana" w dniu 1-m Sierpnia 1764 roku, podczas trwającego jeszcze bezkrólewia, (1) wyrobiło się z czasem na prawdziwe ministerstwo finan-

(1) Protokół Ekonomiczny A/1 akt otwarcia komissyi, na początku, oraz Vol. Leg. VII, f. 27 str. 18 nast.

sów. Podług prawa, składać się miała z obu podskarbich (wielkiego i nadwornego instygatora) oraz wyznaczonych przez sejm komisarzy od szlachty i senatu w liczbie siedmiu; na praktyce jednak podpisywało protokóły najczęściéj trzech członków; prezydował naturalnie podskarbi wielki, a w jego nieobecności nadworny. Sesye zapowiedziane były odrazu codzienne, ale w czterech kwartalnych kadencyach komisya poświęcać musiała pewne dni na sądzenie spraw i sporów o podatki, kontrabandę, konfiskaty, wykroczenia służbowe, spraw jakie z wekslów wynikały i t. p. podług kilku tak zwanych „rejestrów“ sądowych. Dni pozostałe używane były na sprawy administracyjno skarbowe i te wpisywały się do oddzielnego protokółu ekonomicznego. Znając opłakany stan skarbowości za Sasów, mybyśmy chcieli całą usilność skierować na wytworzenie i pilnowanie administracyi; tymczasem dla ludzi owoczesnych pryncypalne znaczenie miał wydział sądowy. Dla czego? Bo urzędnicy Komisyi mogli czasem narazić szlachcica na jakąś opłatę, na koszta, zapisać w taryfie zbyt wysoki (!) podatek, było więc najpilniejszą sprawą ochronić „wolność“ szlachecką od nadużyć władzy. Komisarzom przyznało prawo znaczną pensyą (po 12.000 złł.); owóż wypłata téj pensyi zależała od akuratności w zjeżdżaniu na kadencye sądowe, bo za nieobecność potrącano za każde posiedzenie.

Według pojęć dzisiejszych, władza sądowa powinna być zupełnie oddzielona od administracyi, ale w Polsce, niby na sposób rzymski, każdy urząd był zaopatrzony we wszelkie środki wykonywania swoich obowiązków, a więc i represyi sądowéj na opornych. Zresztą szlachcic osiadły, possessyonat (o takich tylko troszczyło się prawo owoczesne) nie był narażony na żadne niebezpieczeństwo ze strony sądu komisarzy, na których przecię można było wywrzéć wpływ przez rozgałęzione pomiędzy szlachtą stosunki, a w ostatecznym razie zaniéść skargę do sejmu. To téż Kołłątaj widzi w Komisyi Skarbowéj zbyteczną troskliwość o sprawy sądownicze. Miała téż komisya własny Batalion Milicyi Skarbowéj, czyli korpus Pontonierów i szkołę inżynierską.

Komisarze ograniczali oczéwiście i kontrolowali podskarbiego, który bez ich wiedzy i przyzwolenia nie mógł już żadnych czynności przedsiębrać na własną rękę. Kontrola ich jednakże o tyle tylko mogła być skuteczną, o ile się znali na sprawach finansowych i mieli odwagę cywilną ucierać się z magnatem podskarbim. Głębszy i ważniejszy wpływ na bieg interesów wywierało biuro komisyi, oficyaliści skarbowi i manipulacya formalna, która doskonaliła się stopniowo.

Biuro, czyli „Officyaliści przy Boku Komisyi Rzpltéj Skarbu Koronnego“ mieściło się w Warszawie, w świeżo nabytym pałacu Rzpltéj (tak zwanym Krasińskim, na placu tegoż imienia). Składało się z pisarza, plenipotentów, kasyera głównego czyli superintendenta kasy generalnéj, kontraregestranta generalnego, regenta generalnego, regentów—kwarcianego, podymnego, czopowego, pogłównego żydowskiego, kontrolera, buchaltera, z czasem téż regenta tabacznego, dyrektora loteryi i kilkunastu aplikantów, po jednym lub po kilku przy każdym z tych urzędników. Zarząd prowincyonalny dzielił się na dwie gałęzie: 1) podatków stałych ściąganych przez egzakcye; tych w koronie było 33 i składały się z egzaktora i applikantów (1); 2) ceł i w ogóle podatków niestałych, zostających pod zarządem pięciu superintendentów w Koronie, z których każdy miał przy sobie kontraregestranta i kasyera, a pod swą władzą rewizorów generalnych, pisarzy komor i przykomorków, oraz pomniejszych officyalistów (aplikantów, aspirantów) i stu kilkudziesięciu strażników. Od wszystkich tych władz szły peryodycznie, po każdéj „Ultymie“, t. j. rewizyi kwartalnéj, raporty, rachunki, tabele, taryfy, sumaryusze, po większéj części na drukowanych blankietach do Komissyi Skarbowéj, do właściwych regentów, którzy układali z nich akta wcale systematycznie i w ogóle porządnie, jak świadczą do dziś dnia przechowane księgi i pliki. Z czasem utworzyły się oddzielne gałęzie administracyi: czopowego, skorowego, tabacznéj i t. d.

Ale porządek taki wytworzył się nierychło, dopiéro po pierwszym rozbiorze. Na początku zaś Komisya miała wcale niełatwe zadanie. Gdy zażądała od podskarbiego w. k. Teodora Wessla akt i informacyj, otrzymała od niego taką odpowiedź: „Przy objęciu ministerii Podskarbstwa w. kor. żadnéj od antecessora mojego (Odrowąża hr. Sedlnickiego) nie miałem informacyi, ani papierów skarbowych, z którychbym potrzebne mógł mieć obwieszczenie; wszystkie interesa własną pracą i usilném staraniem mojém poznawać musiałem; chcąc jednak wyraźnym dogodzić żądaniom Prześwietnéj Komissyi, cokolwiek odemnie dependować będzie, chętnie to uczynię.“ (2) O téj „własnéj pracy i usilném staraniu“ godzi się téż wątpić, gdy się zajrzy do rachunków z czasów jego osobistego urzędowania: są to pospószywane kwity tapicerów, którzy wybijali pokoje

---

(1) Nietrafnie porównaliśmy je do dzisiejszych Izb Skarbowych (Ateneum, maj, 1877, str. 237); podobne są one raczéj do kas powiatowch.

(2) Protokół Ekonom. A_1 str. 13.

w zamku, kupców, od których kupowano do zamku materye, galony, meble, są to bezładne szpargały; zamiast porządnego sprawozdania sporządzono tylko spis tych kwitów w 12-tu „fascykułach“, bez żadnych sum i bilansów, a to już stanowiło „Summaryusz dokumentów i kwitów“ z lat 1761, 1762, 1763 do 1764. To téż na sejm Koronacyjny Komisya nie była w stanie złożyć rachunków w zwykłéj formie i tylko „narrative“ opisała stan skarbu, tłómacząc się, że za rządów jéj weszła „percepta“ z jednego tylko kwartału Lipcowego 1764 r. (1).

Dopiéro nakoniec w roku 1766 Komisya Skarbu Koronnego mogła wygotować pierwsze swoje rachunki z 9-ciu kwartałów (od dnia 1 Lipca 1764 do dnia ostatniego Września 1766 r.) i mogła się niemi pochlubić. Dział wydatków wprawdzie jest jeszcze chaotyczny, składa się bowiem z rachuneczków drobiazgowych, ale dochody są wyszczególnione dokładnie, a co najważniejsza ukazują się w cyfrach bez porównania większych, niż dawne podskarbiego Odrowąża Sedlnickiego. Znajdujemy tu, prócz dawnych pozycyj, wciągniętą hybernę, kwadruplę, dochód z administracyi starostw i królewszczyzn (zapewne nierozdanych przez króla po śmierci dawnych posiadaczy, 22.323 zł.), sumę odebraną po zmarłych podskarbich, zysk na czerwonych złotych i dochody przypadkowe. Znać w tém skrzętność. Nadto dochody dawne podniosły się znakomicie, szczególnie cła i kwarta ze starostw, po części skutkiem reform prawodawczych sejmu 1764 r., a po części skutkiem urządzenia lepszéj, ściślejszéj administracyi. Właśnie pod kierownictwem komisyi dokonaną została na rozkaz sejmu lustracya starostw w r. 1765 i wynaleziona kwarta „sprawiedliwa,“ zamiast dawnéj maluczkiéj. Tym sposobem utworzyła się z 9-ciu kwartałów suma dochodów 13.730.504 zł. Pan Rossman zmniéjsza jednak tę cyfrę do 12.217.482 gr. 29 den 9, (ponieważ hyberna kwarta i kwadrupla podane są za lat trzy) co odpowiada cyfrze rocznéj 5.429.995 zł., bardzo znacznéj w porównaniu z podaną wyżéj cyfrą Odrowąża Sedlnickiego 896.389 zł. w 1749. Komisya sama teraz miała wojsko opłacać i dlatego do kas swoich ściągnęła hybernę. Ale pogłówne jeszcze wciąż wybieraném było po dawnemu; wartość jego p. Rossman podaje z nieznanych mi źródeł na 8.829.300 zł. za 9 kwartałów, przez co i cyfra rocznego dochodu zwiększa się do 9.354.000 zł. I ta cyfra okazuje się znacznie wyższą od 5.850.000, obliczonéj na oba budżety, stały i nad-

(1) Księgi 86 i 87.

zwyczajny w r. 1749 (1) Na wydatkach osiągnięto też znaczną oszczędność (2.983.947 złł.), która pozostała w skarbie jako remanent.

Ale po tym świetnym debiucie spotykamy się znowu z nieładem, który zresztą był nieuchronnem następstwem zaburzeń krajowych. Sejm 1768 roku ułożył wprawdzie budżety dla Korony na 17.000.000 i dla Litwy na 11.000.000 rocznéj ekspensy, ale podatków potrzebnych do zapełnienia tych podwojonych wymogów nie uchwalił. To też budżety jego pozostały tylko na papiérze, jako litera martwa. (2)

Nadeszło właśnie straszne i ohydne siedmiolecie, zakończone traktatami i „osobnemi aktami" piérwszego rozbioru. Komisya Skarbu Koronnego skréśliła obraz finansowy téj epoki w swojém sprawozdaniu z lat 8-u, miesięcy 6-u i dni 8-u, od dnia 1 Października 1766 do d. 8 Kwietnia 1775 roku. Oprócz pogłównego i hyberny, t. j. owéj „płacy regularnéj wojska," nie wiém dlaczego znow wykluczonéj z rachunków (a powinna była ona uczynić według rachuby idealnéj 42.397.482 złł.), dochody z całego okrésu wyniosły 37.012.722 złł. gr. 27, den. $4\frac{3}{4}$, wydatki rzeczywiście opłacone— 36.023.782 złł. gr. 10, den. $14\frac{1}{2}$, a ponieważ opłacić należało 51.105.357 złł. gr. 22, den. $11\frac{1}{2}$, więc pozostało do dalszéj wypłaty 15.081.575 złł. gr. 11. den. $4\frac{3}{4}$. (3) Gdy strącimy z téj ostatniéj

---

(1) Patrz wyżéj str. 587. Rachunki 1766 r. autentyczne mieszczą się w księdze 88, przedrukowane w książeczce p. t. „Płata wojska i chléb zasłużonych." 1771 roku str, 111; sumy ogólne są przytoczone w artykule: Rys historyczny budżetu w Polsce przez p. Rossmana, (Ekonomista 1866, kwartał I, str 86).

(2) Pozwalamy tu sobie stoczyć małą polemikę o ten budżet z p. Rossmanem, który poświęcił mu znaczny ustęp w szacownéj swéj pracy, z powodu, że „w układzie swoim również jak angielski przedstawia historyczny obraz rozwoju skarbowości naszéj" (l. c, str. 86). Ponieważ budżet ten, jak sam p. Rossman przyznaje, „nie był nigdy ściśle wykonany" (str. 94), a wielu pozycyj sejm 1775 r. wcale nie uznał (V. Leg. VIII, f. 166 str. 105), więc może mieć tylko wartość literacką, jako udatnie zredagowany projekt do prawa. Ale i pod tym względem nie dostrzegamy w nim zalet, godnych studyowania. Nie widzimy w nim ani ścisłéj historyczności, ani systematyczności, np. marszałkowi sejmu nigdy nie płacono 80.000 złł., ani sekretarzowi 20.000, podobnież dowolne są pozycye na lustratorów 308.000, na deputatów trybunalskich 290.000, na różnych pisarzy (28.000, 6.000, 8,000), na Consilium Sanitatis 300.000; ze względu na systematyczność, niewłaściwém jest umieszczenie w tabeli wydatków ordynaryjnych sum na reparacyą ratuszów, piotrkowskiego i lubelskiego, na powiększenie piechoty węgierskiéj marszałka w. k., bo wszystkie te pozycye z natury swojéj nie mogą należéć do wydatków stałych. Zdaje się, że pan Rossman za daleko dał się pociągnąć teoryi swojéj o podobieństwie pomiędzy budżetami angielskim i polskim.

(3) Rachunki sejmowe księga 92. Pan Rossman zadał sobie pracę studyowania rachunków z okrésu 1766—1773 r. i wyprowadził roczny obrót na 9.000.000 złł., ale tę

sumy przewyżkę dochodu nad rzeczywistą wypłatę w ilości złł. 988.940 gr, 16 den. 8¹/₁, wypadnie nam 14.092.634 złł. 24 gr. 14¹/₃ den. deficytu czyli raczéj długu. Nadto król okazał częścią w poczynionych „dla powszechnego dobra“ wydatkach, częścią w utraconych dochodach około 13.000.000, z których 7.000.000 sejm uznał jako dług Skarbu Rzpltéj, a skutkiem nieakuratności w wypłatach dług ten urósł w r. 1776 do 9.000.000 złł. (1) Ile się okazało niezaspokojonych należności w Skarbie Litewskim? nie wiemy. I długi zaciągnięte u obywateli krajowych nie były wówczas znane, pretensye były rozpoznawane dopiéro późniéj, jak się przekonywamy z Dyjaryusza sejmu 1778 r. Tak więc sejm konfederacki Ponińskiego pozostawił uszczuplonemu krajowi brzemię długów wynoszących blisko trzyletnią sumę wszystkich dochodów przedrozbiorowego państwa!

Chociaż na sejmie tym z trudnością dałoby się naliczyć dziesięciu mężów sprawiedliwych, szczególnie po wydaleniu z Warszawy Rejtana, którzyby mogli wyjednać przebaczenie Boże dla Sodomy i Gomory, byli wszakże tacy, którzy zrozumieli, że trzeba coś obmyśléć i urządzić, aby kraj mógł istnienie swoje utrzymać po groźnéj amptacyi, wśród najtrudniejszych warunków życia. Nie znamy Dyjaryusza tego sejmu i nie wiemy nawet, czy był ogłoszony drukiem, nie możemy więc wymienić nazwisk wnioskodawców i mówić będziemy o ich dziele bezimiennie.

Żeby zaradzić ruinie materyalnéj, pieniężnéj, sejm ten, oprócz uchwał co do długów prywatnych i rachunków właścicieli z dzierżawcami, pozwolił szlachcie trudnić się handlem, opracował obszerną ustawę wekslową i dokonał wielkiéj reformy w skarbowości.

Pryncypalną stronę téj reformy stanowi uchwalenie wielu nowych i przeobrażenie kilku dawnych podatków, a mianowicie:

1. Uchwalono podymne generalne ze wszystkich trzech kategoryj dóbr, królewskich, duchownych i ziemskich (z wyjątkiem samych tylko zakonów żebrzących, mendicantium), z dosyć szczegóło-

---

cyfrę otrzymał przez doliczenie pogłównego i hyberny (32.421.603 złł.), które przecież nie są wykazane ani w rzeczywistéj percepcie, ani w ekspensie. Komisya postąpiła w tym razie niewłaściwie, ponieważ raz już, w 1766 r., rachowała się z tych pozycyj przed sejmem a i prawo (Vol. Leg. f. 459 str. 202—3) obowiązało ją do tego; wszakże w braku cyfr rzeczywistych niepodobna wiedzieć czy owe sumy normalne wpłynęły do skarbu całkowicie, a więc i do wyprowadzenia cyfry przeciętnéj podstawa zdaje się nam niedosyć pewną.

(1) Vol. Leg. VIII f. 892 str. 551.

wą klasyfikacyą. Zastępowało ono dwa dawne podatki pogłówne chrześciańskie i podymne stare, przeznaczone niegdyś na „regularną płacę“ wojska, a stało się głównym filarem nowego budżetu; w okrésie bowiem 1776—1778 r. wynosiło około 5.000.000 złł. w Koronie i 2.000.000 w W. X. Litewskiém.

2. Zamiast hyberny z dóbr królewskich ustanowiono pół-podymne dla tychże dóbr, wartujące około 330.000 w Koronie (na Litwie nie było go).

3. Wskrzeszono niewykonaną uchwałę z r. 1768 o sposobie pobiérania czopowego i szelężnego. Dochód z tego źródła przynosił Skarbowi Koronnemu od 1.639.859 do 2.139.154 złł. (wraz z czopowem od likworów zagranicznych) rocznie w tymże okrésie, Litewskiemu zaś około 464.000 złł. (wraz z miejskiém).

4. Wskrzeszono też uchwałę z r. 1764 co do cła generalnego i kazano je pobiérać nawet od transportów szlacheckich, prowadzonych na własną potrzebę; nadto uchwaloném zostało nowe cło od soli zagranicznéj; komisya wszakże Skarbowa Koronna oddzielała cło szlacheckie od kupieckiego i oddzielnie rachowała cło od soli. Z tych przeto trzech źródeł przychód urósł z 1.573.800 do 1.858.000 złł. w Koronie, na Litwie zaś wynosił około 1.000.000 złł.

5. Pogłówne żydowskie podniesiono z 2-ch do 3-ch złotych; wartość tak podwyższonego podatku wyniosła 495.825 do 630.533 złł. w Koronie i około 306.000 na Litwie.

6. Uchwalono nowy podatek stempla, mianowicie: papiér stemplowany, karty, kalendarze i księgi żydowskie stemplowane. Tylko papiér czynił znaczną cyfrę dochodu: w Koronie 321.468 do 427.000 rocznie; trzy inne zaś stemple czyniły razem zaledwo po 62.317 do 75.804 złł. na rok; w Litwie przyjęty był tylko stempel kart, czyniący około 13.000 złł.

7. Podatek (nowy) na handlujących tabaką, którego wartości obliczyć nie możemy, ponieważ wkrótce ustąpił miejsca dochodowi z antrepryzy tabacznéj.

8. Nakazano urządzić loteryą krajową, zamiast wprowadzonéj w r. 1768 genueńskiéj. Dochód z tego źródła szybko wzrastał: z 28.500 do 253.448 złł. W. W. X. Litewskiém nie znajdujemy loteryi, ale są dwa inne nieistniejące w Koronie podatki: młynowe i czynsz Magdeburski, oba razem czyniące 63.400 złł. rocznie.

9. Duchowieństwo ofiarowało 600.000 subsidii charitativi w Koronie i 200.000 na Litwie.

10. Ze starostw kazano płacić półtory kwarty w Koronie,

a dwie kwarty na Litwie podług lustracyi 1765 r. Czyniły one tu około 1.367.000, na Litwie zaś około 1.103.300 złł. (1)

11. Czynsz emfiteutyczny. Czytając w Volumin'ach Legum konstytucyą 1775 r., p. t. Starostwa i królewszczyzny, możnaby mniemać, że dokonaną została jakaś wielce doniosła w skutkach swoich reforma: oto król zrzeka się szafunku starostw i wszelkich królewszczyzn „na użytek i potrzebę publiczną;" sejm zaś stanowi, że one „po śmierci każdego uprzywilejowanego teraz posesora" puszczane będą prawem emfiteutycznêm „na czynsz pewny i bezpieczny dla Rzpltéj na 50 lat" z licytacyi (per plus offerentiam). Następują potém przepisy wykonawcze: jak mają postępować komisye z łona sejmu wybierane, Koronna i Litewska, do nadawania kontraktów emfiteutycznych, jak Komisye Skarbowe mają przez swoich lustratorów szacować każdą wakującą królewszczyznę, urządzać licytacyą z trzykrotnêm dzwonieniem, „w przeciągłéj chwili," jak ma pilnowaną być ścisłość w płaceniu rat czynszowych pod groźbą sekwestracyi, egzekucyi wojskowéj, zabiérania kaucyi itp. Tymczasem w wykonaniu prawo to przyniosło Skarbowi małe pożytki, a stało się powodem wielkiego skandalu. Wysadzone przez klikę Ponińskiego Komisye rozdawnicze rozposażyły mnóstwo królewszczyzn, wakujących i dzierżonych jeszcze, pomiędzy swoich stronników lub tych, co się najlepiéj datkami komisarzom okupili, tak że listę owych obdarowanych emfiteutów lub expektantów nazwano czarną księgą. Warunki dzierżawy musiały być bardzo dogodne, skoro Szczęsny Potocki Generał Artyleryi nakupił takich emfiteuzów za milion złotych (2). Na sejmie czteroletnim mówiono o tém prawie i jego wykonaniu dużo, z powszechnêm oburzeniem; wychwalano księcia Czetwertyńskiego, który nie przyjął ofiarowanego mu starostwa; Xżę Sanguszko Hieronim, wda Wołyń., zrzekał się swoich dwóch emfiteutycznych starostw, Czerkaskiego i Kazimierskiego, każdy mówca, jeśli mógł, chwalił się, że imię jego nie znajduje się w „czarnéj księdze," Świętosławski poseł Wołyński twierdził, że delegacya sejmowa z r. 1775 nie była umocowaną od Rzpltéj do tworzenia emfiteuzów. Naruszewicz, biskup Smoleński, słysząc szyderstwa z expektantów (t. j.

---

(1) Odpowiednie konstytucye znajdują się w nieprzerwanym ciągu Vol. Leg. VIII, f. 133—152 str. 88—97, cyfry brane są: dla korony z Rachunków Sejmowych księgi 99,106,108 dla Litwy z Tabelli przy Dyaryuszu sejmowym 1784 r. do follo 250 dołączonéj.

(2) Przyznał to krewny jego Stanisław Potocki, poseł Lubelski na sejmie czteroletnim w głosie z d. 6 marca 1789 r. Dyaryusz (urzędowy) t. 2 część 2 str. 282.

tych, co zakupywali sobie kontrakt zawczasu przed śmiercią starosty obecnego) naganił ich, że „nie zmierzywszy przeciągu życia swego, czekają na koniec cudzego,“ ale jako historyk uspakajał izbę perswazyą, że „nie pierwszy sejm 1775 r. dał przykład expektatyw, miała Rzeczpospolita i dawniéj Werresów, chciwych majątku publicznego (1).

Pomijając wszakże stronę moralno-historyczną, która jest haniebną, i stronę państwowo-polityczną, która jest żadną (bo ważnego urzędu starosty nie oddzieliła od posiadania pewnego obszaru ziemi), prawo to ze stanowiska czysto-finansowego miało przecięż jakąś wartość. W przyszłości, przy prawidłowém wykonaniu otwiérało ono niewątpliwie skarbowi coraz obfitsze źródła dochodu, gdyż emfiteuci musieli płacić kwarty tak samo, jak dawni starostowie, a prócz tego obowiązani byli do uiszczania czynszu, którego cyfra zależała od wypadku licytacyi, ale w każdym razie musiała być wyższą od zera. Jakoż w rachunkach skarbowych znajdujemy stale pozycyą czynszu emfiteutycznego, która z każdym rokiem wzrastała i w dwuleciе 1786—1788 doszła do 244.164 złł. a w 1790—2 do 553.595. Jestto zapewne skromna sumka w porównaniu z milionami zyskiwanemi przez dzierżawców, ale zawsze więcéj warta niż np. księgi żydowskie stemplowane, które w témże dwuleciu uczyniły 9.834 złł., a któremi skarb koronny nie gardził. Na Litwie nie znajdujemy tego dochodu.

Naturalnie, że kilka dawnych źródeł dochodowych, jak: łanowe, pobory, podatek homagialny od miast Gdańska i Torunia, dochód z mostu pod Warszawą, percepta potoczna i składne winne pozostały w budżecie. Zajął się nadto sejm uporządkowaniem długów: ponieważ niepodobna było wypłacić królowi odrazu przyznane mu 7 mil., więc upoważniono go do zaciągnięcia pożyczki zagranicznéj (holenderskiéj), która zresztą obciążała bezpośrednio skarb królewski i spłacaną była częściowo przez Skarb Rzpltéj; na umorzenie zaś innych długów przekazano subsidium charitativum duchowieństwa, czynsz emfiteutyczny i pół-miliona rocznie z funduszów skarbowych w Koronie a 200.000 na Litwie (2).

O sławną Ordynacyą Ostrogską zawarto układ z Zakonem Maltańskim (mniejsza oto, czy sumiennie) i ordynacya ta przeszła teraz pod zarząd skarbu koronnego, a z dochodów jéj pozostawała zawsze

(1) Posiedzenia 65 d. 20 Lutego 1789, 68 z d. 27 Lutego i 71 z d. 6 Marca w Dyaryuszu (urzędowym) tom 2, cz. 2, str. 117, 262, 282.

(2) Vol. Leg. VIII, f. 166 str. 105.

jakaś sumka w kasie (zwykle 3,500 zł. na rok po opłaceniu regimentu Ostrogskiego).

Sprawiedliwość tedy przyznać nakazuje, iż ten najhaniebniejszy ze wszystkich sejmów uczynił wiele dla skarbowości, tyle bowiem podatków i opłat uchwalił, że skarb uszczuplonego rozbiorem kraju stał się zasobniejszym od dawnego całéj Rzeczypospolitéj. Żeby to twierdzenie usprawiedliwić, wyjmujemy z kompletnéj tabeli rachunków sejmowych (od 1775 do 1794 r.), którą sporządziliśmy na podstawie oryginałów, trzy dwulecia z epoki porozbiorowéj, ale poprzedzającéj sejm czteroletni.

Tabl. 1.

№ II. Dochody dwuletnie Skarbu Koronnego.

	1776—1778.			1782—1784.			1786—1788.		
	Złote	Gr.	Den.	Złote	Gr.	Den.	Złote	Gr.	Den.
1. Podymne	9.998.301			10.016.239.	15		10.014.850.		
2. Półpodymne	709.989			659.782.	7	9	659 717.		
3. Czopowe krajowe	2.551.254.	25	9 3/4	3 490.197.	25	7 3/4	3.544.364.	22	13
4. Półtory kwarty	2.825.121.	26	4 3/8	2.741.943.	3	9 1/2	2.732.538.	16	3 1/2
5. Łanowe	62.808.	8		120.839.	12		119.978.	28	
6. Pogłówne żydowskie	991 651.	20	3	1.107.478.	16	12	1.261.067.	19	3 1/2
7. Cło kupieckie	2 232.568.		11 1/3	2.557.278.	14	11 1/2	2.801.346.	10	17 1/2
8. Cło szlacheckie	629.250.	15	9	699.403.	25	12	597.136.	25	13 1/4
9. Cło od soli	285.894.	25	13	279 551	20	3	317.813.	11	16 1/4
10. Składne winne	301.931.	28	17	322.875.	20	11 1/2	218.842.	6	8
11. Czopowe od likworów zagranicznych	728.464.	18	10 3/4	779.942.	13	16	731.944.	13	7 3/4
12. Pobory	109.473.	15		107.484.	23		88.145.	10	
13. Papier stemplowany	642.936.	14	10 1/2	759.198.	18	11	854.040.	18	1 1/4
14. Karty stemplowane	95.625.	13		58.019.	4		123.839	28	9
15. Kalendarze stemplowane	14.715.	15		12.998.			17.941.	22	9
16. Księgi żydowskie stemp.	14.295.	7	9	9.732.	13		9.834.	9	9
17. Proweniencya tabaczna	648.029.	11	8 3/4	1 713.352.	18	10 1/2	2 152.805.	6	1 3/4
18. Loterya krajowa	57.000.			261.115.	20	13 1/2	506 897.	25	
19. Miasta Gdańsk i Toruń	140.700.						79.200.		
Miasto Gdańsk				67.000.					
Miasto Toruń				6.700.					
20. Most pod Warszawą							100.000.		
21. Percepta potoczna	57.107.	18	2 1/2	243 992.	17	13	49 413.	21	6 5/8
22. Hyberna	57.833.	7	9						
Summa Summarum percepty	23.154.953.		9 3/4	26.015.127.	2	1 1/4	26.981.718.	29	6 3/8

Skarb Litewski rozrządza mniejszą liczbą podatków i opłat, ponieważ jednak ksiąg jego oryginalnych nie znamy, a w Dyaryuszach sejmowych znajdujemy jedno tylko kompletne sprawozdanie, więc na niém poprzestać musimy.

Tabl. **2.**

Dochody dwuletnie Skarbu W. X. Litt. (z tabeli 1784 r. w Dyaryuszu, karta 250)

Summa effective perceptowana do Skarbu (1782—1784).

	Złote Gr.
1. Podymne	4.134.970.$_{10}$
2. Czopowe 10^{0} grosza	541.943.$_{27}$
3. Pogłówne żydowskie	612.635.$_{15}$
4. Kwarta sowita z królewszczyn z przybyłością na nowych lustracyach	2.206.667.$_{14}{}^{5}/_{6}$
5. Młynowe	63.732.
6. Czynsz Magdeburski	63.081.$_{17}{}^{3}/_{6}$
7. Percepta dwuletnia z ceł spławnych i lądowych (2.719.565), po oddzieleniu trzeciéj części Skarbowi J. K. Mci, zostało się	1.813.043.$_{28}{}^{2}/_{6}$
8. Czopowe miejskie (z Wilna, Kowna, Mińska, Nowogródka, Wiłkomierza, Połocka	384.954.$_{22}{}^{2}/_{6}$
9. Stempel kart	24.845.$_{13}{}^{3}/_{6}$
10. Prowent tabaczny	275.292.$_{3}$
11. Prowent potoczny	72.705.$_{29}{}^{5}/_{6}$
Suma (moja z samych podatków utworzona)	12.191.267$_{33}{}^{4}/_{6}$
Summa efficit (z doliczeniem remamentu 31.990.$_{22}{}^{3}/_{6}$ i pobranéj na Tyzenhauzie sumy 35.673.$_{21}$).	12.258.931$_{27}$ $^{1}/_{6}$

Widzimy z tych tabel, że wnet po uchwaleniu nowych podatków dochody szybko wzrastać zaczęły. Już w najbliższym przejściowym okrésie, od 8 Kwietnia 1775 do 31 Sierpnia 1776, wpłynęło do skarbu zł. 11.748.568 gr. 19 den. 7$^{1}/_{2}$, w następném dwuleciu dochód przewyższył prawie 2$^{1}/_{2}$ razy cyfrę 1766 r. wraz z doliczoném pogłówném, a czterykroć prawie całą ilość podatków, płaconych w 1749 r.; a potem w każdém dwuleciu wzrastał bez przerwy. Całkowity szereg sum ogólnych z dochodów zwyczajnych (summa summarum percepty) przedstawia się w takiéj postaci: (1)

Tabl. **3.**

I (1776—8)	*II (1778—80)*
23.154.953. den $_{9}{}^{3}/_{4}$	25.832.706.$_{16 \cdot 1}$ $^{1}/_{4}$

(1) Rachunki sejmowe księgi № 99, 100, 102, 104, 106, 108.

III (1780—2)	*IV (1782—4)*
25.436.318.$_{15 \cdot 9}$ 5/8	26.015.127.$_{2 \cdot 1}$ 1/4
V (1784—6)	*VI (1786—8)*
26.661.971. den. $_{3}$ 1/2	26.981.718.$_{29 \cdot 6}$ 3/8

A to nie są jeszcze sumy kompletne: należy je powiększyć „darem duchowieństwa 1.200.000 złł. i czynszem emfiteutycznym (1) które szły na opłatę długów Rzpltéj, groszem 60-tym od sum wierzycielom wypłaconych i dochodem z ordynacyi Ostrogskiéj. Bo Komisya Skarbowa Koronna wprowadziła teraz taki porządek w rachunkach, jakiego w Polsce nigdy jeszcze nie widziano; podzieliła je na sześć działów: w I-m mieszczono „Remanent sejmowy“ tj. liczbę z pozostałości kasowéj poprzedniego okrésu, w II-m Dochody, w III-m Fundusz na umorzenie długów Rzpltéj, w IV-m Grosz 60-ty, w V-m Proweniencyą z dóbr Ostrogskich, nareszcie w VI-m Rekapitulacyą wszystkich remanentów tak w gotowiźnie jak i na „retentach“ (zaległościach). Każdy z tych działów rozpadał się znów na dwie części Perceptę (dochody) i Expens (wydatki) ze stosownemi bilansami.

Nie była to buchalterya podwójna, któréj zresztą wymagać nie mamy prawa, gdy dziś jeszcze w XIX wieku nie używa jéj do rachunków budżetowych żadne z wielkich mocarstw (2). Ale pojedyńcza rachunkowość Komisyi jest prosta,—dokładna i jasna. Jest może nawet przesadnie ścisła, rachują się bowiem nietylko grosze, ale i denary (1/18 grosza) i nawet ułamki denarów, chociaż nie mamy pewności, czy moneta denarowa w owym czasie istniała? Całkowitych sprawozdań podawać nie możemy dla braku miejsca; nie widzimy zresztą pilnéj do tego potrzeby, gdy skróconą tabelę z lat 1786—88 wydrukował pan Rosman przy wielokrotnie wspominanym artykule swoim, a podobne z lat innych znaléźć można w Dyaryuszach sejmowych. Notujemy tylko, że podana wyżéj tablica (Nr. 3) stanowi część pierwszą (perceptę) działu II-go. Nie wyraża więc ona wszystkich wpływów skarbowych, całkowitego dochodu rocznego. Żeby rzeczywistą „sumę summarum“ otrzymać, dodać wypada sumy wszystkich pięciu działów, czego Komisya Skarbowa nie robiła. Wykonawszy to działanie, otrzymaliśmy następne wypadki:

---

(1) I. 38.219, II. 71.282, III. 90.916, IV. 129.976, V. 166.856 i VI 244.164 złł. w tychże okrésach.

(2) Wprowadzoną jest tylko w Holandyi, we Włoszech i w ministeryum marynarki rosyjskiém, jak nas objaśnić raczył łaskawie profesor prawa finansowego i ekonomii politycznéj na Uniwers. Warsz. p. Michał Szymanowski.

Tab. 4.

I (1776—8)	*II (1778—80)*
26.028.093. 5. 13½	29.084.748. 3. 9¾
III (1780—2)	*IV (1782—4)*
29.586.204. 11. 2⅜	31.052.429. 22. 7¾
V (1784—6)	*VI (1786—8)*
31.733.558. 3. 9¼	32.194.412. 24. 10⅞

Tak samo dochody Skarbu Litewskiego należy zwiększyć perceptą ze służby długu publicznego, t. j. o 281.591.$_{27}$ (1), a wtedy wypadnie nowa suma złł. 12.769.151 gr. 27. Nie posiadamy cyfr do innych lat ze Skarbu Litewskiego, wszakże gdybyśmy potrącili nawet całą należność Tyzenhauzowską, jako przypadkową, wypadnie w każdym razie przypuścić, że suma ogólna dochodów z W. X. Litewskiego wynosiła co dwa lata około 10½ milionów czyli rocznie około 5.250.000. Dodając tę sumę do dochodów koronnych, otrzymamy na lata 1776 i 1777 jako *dochód ogólny z porozbiorowego królestwa:*

Tab. 5.

po *18.264.000*, a na lata 1787 i 1788 po *21.467.000* złł.

Przewróćmy teraz kartę i przypatrzmy się wydatkom.

Tu sejm 1775 roku jednę tylko pożyteczną zapisał zasadę: płatność wszystkich urzędów. W wykonaniu jéj wprawdzie nie umiał oprzéć skali wynagrodzenia na ilości i wartości pracy; wyznaczając kolosalne pensye dygnitarzom, a maluczkie rzeczywistym pracownikom, alimentował butę pańską, ale taką przynajmniéj korzyść można przyznać nowemu prawu, że Kołłątaj, człowiek ubogi, mógł sprawować urząd podkanclerzego i że dygnitarze przy ogromnych pensyach swoich mniéj kosztowni byli dla kraju, niż przy dawném bezpłatném urzędowaniu. Ale po za tą innowacyą, chyba już nic się nie znajdzie pożytecznego w dyspozycyach wydatkowych sejmu. Owszem, tu się mieści główne brzemię win i nieprawości konfederatów Ponińskiego: nagrody, gratyfikacye, pensye, dożywocia etc. etc.—rzeczy zbyt znane, żebyśmy je wyliczać potrzebowali. Budżet wydatków nakreślony był na wielką skalę (33.000.000 złł. dochodu

(1) Wchodzi tu 500.000 odłożonych ze skarbu, ale też ta suma będzie późniéj dwukrotnie powtórzona w expensie.

rocznego) w przypuszczeniu, że nowo uchwalone podatki na to wszystko wystarczą. Ale rok następny okazał całą zawodność rachuby—ujawnił się bowiem deficyt 11-milionowy. Trzeba było wyrzec się przesadnych nadziei. Tabela tedy wydatkowa sejmu 1775 upadła i my się zajmować nią nie potrzebujemy.

Budżet expensy skarbowéj rzeczywisty, w praktyce wykonywany aż do czasów sejmu czteroletniego, pochodzi z r. 1776, kiedy sejm ordynaryjny Warszawski, pod laską Mokronowskiego obradujący, skasował wszyskie gratyfikacye, nagrody, wdzięczności, indemnizacye, samym prawie niegodziwcom przyznane, a na niezbędne potrzeby państwa skromniejsze wyznaczył fundusze (1). Tabelę tę podajemy w takiéj jednak formie, w jakiéj ją Rachunki Sejmowe zwykle powtarzają tylko z dodaniem naszéj numeracyi.

Tab. **6**.

Tabella expensy Koronnej (roczna).

	Złote	*Gro.*	*Den.*
1. Skarbowi J. K. Mci	2.666.666.	20	—
2. *a.* Konsyliarzom Rady Nieustającéj podług konstytucyi osobnéj (2)	220.000		
b. Subalternom Rady Nieustającéj	80.000		
3. Depart. Marszałkowski:			
a. JW. NN. Marszałkowi W. K. . .	60.000		
b. JW. NN. Marszałkowi Nadw. Kor.	40.000		
c. Na chorągiew Węgierską do Laski należącą	67.461		
d. Na Oficyalistów Marszałkowsk.	36.000		
4. Departament Kanclerski:			
a. JW. NN. Kanclerz. W. Kor. (3)	60.000		
5. Departament Skarbowy:			
a. JW. NN. Podskarbiemu W. Kor.	60.000		
b. „ „ „ Nadw. Kor.	32.000		

(1) Vol Leg. VIII, f. 890, 891, str. 550.

(2) Pozycya ta w tabeli nie znajduje się.

(3) W Tabeli Kanclerz nie wymieniony, tylko dla Podkanclerzego jest 40.000; zmiana nastąpiła jednakże już w 1776 na skutek decyzyi Rady Nieustającéj (Sprawozdanie przed sejmem Morskiego, kasztelana Kamienieckiego na posiedzeniu d. 13 Stycznia 1791 r. w Dyaryuszu urzędowym 1790 t. I, cz. 2 str. 44).

c.	10-u Komisarzom Skarbowym wraz z Instygatorem Kor. (rachując między Komisarzami) .	100.000	
d.	Na oficyalistów Skarbowych . .	100.000	
e.	Na Korpus Milicyi Skarbowéj .	120.000	
f.	Na expens prawną (1) i drobną .	00.000	
g.	Na konflagraty, allewijacye, decesa i za Lubomlą W. Rzewuskiéj Wojewodz. Wołyńskiéj (2)	000.000	
6.	Różne expensa:		
a.	JW. NN. Marszałkowi Trybunału Kor. (3)	20.000	
b.	JWX. NN. Prezydentowi Trybunału Kor.	10.000	
c.	Na fundusz umorzenia długów Rzeczypospolitéj	500.000	
d.	Na posłów zagranicznych, gabinet, tłumaczów i szkołę oryentalną w Konstantynopolu (4) . .	000.000	
e.	Na pensye sędziom pogranicznym Bracławskim, Kijowskim, Podolskim	00.000	
f.	Na reperacyą pałaców i zamków Rzeczypospolitéj (Warszawskiego i Krakowskiego) (5) . .	00.000	
g.	JW. NN. Marszałkowi Sejmowemu	13.333	10

(1) t. j. do spraw sądowych przez Komisyą wytaczanych i t. p.

(2) Dobra Luboml, niegdyś Wyhowskiemu nadane, po długich procesach ostatecznie w 1768 r. przez Komisyą Sejmową hetmanowi W. K. Fr. Xaweremu Branickiemu przysądzone; ponieważ atoli Antonina Rzewuska miała na nich dożywocie, więc sejm 1775 pozwoliwszy Branickiemu objąć niezwłocznie dobra te w swoje posiadanie, obciążył Skarb Koronny roczną opłatą 70.000 złł. na rzecz Wojewodziny za odebrane jéj dożywocie. Vol. Leg. VIII, f. 246, str. 143. Starościna cieszyła się długiém życiem—płacono jéj jeszcze w 1793 r.

(3) W Tabeli dodana uwaga: „Deputatom wraca się skrzynka podług dawnych praw.

(4) W Tabeli zapisana jest na téj pozycyi suma stała 270.000, ale w wykonaniach budżetu, w rachunkach sejmowych, pozycya ta jest zmienna.

(5) W Tabeli 90.000, w rachunkach rozmaite sumy.

h. U. NN. Sekretarzowi Sejmowemu 3.333 10
i. Na Szkołę Rycerską czyli korpus kadetów 200.000
k. Na szpital generalny Warszawski 25.000

7. Pensye, rekompensy i gratyfikacye:
a. Najj. Królewiczom Xiążętom Saskim Xaweremu i Karolowi . . 178.666 20
b. WW. Officyalistom Ziemstwa i Grodu Warszawskiego (1) . . . 00.000
c. Mikulskiemu i sukcesorom Buczowa (2) 6.000

8. Na expens extraordynaryjną (3) 00.000

9. Na wojsko koronne (żołd podług tabell od P. Komisyi podawanych) 6.290.000

10. Na exaktorów podatków Rzeczypospolitéj (4) 74.000

Tabella niniejsza odpowiada tabeli dochodów (Tab. 1) i w rachunkach sejmowych stanowi drugą połowę działu II-go pod napisem: „Expens dwuletnia Skarbu Kor. a die 1 Septembris anni 17.... ad ultimam Augusti 17. .“ (Z dniem ostatnim Sierpnia bowiem zamykał się rok finansowy podług regulaminu, przepisanego w 1775 r.). Sejm 1776 roku oznaczył w niéj wszystkie bez wyjątku pozycye cyframi stałemi, których suma ogólna (generalna) wynosi 11.628.461 złł. (prócz pozycyi długowych). Ale w wykonaniu siedm pozycyj, któ-

---

(1) W Tabeli oznaczone pozycye: dla sędziów... żyjących tylko 10.000. Dla pisarza Ziemskiego Grodzkiego Warszawskiego za wydawanie extraktów konstytucyi 10 000, nadto Ur. Kraszewskiemu Generał-Majorowi 20.000; w rachunkach pozycye te są zmienne.

(2) Za ocalenie króla podczas zamachu, dokonanego w d. 3 Listopada 1771: „sławetny niegdyś Jerzy Buczow i Szymon Mikulski, z których pierwszy w tymże razie życie swoje, broniąc Nas na ofiarę śmierci zamienił, drugi zaś śmiertelnie zranionym został“ Vol. Leg. VIII. f. 304 str. 169. Mikulski umarł w 1788; po śmierci jego pensya ustała

(3) W tabeli oznaczona suma 300.000, w rachunkach jest zmienna.

(4) W tabeli umieszczone są jeszcze „sumy kapitalne, które ratami uspokoić należy z funduszu umarzającego“ 5 pozycyj razem na 1.226.477 złł. 1 gr. W rachunkach mieszczą się one w dziale III, tu zaś znajduje się zwykle pozycya dodatkowa tabellą nieobjęta, mianowicie: 11. Na Lustratorów główżydowskich, zmienna; przeciwnie pozycya 10 na exaktorów podatków ukazuje się w rachunkach, chociaż nie ma jéj w tabelli, ale jest stałą

reśmy oznaczyli zerami, mianowicie 5 *f* i *g*, 6 *d*, *e*, *f*, 7 *b* i 9-ta stały się ruchomemi, zmiennemi. Tym sposobem budżet rozpadł się niby na dwie części: stałą i zmienną, okolicznościową, wszakże nie z mocy prawa, nie w skutek systematycznego przeprowadzenia jakiéjś zasady finansowéj, lecz w drodze faktu, przez wpływ okoliczności, pod kierunkiem Rady Nieustającéj, która nie wahała się korzystać z przyznanéj sobie atrybucyi, tłómaczenia praw i wydawania dyspozycyj do Skarbów. To téż w miarę wzrastających dochodów i suma wydatków przekracza owę normalną tabelę sejmu z 1776 r. Obie części zarówno ulegały rewizyi deputacyj sejmowych, gdyż obie objęte były jednym rachunkiem.

Ponieważ Komisya Skarbu Koronnego prowadziła teraz swoje rachunki porządnie i układała je podług jednego szematu, posługując się podaną obecnie tabellą (Tab. 6), możemy przeto obejrzéć cały szereg budżetów wykonanych w ciągu sześciu dwuleci 1776 — 1788 i każdy może sobie odtworzyć najważniejszy (II) dział tych wszystkich rachunków sej-

Tab. 7. Pozycye niestałe w Expensie N-ru II Rachunków Sejmowych.

	1-e dwulecie 1776—1778	2-e dwulecie 1778—1780	3-e dwulecie 1780—1782	4-e dwulecie 1782—1784	5-e dwulecie 1784—1786	6-e dwulecie 1786—1788
5. f. Expens prawna i drobna	$72.638_{16 \cdot 17}$	60.000	$102.633_{18 \cdot 14}$	$83.879_{20 \cdot 2}$ ½	$92.952_{22 \cdot 8}$	$322.695_{15 \cdot 5}$ ½
g. Konflagracye, allewijacye, decesa	$301.743_{9 \cdot 8}$ ½	$266.292_{2 \cdot 3}$ ½	$227.736_{22 \cdot 6}$ ⅝	$204.538_{2 \cdot 4}$ ½	$268.856_{28 \cdot 16}$ ½	
6. d. Na posłów, rezyd., tłómacz etc.	$516.491_{7 \cdot 12}$	324.910	338.530	$475.224_{21 \cdot 9}$	567.800_{15}	512.200
e. Sędziom pogranicznym		58.000	38.666_{20}	106.500	68.666_{20}	80.666_{2}
7. b. Offic. Ziem. i Gr. W.	40.000	38.750	31.250	30.000	26.250	25.000
8. Expens extraordynaryjna	234.257_{3}	737.529	554.221_{21}	$592.298_{4 \cdot 6}$	$588.725_{15 \cdot 3}$	600.000
9. Na lustratorów główżydowskich			19.860_{18}		22.992	22.261_{21}
10. Kraszewsk. Gen. Major.	40.000	40.000	$35.111_{3 \cdot 6}$			

mowych, nie zaglądając do oryginałów, za pomocą następnéj metody.

1. W każdém dwuleciu trzeba powtórzyć pozycye stałe, mnożąc je przez dwa i odnotować parę zmian przypadkowych (1).

2. Dopisać pozycye zmienne podług następnéj 7-éj tabelki (patrz str. 607).

Gdy więc dodamy odpowiednie kolumny do poprawionych należycie cyfr części stałéj w Tab. 6, otrzymamy z zupełną dokładnością sumy ogólne Expensy N. II Rachunków (summa summarum expensy), a mianowicie:

Tab. **8**.

I.	*II.*
23.092.867.$_{9\cdot 1}$,½	23.537.406 den. 8½
III.	*IV.*
23.335.443.$_{12\cdot 17}$⅜	23.650.837.$_{4\cdot 10}$
V.	*VI.*
23.647.774.$_{15\cdot}$½	23.715.049.$_{26\cdot 14}$½

Odciągnąwszy zaś cyfry Tab. 8 od odpowiednich cyfr Tab. 3, otrzymamy szereg remanentów z II działu Rachunków Sejmowych („Remanent ad N-rum II“).

Dla historyka mają szczególny interes dwie pozycye części ruchoméj budżetu, mianowicie 6. d. na posłów, rezydentów, gabinet, tłómaczów, szkołę oryentalną i 8. expens extraordynaryjna, w nich bowiem odbija się ruch interesów bieżących, dynamika rządu. Pozycye te były usprawiedliwiane rachunkami szczegółowemi, z których wyciąg podajemy; pozwalamy sobie zmieniać porządek pozycyj dla lepszego usystematyzowania tychże.

Tab. **9**.

Expens extraordynaryjna.

W I dwul. *Za sancitami Konfederacyi Glnéj*: 3 deputowanym do wojska i komisarzom do rozgraniczenia z dworem Berlińskim 14.246.$_{7\cdot 9}$. *Za asygnacyami Rady Nieust.*: Najęcie pałacu dla

(1) Mianowicie: w I dwuleciu na Radę Nieustającą najprzód jednoroczną płacę 220.000, potém 3 raty dla pierwszéj Rady 454.415.28.9, na Oficyalistów Skarbu Kor. 199.833 gr. 10, na Milicyą Skarbu Kor. 227.422.20, na exaktorów podatków Rzeczypospolitéj 74.244, Królewiczom Saskim 178.666 gr. 20; w 2-m dwuleciu na Radę Nieust. 460.226, na ofic. Sk: 198.000; w 3-m dwul. Rada Nieust. 433.995 gr. 14 den 9. w 4-m Rada Nieust. 480.681 gr. 19 den 6; w 5-m dwul. Rada Nieust. 460.000, w 6-m dwuleciu Rada Nieust. 460.000, Kanclerzowi Kor. 110.000.

posła Rosyjskiego 50.250, na Dworzan i potrzeby Kancelaryi Rady Nieust. 10.000, metrykantom i pisarzowi Asesoryi 40.000. Za dyspozycyami Komisyi Sk.: Expens na stancyą dla posła Tureckiego „na podróż wyjeżdżając z Polski“ 106.896.3; expens około czyszczenia rz. Pilicy 12.864.

W II dwul. Podług asygnacyi (R. N.) za marszałka JW. Twardowskiego: Szl. Tepperowi za najem pałacu dla posła Rosyjskiego 16.750. JW. Branickiemu Hetmanowi WK. 105.000, JW. Mokronowskiemu Generał-Inspektorowi 120.000, JW. Twardowskiemu za expens przy rozgraniczeniu 7.654.22.9., W. Goltzowi Exercyer-Maystrowi Wojsk 8.000, U. Bonarowi (też) 1.000; na expens czyszczenia rz. Pilicy 2.135.7.9; na brukowanie ulicy na Pradze od mostu 11.076.20, U. Kosakowskiemu tłómaczowi Ruskiemu 10.000. Podług asygnacyj za marszałkowstwa JW. Potockiego: Szl. Tepperowi za najem pałacu dla posła Ros. za lat dwa 67.000, na expens czyszczenia Pilicy 40.000; na bruki warszawskie 30.000; na expens demarkacyi z Rosyą 53.000, na reperacyą ratusza Piotrkowskiego 21.000, expens ex re powietrza 1.675 etc.

W III dwul. Szl. Tepperowi za najem pałacu dla posła Ros. 67.000; expensa ex re powietrza 47.315; na reperacyą okopów Warszawskich 6.000; na reperacyą ratusza Piotrkowskiego 17.000, i Lubelskiego 50.940; expens czyszczenia rz. Pilicy 44.000, bicie tam pod m. Stężycą 9.000, miastu Poznaniowi 15.000, bruki warszawskie 30.00; expens demarkacyi z Nową Serbią 18.000, potrzeby koszar Kamienieckich 22.649, De Vitte komendantowi fortecy Kamienieckiéj 12.000 etc.

W IV dwul. Na fabrykę pogorzałego pałacu Rzeczypospolitéj 200.000 z tegoż funduszu na budowę pałacu Rzeczypospolitéj 10.375. U. Mroczkowi na popiéranie sprawy o najazd 500, na żywienie więźniów o najazdy obwinionych 1.200; na reperacyą ratusza Piotrkowskiego 4.000 i Poznańskiego, 20.000, Ur. Leymanowi na bicie tamy przy moście Warszawskim 28.200 i 1800 etc.

W V dwul. Na ubezpieczenie i utrzymanie tam na Wiśle pod Warszawą 14.000, na dokończenie tamy pod Stężycą 2.000. Za zrobienie mapy od ściany pruskiéj Ur. Skarżyńskiemu 1.500, na wystawienie domów nad granicą Turecką do odbywania kwarantanny 22.000 etc.

W VI dwul. Opatrzenie potrzeb fortecy Kamieńca Podolskiego 18.000; na pomnożenie magazynów zboża tamże 30.000; reparacya bruków Warsz. 30.000; na restauracyą miastu Piotrkowowi 30.000, na gwałtowne potrzeby m. Poznania, 15.000, na ulże-

nie podatków m. Krakowowi 16.000; amunicye Ukrainy i Podola 10.000; expensy przedsejmowe 1.800 etc.

Tab. **10**.

Na posłów zagranicznych, rezydentów, gabinet, tłómaczów i szkołę oryentalną w Stambule.

	1776—8	*1778—80*	*1780—82*	*1782—4*	*1784—6*	*1786—88*
1. JW. Debolemu, ministr. w Petersbur.	23.207	15.750	32.687.$_{15}$	36.000	36.000	34.500
2. Ur. Gołuchowskiemu, sekr. tamże			2.364.$_{22\cdot 9}$	3.000	4 800	4.000
3. JW. Bukatemu, ministr. w Londynie	10.251	36.900	36.000	45.000	54.000	29.722 $_{6\cdot 12}$
4. Anticiemu, ministrowi w Rzymie	6.700	40.500	36.000	36.000	36.000	
5. Corticellemu, ministr. w Wiedniu					46.750	46.000
6. Pokubiato, sekr. Legacyi tamże . .	1.708.$_{15}$	13.188.$_{20}$	14.400	14.400	14.400	13.800
7. Ur. Zabłockiemu, rezydent. w Berlinie	14.838.$_{25}$	25.272	28.800	28.800	28.800	27.600
8. Ur. Zabłockiemu, agent. w Chersonie				10.300	16.200	26.833.$_{10}$
9. JP. Zawiszy, rekompensy za wysługi na rezydencyi w Holandyi	11.959 $_{15}$	30.000	30.000			
10. JP. Boscamp Lasopolskiemu 143473 i Ewerhardowi . .	156.125		33.000			
11. Na expensę extraordynaryjną ministrów i rezydentów u dworów zagr.			34.875.$_{22\cdot 9}$	18.460 6.000	16.751	
12. Na expens szkoły Języków Oryentalnych		36.460	40.000	40.000	40.000	38.333.$_{1}$
13. Na extraordynaryjną expens. Departamentu Interesów Cudzoziemskich	19.237.$_{15}$			2.700	60.734.$_{13}$	
14. Kuryerowi w Kamieńcu utrzymywanemu		2.592	2.592	2.916	2.592	648

Inne ważniejsze pozycye.

W I dwul. Expens posła Tureckiego 184.666.7.12 (na tegoż posła znajduje się jeszcze suma 106.896 w tab. 7). Na Kancelaryą Depart. Sprawiedl. w Radzie N. 4.000. JO. X-ciu Stan. Poniatowskiemu w poselstwie do dworu Petersburskiego 25.125.

W II dwul. Powrócenie awansów J. K. Mci 107 246.

W IV dwul. Debolemu na exp. extr. 3.600, Bukatemu 4.242, Sekretarzowi Legacyi w Londynie Bukatemu 3.600. Na expens kancelaryjną i inne wydatki w Chersonie 101.250, na ułatwienie handlu przez Cherson 10.050, na expens w Rzymie i ułatwienie handlu 16.750.

W V dwul. Na potrzeby Gabinetu J. K. Mci 77.790, na expens Departamentu Interesów Cudzoziemskich i na pracujących tamże 49.333.

W VI dwul. Bukatemu Sekretarzowi Legacyi w Londynie 13.800, Chrzanowskiemu ajentowi w Stambule 26.666.20.

Reszta poszła na tłómaczów, np. języków wschodnich (Crutta, Giuliani), języka ruskiego (Manugiewicz); Tęgoborski Subaltern Depart. Cudzoziemsk. pobiérał 7.500, 15.025, 15.000 i 10.000 złł.

Dział II Rachunków kończy się zwykle bilansem, zwanym Recapitulatio. Ponieważ w ciągu całego niniejszego okrésu wydatki nie wyczerpywały dochodów, przeto z pozostałéj przewyżki część obracano zwykle na zaspokojenie różnych należności i potrzeb wojska. Tak np. w II dwuleciu z Superaty wypłacono: Konsyliarzom drugiéj rady Nieust. 214.993.$_{28}$ i nowéj 97.345 złł.; Skarbowi J. K. Mci 306.810.$_{15}$ (ad complementum 963.817 złł.), na polepszenie stanu Wojska Kor. podług rezolucyi Rady Nieust. 428.860 „na culagę dla komend od regimentów Dywizyi Małopolskiéj do Warszawy dla exercerunku na czas mustry artylleryczneéj nadeszłych 1.739, w III na polepszenie stanu wojska 436.318.$_{15.9}{}^{5}/_{8}$, w IV-m 480.071.$_{29\,12}{}^{3}/_{4}$, w V-m 746.334.$_{9.8}{}^{3}/_{4}$ nadto na budowę koszar w Warszawie 244.713 a w VI-m na wojsko tylko 538.455.$_{5.10}{}^{3}/_{4}$, zaś 1.039.882.$_{17}$ na kupienie pałacu dla posłów rosyjskich (Brühlowskiego po Ponińskim), stajen i na umeblowanie, które pochłonęło jeszcze z extraordynaryów 36.000. O to kupno właśnie wynikła na sejmie głośna sprawa w 1791 r.

Dział III Rachunków Generalnych, jak wiadomo, nosi napis „Opłata długów Rzeczypospolitéj.“ Skład dochodu w tym dziale jest nam znany; w expensie zaś godną uwagi jest pozycya 1, wynosząca 1.200.000 do skarbu królewskiego płacona bez przerwy najprzód na długi Skarbu J. K. Mci, a potém aż do 1793 r. włącznie

znów jako subsidium podług prawa 1784 r. Oprócz tego, ze Skarbu Litewskiego płacono po 600.000 w każdém dwuleciu na umorzenie pożyczki Holenderskiéj, przez króla zaciągniętéj. Nasuwa to uwagę, że Stanisław August w stosunku do szczupłych zasobów skarbu dużo kosztował, skoro mu nie wystarczała lista cywilna: 2.666.666 złł. z Korony, 1.333.333 złł. z Litwy, 2.000.000 z dóbr, darowizna czterech dużych starostw na dziedzictwo (1), oraz pomniejsze sumki z expensy extraordynaryjnéj Skarbu i z uprzejmości Rady Nieustającéj likwidowane (2). Jego darowizny zatém po razy kilka narodowi czynione dużo tracą na wartości. Wprawdzie francuski król wydawał na samę garderobę i psy po 13 mil. złł. (3), ale też dochody Francyi, zbliżające sie do 1.000.000.000 złotych, nie mogły być porównywane z ubożuchnym budżetem Polski. Byłoby do życzenia żeby Stanisław August naśladował raczéj Fryderyka II Pruskiego, niż królów francuskich.

Pozycya 2 w ekspensie tego działu obejmuje umorzenie sum kapitalnych. Dołącza się zwykle lista wierzycieli; nie widzimy jednak potrzeby podawać jéj tutaj. Wystarczy uwaga, że wierzycielami tymi są (oprócz królewiczów Saskich) wyłącznie obywatele krajowi: Sukcessorowie Hrehorego Ogińskiego, Sapieha kancl. Litt., Borch kancl. w kor., Nowicki metrykant, Brzozowski, pisarz Asesoryi, Unruh, starosta Hamersztyński i t. d. Ilość wypłaconych im z téj pozycyi pieniędzy wynosiła w dwuleciach:

Tab. **11**.

I.	*II.*
$1.018.219._{13 \cdot 4}\,1/2$	$1.049.938._{17 \cdot 15}\,1/2$
III.	*IV.*
$1.071.077._{26}\,1/2$	$1.124.776._{17 \cdot 11}\,3/8$
V.	*VI.*
$1.171.250._{18 \cdot 8}\,3/8$	$1.445.305._{18 \cdot 7}\,1/4$

Pozycya 3 zawiéra prowizyą roczną od długów niespłaconych.

Nareszcie w pozycyi 4-téj pokutuje nieustannie jakaś sumka 16.212 złł. „na retentach u duchowieństwa", wynikła podobno przy

(1) O których sam wspomina w Vol. Leg. f. 209 str. 127, f. 150 str. 96.
(2) jak np. w tabeli 10.
(3) Staszic Uwagi n. ż. J. Z. str. 108.

pierwszym podziale kraju, a niemożliwa do odebrania, jak się o tém dowiadujemy z rachunków sejmowych w 1792 roku (1)

I z tego działu pozostaje mały remanencik, który jednak nie otrzymuje nigdy innego przeznaczenia i dołącza się do percepty roku przyszłego.

Działy IV i V nie zasługują na rozbiór szczegółowy.

Nareszcie w dziale VI wszystkie pojedyncze remanenty z działów I, II, III, IV i V grupują się w ogólne sumy w takich cyfrach.

Tab. **12**.

	I.	*II.*	*III.*
W gotowiźnie	$90.200._{17\cdot11}\,{}^{1}/_{4}$	$811.580_{27\cdot7}\,{}^{5}/_{8}$	$1.610.804._{16\cdot10}\,{}^{3}/_{4}$
Na retentach	$655.049._{19\cdot5}$	$402.099_{23\cdot17}\,{}^{5}/_{8}$	$433.283._{22\cdot1}$
Summa Summarum Remanentu	$745.250._{6\cdot16}\,{}^{1}/_{4}$	$1.213.680._{23\cdot7}\,{}^{1}/_{4}$	$2.044.088._{8\cdot11}\,{}^{3}/_{4}$

	IV.	*V.*	*VI.*
W gotowiźnie	$1.802.845._{7\cdot8}\,{}^{1}/_{4}$	$1.973.467._{24\cdot4}\,{}^{1}/_{4}$	$1.522.443._{8\cdot7}\,{}^{7}/_{8}$
Na retentach	$268,678._{3}.\,{}^{3}/_{4}$	$187.888._{13}\,{}^{3}/_{4}$	$277.288\,_{4\cdot14}\,{}^{1}/_{4}$
Suma Sumarum Remanentu	$2\,071.523._{10\cdot9}$	$2.161.356._{7\cdot5}$	$1.799.731\,_{13\cdot4}\,{}^{1}/_{8}$

Stosunek gotowizny do retent świadczy, że z każdém dwuleciem wzrastała dokładność w działaniu administracyi skarbowéj.

Takie remanenty zowią się „sejmowymi", gdyż za pośrednictwem wysadzanéj ad hoc deputacyi są meldowane sejmowi; muszą téż one w następném dwuleciu stać przed wszystkiemi innemi obrachunkami i stanowić dział I, o którym myśmy dotychczas zamilczeli, a który jednak zasługuje na uwagę, bo większa część jego obracaną bywała na zaspokojenie potrzeb bieżących; pokrywały się téż z niego decesa podatkowe, t. j. takie należności, które skutkiem wypadków losowych lub przyczyn prawnych wykreślone były za dekretami Komisyi Skarbowéj.

W niniejszym okrésie z remanentu płacono po części długi, np. w 1776—8 r. Królewiczom Xiążętom Saskim (118.843) i t. p., a po większéj części obracano je na cele wojskowe, np. 1780—82 gruba suma 749.824 złł. prócz pomniejszych, w 1782—84 na polepszenie stanu wojska kor. za rezolucyą Rady Nieust. 1.671.369, na potrzeby

(1) W drukowanym sumaryuszu dodana uwaga co do téj sumy, że jest invindicabilis. Czytaliśmy téż objaśnienie, zdaje się Kossowskiego, lecz nie jesteśmy w stanie podać dokładnéj cytaty.

wewnętrzne regimentu gwardyi pieszéj kor. 32.269 złł., na kontynuacyą budowy koszar w Kamieńcu Polskim 40.000, na tenże cel w 1784—6 dano 25.938 złł., na polepszenie zaś stanu wojska 965.109, w 1786—8 znów 1.983.205 złł. i na skupienie żywności dla wojska w Ukrainie i Podolu 54.000 złł.

Gdy tedy zbierzemy wszystkie sumy ekspensowe z pięciu działów (przypominamy znów, że pomniejsze były w texcie pominięte), otrzymamy ogół wydatków w cyfrach następnych.

Tab. **13**.

I (1776—8)	*II (1778—80)*
25.412.371$_{\cdot 13 \cdot 15 \cdot}{}^{1}/_{4}$	28.287.279.$_{10 \cdot 2 \cdot}{}^{1}/_{2}$
III (1780—2)	*IV (1782—4)*
27.542.116.$_{2 \cdot 7}{}^{5}/_{8}$	28.962.418.$_{18 \cdot 13}{}^{1}/_{8}$
V (1784—6)	*VI (1786—8)*
29.572.201$_{\cdot 28 \cdot 3}{}^{3}/_{4}$	30.910.680.$_{29 \cdot 1}{}^{5}/_{8}$

W mniéj korzystném świetle przedstawia się i zawartość i administracya Skarbu Litewskiego. Dochody prawie nie przewyższyły normy, obliczonéj na 5.000.000 złł. rocznie (1), gdyż przewyżkę stanowi wartość sprawy Tyzenhauza wykazana tak w dochodzie, jakotéż w wydatkach. Remanentu w kasie gotowizną zaledwo 4 tysiące, to się równa pustkom w skrzyni państwowéj. Rachunkowość jest prowadzona gorzéj niż w Koronie, jak widać z samego układu sprawozdania budżetowego. Nadto urzędnicy skarbowi litewscy ściągają na siebie złą notę, skoro w jedném dwuleciu, oprócz wielkiéj sprawy Tyzenhauza, w któréj figuruje trzech oficyalistów ze znacznemi sumami, poszukiwanemi na nich, znajdujemy jeszcze dwa wypadki (Zdzitowiecki i Gorecki) pod pozycyą 6-tą. Może to dwulecie jest szczególnie niepomyślném, ponieważ następuje zaraz po katastrofie Tyzenhauzowskiéj, ale zapewne nie o wiele lepiéj działo się i późniéj, gdy Kaz. Sapieha, Marszałek Konfederacyi Litewskiéj, wyrzekał podczas sejmu czteroletniego na ubóstwo skarbu swojéj prowincyi, tak daleko posunięte, że nieraz brakło pieniędzy, aby wojsko opłacić, na 300-złotowy remanent, na brak kredytu. (2) Spojrzyjmy wszakże na sam rachunek.

---

(1) Vol. Leg. VIII, f. 932 str. 569.

(2) Głos z d. 21 Stycznia 1789 r., posiedzenie 53: Dyaryusz (urzędowy) t. 2 cz. 2 str. 286.

Tab. **14**.

Expensa Skarbu W. X. Litt. (1782—1784).

		Złote	Gr.
1. Na dochód Najjaśn. Pana, Prawem 1776 roku naznaczony		2.666.666	20
2. Na Departament Wojskowy wedle Tabeli 1776 r. z pensyą J. W. Komarzewskiemu Generałowi przez Konst. 1778 r. naznaczoną		4.612.000	
3. Na Departament Marszałkowski, potrąciwszy na Skarb wakancyą z pensyi Laski Nadwornéj . .		235.011	6
4. Na Departament Kanclerski		212.000	
5. Na Departament Skarbowy, idq; na pensyą			
J. W. Podskarbiemu W. . . .	Złł. 120.000		
Komisarzom Skarb. ośmiu . .	„ 128.000		
Skarbnemu Lit.	„ 12.000	447.996	13
Na oficyalistów Skarbowych .	„ 78.900		
Na Milicyą Skarbową . . .	„ 89.096 gr. 13		
Na drobne ekspensa Komis. .	„ 20.000		
6. Na opłatę różną Konstytucyjną, jako to:			
Do Funduszu umorzenia długów Rzplitéj	Złł. 500.000		
Na pensyą Najjaśniejsz. Królewiców .	„ 178.666 gr. 20		
Na Rezydentów Zagranicznych, Tłómaczów i Szkołę Oryentalną	„ 200.000		
Na Szkolę Rycerską	„ 200.000		
Na Pensye Konsyliarzów Radnych . . .	„ 300.000		
Marszałkom Seymowym	„ 13.333 gr. 10		
Sekretarzom Seymowym za Rat 5. . .	„ 4.166 „ 20		
Pisarzowi Seymowemu	„ 12.000		
Instygatorowi Lit.	„ 12.000		
Marszałkom Trybunalskim	„ 40.000	1.672.133	$22\frac{1}{6}$
Na Chorągiew Trybunalską	„ 40.000		
Na Pensyą Pisarza Skarbowego za Rat 5.	„ 7.500		
Na kopanie Kanału do złączenia Rzeki Piny z Muchawcem	„ 120.000		
Na opłatę dochodu Staroście Brzeskiemu	„ 8.000		
Ditto Proboszczowi Montwid za kotły w Wilnie i Starościnie Dorsuniskiéj za brzegowe	„ 3.700		
Na utrzymanie Zamków Grodzieńskich .	„ 20.000		
Na Pensyą Architekta, Murgrabiego i Feierwachtów	„ 12.767 g. $2\frac{1}{6}$		
7. Na reperacyą Zamku Grodzieńskiego, usposobiając go na rezydencyą Najjaśn. Pana w czasie Seymu, podług rekwizycyi Prześ. Rady, i na Pałac dla J. W. Posła Rosyjskiego podług konstytucyi . . . . , ...		103.000	

	Złote.	Gr.
8. Na opłacenie Dworzan Skarbowych dla lustrowania Starostw zażytych . . . . , . .	12.618	$10^{3}/_{6}$
9. Na Procedera z J. W. Tyzenhauzem Podsk. Nadw. Litew. i innemi, na opłacenie zażytych do tradycyów Urzędników i Dworzan, oraz na inne z tego powodu expensa do wybrania z Dóbr na Skarb tradowanych zaassygnowano złotych . . . . 52.809 gr. 6 Lecz gdy z tego wróciło się niewyexpensowanych i ad futurum calculum w kassie będących złotych . . . . 4.336 gr. 9 W wydatku więc aktualnym kładzie się . . .	48.472	27
10. Na zaspokojenie zaległych Pensyów przed rokiem 1780, jako to:	171.900	$29^{3}/_{6}$
11. Na bonifikacyą 3-ciéj części Cła Skarbowi J. K. Mci należącego, dla J. W. Rzewuskiego zastępnie za oddecessowanego Officyalistę zmarłego Zdzitowieckiego, co na majątku tegoż Skarb Rzplitéj dochodzi zaliczono	12.000	
12. Na bonifikacyą Wojsku, decessu na J. P. Góreckim, z którego majątku i na poręczniku Skarb dochodzi, dano	8.413	$2^{1}/_{6}$
13. Na ekspensa z różnych potrzeb wynikające z Sumy 60.000 Tabelą 1776 roku na różne wydatk. przeznaczonéj przez lat dwa	52.382	$7^{2}/_{6}$
In Summa expensy z kassy Skarbowéj	10.254.595	$18^{1}/_{6}$
14. W Allewiacyach pogorzałym Miastom za konstyt. 1775 roku i za sancytami Komisyi, jako explikuie Nota N-ro I-mo	113.930	$9^{4}/_{6}$
15. W Decesie za Dekretami i Sancytami Komisyi .	1.765	$29^{3}/_{6}$
16. W Remanencie i na retentach do windykacyi vide notę N-ro 2-do	2.113.931	$23^{4}/_{6}$
17. Remanent w Kassie ad futurum calculum . . .	4.336	9
Zgodnie z Perceptą	12.488.560	

I tę sumę powiększyć należy o 781.591 złł. 27 gr. na umorzenie długów w III-ém dwuleciu opłaconych: wykonawszy to działanie, otrzymamy sumę ogólną dwuletnią wydatków Skarbu Litt. w 1782—4 roku 11.036.187, t. j. rocznie po 5.500.000 złł. Przypuszczając, że

w ciągu całego tego okresu wydatki Skarbu Litewskiego przeciętnie wynosiły na rok po 5.500.000 i dodając tę sumę do wydatków Skarbu Koronnego, otrzymamy na lata:

Tab. **15**.

1776 i 1776 około *15.456.000*, a 1787 i 1788 po *18.080.340*, jako ogólne sumy wydatków z całego królestwa porozbiorowego.

Oto w jakim stanie znalazł się skarb polski w przeddzień otwarcia sejmu cztéroletniego. Rzuciwszy okiem na 9-milionowy (i to już najwyższy) budżet z epoki przedrozbiorowéj, przekonamy się, że w ciągu dwunastu lat zrobiło się niemało. Terytorium zmniejszyło się o ⅓, a dochody skarbu zwiększyły się we dwójnasób. To coś znaczy. Należy komuś przyznać zasługę.

Nasamprzód, za ustawę podatkową, wnioskodawcom sejmu 1775 i nawet samemu sejmowi, że ją przyjąć raczył. Czujemy, jak dziwnie brzmi to wyznanie wdzięczności nietylko dla polskich historyków, ale i dla obcych, np. dla Raumera, gdyby żył i odczytał je. A przecież jest ono należne i słuszne. Uchwalanie podatków w owoczesnéj Polsce było rzeczą wcale nie łatwą: widzieliśmy już jak spełzły plany finansowe w r. 1768, będziemy wkrótce widzieli z jakiemi trudnościami walczyć będzie w téjże materyi stronnictwo reformy na sejmie czteroletnim. Sejm 1775 r. musiał przed uchwaleniem budżetu zmienić prawa kardynalne poprzedniego sejmu i wyjąć sprawę podatków z rzędu tak zwanych „materiae status", które wymagały jednomyślności, by poddać je prostéj większości głosów. Ale i o większość nie było łatwo. (1)

Następnie Komisyi Skarbu Koronnego (o Litewskiéj wolimy zamilczeć), jako władzy wykonawczéj. Wiedząc, że na jéj czele stał, jako podskarbi wielki koronny, człowiek obarczony wyrokiem hańbiącym sejmu i przekleństwami tak pisarzy jak mówców, szuler, utracyusz, pijak, cynik—Xżę Adam Łodzia Poniński, czytaliśmy z niedowierzaniem stale powtarzającą się w pokwitowaniach deputacyj sejmowych pochwałę: że „we wszystkiém dopełnione prawo, usilne w rozrządzeniach i pomnożeniu dochodów Skarbu Koronnego dla dobra publicznego starania i przykładna jest administracya." Tymczasem rozglądanie się w rachunkach, protokołach ekonomicznych i korespondencyi urzędowéj doprowadziło nas do przeświadczenia, że na te pochwały Komisya zasługiwała w istocie. Poniński

---

(1) Porównaj Vol. Leg. VII, f. 601 str. 282 i VIII, f. 133 str. 88.

bowiem nie miał przystępu do kasy, a złapać jakąś sumkę mógł tylko od urzędników, którym kazał się opłacać podobno za nominacye, może jeszcze coś od dzierżawców czopowego lub tabaki, o ile go komisya nie dopilnowała przy licytacyi tych dwóch tylko wydzierżawianych podatków (1). Głównym kierownikiem skarbowości był Roch z Głogowy Kossowski, zasiadający w komisyi od pierwszego posiedzenia (jako podskarbi nadw. kor.) prawie aż do ostatniéj chwili jéj istnienia, od 1764 do 1794 roku, człowiek pracowity i zdaje się sumienny, chociaż niedostatecznie wykształcony i bez wyższych zdolności. Przytém komisyi poszczęściło się posiadać w swojém gronie parę razy ludzi uczonych, jakkolwiek nie specyalistów nauki skarbowéj, mianowicie Łojkę, który się podpisał jeszcze na rachunkach 1778 r., i Czackiego, który urzędował bardzo czynnie i pracowicie od 1786 aż do 25 Lipca 1792 roku (2). Co do urzędników, należy o nich w ogóle dać dobre świadectwo. Każdy z nich cenił swoję posadę, każdy był odpowiedzialnym, bo składał vadium, lub poręczenie od jakiegoś „posesyonata,“ a pomimo słabego dozoru ze strony zwierzchności wielu z nich odznaczało się gorliwością. Widzieliśmy też na cyfrach, że machina administracyjna z każdym rokiem działała coraz dokładniéj.

Nareszcie, należy się słowo wspomnienia Radzie Nieustającéj, któréj rezolucye niejednokrotnie wywiérały wpływ znaczny na rozwój skarbowości w tym okrésie. Jest ona sponiewierana przez wszystkich bodaj historyków, którzy dotykali czasów Stanisława Augusta. Nie omylę się podobno, jeśli postawię domysł, że to powszechne potępienie jest echem namiętnych rozpraw, jakie się toczyły na sejmie czteroletnim w dniu 19 Stycznia 1789 r. przy wniosku o zwinięcie téj Rady. Czytałem je, ale nie przekonałem się o słuszności surowego wyroku. Jakież bowiem są jego motywa? Małachowski, wda Mazowiecki, mówił: „Rada była straszną, bo tłómaczyła prawo, Radę miano za marnotrawną, bo asygnacye do Skarbów wydawała, Radę miano za sądzącą, bo suspendować mogła.“ Suchodolski, poseł Chełmski, wypominał: „Rada Nieust. w r. 1776 konfederacyą związała, cały pod siebie naród podbiła i za umieszczenie ze stanu rycerskiego szczupłéj cząstki w Radzie z całkowitéj reprezen-

---

(1) Vol. Leg. VIII, f. 899 str. 555 i f. 931 str. 568.

(2) Dymisyą Czackiego czyli raczéj odstąpienie od funkcyi komisarstwa komisyi Skarbu Kor. przed grodem w Lelowie zeznane znaleźliśmy w plice 119 działu II' (rachunków Sejmowych) pomiędzy rozmaitościami; powodu nie podaje, wiadomo jednak zkąd inąd, że oświadczył się przeciwko konstytucyi majowéj i nie chciał służyć przeciwko konfederacyi Targowickiéj.

tacyi narodowéj kilkudziesiąt legalnie obranych posłów oddaliła, a drugich, przeciwnym wolności a gorszącym publiczność sposobem, pod bronią własnych i obcych żołnierzy zamkniętych w tych tu murach trzymała i ciągle, do zamiaru interesu zagranicznego dążąc, piszących się nawet na konfederacyą, przyjętych już a późniéj do smaku nieprzypadłych posłów pod różnemi pretextami i wydawanemi jako wojskowym ordynansami od obrad sejmowych odsuwała... Do skarbu trafiwszy, jak znaczne a niepotrzebne czyniła wydatki; tyle superat skarbowych na wojsko w 78 roku konstytucyą determinowanych marnotrawnie roztrwoniła, mocą tłómaczenia prawa samo nawet prawo przewyższyła i zhańbiła, mocą listów napominalnych i rekwizycyonalnych wygórowaną nad wszystkimi obywatelami przemoc rozciągnęła, mocą wolności zawierania handlowych traktatów, jednym potencyom przypodobania się; drugim ze szkodą kraju narażenia się, mając wolność wplątania kraju w niebezpieczną wojnę, a ztąd tak straszną (!) władzę w ręku swém trzymała.“ A najwięcéj zapewne szkodzą jéj w naszych pojęciach słowa sympatycznego i zasłużonego Stanisława Potockiego, posła Lubelskiego: „Co do mnie, zasiadałem w Radzie; znam ją być zgubą niepodległości naszéj, bo otwartym zawsze obcéj influencyi wstępem i gdyby mnie doprowadzić miała do najwyższych stopniów, wznosić głosu mego przeciw Radzie nie przestanę“ (1). W końcu i Staszic w książce swojéj przypiął jéj łatkę: „W tém dom Rady Nieust. mijając, przypomniałem sobie, iż niedawno prawo oszczędnicze stanęło... Jak wielkie było zadziwienie moje, gdy widziałem po sesyi wychodzących téj Rady komisarzów, wszystkich w cudzoziemskich futrach, w najdroższych koronkach, w bławatach, w najprzedniejszych francuskich i angielskich sukniach. Żaden z nich nie miał w całym swoim stroju najmniejszéj rzeczy, owszem jednéj nawet spilki krajowéj. Wszyscy rozjechali się w kosztownych londyńskich karetach.“ Zaraz potém zresztą przemawia z powagą: „Królowie, ministrowie, senatorowie, szczególniéj Rada Nieustająca, ty praw wykonania strażnico! waszą jedynie powinnością i obowiązkiem wynaleść sposoby, aby po skończonym sejmie, wszystkie nowo ustanowione prawa w całym kraju wypełnione były“ (2).

Nie myślę rozbiérać polityki i dyplomatycznéj tradycyi, jakiéj trzymała się Rada, bo nie czytałem korespondencyi Departamentu Interesów Cudzoziemskich, a przytém lekko sobie ważę i sumienie

---

(1) Dyaryusz sejmu r. 1788 (urzędowy) sesya 52 t. I część 2 str. 228.246 258.216.

(2) Staszic—Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego. Wyd. Turowskiego str. 90.91.

polityczne i biegłość dyplomatyczną całego owoczesnego pokolenia. Zwrócę tylko uwagę, że „obce influencye,“ o których Potocki wspomniał, umiały téż znaléść wstęp i do nowo-utworzonéj straży, oraz że poddawać się influencyom Rada była nawet obowiązana traktatem gwarancyjnym, wpisanym do księgi praw. Alež przedewszystkiém pamiętać należy, iż w ciągu 1775—1788 r. istniała niejedna Rada Nieust., lecz siedm Rad z kolei. Stałymi i niezmiennymi ich członkami byli wprawdzie ministrowie, przewodniczący w pięciu Departamentach; mieli jednak obok siebie „konsyliarzy“ z senatu i stanu rycerskiego, a nad sobą marszałka Rady; wszyscy oni zmieniali się co dwa lata i obiérani byli na sejmach, więc rozciąganie win 1776 roku na późniejsze komplety jest niesprawiedliwością. Jeśli przy takim składzie nie umiała ona utrafić w myśli i upodobania społeczeństwa, to winném być może już chyba samo społeczeństwo. Zarzuty, że „tłómaczyła prawo, a nawet jakoby przewyższyła je“ są właśnie jéj zaletą, tłómaczenie to bowiem wynikało z jéj ustawy zasadniczéj, było obowiązkiem; miałażby ona, np. w zakrésie skarbowości, trzymać się nieruchomych cyfr budżetu z r. 1776, kiedy fundusze w skarbie wzrastały i potrzeby bieżące mogły być bez trudności zaspakajane? Traktatów handlowych, o ile mi wiadomo, ani jednego nie zawarła, co wprawdzie nie jest tytułem do zasługi, ale przynajmniéj zabezpieczyćby ją powinno od podejrzeń „wplątania kraju w niebezpieczną wojnę“ (!). Że władza jéj była straszną (!), że „przemoc rozciągnęła nad obywatelami“—temu trudno uwierzyć, jeśli uciekała się tylko do „listów napominalnych i rekwizycyonalnych,“ bo czyż jest w prawie państwowém jaka łagodniejsza forma do ujawnienia władzy i to jeszcze najwyższéj w kraju w czasie bezsejmowym? Sądzimy, że sam p. Suchodolski po latach kilku cofnąłby swój zarzut, ponieważ miał zapewne sposobność przekonania się, że pod innemi rządami wysokie władze posługują się znacznie energiczniejszemi środkami. W końcu robiono jéj zarzut marnotrawstwa, roztrwonienia superat na wojsko przeznaczonych. Dziwnie brzmi ten zarzut w kraju, gdzie marnotrawstwo zasobów i funduszów publicznych od tak dawna stało się już zwyczajem, gdzie ministrom wyznaczano płace, wyrównające niemal kosztom utrzymania całych zarządów, albo i przewyższającym je, jak np. 300.000 podskarbiemu Wesslowi, który nie miał nawet żadnych akt i informacyj do udzielenia Komisyi Skarbowéj. Możnaby więc patrzéć przez palce na zmarnowanie jakich kilkukroć rocznie. Ale przedewszystkiém zarzut sam nie jest prawdziwym. Rada Nieustająca nie roztrwoniła superat, świadczy o tém szereg zwiększających się co roku remamentów (Tab. 12). Owszem, kazała wypłacać już od II-go dwulecia znaczne sumy „na

polepszenie stanu wojska" i z superaty działu II i z expensy extraordynaryjnéj i z remanentów sejmowych, jakeśmy to zaznaczyli wyżéj cyframi. W ostatnich dwóch dwuleciach przekroczyła nieco tabelę w wydatkach na dyplomacyą; sprawozdawca deputacyi sejmowéj rewizyjnéj, Morski, nieprzychylne o tém zdanie objawił w słowach: „żadnéj prawie korzyści dla kraju z poselstw pod ten czas zagranicznych" (1), aleź nie twierdził, że to jest winą Rady Nieust. Pobiérała więcéj na swoje utrzymanie, niż tabela wyznaczyła, ale tenże Morski wytłómaczył, że „nikt z osób zasiadających więcéj nie wziął:" nieporządek wynikł z niedość dokładnego obliczenia w ustawie organizacyjnéj; ministrowie bowiem wchodzili bez zapłaty, a gdy ich zasiadło mniéj, wtedy płatnych członków musiało zasiadać więcéj (2). Może zbyt hojną była dla swoich subalternów, dla Tęgoborskiego naprzykład, ale przy głosowaniu nad zniesieniem Rady Czartoryski wstawiał się za nimi do sejmu, jako za „młodzieżą talentami dystyngwującą się i któréj część niemała majątkiem własnym dokupiła się funkcyi" (3).

Nam się zdaje, że zarzuty trwonienia superaty ściągają się głównie do nakazanego przez Radę Nieustającą kupna pałacu dla posła rosyjskiego, na co właśnie użytą była część przewyżki dochodów z działu II, mianowicie 1.039.882 złł., skutkiem czego na wojsko z téj pozycyi dano tylko 538.455 złł. Gdy deputacya rewizyjna zdawała o tém sprawę przed sejmem w Styczniu 1791 r., powstała burza w izbie. Podskarbi Kosowski oświadczył, że był temu zakupowi przeciwny i że w protokule ekonomicznym zapisał swoję protestacyą spólnie z Czackim Tadeuszem, komisarzem. Kazano czytać całą korespondencyą w tym przedmiocie i oba rozpisy; pokazało się wszakże, iż obaj protestanci występowali nie przeciwko zakupowi w zasadzie, ale tylko przeciwko warunkom kupna i wyborowi pałacu, że jeśli w duszy nie chieli, to zdania swojego wypowiedzieć nie śmieli i w końcu sam Kosowski zajął się umeblowaniem apartamentów (4). Przez pięć posiedzeń (13 i 18 Stycznia 3, 4 i 7 Lutego) rozprawiano namiętnie, pociągano do odpowiedzialności komisyą i Radę, aż Kossowski wdał się w prośby, „aby już koniec był położony te-

(1) Dyaryusz sejmu etc. 1790 r. (urzędowy) t. I, cz. 2 str. 44.

(2) Ibid str. 43.

(3) Dyaryusz 1788 l. 2 str. 250.

(4) A Czacki nazajutrz podpisał się na nocie do Rady Nieust. względem żądania od Komisyi Skarbowéj Litewskiéj jednéj trzeciéj kosztów, a więc jak słusznie zarzucał Załuski „nazajutrz zaraz zmazał swój rozpis" S. 18 d. 18 Stycznia 1791. Dyaryusz 1790 t. I cz. 2 str. 105.

mu udręczeniu.... gdy widzicie przed sobą upokorzoną komisyą, która już dosyć i przez druki i przez głosy ją zaskarżające ukaraną zostaje". Zwolniono w końcu Komisyą od odpowiedzialności i cała wrzawa pozostała bez skutku. My do niéj nie przywiązujemy wagi i Rady nie oskarżamy. Konstytucya 1775 r. i dawniéj jeszcze ustalony zwyczaj nakazywały dawać pałac dla posłów rosyjskich, bo i polscy posłowie w Petersburgu używali wzajemności. Wynajmowano na ten cel dom Teppera za 67.000 rocznie, Stackelbergowi nie podobało się w nim mieszkać; żądał innego lokalu; kupiono tedy pałac Brühlowski; może za wiele na to wydano, może zbyt skwapliwie dogadzano kaprysowi ambasadora, ale to się tłómaczy dostatecznie gwarancyą, która w r. 1787 utrzymywała się jeszcze w całéj sile i dopiero w 1789 odrzuconą została.

Więc ostatecznie przyznajemy Radzie Nieustającéj zasługę, że gospodarstwem skarbowém kierowała lepiéj, niż dawne Senatus consilia, że za jéj rządów nietylko utrzymywała się równowaga budżetowa, ale osiągano zawsze przewyżkę dochodów przynajmniéj w Koronie, że nowych długów nie zaciągnięto, a z dawnych całą pierwszą klasę spłacono, że co roku poświęcono jakąś sumkę na czyszczenie rzek, bicie tam, kopanie kanału, reperacye ratuszów, zasiłki dla miast, poszukiwanie soli itp. Pomiędzy rokiem 1776 i 1788 różnica w stanie kraju i skarbu jest znaczna i korzystna.

Czy stan ten był jednak zadawalniającym? to znów inne pytanie. Lepszym był o wiele w porównaniu z dawnym, ale w stosunku do potrzeb i warunków samoistnego, zaszczytnego bytu politycznego jeszcze był lichy. Z tych ponurych otchłani, w jakie stoczył się naród za Sasów, niepodobna było wydostać się w ciągu lat 12-tu na brzeg bezpieczny. To też zadowolenia nie czuli nawet ludzie owocześni, a gdy na widownią publiczną wystąpiło nowe pokolenie, wychowane w szkołach komisyi Edukacyjnéj i w korpusie kadetów, wydało ono sąd surowy i na Radę Nieustającą i na całą działalność rządową. Rząd do r. 1788 byłto najgorszy, najfatalniejszy i najszkodliwszy w całéj Europie, słowem, byłto prawdziwy nierząd; „piłka od sąsiedzkiéj przemocy rzucana" mówi ktoś w Pamiętniku Polityczno-Historycznym (1).

Widzieliśmy już, jak we wszystkich sferach życia społecznego budziły się i rozwijały pragnienia reform głębokich, przeobrażeń rdzennych w układzie społeczeństwa i państwa.

---

(1) Pamiet H. P. 1791, str. 615

W materyi finansów tak jak i w wielu innych sprawach najpotężniéj zabrzmiał w r. 1785 głos Staszica: „Dzisiaj krajowéj mocy gruntem są pieniądze. Jeżeli mię zrozumiano, że moc jest częścią istotną towarzystwa wszelkiego, zgodzimy się wszyscy, że teraz ani monarchia, ani arystokracya, ani demokracya, zgoła żaden kraj i żaden rząd tego przywileju nie ma, aby pod nim obywatel żył bez podatków. Równie jak w monarchii tak w najwolniejszéj rzeczypospolitéj dzisiaj trzeba oddać połowę, albo trzy części dochodów, dla ocalenia czwartéj... Ten rząd jest mało wiadomy, albo nieczynny, który teraz powiększeniem podatków nie zabezpiecza krajowi obrony.... Podatek i kredyt są to dwa prawa mocy, potrzeby. Bodajby rzplita polska nie była nigdy została tym nieszczęsnym prawom nieposłuszeństwa ofiarą. Gdyby Polacy za Augusta II zamiast rozpuszczenia 60 tysięcy gotowego wojska byli dla utrzymania jego złożyli podatki, dotychczas wolni i poważani żyliby" (1).

Następnie zadaje sobie pytanie: „jak wiele rzplita polska w dzisiejszym stanie daćby mogła podatku?" Pytanie to zajmuje go w tym celu, aby można było utrzymać sto tysięcy wojska, które uznał za niezbędne wobec panującego w Europie militaryzmu, którego zresztą bynajmniéj nie chwali, owszem potępia nawet.

Podatki owoczesne w Polsce płacone oblicza tylko na 12 milionów złł., (oczéwiście liczy za mało nawet dla saméj korony jak widać z tab. 15). Porównywając z innemi państwami, zwraca uwagę, że Francya saméj prowizyi od długów swoich płaci 385 mil., że tam jakoteż w Prusach i Austryi komisya skarbowa nakłada na dziedziców 24 od sta z dochodów, że cesarz niemiecki wydaje rocznie 100 mil. złotych na utrzymanie 250.000 wojska, że sama Galicya płaci rocznie 40 milionów.

Potém zabiéra się do obliczenia intrat z dóbr ziemskich, ponieważ zdaniem jego „tylko jeden jest rzeczywisty podatek, a ten ziemia płaci." Obliczenie produkcyi zbożowéj, jakeśmy we właściwém miejscu wykazali, jest za wysokie. Wszakże przy tak wysokim nawet rachunku i przy doliczeniu ceł oraz podniesieniu opłat od posiadłości emfiteutycznych do trzech kwart, narachował zaledwo 43.798.251 złł. jako ogół dochodów skarbowych, w których „podatek szlachecki" figuruje w cyfrze 24.750.000. Zważywszy jednak że punktem wyjścia dla niego był zbyt szczupły bo 12-milionowy dochód dawniejszy, przypuszczamy, że celem jego było powiększenie podatków istniejących o $3^1/_2$ razy. Z tak zwiększonym podatkiem można by-

(1) Staszic—Uwagi n. ż. J. Zamojskiego, str. 107.108.109.

łoby podnieść etat wojska z 16 na 62 tysiące żołnierzy. (Resztę chce formować z chłopów dóbr starościńskich, którymby rzeczpospolita rozdała prawem dziedzictwa grunta tak chłopskie jak pańskie z obowiązkiem 50-letniéj służby wojskowéj (!) i mustry raz na tydzień, zamiast zniesionéj pańszczyzny). Zresztą zaleca jeszcze oszczędność, a szczególnie zmniejszenie niezmiernéj liczby oficerów, których utrzymanie najdrożéj kosztuje. Długów zaciągać nie radzi; podatki chce pobiérać tylko od dochodu czystego (1).

Myśli te stały się gwiazdą przewodnią dla stronnictwa reformy na sejmie czteroletnim.

Wiadomo, że jedna z pierwszych uchwał tego sejmu stanowiła podniesienie liczby wojska do 100.000, a zaraz potém wywiązać się musiały rozprawy o funduszach na utrzymanie tego wojska. Jakoż zaczęły się one na dobre od dnia 7 Stycznia r. 1789, a trwały długo półtrzecia miesiąca, zanim nowy budżet się wykluł. Były one bardzo mozolne, męczące nietylko dla króla, który musiał, jako „stan pierwszy," nieustannie dosiadywać na tronie, ale i dla nas, jeśli Dyaryusz urzędowy w czterech sporych księgach odczytać zechcemy i po odczytaniu przekonamy się, że do końca dyskusyi jeszcześmy nie doszli (2).

Bo téż nie łatwą była dla tworzącego się dopiéro stronnictwa reformy sprawa podatków. Na ławach sejmu, szczególnie w senacie, zasiedli i ludzie z dawnéj konfederacyi Ponińskiego i sam Poniński, jeszcze jako minister, i możnowładcy, którzy tworzyli późniéj konfederacyą Targowicką i tłum tych „co z mlekiem matki wyssali zasadę, że szlachta nic dawać nie powinna" „że świętemi są majątki szlacheckie, że tykać ich choć w nagłéj rzeczypospolitéj potrzebach jak najskromniéj potrzeba" (3), a sami reformatorowie nie liczyli w swém gronie ani jednego finansisty, ani jednéj górującéj zdolności politycznéj, którąby karność w stronnictwie utrzymać umiała. Przydałby się bardzo w takiéj sytuacyi Mirabeau, ale jedyny człowiek, co go układem umysłu przypominał, mianowicie Xiądz Hugo Kołłątaj stał jeszcze za drzwiami sejmu i tylko na prywatnych nara-

---

(1) Staszic l. c. str. 110, 79. 94, 111, 127. 115, 126, 78, 117.

(2) W znanych nam egzemplarzach Biblioteki Publicznéj Warsz. Uniwersytetu i hr. Krasińskich Dyaryusz urzędowy przerywa się na d. 6 Marca 1789; o późniejszych zatém posiedzeniach mogliśmy powziąć tylko ogólnikową wiadomość z „Dyaryusza krótko Zebranego" wydanego u Dufoura w Warsz. 2 tomy in 8-vo minori i „Zbioru mów i pism niektórych w czasie sejmu... 1788. Wilno w Drukarni JK. Mci przy Akademii, tomów 12.

(3) Czacki Michał poseł Czernihowski na sesyi 67 d. 26 Lutego, Rzyszczewski kaszt. Lubaczewski na sesyi 68, d. 27 Lutego: Dyaryusz tom 2, część 2, str. 181, 205.

dach, albo przez Listy Anonyma, do Marszałka sejmu adresowane, mógł pewny wpływ wywiérać. Zresztą nie był on hrabią, a tytuł ten w izbie polskiéj przydałby mu się lepiéj niż francuskiemu mężowi stanu. Xiądz Osowski, zachwalany podówczas ekonomista, mógł téż wnosić swój drukowany projekt o starostwach tylko za pośrednictwem Zielińskiego, posła Nurskiego, bo sam do sejmu nie należał. A może w toku dyskusyi trafna uwaga lub światły pomysł specyalisty więcéj pożytku sprawiłyby, niż drukowane memoryały. Zwolennikiem reform był marszałek sejmowy, Stanisław Małachowski, niewątpliwie obok Kościuszki najczystszy moralnie człowiek z całego pokolenia owoczesnego, które go téż czciło; lecz zacności téj zbywało na sile, brakło energii, żeby odebrać głos posłowi, który wychodził z porządku dziennego i gmatwał deliberacyą nowemi wnioskami. Wynikało ztąd, że chociaż na każdém posiedzeniu, a nawet każdy prawie mówca wspominał o konieczności oszczędzania czasu, rozprawy przecięż wlokły się bezowocnie.

Zaszkicujmy główne fazy tych rozpraw.

Otworzył je Suchorzewski, poseł Kaliski, szlachcic staréj daty, w niektórych kwestyach poczuwający się do potrzeb reformy, późniéj najzawziętszy przeciwnik i oponent konstytucyi majowéj. Dnia 5 Listopada 1788 r. wystąpił on z wnioskiem z powodu uchwalonego świéżo 100.000 wojska: „Ponieważ na zakupienie broni (za granicą bo własne fabryki nie wystarczą) i innych rekwizytów wojskowych ....suma 100.000 jest potrzebna.... przeto stanowimy, aby na dzień ostatni tego miesiąca na komory, przeznaczone do odbiérania podymnego nieodwłocznie wszyscy panowie i posesorowie dóbr, nie narzucając nic na poddanych, jedno podymne złożyli. Że zaś ta suma wystarczać jeszcze nie będzie, ustanawiamy subskrypcyą“.... Chciał aby do składek na wojsko powołani byli wszyscy: młodzi i starzy, panowie i słudzy, rolnicy i kupcy (1). Ale zaraz potém zaczęli występować różni posłowie z rozmaitemi nieobmyślanemi projektami, powstały hałasy i rezultatem posiedzenia było tylko wezwanie wszystkich stanów do składek, otwarcie zapisów na dary dobrowolne. W kilka dni potém dowiadujemy się, że ofiary już wpływać zaczynają: Kublicki poseł ofiarował 1.000 złł., Bieliński, pisarzewicz koronny, ze swéj pensyi dziecinnéj wynoszącéj 9 czerwonych złotych zobowiązał się płacić 7 i t. p. (2), ale w Voluminach Legum konstytucyą znajdujemy odpowiednią, p. t. „Dobrowolna ofiara na naglące potrzeby ojczyzny,“ dopiéro pod d. 17 Grudnia.

---

(1) Dyaryusz (urzędowy) sesya 13 tom I cz. 2 str. 3—5.

(2) Ibid. str. 46.

Na razie ofiary płynęły dosyć obficie nietylko od szlachty, ale i od mieszczan, czasem od chłopów; damy składały swoje klejnoty, co zjednało im komplementa od mówców i pisarzy (1). Lecz jakiż mąż stanu, albo finansista, śmiałby opiérać plan uzbrojenia i utrzymania armii na datkach dobrowolnych, na ofiarach dzieci i kobiét? Jeśli Suchorzewski dużo na to źródło liczył, to się zawiódł, w ciągu trzech bowiem lat wpłynęło do skarbu kor. z województw i zapisów w domu Małachowskiego, marszałka, nie spełna milion złł. (896.170) (2).

W ciągu Grudnia parę razy podnoszono potrzebę uchwalenia funduszów, np. Suchodolski i Jacek Jezierski, kasztelan Łukowski (2 Grudnia), Slaski poseł Krakowski, który żądał złożenia zaraz podymnego, na fundusz werbunkowy, i Niemcewicz w podobnym zamiarze, ale na porządku dziennym utrzymywała się wciąż sprawa organizacyi wojska i komisyi wojskowéj.

Dopiéro po świętach Bożego Narodzenia d. 7 Stycznia 1789 r. marszałek sejmowy Małachowski oświadczył, że w jego domu porozumiéwali się posłowie co do „gatunku podatkowania" oraz „ulżenia onego przez wyszukiwanie innego rodzaju źródeł, składających dochody publiczne" (3). To oświadczenie było złą wróżbą dla wchodzącéj na stół sprawy, bo i jakież mogły się znaleść „innego rodzaju zródła," któremiby zastąpić się dały podatki? Przewidując trudności i długość rozpraw, wystąpił nazajutrz Stanisław hr. Potocki, poseł Lubelski (późniejszy minister oświecenia za królestwa kongresowego), świetny mówca, z wnioskiem podwójnego dymowego, które powinno być w bieżącéj racie do skarbu wniesione sposobem pożyczki „nim podatki wieczne ułożonemi będą." Nazwano to „podatkiem czasowym" albo „podymném protunkowém," tj. na ten raz (pro tunc) mającém się zapłacić. Bardzo chętnym do popiérania okazał się Suchorzewski, bo żądał przyjęcia tego wniosku natychmiast nawet bez deliberacyi. Walewski wojewoda Sieradzki przemówił téż życzliwie, podobnie i Suchodolski, ale ten dopominał się o czytanie własnego wniosku, oraz żądał zabrania biskupstwa Krakowskiego na płacę wojska. Nagle dyskusya zawróconą została na inny tor, za sprawą Bazylego Walickiego wojewody Rawskiego.

(1) Lista osób, od których ofiary wpłynęły znajduje się w „Zbiorze mów i pism niektórych w czasie sejmu... 1788 r." Wilno 1798(tak) w Drukarni JKMci przy Akademii, na końcu każdego prawie tomu. O znacznéj gotowości do ofiar autor Uwag nad Uwagami str. 155 i inni.

(2) Rachunki sejmowe 1790 91 i 92 r. Dyaryusz 1790 r. str. 111.

(3) Sesya 45 d. 7 Stycznia 1789. Dyaryusz 1788. Tom 2 cz. 1 str. 1.

Był zapewne złożony już u Laski projekt podatku od orderów. Walicki tedy mówi długo przeciwko takiemu podatkowi i wskazuje „łatwiejszy sposób pomnożenia dochodów,“ mianowicie: zabrania na skarb starostw, dzierżaw i różnych królewszczyzn, jak to uczyniły rządy trzech mocarstw w województwach, przy pierwszym rozbiorze zajętych. Odprzedanie starostw lub ustanowienie w nich administracyi skarbowéj „sprawi ulgę w podatkach dla nas, a tém bardziéj osobom w stanie rycerskim szczuplejsze dochody mającym“ (1). Domyślamy się, że miał ordery, a nie miał żadnego starostwa. Podskarbi nadworny Kossowski złożył dwa projekta: o pomnożeniu dochodu z papiéru stemplowanego i powiększeniu czopowego od trunków zagranicznych—oba małéj wagi, bo wróżyły bagatelny przyczynek do owéj ogromnéj sumy, jakiéj wymagało utworzenie armii. Z tego wszystkiego ułożono niby porządek dzienny z czterech projektów (1 fundusz dla wojska, 2 powiększenia stempla, 3 powiększenia czopowego i 4 ubezpieczenie fabryk krajowych jeszcze tylko obiecany) Sekretarz sejmowy odczytał je wszystkie, lecz izba żadnego nie zdecydowała i posiedzenie zawieszoném zostało.

Nazajutrz znowu Wejsenhof, poseł Inflancki (ze stronnictwa reformy), domaga się podatku stałego, ale tymczasowo popiéra podymne protunkowe, proponowane przez St. Potockiego. Atoli przeciwko temu ostatniemu wystąpił Szczęsny Potocki, generał artyleryi, jako poseł Bracławski, ponieważ województwa Podolskie i Bracławskie płacą skutkiem mściwéj uchwały sejmu delegacyjnego z r. 1775 (na którym nie były reprezentowane) nader uciążliwe podymne, nieproporcyonalne do innych województw. Wolą one dać „dziesiąty grosz intraty swojéj.“ Nie bardzo wierzymy w to „uciążenie“ województw południowych—najobszerniejszych, najżyzniejszych, obecnie zaś bogacących się nawet handlem chersońskim, ale notujemy nową propozycyą dziesiątego grosza, która teraz po raz pierwszy zdaje się była wymówioną. Przemawiali dosyć jednomyślnie, Krasiński poseł Podolski, Niemcewicz, Wawrzecki, Matuszewicz za podatkiem stałym. Kosakowski biskup inflancki był zapewne w niezwykłym humorze, bo nietylko przyjmował podymne protunkowe, ale nawet chciał je darować skarbowi; podobnież Suchodolski. Lasocki poseł Sochaczewski oświadczył, że na 10-ty grosz nie pozwoli, lecz na podwójne podymne zgadza się. I to posiedzenie spełzło bez żadnéj decyzyi (2).

---

(1) Dyarusz 1788 tom 2 część 1 str. 28.

(2) Sesya 47. 9 Stycznia 89 r.

Podobnież spełzło posiedzenie następne z d. 12 Stycznia wśród krzyżujących się głosów. Butrymowicz, poseł Piński, proponuje pożyczkę u bankierów krajowych, a nie chce pozwalać na podymne przed ukończeniem etatu wojska. Za to Kociełł, poseł Oszmiański, raczył oświadczyć łaskawie, że prowincya Litewska nie odpisze się od podatków na dobra „nawet ziemskie“ (1). Ukazują się niespodzianie projekta o Straży, o Sejmie Nieustającym, o Radzie Nieustającéj; Małachowski nie mógł odczytać własnego projektu o podatkach i, tłómacząc się chorobą, prosił o zawieszenie sesyi.

Niemniéj niesfornèm było posiedzenie 69 dnia 16 Stycznia. Poniński wystąpił z projektem zastąpienia podatku protunkową pożyczką i oświadczył, że Komisya Skarbowa „znalazła sposobność zaciągnienia sumy dość znacznéj bo do miliona czerwonych złotych“ (t. j. 18.000.000 złł.) Zdaje się, że kłamał, ponieważ gdy przyszło naprawdę do zaciągania pożyczki, napotkano wielkie trudności z wydostaniem 10-u milionów. W końcu Morski w długiéj mowie wywodząc konieczność uchwalenia podymnego zawołał: „straszna, ale sprawiedliwa o nas będzie definicya Historyi: nieczynność sejmu zadziwia, śmieszy i wzgardą ku nam napełnia całą Europę.“ I to jednak nie poskutkowało: decyzyi żadnéj nie powzięto. Owszém na następném posiedzeniu Adam Moszyński, sekretarz WXLit., poseł Bracławski, najbieglejszy bodaj finansista owoczesny, ale skąpiec w zakręsie pojęć politycznych kierujący się instynktami dawnego egoizmu szlacheckiego, wykazywał, że skarb będzie miał 3.703.000 zwykłych dochodów do użycia na zrekrutowanie wojska, brakującą zaś na pierwsze potrzeby sumę 696.900 złł. może pokryć „asygnacyami skarbowemi“ (bonami?), więc podatek protunkowy nie będzie potrzebny (2).

Zdawałoby się, że owo podymne protunkowe musi być już uchwalone d. 16 Stycznia, kiedy Stanisław Potocki wygłosił w obronie swojego wniosku niezmiernie gorącą i znakomitą mowę. Przedstawiając groźną sytuacyą kraju w obec wypadków, za granicą rozwijających się, zaklinał współobywateli swoich „aby do ratunku ojczyzny jak najśpieszniejszym biegli krokiem.“ Radził prócz swego podatku pożyczkę zagraniczną „bo gdy mogła Rzplta na mniéj ważne potrzeby zaciągnąć 9 milionów i z nich się uiścić, za cóż ich tak bojaźliwymi znajdują tam, gdzie o ostatni idzie jéj ratunek, tam gdzie wolność kupić sobie przychodzi? Już w oczach świata niewolnikami

(1) Sesya 48, d. 12 Stycznia 1789 Dyaryusz t. 2 cz. 1 str. 66.
(2) Sesya 50 d. 15 Stycznia 1789. Dyaryusz t. 2 cz. 1 str. 166 nast.

jesteśmy, już nas za takich potomności podano". I przytoczył znany ustęp z dzieł Fryderyka II. Następnie zwrócił się do króla: „Naj. Panie! Dzień jutrzejszy jest dniem narodzin WKMci... Miłościwy Panie, aby projekta protunkowego podymnego i pożyczki zgodnie przyjęte dziś były, a dopiéro wraz z siłą swoją odrodzi się Polska. Staniesz się Miłościwy Królu, stwórcą narodu, który od kilkunastu lat już zginął, już z liczby narodów wymazanym został." (1) I cóż?... podatek ani pożyczka uchwalonemi nie zostały. Czyliż przynajmniéj o wielkie tu ofiary chodziło? Nie, tylko o 4½ miliony złotych, które bynajmniéj jeszcze nie odrodziłyby Polski, nawet w połączeniu z pożyczką, jak zapewniał w zapale wnioskodawca.

Zresztą słowa Potockiego sprawiły wrażenie. Gdy Kosakowski chciał mówić, wielu posłów prosiło go, żeby odstąpił głosu, a Rzewuski przymówił się, że „po mowie dopiéro słyszanéj, nie widzi, co może być więcéj do powiedzenia jak prosić o turnum" (t. j. o głosowanie), król poparł wniosek od siebie, dodając, że pragnie, aby zaraz potém uchwalane były podatki wieczyste. Sekretarz sejmowy odczytał pięć wniosków odnoszących się do podymnego protunkowego i pożyczki. Ale przed zarządzeniem głosowania, marszałek Małachowski, nie wiém dla jakiéj przyczyny, oddalił się do izby konferencyonalnéj. Podczas jego nieobecności Potocki, poseł Bielski, odezwał się, że podług jednéj z dawniéjszych uchwał należy przed podatkami rozstrzygnąć sprawę rządu przedsejmowego. Wtedy sam Stanisław Potocki, poseł Lubelski, zaniechawszy swojego wniosku, oświadczył, iż ustanowienie rządu przedsejmowego zmierza do zniesienia Rady Nieustającéj, więc proponuje zniesienie wszystkich praw z 1775 i 1776 roku Radzie téj przysługujących, czyli zniesienie téj Rady. Król się przeraził tym obrotem rozpraw, ostrzegł, że tym sposobem mogą być pogwałcone traktaty i sesyą zawiesił aż na 2 dni. Pomimo to, 19 Stycznia, po burzliwych rozprawach, Rada Nieustająca runęła większością 120 przeciwko 11-u głosom.

Snadź Potocki Stanisław wiedział, że wpływ téj Rady tamuje bieg spraw sejmowych, bo na następném posiedzeniu d. 21 Stycznia rzekł: „piérwsze skutki uchylenia Rady widzieć się dają w téj teraz jedności, w téj gorliwości narodu. (2)

Było to jednak zbyt optymistyczne mniemanie; powstało ono w jego umyśle pod pierwszém wrażeniem tryumfu. Publiczność warszawska, prowincye, literatura peryodyczna i ulotna nagliły o po-

(1) Dyaryusz 1788 t. 2 cz. 1 str. 180—1.
(2) Sesya 53 d. 21 Stycz. Dyaryusz t. 2 cz. 1 str. 275.

śpiech w uchwalaniu podatków. W tym samym dniu, kiedy Potocki wygłaszał znakomitą swą mowę, odbijano broszurkę, p. t. „Głos Województw, ziem i powiatów do swych posłów sejmujących w roku 1788 i 1789“, która się zaczyna od wykrzyknika: „Przebóg, już tylko dwa miesiące do wiosny, a jeszcze ani podatków, ani wojska nie widać!“ a podpis nosi: „Datum w Koronie i Litwie d. 16 Stycznia 89 r.“ (1) Posłowie wspominali niejednokrotnie o listach i głosach dochodzących z województw. Sapieha zapewniał, że „obywatele po prowincyach nad nieczynnością sejmu są w rozpaczy.“ Pomimo to rozprawy podatkowe zawsze jeszcze były najeżone przeszkodami.

Na tém samém 53-ém posiedzeniu Zieliński, kasztelan Rypiński, zwalczał podatek protunkowy: „mówi bowiem publicum, iż mogą się znaléść tacy, którzy nie dadzą nam przyjść do generalnych źródeł podatku, aby uchronili swoje majątki od wiszących na nie nakładów.“ Gładziéj wszakże poszedł wniosek o pożyczce 10 mil. dla Korony „etiam z ofiarowaniem wyższego (nad prawny) procentu.“ Na zapytanie marszałka dał się słyszéć okrzyk: „zgoda!“, który powtórzono trzykrotnie. Nie potrzebne więc było głosowanie i ta piérwsza uchwała finansowa zapadła jednomyślnością (2). Skorzystał zaraz z téj sposobności A. Moszyński, by wyprowadzić wniosek, że teraz podatek czasowy nie będzie już potrzebny! Poczém przyszła koléj na Litwę. Kaz. Sapieha, marszałek konfederacyi litt., oświadczał, że jego prowincya okaże gorliwość „nie skąpiąc majątków swoich“ przy uchwalaniu podatków stałych, ale teraz przy ubóstwie skarbu swego i 300 złł. remanentu pożyczka jest możliwą chyba „za dzielnością JO. Xcia Podskarbiego W. W. X. Litt. (Poniatowskiego) z własnéj osoby swéj mającego kredyt.“ Czytał więc sekretarz Komisyi Skarbowéj litewskiéj Ancuta projekt zaciągnienia pożyczki dla Litwy tylko 3.000.000 złł. I ten projekt został przyjęty jednomyślnością. Wtedy marszałek sejmowy prosił króla o zawieszenie posiedzeń na czas dłuższy, iżby posłowie mogli się na prywatnych konferencyach porozumiéć co do projektów podatkowych.

Następne więc posiedzenie miało miejsce d. 26 Stycznia i zakończyło się również jednomyślném uchwaleniem podwójnego podymnego protunkowego, gdy dodano poprawkę, że termin opłaty przedłuża się do końca Marca. Moszyński nie zaniedbał odradzać, ale okrzykowi „zgoda!“ nie przeszkadzał i głosowania imiennego nie

---

(1) Zbiór pism i mów niektórych w czasie sejmu 1788, Wilno, tom VII, str. 6.

(2) Dyaryusz 1788 t. 2, cz. 1 str. 283. W konstytucyach uchwała ta, równie jak i poprzednia (zniesienie Rady Nieust.) nosi datę o dwa dni późniejszą, bo tyle mniéj więcéj czasu schodziło na oblatowanie konstytucyi w księgach ziemstwa lub grodu.

żądał. W konstytucyi znajdujemy warunek, „iż ten podatek na dwory, nie na rolników jest nałożonym.“ Litwa nazajutrz ofiarowała, zamiast podymnego, drugą ratę z kwart, starostw, czopowego, podymnego miejskiego, młynowego i subsidium charitativum. Sapieha chwalił się, że ofiara ta wyniesie przeszło trzecią część koronnéj (1.900.000 złł.), chociaż prowincya W. X. Litt. wyrównywa tylko czwartą częścią prowincyom koronnym. Starostowie podobno sami dopraszali się, aby im wolno było złożyć w Marcu drugą kwartę. (1)

Teraz wypadało już zabrać się do stanowienia podatków stałych, wieczystych. Izba wiedziała i zdecydowaną była nałożyć podatek na dobra ziemskie, na dwory, na szlachtę; rozumiała konieczność zrzeczenia się słodkiego przywileju, żeby wszelkie opłaty ponosili poddani oraz królewszczyzny i dobra duchowne. Ponieważ jednak wysokość podatku zależną była od budżetu wojskowego, więc reprezentanci szlachty chcieli najprzód wszelkie inne źródła dochodowe wyczerpać, aby przypadającą na dobra ziemskie resztę, o ile można, zmniejszyć. Taką też drogę wytknął Kublicki, poseł Inflancki, który w długiéj mowie proponował: papiér stemplowany dla Litwy, zwiększenie pogłównego od żydów oraz cła od przedmiotów zbytkownych, podatek od orderów, zabranie części dochodów edukacyjnych z dóbr pojezuickich (po oddzieleniu tylko sumy potrzebnéj na utrzymanie dwóch akademij i na pensye zasłużonym), podatek od kawalerów Maltańskich, procent od pensyj cywilnych wyższych nad 10.000 złł., zabranie funduszu przeznaczonego na garnizon Częstochowski, zajęcie propinacyj miejskich na skarb, nareszcie zabranie starostw. Składając projekt do laski, oświadczył energicznie, że „dopóki nie będą urządzone królewszczyzny, do żadnego podatku nie przystąpi.“ (2)

I zatoczyły się znów szeroko rozprawy o starostwach, emfiteuzach i wszelkich królewszczyznach, pouczające pod względem historycznym i prawnym, ale skąpe w pożytki polityczne w owéj chwili. Krytykowano całą instytucyą ostro, sejm 1775 r. potępiano surowo, niektórzy posłowie, jak Sanguszko i kilku innych, oświadczali się z gotowością zrzeczenia się swoich królewszczyzn, marszałek sejmowy zawiadamiał o dobrowolnych propozycyach starostów większéj opłaty do skarbu, ale kwestya nie posuwała się jakoś. Znać było wpływ JWW. i JOO. starostów, magnatów. Mieli też oni

(1) Data konstytucyi jest znów o dwa dni późniejsza: 28 i 29 Stycznia. Tytuły: Ofiara na ten raz uczyniona i Ofiara na potrzeby wojska W. X. Litt. Głos Sapiehy w Dyaryuszu t. 2, cz. 1, str. 313.

(2) Dyaryusz 1788, tom 2, cz. 1, str. 316—320.

swoich rzeczników, Tak np. Leszczyński, poseł Inowrocławski, żądał od „gorliwych na cudze dobro patryotów... żeby nie cudze ofiarowali, lecz kupiwszy po kilka starostw, z tych Rzeczypospolitéj uczynili ofiarę: gdy to usłyszę, przekonam się, iż nie tylko księga pamięci może ich imię najpierwéj umieścić, ale i warci będą, aby pomiędzy świętymi w kalendarz polski zapisanymi zostali.“ (1) Nawet Kublicki był posądzany „o pochlebstwo“ i odpierając ten zarzut, mówił: „uczyniłem ofiarę zdania mojego, żebym pokazał, że się śmiało narażam starostom, nie bojąc się wyrzutu zapłaconego sentymentu.“ (2) Nie powtarzamy zresztą saméj dyskusyi, bośmy z niéj poprzednio już czerpali dużo, mówiąc o starostach. Zaznaczymy tylko wypadek długich sporów. Starostowie postąpili pół kwarty, a tym sposobem mieli wnosić do skarbu całkowite dwie kwarty, czyli tak zwane 50 groszy (połowę dochodu); nadto nakazaną została nowa lustracya wszystkich królewszczyzn (co téż i wykonano w tym samym 1789 roku), ale gdy chciano pociągnąć starostów do opłacania podatku ziemiańskiego jeszcze od drugiéj, dla nich pozostawionéj połowy intrat, wniosek został odrzucony 116 głosami przeciwko 86-u. Expektantom kazano płacić jednomyślnie 2½ kwarty. (3)

Łatwiéj poszło z podatkiem stempla, chociaż Suchodolski, poseł Smoleński, ostrzegał, że papiér stemplowany jest przeciwny równości szlacheckiéj (!), a Dziekoński, podskarbi nadw. litt. żądał, żeby Litwę zwolniono za to od innych podatków, które tam stempel zastępowały. Przy rozprawach o opłacie od urzędów i orderów, szczególnie irytował się Kossakowski, biskup Inflancki: wyrachował on, że „gdyby skarbnik posuwał się stopniowo i chciał dojść do kasztelanii krakowskiéj, wypadłoby dla niego 120.000 czerwonych złotych.“ Ale Krasiński, poseł Podolski, odpowiedział na to: „Czytając historyą narodową, nie doczytałem się w niéj, ani téż znikąd nie słyszałem, żeby który szlachcic od skarbnika doszedł do kasztelanii krakowskiéj, a jeżeli los któremu posłuży do tego szczęścia, zapewne taż sama wszechmocna ręka, która go stopniami temi prowadzić będzie, potrafi opatrzyć mu sposób opłacenia stempla.“ Opłata uchwaloną została, a z dołączonéj do prawa tabeli dowiadujemy

---

(1) Ibid str. 324.

(2) Dyaryusz 1788, t. 2, cz. 2, str. 253.

(3) Prawo o dwóch kwartach oblatowane pod d. 6 Kwietnia 1789 r., o wykonaniu lustracyi dowiadujemy się ze sprawozdania Morskiego: Dyaryusz 1789, t. 2, cz. 2, str. 129, głosowanie na podatek ziemiański ze starostw Ibid str. 227. Co do expektantów uchwała z d. 3 Marca.

się, jaka to ogromna moc urzędów istniała w Polsce. Najwyższy stempel ustanowiono od przywileju na arcybiskupstwa (1.000 czerwonych złł.), potém na biskupstwa (600 cz złł.), od przywilejów zaś na województwa, kasztelanią krakowską i ministeria tylko po 200; najniższy (1 cz. zł.) na komornikostwa graniczne i ziemskie, subdelegactwa, burgrabstwa, namiestnikostwa, regencye ziemskie i grodzkie, vice-regencye, susceptanctwa, podwojewództwa i inne podobne. Nadto biskupi i koadjutorowie musieli płacić jeszcze 5% od czteroletniéj intraty swojéj. Cieciszowski, biskup kijowski, przedstawił, że z biskupów ruskich 2-ch albo 3-ch zaledwo mogłoby tak wysoką opłatę uiścić. Dodano więc poprawkę, że opłacie podlegają te tylko biskupstwa, które przeszło 10.000 intraty posiadają. Wszystkie zaś metropolie i episkopie obrządku greckiego zwolnione były od stempla. (1)

Jednocześnie domagano się téż zwiększonego podatku od dóbr duchownych. Suchorzewski, poseł Kaliski, wykazywał, że mając dochodu 150.000 złł. rocznie z dziewięciorgiem familii swojéj większą ofiarę poniesie, płacąc 12.000 podatku, niż duchowny, któryby zapłacił z takiegoż dochodu 36.000, bo chociaż w piérwszym przypadku pozostaje 138.000 złł., ale suma wystarczyć musi na całą rodzinę, gdy duchowny obracałby swoich 114.000 na jednę tylko własną osobę. Podał więc swój projekt do Laski „w téj myśli, ażeby gdy dziedzic dóbr ziemskich grosz 1, to duchowny i starosta groszy 3 zapłacił.“ Rachubę swoję stosował on do 60.000 wojska, którego etaty wynoszą 16 milionów, ale radby mieć 100.000 i nie będzie żałował dać więcéj, byle ten sam stosunek (1 do 3 groszy) był utrzymany. (2) Gdy ze strony duchowieństwa zachodził opór, Jezierski, kasztelan Łukowski, wyrzucał mu winy, względem narodu spełnione: „Kto był przyczyną zwinięcia chorągwi w 1717 roku? Oto, bogaty biskup Krakowski. Kto skleił konfederancyą Radomską? Prymas Podoski. Kto w dalszym ciągu był pomocą, radą i zezwoleniem do rozebrania kraju? Kanclerz Młodziejowski, prymas Ostrowski... A tu duchowieństwo jeszcze prawo 1784 r. chce znosić, uchylając się od subsidium charitativum!“ (3). Krasiński, poseł Podolski, i Mo-

---

(1) Sesye 56 i 57 d. 29 i 30 Stycznia r. 1789; konstytucya oblatowana d. 5 Lutego. Lista urzędów przedrukowana w Dzienniku Rządowo-Ekonomiczno-Handlowym 1789, str. 352—364.

(2) Dyaryusz 1788, t. 2, cz. 1, str. 359.

(3) Dyaryusz krótko zebrany seymu głównego Warsz. etc. Dufour. tom 1, str. 234.

szyński, zawsze skory do zmniejszania podatków, chcieli poprzestać na 15 procentach od intraty z dóbr duchownych, ale biskupi, widząc większość zdań, zezwolili na 20%. utrzymując zarazem dawniéj już płacone subsidium charitativum. Propozycya ta przyjętą została przez sejm jednomyślnością. (1)

Pomniejsze wnioski, jak np. podniesienie stempla od kart zagranicznych, o sumach duchownych z Galicyi odebranych, podatek skórowy, przeszły prawie bez rozpraw.

Co do wykonania uchwały o pożyczce, Poniński, jako podskarbi w. k., doniósł d. 4 Lutego, że Komisya Skarbowa Kor. „nadgłosiła się do obywatelów polskich“ za pośrednictwem swoich superintendentów, ale ci nadesłali odpowiedź „iż nie jest w takim kredycie Rzplta, aby mogła u obywatelów znaleźć pożyczenie pieniędzy.“ Musiała tedy udać się do bankierów o pośrednictwo w zaciągnieniu pożyczki zagranicznéj. Wydelegowała Kossowskiego i Małachowskiego do Teppera, a Lanckorońskiego i Kamienieckiego do Blanka. Największą gotowość okazał Tepper, oświadczył bowiem, ze „żadnego interesu własnego upatrywać nie będzie w tém negocyowaniu.“ Ofiarował nawet z swojéj kieszeni zaliczenia 100.000 czer. złł. (f.800.000 złł.), żąda wszakże w nagrodę za tę usługę, aby sejm rozciągnął na całą jego rodzinę prawa kupowania dóbr ziemskich. Konwencya, już przygotowana i podpisana, złożoną została do zatwierdzenia. Konwencya ta uległa jednak krytyce. Uważano, że Tepper rachuje sobie 7% od awansu, nie zobowiązuje się stanowczo do dostarczenia piéniędzy w terminie, zastrzega agio i t. p. Wtedy Kossowski oświadcza, że Tepper chciał tylko, aby warunek co do agio był wpisany do konstytucyi, lecz zrzekł się takowego rewersem, a Stanisław Potocki złożył deklaracyą Teppera, że dostarczy 5 mil. na zawołanie, na resztę zaś, gdyby do Maja nie wyszukał piéniędzy za granicą, wyda „skrypta, które równy walor mają co piéniądze.“ Pomimo naglących uwag Ponińskiego, konwencyi nie zatwierdzono i polecono układać się z kilkoma bankierami (czego właśnie Tepper nie chciał). Dnia 23 Lutego Poniński złożył tedy drugą konwencyą z Tepperem i Protem Potockim zawartą, donosząc przytém, że inni bankierowie, podług ich własnego oświadczenia, warunkom obecnie umówionym wyrównać nie zdołają. Kossowski objaśnił też, że Kabryt i Blank gotowi byliby dać spólnie 1 milion, ale na czas bardzo krótki i na 10 do 12%. Wystąpił z oryginalną opozycyą Walewski, W-da Sieradzki: dopatrzył on, że położony przez Teppera

(1) Ibid. 236.

warunek kupowania dóbr ziemskich uwłacza prerogatywie stanu szlacheckiego; prędzéjby się zgodził, żeby Schultza i Arndta (zięciów Teppera) do szlachectwa przypuścić, niż bez szlachectwa pozwolić nabywania dóbr ziemskich (!). Sejm jednak zatwierdził konwencyą jednomyślnie; tylko w senacie znalazła się jedyna negatywa, zapewne Walewskiego (1). Obok téj pożyczki bankierskiéj obywatele krajowi wypożyczyli jednak pewne fundusze Skarbowi, jak to w rachunkach generalnych widzieć będziemy.

Zbliżała się nareszcie chwila decydowania o podatkach ziemiańskich. Trzeba było już „dołożyć, czego nie dostawało, gdy wprzódy wszystkie zwyczajne będą wyczerpnione źródła,“ jak powiadał poseł Słonimski Przecławski. Wszystko było już wyczerpnione; proponowany przez niego podatek od „baletników, sztukatorów, redutników, mód i zbytków wynalazców“ oraz ślubny od żydów nie zwrócił niczyjéj uwagi. Odwołanie się Kublickiego do króla, aby „z dóbr stołowych ustąpił“ (zapewne, żeby większe długi robił!), zmusiło tylko Stanisława Augusta do zrzeczenia się czopowego z miast Grodna i Brześcia. Niemcewicz wołał: „oddalmy od siebie to systema — niech da drugi, aby ja nic nie dał; dajmy wszyscy i dajmy prędko.“ Marszałek Małachowski wstydził przykładem sejmu szwedzkiego, który od kilku tygodni obradując, uchwalił nowych ciężarów na 6 mil. talarów „chociaż kraj ten nie wiele posiada cyrkulujących pieniędzy.“ Już i Moszyński radził podatek generalny z dóbr ziemskich, by dociągnąć do potrzebnéj sumy budżetowéj 41.951.263 złł. gr. 27 przy 100.000 wojska; dla osłonienia zaś swoich województw ułożył znane już nam pracowite, wielce użyteczne, drogocenne Tabelle statystyczne (2).

Nieszczęściem nie posiadamy urzędowego Dyaryusza na dzień stanowczy 26 Marca 1789 r., ale z Dufour'owskiego „krótko zebranego“ Dyaryusza dowiadujemy się, że sprawa poszła nad wszelkie spodziewanie gładko. Wprawdzie po zagajeniu sesyi, kasztelan Biecki Franciszek Żeleński zaczął usilnie domagać się, aby wrócono do jakiegoś artykułu 17 Komisyi Wojskowéj i żeby rozprawiano o sądach cywilno-wojskowych, ale wszyscy jednogłośnie oparli się temu. Potém poseł Kijowski, niejaki Bierzyński, chciał rozerwać uwagę sejmujących listem o buntach chłopskich. I to nie poskutkowało. Kasztelan Rypiński, Ludwik Zieliński, chciał, żeby przed po-

(1) Sesye 60 i 66. Dyaryusz (urzędowy) t. 2, cz. 2, str. 23 nast. i 152 nast.

(2) Dyaryusz (urzędowy) t. 2, cz. 2, str. 255, 259, 175, 171. Moszyńskiego Głos w Zbiorze Mów etc. tom VIII str. 1—18.

datkiem ziemiańskim szły jeszcze rozprawy o podatku na kawalerów Maltańskich, ale Marszałek kazał sekretarzowi czytać projekt podatku ziemiańskiego. Żeleński domaga się odczytania swojego wniosku. Wtedy Sapieha rzekł: „Już tu, widzę, pogłoska zagranicznych potencyj sprawdzać się zdaje, że gdy przyjdzie do podatku ziemskiego, chęć patryotyzmu początkowa ostygnie i zgaśnie.“ Pomimo to Żeleński nie pozwalał sekretarzowi na czytanie. St. Potocki usiłował zawstydzić czelnego oponenta—i to nie pomagało; domagał się on głosowania, które zabrałoby niemało czasu. Nareszcie król wezwał go do tronu i do milczenia nakłonić potrafił. Odczytano projekt zredagowany przez Jana Małachowskiego, posła Sandomiérskiego, starostę Opoczyńskiego. Matuszewicz, poseł Brzeski Litewski (późniejszy minister), zaproponował inny tytuł, mianowicie: „Ofiara wieczysta stanu rycerskiego Obojga Narodów na wojsko.“ Na zapytanie marszałka dał się słyszéć trzykrotny okrzyk „zgoda!“, nawet jak powiada Dyaryusz: „z ukontentowaniem.“ Nie potrzebne więc było głosowanie (turnus). Marszałek złożył powinszowanie królowi i stanom, król winszował sejmowi i marszałkowi a wreszcie rozpłakał się; sejm ruszył do tronu całować rękę królewską (1).

W istocie uchwała ta miała wielką doniosłość. Byłto piérwszy stały podatek, jaki szlachta nałożyła na siebie, zrzucając z siebie pleśń Wieków Średnich. Wynosił on 10% od dochodów stałych i pewnych z dóbr ziemskich, a 20% z dóbr duchownych. Forma jego zadawalnia finansistów naukowych (2), a wykonanie uchwały było bardzo szybkie i dokładne: w ciągu trzech miesięcy delegowani w każdém województwie komisarze ułożyli taryfę na podstawie zeznań (fassyi) pod przysięgą, z uwzględnieniem warunków gospodarczych. Snadź dobrą była ich robota, gdy w lat trzydzieści kilka późniéj, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie wzięło te taryfy za podstawę do swego szacunku dóbr (3).

Na tém zakończyła się pryncypalna reforma sejmu czteroletniego. W toku dalszego obradowania przybyły jeszcze niektóre rozrządzenia, ale już bez walki i rozpraw burzliwych. Tak, d. 27 Lipca wzięto na płacę wojska zawakowane po śmierci Sołtyka biskupstwo

---

(1) Dyaryusz Dufour'a, t. I, str. 251—257. Konstytucya nosi datę 6 Kwietnia r. 1789.

(2) Biliński: Nauka Skarbowości str. 164, 189.

(3) Projekt względem Tow. Kredytowego przesłany przez Ministra Sekr. Stanu hr. Grabowskiego Namiestnikowi d. 12 (24) Czerwca 1824 art. 15. Trzetrzewiński o podatkach stałych w Kr. Pol., str. 24. Prawo 1 (13) Czerwca 1825 r.

krakowskie; nie uczyniono krzywdy następcy jego, wyznaczono bowiem 100.000 złł. pensyi rocznéj. Dopiéro z lustracyi wykonanéj przez urzędników Komisyi Skarbowéj można się dowiedzieć, ile to kluczów, wsi, folwarków zostawało w ręku duchownego dygnitarza. Połowę Komisya wydzierżawiła z licytacyi, podzieliwszy na 4 przedziały (w powiatach Krakowskim, Proszowskim, Sandomierskim, Radomskim, Wiślickim, Chęcińskim i w Xięstwie Siewierskiém); drugą połowę administrowała Komisya sama; ogół intraty przenosił 600.000 złł. (1). Uchwalono prawo o zabiéraniu wszystkich z kolei biskupstw po śmierci obecnych biskupów; mającym krzesło w senacie oraz metropolicie unickiemu wyznaczono po 100.000, innym po 50.000 złł. rocznéj pensyi.

D. 5 Listopada 1789 pozwolono Komisyi Skarbowéj obracać na prowadzenie fabryk tabacznych taką sumę, jaka będzie potrzebną, prócz dawniéj w 1786 r. na ten cel wyznaczonych 300.000 złł. Tabaka bowiem już od r. 1775 czyniła znaczny dochód; była wypuszczana w arendę najpiérw niejakiemu pułkownikowi Antoine de Saby et Compagnie, potém od 1777 do 1789 spółce złożonéj z Jędrzeja Rafałowicza, Jana Dekerta i Piotra Blanka, którzy utrzymywali fabrykę i dystrybucye i pod kontrolą urzędnika skarbowego sprzedawali towar po cenie kontraktem oznaczonéj, z każdego funta część ceny szła na rzecz skarbu. Obecnie Skarb odkupił fabryki z narzędziami od spółki i sam prowadził cały interes, poświęcając nań 1.000.000 złł. rocznie, jako kapitał obrotowy. Dla prowadzenia całéj operacyi utworzoną została Dyrekcya Tabaczna w r. 1790 (2).

D. 27 Lutego r. 1790, uchwalono znów ofiarę podwójnego podymnego w W. Polsce, a pojedynczego w Małéj i na Litwie.

D. 31 Marca r. 1790, przyjęta ofiara 30% z czterech starostw królowi na własność w r. 1775 darowanych.

Nareszcie d. 10 Stycznia 1792 zjednoczono Skarby Litewski z koronnym i zorganizowano Komisyą Skarbową Obojga Narodów.

Rozpatrzmy się teraz w cyfrach.

D. 13 Stycznia r. 1791 Kossowski, podskarbi nadw. kor., przemówił w te słowa: „W porze dla mnie radosnéj i nader mnie uszczęśliwiającéj głos zabiéram, nie dla tego, abym się wcześnie badał,

---

(1) Spis dóbr licytowanych jest w Dz. Handl. w uniwersale Komisyi 1790, str. 200—221.

(2) Z korespondencyi urzędowéj w dziale XXVI zwanym: Interesa Tabaczne księgi Nr. 1113.

co o czynnościach moich powié Deputacya? bo poczciwe zawsze i proste kroki moje dalekim mię czynią od trwogi i obawiania się wyroku waszego, ale żebym Najj. Stany uwiadomił, że sejm dwoiście trwający, dwoiste odbićrać będzie rachunki, do czego z osobna Tabelle, okazujące stan skarbu, rozdane zostaną. W pierwszéj ujrzycie dawniejszy dochód skarbu ograniczony i wydatek z niego na szczupły komplet wojska, listę cywilną (właściwie służbę cywilną) podług prawa i nad prawo użycie remanentu. W drugiéj tabelli zobaczycie już skutki dzieł naszych i nadto usłyszycie o ścisłym egzaminie z urzędowania Komisyi Sk. Kor. Dla czego proszę o pozwolenie wnijścia Oficyalistom Skarbowym końcem rozdania wzmiankowanych przezemnie tabell.“ (1).

Wniesiono drukowane tabelle z Rachunkami z lat cztérech: 1) za dwulecie 1786—1788 r. i 2) za dwulecie 1788—1790, zamykające się w przeddzień 1 Września z końcem roku finansowego. W téj chwili zajmować nas będzie rachunek drugi, poprzednie bowiem dwulecie było już wyżéj przedstawione. Wiadomo wszakże, iż sejm czteroletni trwał jeszcze blisko dwa lata po 1-m Września r. 1790. Dla przedstawienia więc całéj jego działalności finansowéj potrzeba zbadać rachunki późniejsze. Te były zrobione w Komisyi Sk. Kor. w trzech epokach: 1) za półrocze od d. 1 Września 1790 do d. 1 Marca 1791 r., 2) za rok od 1 Marca 1791 do 1 Marca 1792 i 3) od 1 Marca 1792 do 1 Września r. 1792. Pierwsze było zrewidowane przez Deputacyą Sejmową i pokwitowane, (ks. Nr. 113), drugie przez rewizyą nie przeszły i zawićrają się w księdze 112, trzecie stały się przedmiotem sporu pomiędzy Kossowskim, stającym w obronie swoich oficyalistów, i trzema delegatami od konfederacyi Targowickiéj, którzy zjechali na rewizyą niespodzianie w d. 13 Października r. 1792, a na oryginalnym egzemplarzu (Nr. 111) rachunków, zamiast pokwitowania, napisali naganę dla Komisyi. Sprawa ta jednak, o ileśmy ze szczegółów poznać mogli, nie uwłacza bynajmniéj rzetelności rachunku. Mamy więc prawo dołączyć go do poprzednich. Żeby utworzyć obraz finansowy dwulecia, złączyliśmy wszystkie te trzy rachunki w jeden. Będzie to rachunek sztuczny, nie autentyczny; ale gdy sama Komisya nie odrobiła dwulecia, gdy nam brak sprawozdania deputacyi rewizyjnéj przed sejmem, pozostaje nam jedna tylko droga: wynalezienia sum zbiorowych z materyału, jaki nas doszedł, trzymając się jak najściśléj rubryk i metody przez oficyali-

---

(1) Dyaryusz 1790, t. 1, cz. 2, str. 30 nast.

stów skarbowych używanéj (1). Do wyklarowania strony buchalteryjnéj dopomógł nam łaskawie urzędnik Banku Handlowego w Warszawie, autor kilku prac finansowych, pan Jan Smolak.

Oto jest obraz przychodów z obu badanych obecnie dwuleci:

Tab. **16**.

№ II. Dochody i Podatki Skarbu Rzeczypospolitéj Koronnego.

A. *Podatki (stałe na dawniejszych konstytucyach oparte).*

	I Dwul. 1788—1790. Złote	Gr.	Den.	II Dwul. 1790—1792. Złote	Gr.	Den.
1. Podymne	10.258.158	15	—	11.968.499	—	—
2. Półpodymne	647.672	7	9	687.854	15	—
3 Czopowe krajowe	3.791.157	29	9 1/2	3.915.105	8	1
4. Półtory albo dwie kwarty, czyli 50 groszy	2.049.467	2	1 1/2	6.841.163	13	15
5. Łanowe	119.929	28	—	119.735	12	—
6. Pogłówne żydowskie	1.315.639	15	15	1.620.627	29	15
7. Cło kupieckie	3.092.742	9	2	2.691.126	1	11 3/4
8. Cło szlacheckie	606.808	22	17 1/2	737.334	22	3/4
9. Cło od soli	279.993	19	4	255.534	8	8
10. Składne winne	311.978	2	7 1/2	221.212	25	16
11. Czopowe od likworów zagr.	1.239.945	5	—	1.733.086	18	17 1/2
12. Pobory	87.708	27	9	110.761	19	—
13 Papiér stęplowany	1.276.001	1	1	2.220.075	24	9 1/8
14. Karty stęplowane	58.129	10	—	70.672	28	—
15. Kalendarze stęplowane	16.825	7	9	20.506	1	2
16. Księgi żydows. stęplowane.	11.523	21	15	15.757	13	12
17. Proweniencya tabaczna	2.320.822	8	15 1/2	2.875.183	28	5 1/4
18. Loterya krajowa	692.704	17	3 3/4	945.549	7	2
19. Miasta Gdańsk i Toruń	72.200	—		79.200	—	
20. Most pod Warszawą	100.000	—		112.500	—	
21. Percepta potoczna	(włącz. do Loter.)			53.654	29	8 1/4
22. Konfiskaty celne				14.249	9	12
B. *Podatki nowo-uchwalone (na sejmie 4-letnim).*						
23. Ofiara wieczna 10-go grosza z dóbr ziemskich	9.717.977	2	1	10.137.339	21	17 1/4
24. Ofiara wieczna z dóbr duchownych 20 i 30-go grosza	2.836.018	24	4	2.706.938	21	4 1/2

(1) Próbowaliśmy badać ten okrés w półrocznych przedziałach i mamy przed oczyma sporządzoną w ten sposób tabelę porównawczą, lecz cała administracya skarbowa nie była do takich terminów zastosowaną, stąd w rachunkach znajdują się pozycye niekompletne i wynika gmatwanina. Księgi, z których materyał czerpaliśmy, noszą N-ry 111, 112, 113.

	Złote Gr Den.	Złote Gr. Den.
25. Półpodymne z miast królewskich	185.043.	565.302.$_{21}$—
26. Dochód z lasów dóbr królewszczyzny zwanych . .		93.409.$_{23}$—$_{13}$½
27. Pobór od skór i bydła rzniętego	1.488.909.$_{15}$—$_{16}$¾	4.758.341.$_{9}$—$_{4}$¾
28. Pogłówne żydowskie z prawa r. 1790		602.399.
29. Ofiary dobrowolne i doczesne	498.414.$_{26}$—$_{9}$	397.756.$_{15}$—$_{11}$
30. Dochód z dóbr Rzpltéj po Duchowieństwie		1.109.775.$_{18}$—$_{10}$¾
31. Miasto Warszawa 400 m. rocznie	600.000.	włącz. do podymn.
32. Intrata z kaduków . . .		12.207.$_{13}$—$_{13}$½
		C. Podatki niestałe i sumy pożyczone.
33. Podymne (1790) i ofiara (1792) protunkowe	4.696.903.	3.195.584.$_{23}$—$_{15}$¼
34. Podymne dwuroczne i roczne	7.284.109.	
35. Na magazyny złoty z dymu	1.019.714.	50.362.
36. Dochód z dóbr Rzeczypospolitéj po Duchowieństwie, z biskupstwa Krakowskiego, Duchowieństwa Galicyjskiego, sumy za dobra sprzedane i sumy kapitalne podniesione	2.935.360.$_{18}$—$_{12}$¼	759.679.$_{27}$—
37. Sumy podług prawa 1789 r. Skarbowi Rzpltéj Koronn. od obywatelów krajowych pożyczone	5.554.663.$_{27}$—	654.000.
38. Dwie kwarty v. 50 groszy z dóbr królewskich . . .	4.758.248.$_{17}$—$_{1}$¾	
39. Trzy grosze z dymu wiejskiego zam. skórowego . .		168.770.$_{21}$
40. Grosz 10-y od pensyj . .		7.596.$_{7}$—$_{9}$
41. Magazynowe skarbowi pożyczone		742.157.$_{3}$—
42. Percepta za sprzedane magazyny		17.522.$_{26}$—$_{15}$
43. Podatek zsypki zbożowéj .		52.921.$_{14}$—$_{6}$
44. Podatek składki na rekrutów		5.274.
45. Prowizya od 2 mil. W. X. Litt. pożyczonych		100.000.
46. Sumy w Holan. pożyczone		10.450.505.$_{27}$—$_{7}$¾
Summa summarum percepty .	69.931.842.$_{7}$—$_{3}$½	73.137.560.$_{10}$—$_{14}$¼

Porównywając te sumy z tablicą 1-szą z najwyższemi cyframi dochodów poprzedniego okrésu, widzimy, że skutkiem uchwał sejmu cztéroletniego do skarbu do skarbu napływ pieniędzy do skarbu zwiększył się w I-m dwuleciu 2,59 razy, czyli o 259%, w II-m zaś—2,71 razy, czyli o 271%.

Doliczmy do tego „summy summarum percepty“ z innych działów.

Tab. **17**.

	I dwul. 1788—1790. Złote	Gr.	Den.	*II dwul. 1790—1792* Złote	Gr.	Den.
N. I. Remanent podług rachunków na sejm przeszły podanych (z przybytkiem) . . .	1.799.731	13	—	10.063.288	10	13 3/4
N. III. Na opłatę długów Rzeczypospolitéj (1)	2.537.312	8	13 1/4	1.758.595	8	17
N. IV. Grosz 60-ty od sum na długi Rzpltéj wypłaconych .	1.383	28	1/4	2.321	—	4 1/2
N. V. Dochód z dóbr Ordynacyi Ostrogskiéj	600.000			600.000		
Łącznie . . .	4.938.427	19	17 3/8	12.419.205	14	13 5/8
Razem zaś z powyższemi sumami N. II (tabl. N. 16) .	74.870.269	27	3 1/8	85.556.765	24	13 5/8

Są to już sumy ogólne wszystkich dochodów Skarbu Koronnego w tym okrésie, odpowiadające tablicy 4-éj z okrésu poprzedniego.

Co się tyczé Skarbu Litewskiego, mamy jeden tylko rachunek 7-miesięczny (od d. 1 Lutego do 1 Września 1792 r.) z cyfrą percepty 2.644.162 gr. 19 den. 16½. Biorąc miarę z téj cyfry wnosićby można, iż dochód z całego dwulecia wynosił tylko 9.055.700 złł., t. j. zmniejszył się względem poprzedniego okrésu, pomimo wielu nowych źródeł, otworzonych Skarbowi Litewskiemu przez sejm czteroletni, które Moszyński obliczał na sumę prawie równą dawnym dochodom (4.325.248, a dawne 5.014.682) (2). To jest zupełnem niepo-

---

(1) Pozornie pozycya ta jakoteż następne różnią się od sum oryginalnych Komisyi; różnica stąd pochodzi, że zapisujemy na czele całkowity remanent sejmu bez rozrzucania go na działy; trzeba więc następnie z każdego działu potrącić dopisaną w nich część remanentu.

(2) Tabelle Moszyńskiego: u dołu „Bilans percepty z expensą całego kraju.“

dobieństwem, jakkolwiek skarb ten wciąż znajdował się w złém położeniu i, prócz pożyczki zagranicznéj, zapożyczył się jeszcze na 2 miliony w Skarbie Koronnym. Tłómaczymy tak małą cyfrę dochodów nasamprzód zamięszaniem, jakie wyniknąć w rachunkach musiało przy chwilowém zjednoczeniu obu skarbów, a potém rozwinięciem działań konfederacyi Targowickiéj właśnie w tym okresie. Przypuszczamy więc, że Skarb ten posiadał, oprócz dawnego dochodu 10½ milionów, przynajmniéj dwie pożyczki w ilości 5 milionów; razem więc na każde dwulecie policzymy po 13 milionów, jako minimum.

Tym sposobem otrzymujemy domyślną, minimalną cyfrę dochodów z całego kraju: w I-m dwuleciu 87.870.269. w II-m 98.500.595, rocznie zaś: na lata 1789 i 1790 po 43.935.134½, zaś 1791 i 1792 po 49.250.297½ złł.

W tych cyfrach znalazło się wprawdzie kilka sum czasowo tylko skarbowi wypożyczanych i późniéj zwracanych, ale te skompensują się w expensie. Za to zwrócić uwagę musimy, że na początku pierwszego dwulecia przez pół roku wpływały tylko dawne podatki (1), a niektóre z nowych dochodów płynąć zaczęły dopiéro od końca r. 1789, jak np. dochód nowy z tabaki. W drugiém zaś dwuleciu końcowe półrocze nosi na sobie ślad wszczynającego się rozprzężenia rządu i zaburzeń Targowickich; dochody już nie wpłynęły w całkowitéj sumie, remanent trzeba było naruszyć dla pokrycia expensy z N-ru II; do expensy téj zaliczona zupełnie niewłaściwie pożyczka z r. 1793, nareszcie jedna suma na wojsko z dyspozycyi Konfederacyi Targowickiéj. Cyfry więc nasze charakteryzują chyba za słabo, a w każdym razie bez przesady, doniosłość reform finansowych sejmu czteroletniego.

Przystępując do wyjaśnienia wydatków, uprzedzić winniśmy, że w „liście cywilnéj," czyli raczéj w służbie cywilnéj zaszły różnice względem dawniejszéj tabeli z r. 1776 (6-éj), upadła bowiem 1) Rada Nieustająca, a zatém jéj pensye wykreślić należy, a wynagrodzenie dla jéj subalternów przeszło do działu wydatków zmiennych; 2) po śmierci Mikulskiego pozostała tylko pensya dla sukcesorów Buczowa w kwocie 3.000 złł. rocznie; 3) Marszałek sejmowy Małachowski nie pobiérał płacy, więc tylko sekretarzom, Łuszczewskiemu i Siarczyńskiemu, wypłacono z № II w obu dwuleciach po 6.666 złł. gr. 20 (ja byłbym potrącił im coś z pensyi za niedokończe-

---

(1) Patrz sprawozdanie Morskiego: Objaśnienie na str. 112, 117, 118, szczególnie podymne i półtory kwarty.

nie dyaryuszów i zapomnienie o spisie rzeczy) (1). 4) W drugiém dwuleciu wykréśla się fundusz na umorzenie długów Rzplitéj, 500.000 złł, bo dawniejsze spłacone zostały. 5) Na marszałków i prezydentów trybunalskich w drugiém dwuleciu wypłacona suma połowiczna tylko 30.000; 6) oficyalistom marszałkowskim w drugiém dwuleciu zapłacono tylko 61.166 złł. gr. 20, 7) podobnież oficyalistom skarbowym w témże drugiém dwuleciu 197.416 złł. gr. 20 i oficyalistom Grodu Warszaw. tylko 18.751. Wojsko Koronne skutkiem reorganizacyi przechodzi do budżetu zmiennego; podobnież 8) batalion piechoty Skarbowéj skutkiem urządzenia przy nim szkoły inżynierskiéj i zwiększania się liczby kadetów. Nareszcie 9) komisarzom Skarbowym w drugiém dwuleciu zapłacono 204.237 złł.

Do zmodyfikowanéj tym sposobem tablicy dodać należy:

Tabl. **18.**

№ II Expens Skarbu Rzpltéy Koronnego (wydatki zmienne).

	I Dwul. 1788—1790. Złote	Gr.	Den.	II Dwul. 1790—1792. Złote	Gr.	Den.
1. Na expens prawną i drobną	147.608.	10	—	171.073.	13	9
2. Na konflagraty, allewacye i decessa	392.620.	25	4 3/4	409.939.	6	1 1/2
3. Na posłów, rezydentów, tłómaczów i szkołę oryentalną	664.784.	25	9	1.996.411.	24	—
4. Na reperacyą zamków i pałaców rzeczypospolitéj .	98.808.	21	—	120.968.	10	—
5. Na expens extraordynaryjną	290.661.	22	9	536.915.	11	—
6. Na exaktorów podatków, rzeczpospolitéj	88.250.	—		139.900.		
7. Na lustratorów administratorów geometrów do dóbr po duchowieństwie wysłanych etc.	63.732.	—		129.149.	10	15
8. Na spłacenie remanentów przysądzonych sukcesorom biskupa Sołtyka	466.223.	18	8 1/4			
9. Na pensye subalternów zeszłéj Rady Nieustającéj . .	110 551.	6	—	35.275.	18	—

---

(1) Oni zaś dostali jeszcze sute gratyfikacye z № I. Łuszczewski 20.000 w 1790 a w 1791 wraz z wydatkami kancelaryi Sejmowéj 70,000 złł. 1 590 złł. Siarczyński w 1792 r. raz 22.015 złł. drugi raz tytułem nagrody spólnie z kancelaryą sejmową 40.000.

	Złote	Gr.	Den.	Złote	Gr.	Den.
10. Miastu Warsz. powrócenie podym. i półpod. za r. 1789	137.078.	16	—	54.869.		
11. Na spłacenie długu w r. 1789 i 90 r. zaciągnionego .	2.160.000.	—		3.394.663.	21	—
12. Na powrócenie podatku podymn. protunkowego etc.	3.878.188.	3	— 17 3/8			
13. Na powrócenie półtory kwarty i czynszu emfit. za r. 1789	1.467.038.	18	— 6 3/8			
14. Na extraordynaryjne wydatki wojska: tj. zaciąg kawaleryi i pułków, rekrut. piechoty, żołd dla tychże, umundur., amunicye, magazyn, lazarety, broń i różną expens	14.441.925.	6	—	1.103.835.	17	—
15. Na żołd wojska kor. podł. Tabel. P. kom. Wojskowéj	27.759.892.	10	— 9 1/4	45.258.714.	16	— 1
16. Na wydatki dla tegoż wojska z prawa p. t. Gotowość do obrony pospolitéj . .				4.434.213		—
17. Na wydatki wojska za asygnacyami Najjaśniejszéj Konfederacyi				1.038.000.		—
18. Na spłacenie długów Rzeczypos. w r. 1793 (tak) zaciągniętych obywatelom krajowym i zapłacenie prowizyi od sum w Holanyi pożyczonych				1.090.673.	15	—
19. Na deces z przyczyny redukcyi monety pruskiéj . .				49.301.		—
20. Na Batalion piechoty Skarbowéj i Szkołę	288.000.	—		292 000.		—
21. Na pensyę J. W. Komisarzom i oficyalistom Policyi. Na pensye J. W. Asesorom w Sądzie Asesorskim Koron. zasiadającym				103.100.		—
22. Na założenie magazynów po województwach (dla wojska)				1.019.714.		—

Wykonawszy dodawanie otrzymamy sumy expensy z № II.

Tabl. **19**.

w I dwuleciu	*w II dwuleciu*
złł. 61.000.619. gr. 13 den. 10 1/4	76.925.294.25—5

Zbierając expensę z innych działów, otrzymamy:

№ 19.

	I. Złote	I. Gr.	I. Den.	II. Złote	II. Gr.	II. Den.
Z № I. t. j. z Remanentu przeszło-sejmowego	1.185.853	16 —	3/8	1.536.986.	27 —	7 1/2
„ II. z Superaty.	1.000.000.	—		1.000.000.	—	
„ III. opłacono długów . .	2.073.870.	28 —	7 3/4	1.452.925.	—	
„ IV. wypłacono grosza 60[0]	2.807.	15 —	17 3/4	.3.540.	1 —	13 3/4
„ V. expens z Ordynacyi Ostrogskiéj	600.000.	—		531.570.	22 —	9
Łącznie	4.862.532.	—	7 7/8	3.525.092.	21 —	12 5/4

Dodając te summy do tab. 19, otrzymamy ogół wydatków Skarbu Koronnego:

I dwułecie 1788—1790.	*II dwulecie 1790—1792*
65.863.151.11—	80.450.317.16—17 1/4

czyli przeciętnie na lata 1789 i 1790 po 32.931.575 a na lata 1791 i 1792 po 40.725.149 złł.

Gdy zaś zechcemy doliczyć przypuszczalną cyfrę wydatków Litwy po 13 milionów na dwulecie, otrzymamy domniemaną minimalną cyfrę wydatków całego kraju w I-m dwuleciu 78.863.000; a w II-ém—93.450.000.

Widzimy przeto, że w Skarbie Koronnym kasa nigdy próżną nie była i z końcem drugiego okrésu pozostał remanent w ilości 5.106.448 złł. gr. 7 den. 14 3/8 (1). Co do Litewskiego, Sapieha w r. 1791 uskarżał się na wieczny deficyt.

Wydatki dyplomatyczne w Koronie urosły w tym czasie, a zaspakajane były z remanentów, funduszu na posłów, tłomaczów etc. poczęści téż z expensy extraordynaryjnéj. Znajdujemy pod temi pozycyami następne cyfry:

			I.	II.
JW. Potockiemu	posłowi	w Stambule	405.000	460.640
„ Bukatemu	„	„ Londynie	154.690	95.852
„ Wojnie	„	„ Wiedniu	112.657	78.149

(1) Nasz remanent różni się od ostatecznego remanentu wykazanego w księdze 111 o sumę 901.040 złł. gr. 11 den. 7 1/4 która stanowi remanent, ze skarbu litewskiego wcielony; ponieważ my rachunki litewskie 7-o miesięczne wykluczyliśmy z budżetu koronnego, należy więc strącić i całą tę sumę z ogólnego remanentu. Gdy to się zrobi, wtedy cyfry zgodzą się w zupełności. Pod względem stanu kasowego przytoczony wyżéj remanent rozpadał się na następne trzy działy: gotowizny (bez sumy litewskiéj) 3,290.678 złł. gr. 11, den. 15 1/4; zaległości (na rentach) 602.770 złł. gr. 5 den 2 1/4, na fabrykach tabacznych i w tytuniach 1.000.000, obywatelom krajowym wypożyczono 213.000.

JW.	Rzewuskiemu posłowi	w Kopenhadze	64.800	Ankwicz	27.000
„	Potockiemu „	„ Sztokholmie	66.600		33.300
„	Małachowskiemu „	„ Dreznie	36.000		27.000
JO.	X-ciu Ogińskiemu „	„ Hadze	33.300		33.300
„	„ Czartorysk. „	„ Berlinie	22.000		—
„	„ Jabłonowsk. „	„ „	83.000		27.000
JW.	Debolemu Ministrowi	„ Petersburgu	36.000		23.779
„	X. Anticiemu	„ Rzymie	36.000		11.232
„	Oraczewskiemu	„ Paryżu	—		54.400
„	Morskiemu	„ Madrycie	—		59.400
Ur.	Zabłockiemu rezydent.	„ Berlinie	28.800		7.200
„	Zabłockiemu konsulowi	„ Chersonie	43.000		12.000
„	Henningowi komisarzowi	„ Gdańsku	10.800		3.600

Kosztowali też coś sekretarze, z których jeden szczególnie, Pokubiato w Wiedniu, pobiérał czasem i po 14.400 złł. (w I-em dwuleciu). Deputacya Interesów zagranicznych wydatkowała na swoje potrzeby, na pensye i na nagłe interesa w II-ém dwuleciu 129.514 złł., a kanclerz Jacek Małachowski w II-ém dwuleciu wziął oprócz tego odrazu 35.955 złł. Tłómacze, kuryery przyczyniali też sporo kosztu. Nie zaniedbała Deputacya skarbić sobie względy obcych ambasadorów i ministrów prezentami, tak w I dwuleciu na prezenta dla dworu Berlińskiego ofiarowano 89.100 złł. oraz dwie tabakiery dla ministerium Berlińskiego wartości 34.920 złł., tabakierę dla Sztakelberga 18.000; w II-ém zaś dwuleciu dla ministra Duńskiego tabakiera kosztowała 6.840 złł., dla p. Henin posła francuskiego 18.000 złł., nadto „na kancelaryą dworu Berlińskiego z okazyi zawartego aliansu 9.000.“

Dla braku dostatecznych informacyj o przebiegu układów dyplomatycznych powstrzymujemy się od sądu, o ile korzystnemi były te wydatki, szczególnie np. niesłychanie kosztowna ambasada w Konstantynopolu, zupełnie, zdaje się, zbyteczne poselstwo w Madrycie, albo tabakiera dla jakiegoś ministra Duńskiego. Pozostawiamy zresztą orzeczenie w téj materyi historykom-politykom.

Z expensy extraordynaryjnéj notujemy jeszcze 3.200 złł., „na osłodzenie przykréj doli aresztu X. Łukasiewicza i Hromaczewskiego ritus Graeci“ (w I dwuleciu); 18.000 na podróż wysłanym do Pińska na Synod Grecko-Oryentalny komisarzom; 5.704 złł. w sprawie Adama (Ponińskiego) w sądach sejmowych agitowanéj; za tłómaczenie pism handlowych Rudzkiemu 1.800; na interes zaciągnienia pożyczki w Hollandyi Ogińskiemu 10.116; na wsparcie cudzoziemców przybyłych do Polski 10.000.

Na wojsko, zbierając wszystkie szczegółowe pozycye z różnych działów, prócz kilku drobnych, które mogły ujść mojéj uwagi, wydano: w I dwuleciu 42.201.817, w II-ém—57.037.205 złł. (prócz sumy przez Targowicę asygnowanéj).

Poszukajmy teraz morału w cyfrach budżetowych sejmu czteroletniego.

Reformy jego finansowe były niewątpliwie ważne i płodne. Nie omylimy się zapewne twierdząc, że od czasu, jak Polska istniała, nigdy jeszcze skarb koronny tak wielkiemi nie rozporządzał sumami. Uszczuplony rozbiorem kraj dał skarbowi około 50 milionów złotych w jednym roku, gdy dawniéj, nawet za lepszych czasów, podskarbiowie nie widzieli nigdy ani połowy téj sumy. Któż ośmieli się przeczyć, że wysilenie było wielkie, że rezultat był owocem zarówno aktów prawodawczych, jakoteż działalności administracyjnéj Komisyi Skarbu Koronnego.

Ale czy sprostał sejm czteroletni wymogom sytuacyi, a przedewszystkiém zobowiązaniu, jakie w obec narodu i Europy zaciągnął, pisząc konstytucyą o stutysięcznéj armii?

Staszic, jakeśmy widzieli, obliczył koszt utrzymania 62.000 na 43,7 milionów, Moszyński zredukował koszt armii 100.000-néj na 41.951.263 (zdaje się razem ze służbą cywilną). Nie umiémy sprawdzić téj ostatniéj cyfry podług cząstkowych etatów Komisyi Wojskowéj, uznajemy ją wszakże za bardzo wiarogodną. Owóż widzieliśmy, że dochody ogólne doszły już w pierwszém dwuleciu do 44 prawie, a w drugiém do 50 blisko milionów. Możnaby więc, zdaje się, i w tym punkcie udzielić pokwitowanie sejmowi.

Przy bliższém atoli wpatrzeniu się rzecz przedstawia się inaczéj. Staszic i Moszyński nie myśleli o III, IV i V działach budżetu, bo służba długu publicznego i dział dóbr Ostrogskich zjadały same swoje dochody, pozostawiając chyba mały remanencik. Mieli oni na oku głównie dział II, a ten właśnie nie dociągnął nawet do 37 milionów, chociaż zaliczono do niego chwilowo przewijające się sumy, jak podymne protunkowe, które w tym samym albo w następnym roku zwracano. Takich sum znajdzie się w I dwuleciu na 11.981.012, w II-ém—na 6.968.633, a przez potrącenie ich cyfra dochodów rzeczywistych zmniejszyłaby się w I dwuleciu do 57.950.830, w II-ém do 66.168.926, ale w tém dwuleciu nic prawie nie zwracano przez expens.

Więc do funduszu, potrzebnego na uzbrojenie żądanéj armii, brakło jeszcze dużo. To téż posłowie jeszcze przed uchwaleniem podatków spostrzegli błąd swojéj rachuby i postanowili wystawić

tylko 60.000 (1) Dopiéro po zawiązaniu się konfederacyi Targowickiéj wrócił sejm do cyfry 100.000-néj i konstytucyą z dnia 21 Kwietnia r. 1792 nakazał doprowadzenie wojska do takiego kompletu. Ale już było zapoźno.

Więc nie wykonał zobowiązania. Czy nie chciał? Czy nie mógł? Czy nie umiał?

To ostatnie zapytanie bodaj trzeba na twierdzenie zamienić.

Po uchwaleniu podatków ziemskich, po usunięciu się niektórych oligarchów od obrad, a szczególnie po przybyciu drugiego kompletu posłów, stronnictwo reformy tak spotężniało, że z niechęcią do uchwalania podatków, z ochranianiem dóbr ziemskich od ciężarów nikt chyba nie śmiałby odezwać się. Możności dokładnie wymierzyć nie umiémy, ale pewna kombinacya daje się prowadzić przez porównanie budżetów sejmu czteroletniego z finansami Królestwa Polskiego (kongresowego), np. w r. 1823. Był to rok wcale niepomyślny. Namiestnik X-żę Zajączek w raporcie, złożonym Najjaśniejszemu Cesarzowi i Królowi Aleksandrowi I, uskarża się na „smutny stan rolnictwa“, na „bezcenność płodów obok wysokiéj stopy kontyngensu liwerunkowego“, na „drogość nieodzownych potrzeb życia.“ Przemysł zaczyna dopiéro kiełkować. Towarzystwo Kredytowe jeszcze nie istnieje, ani Bank Polski. Stosunki ekonomiczne niewiele się zmieniły; ceny żyta w Warszawie: najwyższa 18, najniższa 16, zatém średnia 17 złotych (a r. w 1791—12⁸/₃). Porównanie więc nie jest niemożliwém. Warszawa ma 117.284 ludności, a w całym kraju spis wykazał 3.704.306 głów. Ludność ta stanowi znacznie mniéj niż połowę téj ludności, jakąśmy wynaleźli na rok 1791. Rozległość 2312 mil kwadr. stanowi prawie czwartą część Polski z czasów sejmu czteroletniego. I otóż w tém małém Królestwie kongresowém w r. 1823 do kas skarbowych wpłynęło 69.136.977 złł. gr. 2, które co do wartości swojéj (podług różnicy w cenach żyta) odpowiadają 50.953.952 złł. (2) z epoki sejmu czteroletniego. Biorąc miarę z téj cyfry, możnaby żądać od Polski przeszło dwa razy ludniejszéj i blisko

---

(1) Uchwały takiéj nie było; cyfra 60.000-na zapewne umówioną była na naradach prowincyonalnych i prywatnych; posłowie jednak wspominają o niéj, a rozkazy Komisyi Skarbowéj i Wojskowéj, oraz Etaty wojskowe są do téj cyfry zastosowane.

(2) Dane pochodzą z wspomnianego w texcie Raportu Xięcia Zajączka, obejmującego stan kraju w latach 1820, 1821, 1822 i 1823. str. 31. 51, 36, 30, oraz ze sprawozdania urzędowego, p. t. „Obraz pięcioletnich przychodów i wydatków kas Skarbowych od roku 1824 do r. 1828 (bez daty i miejsca druku in folio), tablica przedostatnia, p. t. Obraz przychodów i wydatków kas Sk. w r. 1823. Rubryka II. Służba bieżąca roku 1823 „Wpłynęło.“

czterykroć rozleglejszéj przynajmniéj 100 milionów rocznego dochodu, a z takiéj sumy jużby się mogła utrzymać armia 200.000-na, obok służby cywilnéj, wiémy już bowiem od Staszica, że nie więcéj kosztowało cesarza austryackiego utrzymanie 250.000 wojska.

Ale jakże mógł skarb ściągnąć do kas swoich 100 milionów złotych, gdy w całym kraju monety krążyło niewiele więcéj nad tę sumę, jakeśmy wyżéj wykazali. (1)

Otóż w tém właśnie tkwi cały ciężar zarzutu, jaki czynimy pokoleniu owoczesnemu i Komisyom Skarbowym. Skarb polski znał wszelkie opłaty i wypłaty tylko w monecie złotéj lub srebrnéj. Poborcy wiozą pieniądze do Superintendenta, ten po ultymie odséła je furą żydowską pod strażą dwóch ludzi do kasy generalnéj, ta znów pod eskortą wyprawia transport do dywizyi stojącéj na Ukrainie. Każda taka podróż kosztuje kilkaset, czasem 3.000 złotych. Dziwię się, żem nie napotkał śladu napadów i zrabowania takich kas w czasie podróży. To téż, gdy brakło gotowizny w kasie generalnéj, rozumiano jeden tylko sposób zasilenia jéj, pożyczkę monetarną w złocie, i odwoływano się do „obywateli krajowych", lub w ostatnich czasach do bankierów. Nagromadzenie milionów w monecie złotéj oczéwiście jest rzeczą zawsze trudną; nic przeto dziwnego, że Kabryt i Blank mogli żądać po 10% lub 12% za wypożyczenie jednego miliona. Zagranicą dostać pożyczkę nawet w bogatéj Holandyi nie mogło być rzeczą łatwą ze względu na położenie polityczne Polski. Trzeba było płacić podobno 7%, kiedy Hollendrzy w swoim kraju chętnie lokowali kapitały na 3% i 4%. Skarb musiał uciekać się prawie do żebraniny. Poczciwy Małachowski, marszałek, chcąc zasilić kasę pożyczką, pozaciągał sumy na swój własny majątek od swoich znajomych i dołożywszy, ile mógł od siebie, uformował sumkę 360.000 złł. i tę wniósł d. 26 Kwietnia 1790 r. do skarbu na 7%, potém 31 Lipca przydał jeszcze 216.000. W ciągu następnych kilku miesięcy na podobną odwagę zdobyli się Krajewski, Instygator Kor., jakaś Ossolińska (13.000 złł.), de Fryze, konsyliarz, i Ur. Mścichowski, wszyscy razem—835 000 (prócz awansów Prota Potockiego i Teppera z zięciami). (2)

Skądże pochodziła taka nieufność do Skarbu Koronnego? Czy był nierzetelnym? czy zadłużonym?

---

(1) Ateneum 1877 r. Czerwiec str. 622.

(2) Tabela długów w Dyaryuszu urzędowym 1790 r. t. 1, cz. 2, str. 339; co do pożyczki Małachowskiego mówił o niéj Morski w swojém sprawozdaniu Ibid str. 329.

Gdzież tam! Ogólna suma długów razem z kwestyonowanemi przez komisyą wynosiła w 1790 r. 3.954.239 złł., a remanentu w gotowiźnie pozostało 9.688.956 złł. Co do rzetelności dosyć jest przytoczyć taki fakt, że do owego wykazu ogólnego wciągnięte były 68.800 złł. miastu Toruniowi za dostawione zboże Janowi Kazimierzowi w czasie wojny ze Szwecyą (a więc około 1655 r.), oraz 173.000 sukcesorom Daniłowiczów za sumy Władysławowi IV pożyczone, a z mocy prawa 1647 do Województw asygnowane. Nareszcie, niedawno, bo w r. 1788 umorzono dług 7-milionowy królewski.

Chcemy wierzyć, Kossowskiemu, że „poczciwe zawsze i proste były kroki jego“ oddaliśmy słuszne uznanie jego pracowitości i gorliwości służbowéj, ale jako podskarbi powinienby wiedzieć, że w Europie w XVIII wieku szeroko rozwijał się już kredyt, że oddawna istniał już Bank Angielski, Caisse d'Escompte Paryzka, Bank państwowy w Petersburgu, kilka banków ziemskich i państwowy w Prusach. Wtedy umiałby wystąpić przed sejmem z mędrszym jakimś projektem, niż podniesienie stempla i czopowego. Mógłby o tém coś wiedzieć i Małachowski, a wtedy nie potrzebowałby kwestować po swoich znajomych o pół miliona złotych. Co gorsza, że najznakomitsi mężowie stanu i najbardziéj wpływowi publicyści nie mają urobionych pojęć o kredycie. Moszyński zdobywa się na radę, aby wydawano asygnacye (raczéj: bony) skarbowe, ale przekłada: „wstrzymać się od ułożenia papiérowych piénędzy, które dla naszego kraju bardzo niebezpieczne być sądzę (1). Kołłątaj marzył o zastąpieniu podatków dziesięcinami i o corocznéj licytacyi nagromadzonych zbóż na dochód skarbu. W roku 1823 dla Fryderyka hr. Skarbka, wykładającego naukę finansową na Uniwersytecie Warszawkim, pomysł taki był już herezyą (2). Staszic, który najwięcéj na pojęcia posłów sejmowych wpłynął, powiada: „nie radzę udawać się do pospolitego teraz sposobu, do długów“ (3). Świtkowski podawał informacye o instytucyach kredytowych zagranicą, zachęcał do zakładania banków; bankier Kaposztas wypracował całą

(1) Głos na sesyi 50-éj d. 15 Stycznia, 1789 r. w Dyaryuszu 1788 t. 2 cz. 1, str. 168.

(2) Kołłątaj—Listy Anonyma Część III, str. 294. Fr. hr. Skarbek. Rys ogólny nauki finansowéj dla użytku uczniów Uniw. Król. Warsz. 1824. Warszawa str. 28: „Podatek gruntowy od rocznych zbiorów jest niesprawiedliwym w zasadzie... w rozkładzie uciążliwy dla kontrybuentów, a kosztowny dla skarbu.“

(3) Staszic. Uwagi n. ż. J. Zamojsk. str. 117.

plantę Banku Narodowego i polemizował z innym bankierem Glave, podobnież Jezierski, w Dyaryuszu sejmowym jeszcze z r. 1780 znaleźliśmy pomiędzy odczytanemi, lecz niedyskutowanemi wnioskami „projekt Banku Narodowego“, nareszcie Xiądz Ossowski proponował użyć starostwa na zabezpieczenie papierów kredytowych, ale te wszystkie głosy przebrzmiały bez echa. Dla czego? bo w całym składzie sejmu czteroletniego nikt ich nie był w stanie zrozumiéć. W ostatnich chwilach swego istnienia konstytucyą z d. 10 Maja 1792 uchwalił pożyczkę 30-milionową na zastaw starostw, znowu w gotówce „bądź w kraju, bądź za granicą.“ Byłoto pokolenie po większéj części wychowane w szkołach komisyi edukacyjnéj, szkołach średnich. Akademie, Krakowska i Wileńska, właśnie w epoce sejmu czteroletniego przeistaczały się ze zgrzybiałych, średniowiecznych scholastycznych kollegiów na nowoczesne uniwersytety. Nie wydały one jeszcze godnych uczniów krajowi, a w szkołach wydziałowych nauka skarbowości nie mogła być wykładaną.

Bez kredytu wszakże niepodobna było dokonać wielkich przeobrażeń w budowie państwa. Dokoła wszyscy monarchowie używali i nadużywali téj potęgi. Przez nią podwajali siły swoje, a zarazem podnosili cenę złota. Skądżeby jedna Polska miała uzbiérać tyle kruszcu, żeby mógł być tanim. Czyż można się było spodziéwać, aby w ciągu lat trzech i pół przez proste podatkowanie i odręczne krótko-terminowe pożyczki dochody skarbu mogły się pięciokrotnie powiększyć i to jeszcze przez podatki od ziemi, od czystego z niéj dochodu, jak chciał miéć Staszic? Nie naruszono téż tego dochodu, nie zatamowano rozwoju rolnictwa, nie wytężono zbytecznie struny, bo podatki wpływały prawie bez zaległości, słusznie chwalono, że skarb polski nie jest obciążony długami, jak Francya lub inne kraje, ale dzieła nie dokonano.

VIII.

Na zakończenie naszych badań nad stanem ekonomicznym Polski w epoce jéj politycznego upadku, przytoczymy jeszcze zdania spółczesne o wartości całego bogactwa narodowego z czasów sejmu czteroletniego.

Bankier Kaposztas, w polemice swojéj z Glave'm o „plantę Banku Narodowego“, rachuje „ogólny szacunek dóbr nieruchomych w Polsce praeter propter na 3.000 milionów złotych“ (1).

---

(1) Dodatek do Dzien. Handl. 1790, na doklejonym arkuszu, odpowiedzi punkt P.

Adam Moszyński, składając swoje Tabele przy głosie z d. 19 Kwietnia r. 1790, wyprowadził ze swych obliczeń następne wnioski: „Okazana całego kraju intrata... wcale jest szczupła naprzeciw Francyi, Anglii, Holandyi, Prus i innych nawet mniéj daleko rozległych państw i królestw. I gdy nawet zastanawiam się, że industrya nie zwykła się rachować (?!), która wiele przez handel przyczynia bogactw i intrat krajowych, i że niedokładne podanie intrat wiele mogło uszczuplić tę masę fortuny krajowéj, to wszelako choćby się i dodało ryczałtem jeszcze część czwartą... taż intrata 148.398.110 złł. gr. 18, den. 6 wyniesie, a consequenter cała masa fortun wszelkich w całém królestwie tylko złł. 2.967.962.212 gr. 6 den. 12 uczyni. Co oczywistym jest dowodem, że kraj, handel ściśniony i obarczony mający, bez rękodzieł zostający, a miasta swoje prócz stołecznego w upadku, bez rzemieślników, fabryk i obrotu handlowego, nie może się równać sąsiedzkim.... i w wystawieniu wojska" (2).

Nareszcie trzecie „pracowite a na wielu (nam nieznanych) dowodach" oparte obrachowanie znajduje się w Pamiętniku historyczno-Politycznym, w roku 1783, str. 485. Jest ono takie:

Wszystek roczny w Koronie i Litwie majątek (dochód?) można szacować na	złł.	1.105.508.845
Suma zaś przy któréj pomocy majątek ten między wszystkich się mieszkańców dzieli i która składa się z wielokrotnéj cyrkulacyi kapitału pieniężnego wynosi około	złł.	200.544.862
Same interesa, które naród papiérem stemplowanym odbywa, wynoszą co rok około	złł.	177.126.444
Cena rzeczy krajowych i obcych, na które są nałożone podatki, jako to: trunki i inne, wynoszą na rok	złł.	17.566.239
Produkta fabryk i manufaktur, których gospodarze potrzebują co rok i których dostają za to, co im nad potrzebę własną rolnictwo wydaje . .	złł.	200.544.862
Dwie trzecie części produktów krajowych, które obracane bywają na handel tak wewnętrzny, jako i zewnętrzny może być szacowane do	złł.	401.008.724
Razem jak wyżéj . .	złł.	1.105.508.845

(1) Głos ten wraz z tabelami znajduje się, jakeśmy już dawniéj wspominali, przy Dzienniku Handlowym r. 1790, jako dodatek.

Majątek zaś ogólny dóbr, czyli ich cena ogółem: 3.008.172.930 złł. (na str. następnéj 486).

Nie jestem dość biegłym finansistą, żeby się odważyć na tak hazardowne zadanie, jakiém być musi obliczenie, lub sprawdzenie obliczeń bogactwa narodowego. Powstrzymuję się przeto od wszelkich uwag i podaję tylko materyał dla tych, którzyby późniéj zechcieli téj pracy się podjąć.

Stanęliśmy u mety, którąśmy we wstępie wytknęli. Pozostaje nam tylko rzucić ostatnie spojrzenie na przebieżoną drogę.

Badania szczegółowe stwierdziły to wrażenie, jakiegośmy doznali przy pierwszym poglądzie na ogół materyału historycznego. Widzieliśmy wszechstronne rozprzężenie szlachecko-pańsko-królewskiéj Rzeczypospolitéj pod Sasami i haniebny jéj upadek w 1772—5 r. Reforma Czartoryskich nie odbiła się ważniejszemi następstwami w życiu, bo nawet Komisya Skarbowa Koronna zawdzięczała swój rozwój raczéj kilku członkom i pilności podskarbiego nadw. Kossowskiego niż swéj ustawie organicznéj. Za dowód niech służy Komisya Skarbu Litewskiego, która takich ludzi nie miała.

Widzieliśmy następnie usiłowania dźwignąć nową budowę z gruzów obalonego gmachu. Zadanie było rozpaczliwe i spółcześni rozumieli to.

Terytoryum obejmowało jeszcze 9.438 mil kwadratowych, zatém wyrównywało prawie Francyi a znacznie przenosiło rozległość królestwa pruskiego (o 3.500 milach), ale miało granicę w czystém polu, obciągniętą lichym kordonem komend wojskowych i straży celnéj. W jednym, jaki znamy, wypadku bronienia téj granicy, porucznik Hoszowski stoczył walkę, mając dziesięciu ludzi w swojéj komendzie.

Ludność przenosiła może trochę cyfrę 8-u milionów, stanowiła trzecią część ludności Francyi, przewyższała o parę milionów właściwą Anglią i ludność Prus, a dwa razy liczbę głów w świeżo utworzonéj Republice Amerykańskiéj (1). Ale mężowie stanu polscy rachowali wśród swego dosyć jeszcze ludnego kraju tylko 100.000 rodzin szlacheckich, którémi trzymały się urządzenia państwowe, a

(1) W 1782 r. Pamiętnik Hist. Polit. (str. 188) liczy w Prusach do 6 milionów, Laboulaye, w Hist. St. Zjednocz. (tłómacz. polskie t. III, str. 45) podaje na r. 1789 ludność tych stanów na 3.929.827.

które usuwały z pod wszelkiéj władzy i dyspozycyi rządowéj co najmniéj dwa miliony ludu swoich wsi dziedzicznych. Gdzieindziéj zaś każdy mieszkaniec ponosił przypadającą na niego większą, lub mniejszą część ciężaru państwowego. Tym sposobem przewaga liczebna Polski zmniejszała się na jéj niekorzyść.

Krążenie soków odżywczych organizmu społecznego, nie powiadamy już bogactwa narodowego, chorobliwe oddawna skutkiem przyczyn historycznych, miało teraz zatamowaną główną tętnicę przez Fryderyka II, przez jego Fordońską komorę traktat handlowy.

Nareszcie nad samą szlachtą ciężyła gruba chmura ciemnoty umysłowéj: w wyższych jéj warstwach lęgły się wszelkie gady demoralizacyi, tak obyczajowéj jak politycznéj. Zaginęło nie już pojęcie, ale nawet zdolność pojmowania warunków niezależności i godności państwowéj. Historycy nasi polityczni zadawali sobie wiele trudu z ocenianiem programatów jużto stronnictwa monarchicznego, już republikańskiego, darząc swemi sympatyami jedno lub drugie; komentowali głosy sejmowe, szukali sprężyn tajemnych, wpływów nawet niewieścich na takie, lub inne ukształtowanie danéj sytuacyi politycznéj. Dla nas, cośmy na tych polityków z dołu spoglądali, cała ich krzątanina, wszystkie ich zabiegi wydają się inaczéj. Oba stronnictwa, tak monarchiczne, jak republikanckie, są zarówno mizerne ze stanowiska elementarnych paragrafów prawa państwowego. Jeśli zwalczano np. Czartoryskich za odwołanie się do obcéj pomocy, to czegóż warci byli ich oponenci, którzy rachowali na to w r. 1764, że „inne dwory nie pozwolą na takie pogwałcenie wolności i praw Rzeczypospolitéj!“ (1). To téż proponowalibyśmy klasyfikować ludzi, ukazujących się na widowni wieku Stanisława Augusta nie wedle programatów, nawet nie według stosunku do cudzoziemców, bo pod tym względem wszyscy są zarówno prawie niemądrzy i grzeszni, ale według najskromniejszych wymagań moralności: byle nie kupczył sumieniem, byle nie sprzedawał głosu ambasadorom, byle okazał chęć bezinteresownego usłużenia społeczeństwu, byle zrozumiał jakąś wadę w urządzeniach, którą usunąć należało i do usunięcia jéj przyczynił się.

Kierując się taką zasadą, nie wahaliśmy się podzielić społeczeństwo porozbiorowego państwa na dwie części: na ultra-konserwatywną masę ludzi staroświeckiego autoramentu, z pojęciami nieruchomemi, z narowami saskiéj rozpusty, i na ludzi, rozumiejących na-

(1) H Schmitt: Dzieje Polski w XVIII wieku 1732—1832. Kraków 1867, tom II str. 44.

głącą potrzebę przemian rdzennych—tych nazwaliśmy stronnictwem reformy. Pomiędzy jednymi i drugimi stał tłum bezimienny, który zwykle w chwili akcyi politycznéj nadaje poparciem swojém przewagę temu, lub owemu stronnictwu.

Do naszego tedy stronnictwa reformy wchodzą ludzie wielce różni pod względem mniemań politycznych i stanowiska społecznego: X. Brzostowski jako reformator stosunków rolnych i wychowawca pierwszéj gminy włościańsko-obywatelskiéj (Pawłowa), Andrzéj Zamojski, Joachim Chreptowicz, Stanisław Poniatowski, Małachowski marszałek sejmu czteroletniego, Butrymowicz poseł Piński, Potoccy—Prot, Stanisław i Ignacy, Jacek Jezierski kasztelan Łukowski, którego mowy, przez jednego z żyjących a znakomitych pisarzy naszych wyszydzane, wydają mi się bardzo trafnemi i światłemi (1), a którego działalność przemysłowa jest godną wdzięcznego uznania; Kaposztas i Glave, bankierówie warszawscy, Dekiert, prezydent m. Staréj Warszawy, X. Ossowski, X. Skrzetuski, Czacki Tadeusz i, jak się zdaje, Michał, król Stanisław August, a nawet prymas Poniatowski w zakrésie przemysłu i naukowości. Spółcześni oddawali cześć Chreptowiczowi, jako pierwszemu twórcy Komisyi Edukacyjnéj. Wszakże najsilniejsze podmuchy nowożytnego ducha, najpotężniejsze wytwory myśli i pojęć reformy wyszły nie od tytułowanych i wysokie stanowiska zajmujących panów. Koryfeuszami rzeczywistymi, duszą i mózgiem stronnictwa reformy są: ubogi ex-jezuita Świtkowski, wychudzony, pochłonięty całkowicie pracą dziennikarską; mieszczanin Staszic, przyglądający się z bramy londyńskim karetom konsyliarzy Rady Nieustającéj, i drobny szlachetka X. Hugo Kołłątaj. Koło nich stoją: zrujnowany Tadeusz Podlecki, redaktor Dziennika Handlowego, ze swym orszakiem burmistrzów, pocztmistrzów i różnych anonymów, oraz Niemcewicz, który, starłszy się raz w zdaniach ze Stanisławem Potockim na posiedzeniu sejmowém, pośpieszył ustąpić mu jako „mały strumyk, co nie może walczyć z potokiem.“

Niewszystkie zapewne wymieniliśmy imiona, łatwo wszakże uzupełnić ten poczet, grupą posłów sejmowych, co przetrwali do ostatniéj limity 21 Maja r. 1792, orszakiem przyjaciół i administratorów, jakich miał prawie każdy z wybitniejszych ludzi, tudzież gronem stałych prenumeratorów prasy postępowéj.

I cóż zrobiło to stronnictwo?

---

(1) np. z d. 19 Stycznia 1791, któréj nie mieliśmy sposobności przytoczyć, z żalem to wyznajemy.

Powołujemy się na dowody złożone w siedmiu częściach badań naszych, że pracowało ono nad polepszeniem doli włościan i podźwignieniem rolnictwa, że zdjęło pęta z handlu, że rozbudziło przemysł, że stworzyło Warszawę stutysięczną, że wymierzyło sprawiedliwość miastom, około pół miliona ludzi stanu miejskiego zbudziło do życia, że zwiększyło we czwórnasób zasoby skarbu. Skąd inąd znów wiémy, że wznieciło elementarne przynajmniéj pojęcia bytu państwowego.

A czego nie zrobiło?

Nie stworzyło armii stutysięcznéj i rządu silnego, t. j dwóch najważniejszych i niezbędnych rzeczy w położeniu ówczesném.

Co do armii—nie dostarczyło funduszów w potrzebnéj kwocie i pozostawiło organizacyą w rękach nieudolnéj Komisyi Wojskowéj oraz hetmanów, którzy w żadnéj armii europejskiéj nie otrzymaliby stopnia feldwebla. Funduszów wynaléźć nie umiało, a czy usunąć Branickiego nie mogło? niech o tém historycy polityczni decydują.

Co do rządu—tworzyli instytucye administracyjne, wojskowe, dyplomatyczne zawsze z kolegiami, których zadaniem było kontrolować a które w istocie hamowały czynności głównego kierownika. Każda władza była spętana, ale za to nie czuła nad sobą miecza odpowiedzialności.

Błędy takie w krytycznych chwilach życia narodowego są zgubne bezwarunkowo, takiemi się téż okazały w skutkach bezpośrednich.

Potępić wszakże tych niedojrzałych ludzi reformy nie godzi się. Mogliby oni bowiem przytoczyć na swe usprawiedliwienie nasamprzód krótkość czasu: pierwsi tyralierzy tego stronnictwa ukazali się na widowni politycznéj w 1784, na sejmie Grodzieńskim, a w znacznéj sile dopiéro w podwójnym komplecie posłów d. 16 Grudnia r. 1790. Mieli nawał spraw i trudności, którym nie podołaliby może doswiadczeńsi od nich. Wszystkiego się nauczyć i wszystko przebudować od razu przechodzi siły człowiecze, wtedy szczególnie, gdy uczucie niemocy i ogrom nadciągającego niebezpieczeństwa ubezwładnia ramię, a w sercu wiarę wyziębia. W parę lat zresztą ciż sami ludzie puścili w obieg asygnaty i utworzyli dyktaturę—za późno dla skutku politycznego, ale zawsze jeszcze w czas, by stwierdzić ich szczere pragnienie naprawy głównych błędów swoich.

Swiat wysławia spółczesną prawie wojnę amerykańsko-angielską. Ileż to jednak słabości, obojętności, skąpstwa, tchórzostwa, nawet upodlenia zapisała historya téj wojny! A czyliżby istniały dziś Stany Zjednoczone Ameryki Północnéj, gdyby Francya nie dała im

pomocy piéniężnéj i wojskowéj? Niech na to odpowie list Waszyngtona do rządu francuskiego z d. 15 Stycznia r. 1781. Dodajmy na to, że wojska angielskie nie znajdowały się na placu boju nigdy w sile przenoszącéj 7.000, i że położenie geograficzne zdwajało zasoby Amerykanów.

Stronnictwu, którego prace i dzieła zaszkicowaliśmy, nikt ręki z pomocą nie podał, a trudności miało przed sobą większe niż Waszyngton i członkowie kongresu filadelfijskiego. Niechże przynajmniéj wolne będzie od potępienia i sromu przed trybunałem dziejowym!

P. S. W ciągu poszukiwań mieliśmy sposobność rozwiązania dwóch zagadek, które były zaznaczone na początku pracy (Ateneum, Maj 1877 str. 219 i 223).

1. Redaktorem Dziennika Handlowego był Tadeusz Podlecki, właśnie ów rotmistrz powiatu Bracławskiego, który się nazywa dziedzicem dóbr licznych. Dowodem jest 1) wynalezione przypadkowo pomiędzy „Notami w różnych interesach do Komisyi Skarb. Kor. podanemi“ w plice N. 22 memoryał tego Podleckiego Rotmistrza Bracławskiego do Podskarbiego Kossowskiego z prośbą jako „o łaskę“, iżby wszystkie druki skarbowe w Drukarni jego drukowane były; 2) styl i pisownia: np. „przed kilko miesięcy na wdanie się JW. Wojewody Czapskiego do JW. Pana, uzyskałem Pańskie zalecenie“ stwierdza tożsamość osoby.

2. Autor wielokrotnie wspominanych Tabeli, Adam Moszyński, jest tą samą osobą co Fryderyk Moszyński, znany Komisarz z Komisyi Sk Kor., potém jedna z pierwszych figur w konfederacyi Targowickiéj, ocalony od powieszenia w d. 9 Maja 1794. Za dowód służy mowa Morskiego z d. 13 Stycz. 1791 (Dyaryusz t. I, cz. II, str. 44), w któréj tenże mówi o Moszyńskim Sekretarzu W. X. Lit., naczelniku niegdyś swoim ze szkoły kadetów, a właśnie tenże Moszyński był jéj vice-komendantem. Zamięszanie powstało stąd, że Moszyński podpisywał się raz imieniem Fryderyk, a drugi raz Adam. Życiorys jego jest w Encykl. Orgelbr., pióra Bartoszewicza.

Tadeusz Korzon.

O PODATKU DOCHODOWYM.

Schmoller Die Lehre vom Einkommen... Tüb: 1/4 jahr. 1862.
Heüschling L'impôt sur le revenu 1873.
Biliński Studya nad podatkiem dochodowym 1870 2. t.
Leroy-Beaulieu (Paul) Traité de la science des finances. 1877 r. (2 vol.)
Bäxter-Dudley. National Income. 1 vol.

Systemat skarbowy państw ucywilizowanych, powstały już to drogą historyczno-zwyczajową, już drogą samowoli i nacisku władzy państwowéj, pod wpływem pojęć i zasad ekonomicznych i ustroju parlamentarnego pozornie przynajmniéj uporządkowany, dzieli zwykle cały organizm podatkowy na dwie wielkie grupy, noszące nazwę podatków *bezpośrednich* i podatków *pośrednich*, zwane w naszym autonomicznym niegdyś języku administracyjnym podatkami *stałemi* i podatkami *niestałemi*.

Nie wnikając w rozbiór sporów i poglądów teoretycznych co do właściwości nazw i poddziałów, ograniczamy się na tém ogólnem określeniu, że do grupy podatków *bezpośrednich* (stałych) praktyka skarbowa zalicza te, których ciężar pada wprost i bezpośrednio na materyał podatkowy, bądź osobisty, bądź rzeczowy, usuwając i rugując tym sposobem wszelkie czynniki pośrednie pomiędzy skarbem i podatnikiem. Do grupy więc téj należą podatki gruntowe z nieruchomości i zabudowań wiejskich i miejskich, podatki przemysłowe czyli patentowe, wszelkie opłaty skarbowe z tytułu sprzedaży, darowizny i spadkobrania nieruchomości przez skarb pobiérane, podatki od wartości ruchomych, a więc od udziałów w stowarzyszeniach i spółkach przedsiębierczych i przemysłowych, wreszcie wszelkiego rodzaju i nazwy podatki osobiste, czyli pogłówne, podusz-ne itp.

Podatki te, posiadając cechy charakterystyczne stałe, mieszczą się w wykazach poborowych stałych i imiennych, pobór ich dokonywa się przeważnie w peryodach stale oznaczonych.

Podatki *pośrednie* (niestałe) są wynikiem czynów i stosunków wymiennych, okolicznościowych, od woli i upodobania kontrybuenta zależnych, który uiszcza je w chwili dokonywania tych czynów, a uiszcza w ten sposób, że zwraca pewnéj pośredniéj pomiędzy nim a skarbem stojącéj osobistości, opłacone już skarbowi zaliczenie. Gdy więc kupuję pudełko cygar przez skarb opaskowane, zwracam w cenie kupna tę część podatku, jaka za mnie, ewentualnego spożywcę, przez fabrykanta wniesioną już została;—gdy w składzie papiéru kupuję blankiet wekslowy ostęplowany, zwracam cenę wyciśnionego przez skarb stępelka. Do grupy więc podatków pośrednich należą wszelkie podatki konsumcyjne, czyli spożywcze, podatki od mieszkań, artykułów opałowych, oświetlenia, mydła, od trunków i napojów wyskokowych, od tabaki, tytuniu, od przedmiotów czyniących zadość niektórym potrzebom umysłowym, np. od gazet, od kalendarzy, wreszcie wszelkie opłaty celne.

Wnosząc z tego przykładowego wyliczenia, mniemaćby należało, że wszystkie pierwiastki, czynniki i przejawy mienia rzeczowego, wszystkie działania, czynności i zachcenia, uważane jako materyał podatkowy, pod te grupy podciągnąć i w nich dogodnie dla skarbu pomieścić się dadzą. Przy ścisłém stosowaniu przepisów i ustaw podatkowych nie uniknie podatku ani natura, ani kapitał, ani praca, te trzy źródłowe pierwiastki bogactwa i pomyślności ekonomicznéj.

Wniknąwszy atoli bliżéj w przejawy i wyniki działalności ekonomicznéj jednostek, łatwo przekonać się można, że osiągane z wszelkiéj działalności rezultaty warunkują się nietylko ilością i jakością włożonéj w nie pracy i kapitału, ale nadto i przeważnie zawisłe są jużto od współdziałania pierwiastku indywidualnego, nadającego im kierownictwo, jużto od zbiegu różnych okoliczności przypadkowych, nieprzewidzianych, w trakcie działalności przypadających, jużto od stopnia zaufania wzbudzonego w społeczeństwie przez pierwiastek indywidualny, lub zbieg okoliczności, które to zaufanie, przeniesione w sferę stosunków pieniężnych, uzewnętrznia się w *kredycie*, stanowiącym w nowém społeczeństwie samoistny a potężny czynnik dochodowy.

Wszystkie przytoczone tu momenta, powodujące wyróżnienia, istniejące w wynikach dochodowych, osiąganych przez pojedyncze gospodarstwa i osobistości, rozważone ze stanowiska fiskalnego, jako

materyał podatkowy, są podstawą odrębnego podatku, to jest podatku dochodowego.

W tém jednak miejscu należy zwrócić uwagę, że w prawidłowém, rozumowaném gospodarstwie państwowém, każdy w ogóle podatek jest podatkiem dochodowym. W zasadzie bowiem i stosowaniu ten tylko podatek za słuszny i usprawiedliwiony poczytywać należy, który pada na dochód, bez najmniejszego naruszenia czynników źródłowych gospodarstwa.

Pod podatkiem więc dochodowym w znaczeniu *szczególném*, rozumie się ciężar podatkowy padający na tę część czystego dochodu, która ani podatkowi bezpośredniemu, ani pośredniemu poddaną nie jest.

Przeświadczenie o istnieniu takiéj części dochodu, która dla braku cech zewnętrznych, wybitnych, pod normalne opodatkowanie (bezpośrednie i pośrednie) podciągnięta być nie mogła, zestawione z ogólném poczuciem słuszności, wymagającéj by wszyscy obywatele odpowiednio do swych środków uczestniczyli w czynieniu zadość potrzebom państwowym, określi nam naturę podatku dochodowego.

Ze względu na swe pochodzenie okolicznościowe, przypadkowe, na swój subtelny i przemijający organizm, jestto podatek uzupełniający, wyrównawczy, niezdolny do wytrzymania całego ciężaru gospodarstwa skarbowego,—jestto raczéj przyczynek podatkowy, usprawiedliwiony tam, gdzie zbiorowa suma dochodów téj kategoryi poważną stanowi cyfrę.

Przy ścisłem atoli przestrzeganiu przywiedzionych tu względów, podatek ten przysparzałby raczéj skarbowi kłopotów, jako w ogóle, trudny do wprowadzenia i wymagający odrębnéj manipulacyi.

Zbadanie i sprawdzenie dochodów każdéj oddzielnéj jednostki wykrycie nieopodatkowanéj onych części, wymagałoby tylu oddzielnych postępowań przygotowawczych, ile jednostek gospodarczych istnieje w granicach państwa,—inaczéj bowiém o ścisłém zastosowaniu zasad słuszności i sprawiedliwości do każdego oddzielnego subjekta podatkowego nie może być mowy.

Porzuciwszy więc niemożliwą do urzeczywistnienia myśl wytworzenia dla ustalenia podatku dochodowego odrębnéj manipulacyi, zarządy skarbowe stosują doń systemat kombinowany, oparty na połączeniu zwykle używanych dotąd sposobów stanowienia normy podatkowéj.

Sposoby te są trzy: dobrowolne zeznanie, czyli deklaracya podatnika, taksa urzędowa, to jest opodatkowanie z urzędu,—wreszcie domniemanie prawne, dotyczące majątku, lub dochodów podatnika,

wysnute z cech zewnętrznych, jakiemi są zwykły tryb życia, wystawność zajmowanego lokalu, ilość służby domowéj, powozów, koni, wreszcie doniosłość zajęć, czynności itp. dokonywanych przez ewentualnego kontrybuenta.

Zwykle ostatni ten sposób nie bywa stosowanym przy podatku dochodowym, służy raczéj za wskazówkę do opodatkowań stałych, na pojedyncze czynniki nakładanych, jak np. od powozów, koni, służby domowniczéj itp.

Pozostaje więc kombinacya dwóch pierwszych, tj. zeznania osobiste i taksa z urzędu. Na tych dwóch pierwiastkach opiéra się normowanie podatku dochodowego w Anglii, Niemczech, Austryi i Włoszech. Udział składowy każdego pierwiastku w systemacie kombinowanym zależnym jest od miejscowych zwyczajów, poszanowania godności obywatelskiéj, wzwyczajenia ludności do nacisku biurakrytecznego. W Anglii przeważa powaga dobrowolnych deklaracyj poddanych sprawdzaniu urzędowemu, w Niemczech—mianowicie w Prusiech, deklaracya obywatela podrzędne zajmuje miejsce. W każdym jednak razie kontrola administracyjna uważana jest za konieczną.

Podatek więc dochodowy nastręcza obszerne pole do nadużyć i niesumienności. Tam gdzie ustanowienie normy podatkowéj pozostawione jest ocenieniu władz admistracyjnych, nadużycia są nieuniknione;—tam gdzie przeważa zasada dobrowolnych deklaracyj, niesprawiedliwość wynika z niesumiennego wykazania dochodów. Obywatel uczciwy, sumienny, obciążony będzie nierównie wyżéj od tych, którzy mniéj są dokładni i surowi względem samych siebie.

Pod względem więc nader ważnym, ścisłego ustalenia materyi podatkowéj, podatek dochodowy nieprzezwyciężone nastręcza trudności. Przypuściwszy wreszcie możliwe rozstrzygnięcie téj wątpliwości, nastręcza się niebawem druga, niemniéj ważna kwestya, zastosowania do materyi podatkowéj, to jest do czystego dochodu, zasad ścisłéj sprawiedliwości, wyrażająca się w tém pytaniu: czy wszystkie dochody czyste równoilościowe, jednakowo opodatkowane być mogą. Weźmy naprzykład dwóch ludzi, zarabiających rocznie po 10000 zł. czystego dochodu. Jeden zarabia je pracą, troskami, nauką, zabiegliwością, kosztem własnego zdrowia i spokoju,—część przynajmniéj tego dochodu powinien odkładać i zaoszczędzać dla siebie i rodziny. Inny zyskuje tenże sam dochód bez trudu, bez wysileń, źródło bowiem dochodowe odziedziczył, otrzymał w posagu, wygrał na loteryi. Różnice podstawowe są tu wybitne, uderzające. Ustawodawstwo jednak fiskalne nie może wnikać w te pierwiastki okolicznościowe, których uwzględnienie wywołałoby nieskończoną gmatwa-

ninę. W praktyce więc zarządy skarbowe postępują tu dwiema drogami, albo poddając wszystkie dochody równoilościowe jednakowemu opodatkowaniu, co jest krzyczącą niesprawiedliwością, lub też zwalniając od opodatkowania pewną część dochodów przemijających, osobistych, obok całkowitego opodatkowania dochodów stałych, wieczystych. W tym drugim wypadku doniosłość niesprawiedliwości jest mniejszą, istnieje wszelako ze względu na różnice źródłowe, zachodzące pomiędzy owemi dochodami osobistemi, przemijającemi. Dość porównać 10.000 zł. dochodów lekarza lub adwokata, z takąż samą płacą członka rady zarządzającéj kolei żelaznéj, uczestniczącego raz w tydzień w pół godzinnych naradach zarządu.

Zastanowimy się wreszcie nad trzecią równie doniosłą kwestyą, a mianowicie nad wydajnością podatku dochodowego. Pierwszym koniecznym warunkiem jest istnienie czystego dochodu, w najściślejszém tego pojęcia znaczeniu i to takiego dochodu, który, pozostając po opędzeniu wszelkich potrzeb, ciężarów i kosztów, po potrąceniu pewnego procentu na fundusz przyszłéj kapitalizacyi, stanowiłby zasób zupełnie swobodny, którego uszczuplenie przez obciążenie podatkowe nie wywierałoby żadnego oddziaływania ujemnego, nietylko na normalną działalność wytworczą kraju i na dobrobyt obywateli, ale nawet na dalszy rozwój przyrostowy bogactwa narodowego. Podatek dochodowy nieuwzględniający tych wymagań przestaje być takim,—jest więc poprostu spotęgowaniem podatków istniejących, w odmienną przyobleczonych nazwę, lub też środkiem socyalnym, wymierzonym na pewne zamożniejsze warstwy społeczne. Tworzenie się dochodu czystego możliwem jest tam tylko, gdzie rozkład ogólnego mienia narodowego ustalony jest w ten sposób, że przy istnieniu dochodów małych, wystarczających na potrzeby niższych i średnich warstw społecznych, znajdujemy poważną cyfrę wielkich własności i wielkich przedsiębierstw przemysłowych, gdzie więc wielka część ogólnego mienia i ogólnego dochodu ześrodkowywa się w ręku wyższych warstw społecznych. Skoro bowiem zwrócimy uwagę na zasadniczy warunek podatku dochodowego, wymagający zwolnienia od opodatkowania pewnéj *minimalnéj* cyfry dochodów uważanych za konieczne dla prawidłowego utrzymania bytu mieszkańców, przekonamy się łatwo, że przy zdemokratyzowaniu ogólnego mienia, to jest przy rozdrobnieniu go pomiędzy ogół mieszkańców, z których każdy posiada bardzo mało, owo potrącenie minimalne bezwarunkowo wyczerpie największą część materyału podatkowego, pozostawiając pod opodatkowanie małą bardzo cząsteczkę ogólnych dochodów, chociażby zbiorowa ilość tych ogólnych docho-

dów i poważną stanowiła cyfrę. Najwymowniejszy w téj mierze przykład dostarcza porównawcze zestawienie dwóch najzamożniejszych państw europejskich: Anglii i Francyi, gdzie rozkład ogólnego mienia narodowego uderzające przedstawia wyniki. Według sprawozdania zarządu skarbowego francuskiego za rok 1865 zbiorowa cyfra wierzycieli figurujących w wielkiéj księdze długu państwowego wynosiła 1,100.000 pozycyj pobierających rocznie 400 milionów franków, czyli 365 fr. na jednę przecięciowo pozycyą, gdy tymczasem w Anglii wedle wykazów bankowych za r. 1842, a więc o 23 lat wcześniéj, 600 milionów franków procentów od skonsolidowanego długu państwowego przypadało do podziału między 282.000 pozycyi czyli po 2.150 fr. na jednę pozycyą. Analogiczny stosunek przedstawia podział własności gruntowéj. Podług wykazów podatkowych za r. 1876 połowa powierzchni gruntowéj we Francyi przypada na posiadłości, przynoszące zaledwie 1.000 fr., dochodu, a zaledwie ⅓ część przynosi więcéj niż 2.500 fr., to jest więcéj niż ilość minimalną podległą opodatkowaniu dochodowemu według systematu angielskiego, w Anglii zaś ⅞ powierzchni gruntowéj należy do téj kategoryi. Nie chcąc nużyć czytelnika drobiazgowemi szczegółami, kończymy porównanie wywodem ostatecznym, że przy zastosowaniu do Francyi podatku dochodowego angielskiego, przypuszczając zupełną między obudwoma krajami tożsamość bogactwa narodowego i tożsamość ogólnego czystego dochodu, ze względu jedynie na różnice istniejące w repartycyi mienia i dochodu, a więc na potrącenia dochodów minimalnych, podatek dochodowy, czyniący w Anglii około 150.000.000 fr. rocznie, przyniósłby we Francyi zaledwie trzecią część téj sumy. Rozumié się samo przez się, że przy obniżeniu cyfr minimalnych można osiągnąć daleko pomyślniejsze dla dochodów państwowych wyniki, o ile jednak ewentualne dobro skarbu naraża w tym razie na szwank dobrobyt narodowy, rozbiérać nie potrzebujemy. Z punktu więc swéj wydajności, podatek dochodowy, sumiennie, sprawiedliwie, opiekuńczo unormowany, nader jest wątpliwym.

* * *

Z kolei przypatrzmy się funkcyonowaniu podatku dochodowego w państwach europejskich. W Anglii podatek dochodowy, wywołany potrzebami wojny z Francyą, zaprowadzony został w r. 1798 na wniosek Pitta, pod nazwą „property aud income tax.“ Zmodyfikowany w roku następnym, po pokoju w Amiens został zniesiony. Po raz drugi przywrócono go w r. 1803,—uchylony w r. 1814, wznowiony był w r. 1842 za administracyi Roberta Peel na przeciąg lat trzech

Odtąd istnieje on bez przerwy, lecz ponieważ zgodnie z swą istotą za podatek prawidłowy przez statystów angielskich uważanym nie jest, uchwalanym bywa na mniéj więcéj przeciągłe kilkoletnie peryody w przewidywaniu usunięcia go kiedyś z budżetu. W chwili obecnéj podatek ten dotyka jedynie dochody wynoszące najmniéj 100 f. st. (2.500 fr.), w kategoryi dochodów pomiędzy 100 a 300 f. st. (2.500—7.500 fr.) pierwsze 80 fr. wolne są od podatku, tak że kontrybuent wykazujący 100 f. dochodu płaci podatek jedynie w stosunku 20 funt. Norma podatkowa jest stosunkowo nader umiarkowaną, wynosi bowiem 2 pensy od funta czyli 0,82%, podatnik więc otrzymujący np. 5.000 fr., dochodu, po potrąceniu nieulegających podatkowi 80 f. czyli 2.000 fr. płaci mniéj niż 1 funt szt. podatku (24 fr. 60 c.) Ze sprawozdania wydziału skarbowego za lata 1875 i 1876 wiémy, że podatek ten czynił rocznie 4.109.00 f. sz. (102.500.000 fr.).

Ustanowienie i pobór podatku dokonywa się w sposób następujący. Wszystkie w ogóle dochody majątkowe obywateli angielskich, podzielone na pięć kategoryj, zamieszczają się w oddzielnych wykazach, zwanych cedułami i oznaczonych porządkowemi głoskami alfabetu. Ceduła *A* obejmuje dochody od *własności* nieruchomości miejskich i wiejskich. Ceduła *B* dochody z wyzyskiwania gruntu a więc dochody dzierżawców, Ceduła *C* dywidendy i procenta od długów państwowych i papierów publicznych, ceduła *D* dochody przemysłowe, handlowe i przedsiębiercze, wreszcie ceduła *E* płace, pensye i wynagrodzenia stałe, etatowe.

Jak powiedziano wyżéj, podstawową zasadę opodatkowania stanowi zeznanie obywatela, wskazujące cyfrę jego dochodów. Deklaracyą tę składa on każdorocznie na ręce komisarzy podatku dochodowego, wybiéranych z grona miejscowych współobywateli, od władz administracyjnych zupełnie niezależnych,—oni są zarazem poborcami podatku dochodowego. Dochód podlegający opodatkowaniu oblicza się wedle wyniku dochodowego za rok ubiegły.

Skoro tylko prawo stanowiące normę podatkową uchwalonném zostanie, urzędy i władze skarbowe dostarczają komisarzom podatku dochodowego druk na deklaracye dochodowe; na komisarzach ciąży obowiązek wręczenia druków, dotyczących kategoryi *A* i *B*, wszystkim właścicielom nieruchomości znajdujących się w parafii, dotyczących zaś kategoryi *D*—naczelnikom, zwierzchnikom i szefom wszystkich domów handlowych, magazynów, sklepów, handlów i banków. Odnośne obwieszczenia o składanie deklaracyi w terminie prawem przepisanym pod karą 50 f. st. rozlepioném jest na drzwiach kościołów, świątyń, gmachów sądowych i administracyjnych.

Każdy właściciel nieruchomości obowiązany jest pod odpowiedzialnością karną dostarczyć komisarzom wykazy lokatorów, każdy zwierzchnik i gospodarz listę swych domowników i podwładnych, agentów, urzędników, officyalistów z wykazaniem pobieranéj płacy. Wykazy dotyczące kategoryi *A*, *B*, i *E* składają się wprost komisarzom, dla kategoryi zaś *D*, obejmującéj dochody kupców, przemysłowców i przedsiębierców odsełają się w kopertach opieczętowanych sekretarzowi komitetu podatku dochodowego, dla zachowania tajemnicy.

Sprawdzanie wiarogodności deklaracyj dokonywają komisarze, głównie przez porównanie wykazów z deklaracyami analogicznemi osób do téjże saméj należących kategoryj i na zasadzie osobistych domniemań i wiadomości o położeniu majątkowém kontrybuenta. Oprócz tego Rządowi przysługuje prawo rewizyi przez agentów państwowych *(Inspectors and Surveyors)*. Po największéj części jestto prosta formalność.

O ustanowionych kwotach podatkowych kontrybuenci otrzymują piśmienne zawiadomienia, z wzmianką o służącém im prawie reklamacyi do komitetu, a następnie do władz rządowych. Ustanowienie podatku w kategoryi *A* (nieruchomości miejskie i wiejskie) jest prawie nieomylne. Utajenie dochodu jest tu niemożliwe. Podatek płaci posiadacz, lokator z najmowanego lokalu, właściciel z przestrzeni gruntu, porównanéj co do rodzaju produktów, przestrzeni i położenia miejscowości z sąsiedniemi posiadłościami, dzierżawca za właściciela i t. p. za nieobecnego płaci rządca, lub pełnomocnik imiennie wskazany i odpowiedzialny; od sum hypotecznych i wierzytelności na nieruchomościach ubezpieczonych, przypadający podatek dochodowy, płacą dłużnicy, potrącając takowy z rat procentowych. W kategoryi *B* (wyzyskiwanie gruntu, dzierżawa) podatek pada na zyski dzierżawców, których dochód obliczony jest na zasadzie prawdopodobieństwa tego rodzaju, że zysk dzierżawcy w Anglii wynosi połowę, w Szkocyi część trzecią, a w Irlandyi część czwartą czynszu dzierżawnego. Domniemanie tego rodzaju nader jest elastyczne, reklamacye téż dzierżawców, byleby poparte zasługującemi na wiarę dowodami, chętnie i życzliwie są uwzględniane, po upływie jednakowoż roku podatkowego, to jest po zamknięciu rachunków dzierżawcy z zysków i strat. Właściciel zajmujący się gospodarstwem osobiście płaci również podatek dochodowy od wyzyskiwania gruntu, niezależnie od podatku z kategoryi *A* przez siebie, jako właściciela uiszczanego.

Podatek z kategoryi *C* nie potrzebuje deklaracyi (dywidendy, procenta od wierzytelności państwowych); płacą go za kontrybuentów

zarządy odnośnych instytucyj, wedle taksy z urzędów ustanowionéj.

Przy ustanowieniu podatku w kategoryi *D* (dochody kupców) uczestniczą nietylko asesorowie miejscowi, ale i urzędnicy państwowi, dla zasłonięcia asesorów wybiéralnych od zarzutów i wymówek, jakieby ich mogły spotkać ze strony kontrybuentów, należących do téjże samej sfery, częstokroć współzawodników na polu handlowém i przemysłowém. Nie dość na tém, jeżeli kontrybuent pragnie zachować w tajemnicy przed współobywatelami i sąsiadami swe położenie majątkowe, wolno mu żądać sprawdzenia deklaracyj wprost przez urzędników Korony i tym celem, jak powiedziano wyżéj, przesyła opieczętowaną deklaracyą na ręce sekretarza komitetu podatkowego. Niewielka ilość kontrybuentów korzysta z tego prawa, w roku 1868/9 z ogólnéj ilości blisko 400.000 podatników kategoryi *D* zaledwo 9.638 złożyło tajne deklaracye.

W kategoryi *E* (płace i pensye) deklaracye są zbyteczne. Podatek potrąca się wprost przez władze, zwierzchności i zarządy, czy to państwowe, czy prywatne, wedle list płacy.

W każdym razie i we wszystkich czterech pierwszych kategoryach, przy obliczeniu dochodów potrącają się procenta od długów ciążących podatników, lub instytucye, podatek dochodowy uiszczające

Podatek dochodowy stanowi dla Anglii najwyborniejszy miarowskaz stopniowego i ciągłego wzrostu bogactwa i dobrobytu. Z urzędowych sprawozdań i dokumentów składanych parlamentowi, przekonywamy się, że dochód opodatkowany w pięciu kategoryach wynosił w roku 1842/3 około 205 milionów f. szt., w roku 1876/7 dochód sprawdzony przez komisarzy wynosił przeszło dwa razy tyle (543.025.761 f. st. około 13 miliardów franków). Zdaniem jednak komisarzy, przynajmniéj piąta część téj summy (20%) zdołała ukryć się przed ciężarem podatkowym.

• •
•

Podatek dochodowy w *Prussiech* rozpada się na dwa główne działy, a mianowicie podatek *klasyczny (Klassensteuer)*, ciążący dochody dobiegające 3.000 marek (1.000 tal.), i *dochodowy (Einkommensteuer)*, padający na dochody od 3.000 m., są to więc właściwie mówiąc dwa odrębne podatki, tę wspólną mającą cechę, że padają na dochód.

Podatek *klasyczny* (klassen und klasifizirte Einkommensteuer) wprowadzony na zasadzie prawa z dnia 1 Maja 1851, ostatecznie zre-

formowany przez prawo z d. 25 Maja 1873 r, obowiązuje w całém państwie Pruskiém. Wolni są od podatku posiadacze dochodów niższych od 140 tal. (420 m.), nieletni do lat 16 włącznie, żołnierze i podoficerowie lądowi i morscy w służbie czynnéj zostający, oraz żołnierze urlopowani i zostające na ich opiece rodziny, jakotéż żołnierze, podoficerowie i oficerowie landwery w miesiącach powołania na ćwiczenia wojskowe, cudzoziemcy, czasowo mniéj niż rok w jednémi tém samém zamieszkali miejscu; ozdobieni krzyżem żelaznym na zasadzie prawa z 19 Lipca 1870 r. oraz zaszczyceni znakiem zasługi wojskowéj 1 i 2 klasy, wreszcie wojownicy z epoki 1806—1815 roku.

Ludność opodatkowana grupami rodzinnemi dzieli się na 12 klas: do klasy 1-y zaliczeni są posiadacze dochodów od 140—220 talarów, opłacający rocznie 1 tal.; do 2-éj—od 220—300 tal., opłacający 2 tal.; klasa 3-a do 350 tal. 4 tal.; kl. 4-a do 400 tal. 5 tal.; klasa 5-a do 450 tal. 6 tal.; kl. 6-a do 500 tal. 8 tal.; kl. 7-a do 550 talarów 10 tal.; kl. 8-a do 600 tal. 12 tal; kl. 9-a od 600—700 tal. 14 tal.; klasa 10-a od 700 do 800 tal. płaci 16 tal.; kl. 11-a od 800—900 tal.—20 tal., wreszcie kl. 12-a od tal. 900 do włącznie 1.000 (3.000 m.) opłacająca 24 tal. rocznie. Jakkolwiek cyfra minimalna (do 140 tal.) wyraźnie jest wskazana, prawo jednak warunkuje możność opodatkowania i niższych dochodów, bez wskazania granicy ewentualnego minimum, w razie potrzeb koniecznych. Podatek ciążący te niższe od 140 tal. dochody wynosić ma stale $^{1}/_{2}$ talara.

Ustanowienie podatku poruczone jest komisarzom podatkowym, złożonym z przewodniczącego, burmistrza lub naczelnika gminy i z członków, wybieranych przez mieszkańców, posiadających prawo głosowania. Przygotowanie jednak materyałów, zebranie wszelkich wiadomości o czynnikach i źródłach majątkowych i dochodowych podatników, włożone jest wyłącznie na organa rządowe. Pozostałym członkom komisyi służy prawo czynienia jedynie uwag i spostrzeżeń. Oszacowania komisyi podlegają rewizyi landratów (komisarzy okręgowych), ostateczne zaś potwierdzenie udziela dyrekcya skarbowa prowincyi. Opodatkowanym służy trzymiesięczny termin do zanoszenia skarg i reklamacyj. Podatek klasyczny uiszcza się miesięcznie, w pierwszych 8-u dniach każdego miesiąca.

Toż samo prawo z d. 25 Maja 1873 zawiéra rozporządzenia dotyczące podatku dochodowego, istniejącego od r. 1820 a zmodyfikowanego w r. 1851. Podatek dochodowy dla 1 kategoryi od 1.000 1.200 tal. wynosi rocznie 30 tal., dla 2-éj 1.200—1.400=36 tal., dla 3-éj 1.400—1.600=42 tal., dla 4-éj 1.600—1800=48 tal., dla 5-éj 1.800 do 2.000=54, dla 6-éj 2.000—2.400=60 tal., dla 7-éj 2.400—2.800=72

talarów, dla 8-éj 2.800—3.200=84 tal., dla 9-éj 3.200—3.600=90 talarów, dla 10-éj 3.600—4.000=108 tal., dla 11-éj 4.000—4.800=120 tal., dla 12-éj 4.800—5.600=144 tal., dla 13-éj 5.600—6.400=168 tal., dla 14-éj 6.400—7.200=192 tal., dla 15-éj 7.200—8.400=216 tal., dla 16-éj 8.400—9.600=252 tal., dla 17-éj 9.600—10.800=288 tal., dla 18-éj 10.800—12.000=324 tal., dla 19-éj 12.000—14.000=360 tal., dla 20-éj 14.000—16.000=420 tal., dla 21-éj 16.000—18.000=480 tal., dla 22-éj 18.000—20.000=540 tal., dla 23-éj 20.000—24.000=600 tal., dla 24-éj 24.000—28.000=720 tal., dla 25-éj 28.000 — 32.000=840 tal., dla 26-éj 32.000—36.000=960 tal., dla 27-éj 36.000—40.000=1.080 tal., dla 28-éj 40.000—48.000=1.200 tal., dla 29-éj 48.000—56.000=1.440 tal., dla 30-éj 56.000—68.000=1.680 tal., dla 31-éj 68.000—80.000=2.040 tal., dla 32-éj 80.000—100.000—tal.=2.400, dla 33-éj 100.000—120.000=3.000 tal., dla 34-éj 120.000 — 140.000=3.600 tal., dla 35-éj 140.000 — 160.000 = 4.200 tal., dla 36-éj 160.000—180.000=4.800 tal., dla 37-éj 180.000—200.000=5.400 tal., dla 38-éj 200.000—220.000=6.000 tal., dla 39-éj 220.000—240.000=6.600 tal., dla 40-éj 240.000—260.000—7.200 i tak daléj wzrastając o 600 tal. (1.800 mar.) przy każdém 20.000 talarowém zwiększeniu dochodów.

Przy zaliczaniu podatników do dwóch pierwszych kategoryj (1000—1200—1400) prawo zaleca zwracanie pilnéj uwagi na zdolność podatkową i poboczne okoliczności, a więc na stan zdrowia, ilość dzieci, obowiązki rodzinne względem krewnych, klęski ogólne, ewentualne długi i ciężary osobiste, słowem, na wszystko co wpływać może ujemnie na wyniki dochodowe tych dwóch kategoryj. Komisye podatkowe składają się z przewodniczącego urzędnika państwowego, oraz delegatów wybiéralnych na lat trzy, w ²/₃ częściach z pomiędzy podległych podatkowi dochodowemu, a w ¹/₃ z pomiędzy klasycznie opodatkowanych. Wojskowi i urzędnicy wojenni oraz lekarze wolni są od potrąceń dochodowych z płacy w razie uruchomienia armii, jeżeli zaś podczas uruchomienia i powołania wojsk zapasowych pensyi nie pobiérają, podatek z innych źródeł dochodowych pobiérany obniża się na ich korzyść o 3%.

Według zamierzeń budżetowych na rok 1877 podatek klasyczny figuruje w ilości 44.490.225 m., podatek zaś dochodowy—na 30.047.000 m.; średnia przeciętna podatku dochodowego wynosi 3%, podatku zaś klasycznego—od 0,8 — 2,4%.

W systemacie pruskim zasada deklaracyi nie istnieje. Rząd nie chciał wodzić na pokuszenie sumienia swych poddanych. Opodatkowanie dokonywa się z urzędu, uwzględnianie warunkowe doradczego głosu członków komisyi podatkowych zależy od uznania

i temperamentu przewodniczących. O ścisłém przestrzeganiu zasad stosunkowości podatkowéj nie ma tu mowy. Dochody niższe, podległe podatkowi klasycznemu, dotkliwie są obciążone; pomiędzy dochodami stałemi a przypadkowemi nie ma żadnego rozróżnienia, nad wszystkiém zaś góruje systemat inkwizycyjny, upoważniający organa urzędowe do legalnego wdziérania się w stosunki i interesa domowe i familijne. Porządek taki, względnie znośny w pośród ludu wychowanego w karności militarnéj i uległego bez szemrania wszelkim zachciankom biórokratycznym, nie dałby się z łatwością zastosować w krajach przywykłych do należnego poszanowania swobody osobistéj i progów domowych.

W Austryi podatek dochodowy nader jest skomplikowany. Prawodawca, pragnąc osiągnąć możliwą sprawiedliwość, uwzględnia podatek przemysłowy, podatek gruntowy, górniczy, wreszcie długi i ciężary i tém wywołał wielką gmatwaninę, niezadowolniwszy nikogo. Podatek dochodowy istnieje tam od roku 1849 i dzieli się na dwie grupy. *Pierwszą* stanowi dochód z gruntów i nieruchomości oraz kapitałów i wierzytelności hipotecznych (intabulowanych) opłacających tytułem podatku dochodowego 33¹/₃% podatku *bezpośredniego*, obciążającego grunta i nieruchomości czyli innemi słowy, jestto podatek normalny z nieruchomości, zwiększony o część trzecią. Kontrybuentowi służy prawo potrącenia 5% od procentów, uiszczanych od długów i wierzytelności hipotecznych. *Druga* grupa rozpada się na 3 kategorye: do 1-éj należy dochód z handlu i przemysłu, obciążony w innéj drodze podatkiem zarobkowym, dochód dzierżawców i właścicieli osobiście gospodarujących, dochody hutnicze i górnicze, również obciążone już podatkiem górniczym (Bergfrohne). Cała ta kategorya płaci 5% oraz 10% dodatku do kwoty podatkowéj; do 2-éj kategoryi należą dochody z zajęć i prac tak zwanych wyzwolonych, pensye, płace i t. p., opłacające poczynając od 630 guld. do najwyższéj kategoryi 10.500 guld. podatek w stosunku od 1% do 20%; do 3-éj wreszcie należą wszelkie dywidendy, renty, dochody od kapitałów niehipotecznych, opodatkowane w stosunku 5%. Minimum wolne od podatku w téj kategoryi wynosi 300 guld. dochodu.

Podstawę opodatkowania stanowi deklaracya kontrybuenta, podległa rewizyi władz. W razie dowiedzionéj złéj wiary qnantum podatkowe potraja się. W ogóle podatek dochodowy rozłożony jest nierównie słuszniéj i sprawiedliwiéj niż w Prussiech,—uwzględnia inne współciążące podatki i ciężary, pozostawia podatnikowi prawo inicyatywy w własnym jego interesie,—jest nawet umiarkowany, a jednak ciężkie wywołuje skargi i utyskiwania, mianowicie w niż-

szych i średnich warstwach społecznych. Dla czego? Dla téj prostéj przyczyny, że jakkolwiek Austrya w rzędzie państw produkujących i pracujących niepoślednie zajmuje miejsce, ogólny dobrobyt wiele pozostawia jeszcze do życzenia, większość ludności jest boleśnie obłożona, praca nie opłaca się należycie, stosunki handlowe i ekonomiczne jęczą pod uciskiem gospodarstwa papiérowo-pieniężnego, odbijającego się w deprecyacyi waluty na rynkach zagranicznych. W takich warunkach o czystych dochodach, jako jedynym materyale podatkowym, nadającym się do obciążenia racyonalnym podatkiem dochodowym, nie może być mowy. Istnieje on wprawdzie i pod tą nazwą figuruje w budżecie, lecz nie jestto podatek dochodowy w ścisłém téj nazwy znaczeniu, ale figura retoryczna, omawiająca proste podwyższenia innych rodzajów podatku.

W ogóle jednak podatek ten mniéj jest uciążliwy niż w Prussiech, uwzględnia sytuacye okolicznościowe i zbieg innych podatków, nie krępuje osobistości moralnéj podatnika, dając mu prawo głosu. W wynikach dochodowych Przedlitawii przedstawia się w następujących cyfrach brutto, a więc bez kosztów poborowych: za rok 1872 guld. 18.500.000. 1873 = 23 mil. 1874 = 21 mil. 1875 = 21 mil. 1876 = 19.500.000 guld.

* * *

We Włoszech podatek dochodowy ciąży przeważnie na dochodach ruchomych, ponieważ źródła dochodów nieruchomych są tam nadmiernie przeciążone. Nie ma on charakteru uzupełniającego, wyrównawczego, jakim zawsze odznaczać się powinien, ale jest poprostu źródłem dochodów państwowych. Zasada sprawiedliwości przestrzeganą jest z możliwą skrupulatnością ze względu na uciążliwość podatku, przechodzącego wszelką racyonalną miarę. Wynosi bowiem przecięciowo 13,20%. Najwyżéj opodatkowane są dochody stałe, ciągłe, procenta od długów i wierzytelności państwowych i sum hipotecznych (18—21%), dochody mięszane i osiągane łącznie z pracy i kapitału płacą $^{6}/_{8}$, dochody zaś osobiste, pensye, wynagrodzenia za służbę itp.—$^{3}/_{7}$ taksy normalnéj. Długi i zobowiązania ulegają potrąceniu. Minimum wolne od podatku stanowi 250 fr. dochodu z pracy osobistéj—natomiast obywatel taki płaci 2 fr. rocznie w charakterze podatku osobistego. Podstawą opodatkowania jest deklaracya kontrybuenta, poddana odpowiedniemu sprawdzeniu. Niesumienność kontrybuentów jest przysłowiowa,—mimo to jednak podatek jest stosunkowo nader wydajny, przynosi bowiem około

200 milionów fr. rocznie, pada jednak przeważnie na procenta od długów państwowych, na dochody i dywidendy od akcyj i wartości ruchomych, oraz na płace urzędników, ponieważ kupcy, rzemieślnicy, przemysłowcy i pracownicy wyzwoleni nie poczytują sobie za ujmę ukrywania prawdy.

* * *

W uzupełnieniu przytoczonych tu wiadomości dodać należy, że myśl wprowadzenia podatku dochodowego w Rossyi nie jest nowa; nosiła się z nią komisya tak zwana podatkowa, ustanowiona z woli najwyższéj w r. 1861. W protokółach téj komisyi (*Trudy podatnoj komisii 22 toma*) znajdujemy gotowy projekt podatku, skierowanego na dochody *czyste*, poczynając od 1.000 rubli. Materyał podatkowy rozdzielono na 7 kategoryj, a ogół dochodu przewidywanego ustanowiono na 5 milionów rubli. Przy bliższym jednak rozbiorze projektu sama komisya podatkowa nieprzychylną mu była. Zauważono bowiem, że reforma tego rodzaju zbyt trąci radykalizmem, że sam materyał podatkowy jest nader elastyczny i nieuchwytliwy, wykrycie dochodów czystych, w obec przeciętnie powszechnego obdłużenia mieszkańców, połączone z niezmiernemi trudnościami; słowem, z tych i wielu innych pobudek, w obec niewielkiéj stosunkowo wydajności podatku, komisya stanowczo go potępiła.

Michał Szymanowski.

KRYTYKA.

1) O powstawaniu praw moralnych przez Aleksandra Świętochowskiego, Doktora filozofii. Warszawa 1877, str. 252; 2) Ein Versuch die Entstehung der Moralgesetze zu erklären. Eine ethische Analyse von Dr. Aleksander Świentochowski, Krakau. A. Dygasiński's Verlagsbuchhandlung. 1876. str. 84.

Studya nad powstawaniem rozmaitych zjawisk duchowych czyli nad ich genezą stały się w stuleciu naszém ulubionem zajęciem ludzi nauce poświęconych, a od czasów pomnikowego dzieła Darwina *On the origin of species* nowy przybrały kierunek, przechodząc z drogi dedukcyjnéj na indukcyjną. O ile badania takie są nadzwyczaj ważne, a nawet powabne, o tyle na drodze, po któréj teraz dążą, nader wielkie napotykają trudności; gdyż wymagają znacznego zapasu doświadczeń, niezmordowanych poszukiwań przygotowawczych i niepospolitych zdolności analitycznych. Badacz musi tu z konieczności zaczepić i o zoologią i o fizyologią, o etnografią i historyą; a częstokroć nie znajduje w nich tego, czegoby sobie najwięcéj życzył. Tak np. badania nad umysłowym rozwojem dzieci bardzo nieliczne dotychczas wydały prace specyalne, a etnologiczne poszukiwania przedstawiają się w postaci ogromnych składów surowego po większéj części materyału. Umysł tedy analityczny w daleko przykrzejszém i kłopotliwszém znajduje się położeniu, jeżeli chce dojść do jakiéjś prawdy ogólnéj, aniżeli umysł syntetyczny, który zazwyczaj tém się chlubi, że buduje świetne gmachy systemów, niezależnie od wszelkiego doświadczenia....

Tę mozolną, ale najbezpieczniéj do celu prowadzącą drogę wybrał i p. Aleksander Świętochowski w dwu pracach swoich, wypisanych powyżéj, z których niemiecka była rozprawą przedstawioną uniwersytetowi lipskiemu dla otrzymania stopnia doktora filozofii;

polska zaś jest bardzo rozszerzoną i w niektórych miejscach lekko zmienioną przeróbką pierwszéj. Zestawiam tu obydwie dla lepszego wyrozumienia myśli autora i zestawienia charakterystycznych różnic w wyrażeniach i określeniach obok tożsamości ogólnéj treści i metody badania. Za podstawę sprawozdania biorę naturalnie dzieło polskie jako szczegółowsze i bardziéj wyczerpujące przedmiot.

Dzieło to składa się właściwie z dwu odrębnych części spojonych ze sobą dosyć luźnie. Pierwsza z nich, któréj w niemieckiéj rozprawie nie znajdujemy, przedstawia historyą mniemań o powstawaniu praw moralnych od czasów najdawniejszych aż do połowy naszego stulecia; druga zaś z 5-u rozdziałów złożona zawiéra wykład krytyczny i analityczny samego tematu rozprawy. Chcąc atoli ocenić poglądy p. Ś. na dziejowy rozwój pytania o powstawaniu praw moralnych, musimy najprzód poznać, jak się na etykę zapatruje autor.

Etykę uważano dotychczas powszechnie za naukę tylko praktyczną, albo za *sztukę* (art), jak np. John S. Mill (1). Zarówno ci, co źródło wszelkiego dobra widzieli w Istocie Najwyższéj lub absolucie, jak i ci, co je odnajdowali w duszy ludzkiéj, zarówno idealiści i supranaturaliści jak realiści i materyaliści poczytywali etykę za naukę o *ideałach* ludzkiego postępowania, różniąc się od siebie głównie tą myślą zasadniczą, że jedni posiadali według swego mniemania bezwzględną a drudzy względną tylko, zastosowaną do istniejących potrzeb społeczeństwa, normę moralnego działania.

P. Świętochowski obok téj etyki praktycznéj chciałby utworzyć etykę *teoretyczną* (2), tak jak np. obok mechaniki praktycznéj istnieje mechanika teoretyczna. P. Ś. sądzi, że oprócz etyki *żadna* inna umiejętność nie składa się z samych rozkazów; każda bowiem bada przedewszystkiém objektywnie prawa rządzące pewną dziedziną zjawisk, często niewiele się troszcząc o ich zastosowanie (str. 11). W rozprawie niemieckiéj znajduje się objaśniający do tego miejsca dodatek o logice: „nawet logika, powiada tu p. Ś., w psychologicznéj części *bada prawa* myślenia, a dopiéro w formalnéj części wystawia odkryte przez siebie prawa jako nakazy". Zdaje się, że p. Ś-u nie idzie tu tyle o formę nakazu ile o jego ducha, t. j. o postawienie pewnych formuł jako wskazówek, do których ludziom stosować się należy, jeżeli chcą cel zamierzony osiągnąć. W takim razie

(1) System of logic, ks. VI, roz. 12.

(2) Myśl tę podniósł już H. Spencer w „Liście do Milla". Zob. Bain'a: Mental and Mor. Sc. str. 721.

oprócz stosowanych części wszystkich niemal umiejętności znaleźlibyśmy jeszcze kilka, które wyłącznie takiém kreśleniem formuł się zajmują, jak np. prawo, politykę, estetykę, pedagogikę. Nie wiém, czy p. Ś. uważa te nauki za nauki (rozumie się *praktyczne*), czy téż nie; w każdym jednak razie potrzeba było dla jaśniejszego rozbioru kwestyi etycznéj zestawić etykę z temi naukami, z którémi dotychczas w jednym stawiano ją rzędzie; potrzeba było uznać, że ona nie jest tak osamotnioną w swojéj praktyczności; a wówczas możeby się okazało niezbyt konieczném tworzenie dla etyki osobnéj podstawy teoretycznéj, gdyż ta byłaby jedna dla wszystkich owych nauk, o których wspomniałem. Chcąc rzecz tę, która w rozprawie p. Ś. ma pierwszorzędne znaczenie, gruntownie rozebrać, muszę się zająć niektóremi szczegółami. Dotychczasowéj etyce odmawia p. Ś. nazwy „badania objektywnego“ i twierdzi, że ażeby niém stać się mogła „musi dopełnić kardynalnego warunku wszelkiéj umiejętności, mianowicie: traktować prawa *powinności* najprzód jako *nikogo nie obowiązujący przedmiot*, zanim je w zastosowaniu podniesie do znaczenia obowiązującéj *władzy*“. (str. 12). Gdybyśmy dosłownie trzymali się wskazanéj tu definicyi, określającéj treść etyki, musielibyśmy widzieć w panu Ś. zwolennika tych teoryj, które uznają bezwzględny pierwiastek moralny, istniejący niezależnie we wszechświecie lub po za nim; bo jakżeż inaczéj można rozważać prawa *powinności* jako *nikogo nie obowiązujący* przedmiot?.... Prawa np. promieniowania ciepła można badać, nie zważając wcale na to, czy ktoś myśli budować piec czy nie; a prawa moralności traktować abstrakcyjnie bez względu na ludzi możnaby wtenczas tylko, gdyby się okazało, że one istnieją od nich niezależnie i rządzą ludźmi bez względu na to, czy im są znane czy nie. Ależ p. Ś. jest stanowczym przeciwnikiem absolutystycznych teoryj, a zatém i niezależnego od ludzi pierwiastku moralnego nie uznaje. On sam, polemizując z filozofami XVIII wieku, powołującemi się na niezmienne prawa natury, mówi wyraźnie: „Ten tylko moralista mógłby słusznie mówić o prawach natury, któryby żadnych praw moralnych nie uznawał, *któryby ludzkie czyny przeniósł za granicę jakiegokolwiek ich szanowania i rozpatrywał je tylko jako objawy sił przyrodniczych:* takie jednakże stanowisko *nie byłoby stanowiskiem badania etycznego* (str. 178). Dlatego téż treści etyki teoretycznéj jako badania praw powinności, *nikogo nie obowiązujących*, niepodobna mu uznać za przedmiot *nauki*, jeżeli chce być ze sobą w zgodzie (1).

---

(1) Dodać należy, że w niemieckiéj pracy owego frazesu o powinnościach, nieobowiązujących nikogo, nie ma wcale.

Zwracamy się więc do drugiego określenia treści etyki teoretycznéj. „Teoretyczna (etyka)—powiada p. Ś.—może tylko powiedzieć, że w *pewnych* warunkach czasu, miejsca i cywilizacyjnego rozwoju szanowanie cudzéj własności uważaném było lub jest *za obowiązek*... Jako nauka teoretyczna, przedstawia w każdéj powinności *moralne* zjawisko, objektywnie pojęty fakt...“, (str. 12). Takie określenie przedmiotu etyki różni się od poprzedniego o całą skalę pojęć ludzkich; widzimy tu już powinność obowiązującą w pewném miejscu i czasie; widzimy tu już zjawiska *moralne*. Ale czy te zjawiska moralne nie mogą być przedmiotem osobnéj nauki? czy one nie są przedmiotem jakichś nauk już istniejących? Sam p. Ś. przyznaje, że zagadnienia etyczne badano dotychczas objektywnie tylko mimochodem, w psychologii. Dodajmy do tego historyą i etnologią a zobaczymy, że kwestya zmian w pojęciach moralnych znajduje lub znaléść może w owych naukach swoje rozwiązanie. Każde zjawisko moralne ma dwie strony: wewnętrzną i zewnętrzną; ma ono miejsce w duchu indywiduum, a objawia się na zewnątrz wśród stosunków społecznych; pierwszą stronę bada psychologia, drugą nauka o społeczeństwie czyli tak zwana przez Comte'a fizyka społeczna; w pierwszym i w drugim razie każde zjawisko moralne pozostaje pod wpływem świata zewnętrznego. Warunki tworzenia się pojęć moralnych wskazuje psychologia; warunki ich uzewnętrznienia się podaje fizyka społeczna, stosunki moralne jako fakta z przeszłości lub teraźniejszości przedstawiają rozgałęzienia socyologii: historya, etnografia i statystyka. Jakież więc będzie pole badań etyki, jako nauki teoretycznéj; czy ono może mieć cechę sobie właściwą; czy też będzie miało charakter wspólny polu badań psychologicznych i socyologicznych? Pytania te uprzedza sam p. Ś. uwagą, że etyka jak on ją pojmuje nie pozyskała dotąd w klasyfikacyi wiedzy odrębnéj pozycyi i wkracza w dziedzinę innych, przedewszystkiém zaś historycznych nauk. „Ci zaś—mówi p. Ś. daléj—którzyby oznaczonemu przez nas zakrésowi etyki chcieli zarzucić niepewność własnych granic i zarywanie obcych, niech zechcą się zastanowić, czy byliby w stanie jakiéjkolwiek, nawet najbardziéj zdecydowanéj nauce wykréślić odrębne ani częścią do innych umiejętności nienależące pole“ (str. 15). Nie przecząc bynajmniéj ścisłemu związkowi wszystkich nauk, wolno jednak żądać, żeby umiejętność, którą chcemy ochrzcić osobném mianem, nie siedziała na komornem u innych umiejętności. Tymczasem wielka jest obawa, żeby się to nie stało z etyką jako umiejętnością teoretyczną. Nauka bowiem teoretyczna według dzisiejszych poglądów nie zna zjawisk pięknych lub brzydkich, dobrych lub złych, moralnych lub niemoralnych, prawdzi-

wych lub nieprawdziwych, gdyż bada tylko warunki ich *bytu*. Zjawiska te tylko względnie do naszego poznania lub uczucia wydają się takiemi lub innemi. Proces powstawania idei *wartości* danych zjawisk tłómaczy nam psychologia; a ich zastosowanie w życiu społeczeństw, socyologia. Psychologia więc i socyologia (używam tego terminu, nieszczęśliwie skleconego, dla krótkości) są istotnemi naukami teoretycznemi i stanowią według mego zdania podstawę dla nauk stosowanych, praktycznych, takich jak polityka, prawo, pedagogika, estetyka i etyka.

Jeżeli w powyższych twierdzeniach zawiéra się jeszcze jakaś niejasność, to postaram się ją usunąć przez dokładny rozbiór tego, co p. Ś. nazywa *prawem moralném*. P. Ś. powiada, że etyka posiada własny swój grunt jako badanie *praw rządzących* stosunkami *moralnego rozwoju* (str. 16). Z tego określenia wypadałoby, że prawa moralne mają podobieństwo do tych praw, które rządzą, jak powiadamy popularnie, zjawiskami natury; to jest, że istnieją one w łonie społeczeństw bezwiednie i dopiéro z rozwinięciem się inteligencyi ludzkiéj i po długim szeregu badań dochodzimy do ich poznania. Istotnie, gdyby takie prawa moralne istniały, to nauka o celowości bezwzględnéj byłaby najzupełniéj uzasadnioną i umiejętność zwana etyką teoretyczną miałaby zupełną racyą bytu. Tak jednakże p. Ś. praw moralnych nie określa. Na początku swéj książki p. Ś., objaśniając jéj temat, mówi, że przez *prawo moralne* rozumié „*każdą* w pewnéj społecznie uorganizowanéj grupie ludzi powstałą i *obowiązującą* ich *regułę*, według któréj osobnik *wolę* swoję w obec warunków jéj objawiania kierować (tj. według któréj chcieć) powinien“ (str. 8). Na końcu zaś dzieła jako rezultat badań nad powstawaniem praw moralnych, podaje p. Ś. odmienne w słowach, ale równoznaczne w sensie określenie: „moralne prawa, powiada, są to *formuły* tych stosunków woli między jednostkami społecznemi, które się w rozwoju ich własnego i ich przodków życia *okazały koniecznemi* lub *pożądanemi*“. (252). W obu tych definicyach zauważyć można dwa wspólne pojęcia: 1-o, że prawa moralne są *świadomie* pojmowane przez jednostki społeczne i 2-o, że te prawa są *obowiązujące* (konieczne, pożądane); w skutek tego prawa te niczém inném nie są jak tylko przepisami, nakazami, z samowiedzą uznawanemi i wykonywanemi. Z pod takich praw każdy naturalnie wyłamać się może; są one o tyle tylko prawami, o ile jednostka chce je uznawać: są to zatém pojęcia moralne, panujące wśród pewnéj grupy jednostek i nie mające najdalszego nawet podobieństwa do tak zwanych praw natury, którym każdy, chce czy nie chce, świadomie lub bezświadomie, ulegać musi. Proces powstawania pojęć moralnych, jak pojęć w ogóle, jest kwestyą psychologi-

czną, a stosunki, wśród których one powstawały i na które ze swojéj strony oddziaływały, są kwestyą socyologiczną. Tu zauważyć należy, że socyologia w ogóle a w szczególności etnologia bada stosunki społeczne wśród rozmaitych ludów bez względu na to, czy są moralne, czy niemoralne z punktu widzenia dzisiejszéj etyki jako nauki praktycznéj; stosunki te bierze w całości i orzeka poprostu, że wśród takich a takich warunków fizycznych i duchowych powstają takie a takie stosunki społeczne. Etyka dopiéro jako nauka praktyczna orzeka, jakie stosunki są moralne a jakie niemoralne.

P. Ś. w wielu miejscach swéj książki, mówiąc o prawach moralnych, miał na myśli prawa przyrody; ponieważ jednak sumienne badania nie wskazały mu w dziejach i wśród dzisiejszych okoliczności, że pierwsze posiadały takie znaczenie jak drugie; zmuszony więc był mówić o prawach moralnych jako o przepisach, formułach obowiązujących ludzi w pewnym czasie i w pewném miejscu, a zatém ze stanowiska teoretycznego (według pierwotnego założenia) musiał przejść na praktyczne. To stanowisko uwydatnia się jeszcze silniéj w rozprawie niemieckiéj, gdzie prawo moralne określa się jako obowiązująca w pewnéj grupie społecznéj reguła, według któréj człowiek—*niezależnie od własnych popędów*, chcieć powinien (1). Ta niezależność od własnych popędów przypomina bardzo kantowską teoryą moralności, wymagającą spełniania obowiązków bez zadowolnienia, i świadczy wymownie, że p. Ś., pomimo chęci, w określeniu praw moralnych miał na uwadze wymagania etyki jako nauki praktycznéj.

Ten sam podwójny bieg pojęć przedłuża się przez całą książkę i sprawia, że autor albo niesprawiedliwym względem poprzedników swoich, albo niezgodnym z samym sobą się staje. Tak np. w historyi mniemań o powstawaniu praw moralnyoh nieraz słyszymy silnie uwydatniony zarzut, że ten lub ów uczony uważał *prawa moralne* za utwór *myśli świadoméj* (str. 27 o Platonie, str. 32 o filozofach greckich w ogólności, str. 45 o Hobbesie, str. 101 o Heglu itp.) Zarzut ten wtedy jedynie zrozumieć można, jeżeli się będzie miało na uwadze prawa w znaczeniu przyrodniczém, które działają zawsze i wszędzie, czy człowiek wié o nich czy nie. Ale jeżeli ktoś prawa moralne będzie rozumiał w ten sposób, jak je p. Ś. na początku swéj pracy określił, to nie pojmie słuszności zarzutu, gdyż formuły czy téż reguły postępowania jako owoc *pojęć* moralnych z konieczności świadomie utworzone być musiały. Taż sama uwaga przytomną być musi umysłowi czytelnika, gdy czytać będzie, że „w formowaniu się

(1) Ein Versuch itd str. 5.

praw ważną rolę grają *nieświadome siły duchowe*" (str. 45); tu oczéwiście mowa jest tylko o wytwarzaniu się uczuć moralnych, o odziedziczaniu usposobień do nich itp. kwestyach, nie zaś o *prawach* jako o formułach lub regułach, gdyż te wyprowadza autor bezpośrednio z obyczajów, jako uogólnienia długich doświadczeń społecznych.

Ta nieścisłość i niejednostajność w posługiwaniu się pojęciem „prawa moralnego" jest najważniejszym zarzutem, jaki można zrobić historycznéj i teoretycznéj części pracy p. Ś. Część dziejowa świadcząca o długich i starannych studyach autora nad dziejami etyki, nietylko w podręcznikach ale, co ważniejsza, w samych źródłach, stanowi nader cenny przyczynek do historyi filozofii w ogóle, która dotychczas nie znalazła wśród nas samodzielnego badacza. P. Ś. obrał jednę tylko specyalną kwestyę—rzecz o powstawaniu praw—i śledził jéj przebieg po przez cały labirynt dziejów; nie mógł zatém korzystać wprost z nagromadzonego dotychczas materyału w historyach etyki w ogóle, lecz z niezmordowaną pracowitością zatapiał się w dziełach twórców etyki i nieraz odszukiwał książki mianowicie z wieku XVIII bardzo mało w literaturze etycznéj uwzględniane. Część ta w każdym, nietylko w naszym kraju, znaléśćby musiała uznanie, gdyż jest istotnie, o ile wiém, pierwszą *na taką skalę* wykonaną pracą; rozprawy bowiem *Jahnel'a*: de conscientiae notione 1862 i *Gass'a*: die Lehre vom Gewissen 1869 niezbyt się zagłębiają w historyą etycznych pojęć.

Uznając atoli znaczną wartość téj części historycznéj, nie utrzymuję bynajmniéj, żeby w niéj błędów nie było. Oprócz bowiem zaznaczonéj już niejednostajności w pojęciu prawa moralnego i wynikającéj stąd niejednostajności a często niesprawiedliwości sądów o wielu systemach, uderza nas przedewszystkiém bezład w uszeregowaniu roztrząsanych poglądów. Nie przeprowadził tu autor żadnego systematycznego podziału, a nawet porządku chronologicznego nie zachował. Widoczną jest rzeczą, że p. Ś., nie chąc się bawić w formułkowe systematyzowanie, które częstokroć naciąganém bywa, zaniedbał z rozmysłem pospolitego rozklasyfikowania poglądów na źródło moralności (interes własny, sympatya, dobro absolutne interes powszechny); ale jednocześnie nie wynalazł żadnéj innéj zasady podziału czy to stosownie do podobieństwa poglądów, czy téż podług metody etnograficznéj. Miejscami spotykają się grupy np. filozofów angielskich, francuskich, niemieckich, ale grupy te zestawione bywają przypadkowo niemal, przedzielane innemi grupami itp., tak że ogólnego poglądu na rozwój rozbiéranéj kwestyi czytelnik nie dostaje od autora, lecz z mozołem musi go sobie sam wy-

robić z porównania przekonań różnych autorów. Ażeby dać poznać luźność w traktowaniu systemów, dość będzie wspomnieć, że np. o umieszczeniu przy sobie czterech filozofów decyduje rok ich urodzenia (1632: John Locke, Richard Cumberland, Baruch Spinoza, Samuel Pufendorf), chociaż ci mężowie niewiele spólnego w pojęciach swoich moralnych przedstawiają. Po nich dopiéro idzie Descartes, Malebranche, Guelinx, poczém następuje Leibnitz, daléj Pascal; i tak daléj przenosimy się od systematu do systematu, od narodu do narodu, od indywiduum do indywiduum. To téż korzyść z czytania téj części historycznéj może się jedynie porównać z korzyścią, jaką odnosimy z rozpatrzenia się w króciutkich sumaryuszach różnorodnych materyałów.

Co do pojedynczych sądów o filozofach, to wymagałoby dłuższego rozbioru, niż obecny, ażeby można oznaczyć, w których punktach mógłbym się zgodzić z autorem, a w których musiałbym się z nim rozéjść; rzecz ta bowiem w konieczności pociągnęłaby za sobą porównanie textów przytoczonych. Ponieważ zaś w ogólności nie mogę podzielać całkowicie zdania p. Ś. o zadaniu etyki, więc téż zarzuty z tego powodu autorom dawnym robione musiałbym znacznie zmodyfikować. Uczynię więc tylko parę pobieżnych wzmianek tyczących się strony faktycznéj. Zdaniem mojém niesłusznie pominął p. Ś. charakterystyczne określenie człowieka przez Arystotelesa jako *zôon politikon*, określenie, które tak dosadnie pierwiastek społeczny w nim uwydatnia, i nie zastanowił się nad etymologiczném znaczeniem wyrazu *êthos*, który pierwotnie usposobienie ducha albo temperament oznaczał. Nie twierdzę przez to bynajmniéj, że Arystoteles z całą świadomością pojmował kwestyą *genezy* reguł etycznych; zaznaczam tylko, że sam język mógł go pod tym względem częściowo wyręczać. Zbyt téż lekceważąco mówi p. Ś. o Heglu, niezrozumiałemi i poplątanemi poglądy jego nazywając. Ale Heglista, jeżeli jest jeszcze gdziekolwiek, mógłby na to zauważyć, że autor, który tak bezwzględny wyrok o mistrzu jego wydał, widocznie bardzo nieuważnie czytał jego dzieła, jeżeli nie rozróżnił trzech stopni rozwikływającego się ducha przedmiotowego (prawo, moralność, obyczajowość) i rozkaz *prawny*: „bądź osobą i szanuj w drugich osobę“ za przerobienie kategorycznego rozkazu *moralnego* Kanta poczytał (str. 101). Wreszcie co do dziejów etyki polskiéj, autor wymienia tylko Supińskiego i Goldberga; mówiąc w ogóle, że w etyce polskiéj pulsowały zawsze idee z obcych źródeł płynące i co główniejsza przyprawione *dogmatami teologicznemi*. „Być może — powiada p. Ś. daléj — iż odzywały się głosy innego nastroju; takie jednakże albo nas nie dobiegły, albo autor téj pra-

cy ich nie dosłyszał.“ To ostatnie przypuszczenie wydaje się dość prawdopodobném. Nie roszcząc bowiem sobie najmniejszéj pretensyi do znajomości dziejów naszéj etyki, wiém przecięż, że ta gałąź naszéj literatury jest jedną z najbujniejszych; a jakkolwiek nie wydała ona zadziwiających owoców, nie należałoby jéj przecięż za uschłą uważać. Prawda i to, że moraliści nasi zajmowali się przedewszystkiém szczegółowemi przepisami i regułami (jak np. w wieku XVI); lecz i w kwestyi powstawania praw moralnych głos zabiérali mianowicie od drugiéj połowy XVIII stulecia. I tu byli oni odgłosem poglądów francuskich; na uwzględnienie jednak zasługiwali tém bardziéj, że p. Ś. w swoim rysie historycznym nie samych gieniuszów oryginalnych przytaczał. Tu więc mogłyby być wzmiankowane dzieła: Stanisława Konarskiego (O Religii poczciwych ludzi), Antoniego Wiśniewskiego (De vera felicitate); Kołłątaja (Porządek fizyczno-moralny), tudzież kilka rozprawek o prawie natury jako to: Michała Czackiego (1803) Chreptowicza (? 1814) i innych (1). Ażeby dać poznać, że przywiodłem powyżéj nie czcze tylko napisy, ale wskazówki ważnych nieraz pojęć etycznych, przytoczę tu pogląd Kołłątaja na kwestyą powstawania „należytości i powinności.“ Jak przeważna część filozofów francuskich XVIII stulecia, tak i Kołłątaj upatruje ścisły związek pomiędzy porządkiem fizycznym i porządkiem moralnym; niektóre ogniwa łączące jeden z drugim uważa za znane, inne za niezbadane dotychczas. Jedném z najważniejszych praw moralnych jest to, że każdy człowiek rodzi się z pewnemi należytościami (droits) sobie jedynie właściwemi, do których są przywiązane pewne powinności, jak gdyby warunki pod któremi używać ma swych należytości. Rozbiéra następnie Kołłątaj, czucie człowieka, jego potrzeby, siły fizyczne i umysłowe i na ich rozbiorze opiéra pojęcie należytości i powinności; a nazywając stan społeczny stanem przyrodzonym człowieka (str. 112) moralność tylko wśród stosunków społecznych uznaje. Nie jestto wywód, któryby śmy za swój przyjąć mogli; pokazuje on jednak zupełne wyzwolenie się od tradycyjnych poglądów, upatrujących źródło moralności w dobru bezwzględném lub w Bogu, a z drugiéj strony genezę jéj w grubych rysach dość poprawnie kréśli, chociaż niewłaściwych kolorów używa. Mniéj więcéj podobne poglądy napotykamy i w rozprawach o „prawie przyrodzoném.“ Może się tedy okazać w istocie,

---

(1) Pierwszą, bardzo lichą próbkę historyi etyki w Polsce dał Feliks Słotwiński, p. n. De studio philosophiae moralis in Polonia meletemata historica quaedam 1814, str. 15.

że etyka polska zawsze czerpała swe idee z obcych źródeł; ale zdanie, że zawsze przyprawiona była dogmatami teologicznemi, nie da się sprawdzić. Głębsze studya nad tym przedmiotem prawdopodobnie i inne jeszcze cechy naszéj etyki wykryją.

Przystępując do rozbioru kwestyi o powstawaniu praw moralnych, rozprawia się najprzód p. Ś. z dwoma głównemi zasadami teoryj absolutystycznych, dopatrujących się w ludziach powszechnéj *władzy moralnéj*, która ma wskazywać każdemu *bezpośrednio*, co jest dobrém a co złém, i utrzymujących, że wśród ludzkości istnieją *powszechne* i *niezmienne* prawa moralne. W zbijaniu tych zasad trzyma się autor przedewszystkiém i głównie *faktów*, dostarczonych przez etnologów i historyków. Lubbock, Tylor, Houzeau, Humboldt, Darwin, Audouard, Cramer, Hellwald, Buckle, Jacolliot, Wundt, Peschel dostarczyli panu Ś. moc dowodów, świadczących wymownie, że to co u jednych narodów lub w pewnym czasie uważane było za moralne, u innych narodów lub w innym czasie za niemoralne się poczytywało. Kanibalizm, okrucieństwa ludów dzikich i cywilizowanych (morderstwa, inkwizycya ś.), ofiary z ludzi na cześć bogów, zabijanie dzieci i starców, najsprzeczniejsze pojęcia o czystości dziewiczéj, wielożeństwo, ofiarowanie żon gościom, kupowanie narzeczonéj, prawo *tabu*, według którego u Polinezyan wszystko, czego władca się dotknie lub na co stąpi, staje się nietykalném dla innych, najdziwaczniejsze pojęcia obyczajowe i religijne: oto szeregi uogólnionych faktów, które p. Ś. szczegółowo przytacza, powołując się zawsze na jakąś powagę naukową, ażeby dowiéść, że wrodzona, stała i powszechna władza moralna w człowieku wykazać się nie da i że prawa moralne przedstawiają szereg od miejsca i czasu zależnych odmian, w jednéj zaś ogólnéj normie ani nie istniały, ani na podstawie niewzruszonych dowodów ułożyć się nie dadzą. Rozumowaniem, analizą władzy moralnéj, mniéj zajmuje się p. Ś.; co więcéj nie przedstawia nawet spostrzeżeń nad moralnym rozwojem pojęć moralnych w najwcześniejszych latach naszego dziecięctwa; pierwszy atoli wzgląd powinien być silniéj zaakcentowany, ażeby uprzedzić zarzuty tych zwolenników władzy moralnéj, którzy twierdzą, że władza ta nie określa wprawdzie, jakie stosunki szczegółowe są moralne lub niemoralne, ale daje nam z natury pojęcie o dobrém i złém w ogóle. To, co pod tym względem powiedział p. Ś. w rozbiorze historycznie znanych mniemań o sumieniu, nie jest jeszcze dostateczne, jako okolicznościowo tylko wypowiedziane. A kiedy późniéj czytelnik spotyka polemikę p. Ś. z tymi, którzy pewne plemiona uważają za zupełnie pozbawione pojęcia moralności; gdy wyczyta twierdzenie, że takiéj społecznéj gromady, w któréjby prawie wszystkie

występki poczytywano za cnoty, nie ma i być nie może (str. 239): to gotów przypuścić, że umiarkowani zwolennicy władzy moralnéj mają niejaką słuszność, tém bardziéj, że podług samego p. Ś. zasady téj władzy usprawiedliwiają się częściowo w dziedzinie niektórych objawów moralnych (str. 159). Prawda, że rozbiór „popędów moralnych“ może to przypuszczenie zachwiać; ale w każdym razie metodologia wymaga, ażeby wszystkie zarzuty, mogące powstać w umyśle czytelnika, przewidzieć i, jak w tym razie, okazać ich bezsadność analizą pojęcia „władzy moralnéj“. Całe zaś rozumowanie p. Ś. w kwestyi władzy moralnéj kończy się wskazówką, że w organizacyi człowieka nie ma ani jednego psychicznego organu, którego własności możnaby nazwać powszechnemi (str. 158).

Ten brak ścisłéj psychologicznéj analizy ujawnił się jeszcze dobitniéj w dowodzeniu twierdzenia, że wśród ludzkości nie można napotkać stałych i niezmiennych praw (tj. przepisów) moralnych. P. Ś. w rozdziale, poświęconym rozbiorowi tego przedmiotu, skierował myśl swoję wyłącznie w kierunku ogromnych różnic, jakie znajdujemy w pojęciach obyczajowych w różnych czasach i u różnych narodów, i nie uważał za potrzebne zwrócić także uwagę na podobieństwa; stąd też wywody jego mają najzupełniejszą słuszność w obec teoryi absolutystycznych, które nie uznają innych zasad moralnych jak tylko wieczne i nieodmienne. Jednocześnie atoli wywody te nie są ścisłe tak dalece, że przy końcu swéj książki uczuł p. Ś. potrzebę ograniczenia powyższego sądu tą uwagą, że *niektóre* reguły moralne występują *prawie* we wszystkich społecznych grupach. Za taką prawie powszechną regułę poczytuje p. Ś. *zakaz unicestwiania istot podobnych*. Jakkolwiek reguła ta, będąca w jaskrawéj sprzeczności z masą faktów, przytoczonych przez p. Ś. w rozdziałach dowodzących, że nie ma ani powszechnéj władzy moralnéj, ani powszechnych pojęć moralnych, tudzież z codziennném naszém doświadczeniem, nie może się uważać w formule podanéj przez p. Ś. za najpowszechniejszą; naprowadza jednak na myśl inne reguły, które mogą miéć prawo do nazwy powszechnych i stałych. Reguły takie, jak słusznie zauważył sam p. Ś., są to przepisy, bez zachowania których społeczeństwo istniéćby nie mogło. Aleksander *Bain* wymienia trzy takie reguły, tyczące się: 1-o obrony jednego człowieka od drugiego, 2-o wymiaru sprawiedliwości i 3-o zachowania umów.(1) Nie wiém, dla czego p. Ś., który znał dzieło Baina (bo je cytuje), nie wypowiedział swego sądu o tém ważném jego twierdzeniu.

(1) Mental and moral science, str. 440 (wyd. z r. 1872).

A cokolwiekby zresztą można zarzucić regułom sformułowanym przez Baina, w każdym razie jasną jest rzeczą, że przepis podany przez p. Ś. (o niezabijaniu istot podobnych) dopiéro jako wynik trzech powyższych, a zatém w odmiennéj formie, może nabrać znaczenia reguły powszechnéj. Bądź co bądź nie bezwzględne twierdzenie o niestałości przepisów moralnych jest prawdą, ale raczéj zdanie, które czytamy przy końcu rozprawy niemieckiéj: „Co się tyczé pokrewieństwa i zgodności praw moralnych, mówi tu p. Ś., to nie należy spuszczać z uwagi téj okoliczności, że ludzie pomimo *wielu różnic* mają przecież jednakowe popędy zasadnicze (Grundtriebe), że zatém urzeczywistnienie ich woli wytwarza w rozmaitych grupach społecznych jednakowe (gleiche) stosunki i normy woli, tak iż pewną powszechność (eine gewisse Allgemeinheit) w przepisach moralnych uznać musimy.“ (1) W rozprawie polskiéj myśl główna jest ta sama (również dopiéro przy końcu); ale wyrażona mniéj ściśle, gdyż jest tu mowa o tém, jakoby ludzie posiadali *też same popędy* (opuszczony ograniczający przymiotnik: *zasadnicze*) i układają się *do téjże saméj równowagi społecznéj*“ (czemu przeczy wyraźnie dzisiejszy stan ludzkości). To téż domysł a nawet pewnik p. Ś. widocznie z tych mylnych przesłanek wyciągnięty, „że gdy cywilizacya w naszym rodzie się wyrówna; gdy wewnętrzny nasz ustrój przedstawiać będzie bardzo nieznaczne odmiany; cała ludzkość tak ujednostajni swe moralne prawa, że im słusznie należéć się będzie tytuł powszechności“; domysł ten, mówię, niedostatecznie uzasadnionym mi się wydaje. Domysł ten nadto dziwnie odbija od poglądu na zmienność dotychczasowych pojęć o moralności: o ile bowiem p. Ś. jest pessymistą względem przeszłości, o tyle optymistą co do przyszłości się okazuje. Wreszcie zauważyć należy, iż w rozprawie niemieckiéj o owych powszechnych prawach moralnych w przyszłości nie ma wzmianki.

Dotąd mówiłem o negatywnéj stronie rozprawy p. Ś-go; obecnie zajmę się pozytywną. Rozbiéra w niéj autor przedewszystkiém *pierwotne popędy*, które sprowadza do jednego zasadniczego, nazwanego przez p. Ś. *egoizmem*. P. Ś. nie rozumié przez *egoizm* tego, co pospolicie nazywamy tém mianem, to jest uczucia dbającego o swój jedynie interes, o swoje przyjemności i potrzeby, a niezważającego wcale na przyjemności i potrzeby innych. Egoizm podług p. Ś., to suma *wszystkich* popędów woli, łączących się tém wspólném znamieniem, że każdy jest objawem naturalnéj i koniecznéj potrzeby ludzkiego ustroju (str. 200). Do takiego pojęcia

(1) Ein Versuch i t. d. str. 83, 84.

„egoizmu“ doszedł p. Ś. na podstawie następującego rozumowania: „Stosunkowo *niedawno* wypowiedziano bardzo prostą i widoczną prawdę, że człowiek nie może nic czuć *po za sobą* tylko *w sobie*. Powiadamy np. że istnieje chęć niesienia pomocy innym, ale czyż ta chęć powstaje gdzieś *po za nami*, nie w naszéj istocie? Cóżto znaczy, że ona ma na celu dobro innych, kiedy przedewszystkiém musi dążyć do zadowolenia naszéj własnéj potrzeby? Cudze zaś dobro jest *takąż samą* potrzebą w nas jak nasze własne.“ Cóż skłania człowieka do czynu miłosiernego? Współczucie. Ale w *kimże obudziło się* to współczucie? Przecięż nie w tym, który pomoc przyjął, tylko w tym, który ją ofiarował. Ponieważ więc każdy popęd *w nas* się rodzi i działa, musi więc mieć swoje źródło w prawach naszéj organizacyi i potrzeb, musi być *egoistycznym* (str. 198, 199). W rozumowaniu tém sprostować muszę najprzód błąd faktyczny. O ile wiém, tylko mistycy utrzymywali, że czujemy w Bogu, w absolucie, nie zaś w sobie; wszyscy zaś filozofowie zarówno idealni jak realni głosili od dawien dawna, że czujemy w sobie; wypowiedzenie więc téj prawdy nie jest „stosunkowo niedawném.“ Powtóre zaprzeczenie różnicy pomiędzy samolubstwem a spółczuciem np. na podstawie téj prawdy, że współczujący doznaje wzruszenia, nie ma żadnéj podstawy, gdyż analogicznie możnaby twierdzić, że pomiędzy śledzioną a wątrobą nie ma wcale różnicy, ponieważ uformowały się w tym samym organizmie z jednego zapłodnionego jajka. Różnica pomiędzy uczuciami polega na ich wzajemnym do siebie stosunku, nie zaś na *jedności* psychicznego organizmu. Wszakże i *myśli* powstają w naszym psychicznym organizmie, a czyż je nazywamy egoistycznemi? czyż powiémy, że teorya Kopernika była płodem *egoizmu*? Wiémy nadto, że wszystkie nasze poglądy w nas mają swe siedlisko; a przecięż ściśle odróżniamy pojęcia *podmiotowe* czyli subjektywne od *przedmiotowych* czyli objektywnych. Nie mówię tego, żebym przypuszczał na chwilę, iż te elementarne zasady psychologiczne były autorowi nieznane; owszem dowiemy się z dalszego ciągu, że on odróżnia popędy samolubne od współczuciowych i moralnych; chciałem tylko powyższemi uwagami przekonać czytelników, że nazwa *egoizmu* nadana wszystkim bez różnicy popędom człowieka jest zupełnie niewłaściwa. Egoizmem nazywa p. Ś. to, co dotychczas wszyscy psychologowie nazywają *uczuciem*. Nie przeczę bynajmniéj nikomu prawa przemieniania nazw ustalonych, jeżeli mu te nielogicznemi się wydają; ale nie widzę wcale powodu, dlaczegoby wyrazowi, który od wieków ma ustalone znaczenie, odmawiać go samowolnie i przez to gmatwać pojęcia zamiast je rozjaśniać. W niemieckiéj rozprawie swojéj p. Ś. używa wyrazu: *egoizm* w znaczeniu zwykłém; nie mówi

też ani słowa o „stosunkowo niedawném“ wypowiedzeniu prawdy, że w *nas* czujemy; i zrobił bardzo dobrze; wykład popędów pierwotnych jest w niéj jaśniejszy i zrozumialszy niż w pracy polskiéj. W téj pracy właśnie nazwawszy wszystkie popędy egoistycznemi, nie potrzebuje oczéwiście wyjaśniać takich faktów jak popędy estetyczne, jak poświęcenie się za kraj i t. p., gdyż na wszystkie trudności jedna jest odpowiedź: wszystkie popędy powstają w naszym organizmie więc wszystkie są egoistyczne. „Interesem jednego egoizmu, powiada p. Ś., może być krzywdzenie współistot, a drugiego, wspiéranie ich“ (str. 200). Pamiętając, że egoizm znaczy tyle, co *strona uczuciowa* człowieka, dowiadujemy się z tego objaśnienia tyle tylko, że jeden człowiek czuje potrzebę wspiérania bliźnich, a drugi jéj nie czuje. Rozróżnia następnie p. Ś. popędy *samolubne*, dążące do zaspokojenia swoich potrzeb bez względu na potrzeby współistot,—i na popędy współczuciowe, które zadowolnienie własne łączą z zadowolnieniem innych. Dla samolubstwa wywalcza p. Ś. znaczenie moralne, przypuszczając, że może istniéć i utrzymać się społeczeństwo, kierujące się wyłącznie popędami samolubnemi. Przypuszczenie to, które zwycięsko zdaniem mojém zbił Albert Lange (1), ma pewne pozory słuszności, ale tylko pozory, a osłabia się mocno tém wyznaniem samego jego autora, że dotychczas nie znamy żadnéj grupy społecznéj, któraby utrzymywała się wyłącznie siłą popędów samolubnych (str. 205).

Współczucie wyprowadza p. Ś. z popędów, jak się zdaje, samolubnych. Pomijając lekką sprzeczność między zdaniem; że „każde nasze zadowolenie odbywa się *kosztem* czegoś lub kogoś“ (str. 201), a określeniem popędów spółczuciowych, które „dążą do zadowolenia swojego egoizmu *korzyścią* innych“ (str. 207), zastanowić się muszę nad dwoma twierdzeniami o źródle uczuć sympatycznych.

P. Ś. rozebrawszy i skrytykowawszy teoryą współczucia jako *przestawiania się* na stanowisko istot nam podobnych, polemizuje z Darwinem w kwestyi „popędów społecznych,“ wykazując w jego dziele niejednokrotne sprzeczności, a sam za najpierwotniejszą i najgłówniejszą siłę, łączącą osobniki w społeczne grupy, poczytuje popęd płciowy, który według niego jest nawskroś *samolubny* (216). Konsekwentnie z tą genezą popędów społecznych, utrzymuje, że „skoro każdy popęd społeczny, mający na celu tylko połączenie się jednostki z innemi ze względu na jéj osobiste korzyści takiego połączenia, jest czysto samolubnym, nie potrzebuje więc ona oprócz sa-

(1) Geschichte des Materialismus, II wyd. tom II, str 470–476.

molubnych żadnych innych pobudek, któreby ją do życia społecznego skłonić mogły“ (216). Jeżeli sobie przypomnimy, że p. Ś. zapewniał *przypuszczalnie* społeczeństwu możność istnienia pod warunkiem kierowania się tylko popędami samolubnemi; to ten wywód popędów społecznych znajdziemy zgodnym z jego indywidualną *hipotezą*. P. Ś. nie powiada wprawdzie, że jego rozumowanie o powstawaniu popędów jest tylko *hipotetycznéj* natury; ale musimy je za takie uważać, jeżeli się dowiémy, że p. Ś. przychodzi ostatecznie do przekonania, że popędy społeczne powstają z odziedziczonego usposobienia do nich, z odziedziczonych możliwości. Ponieważ p. Ś. uważa ludzkość wraz z Darwinem za ostatnie ogniwo w łańcuchu istot organicznych, ponieważ pojedyńczo żyjącego człowieka nigdzie dotąd nie znaleziono; ponieważ daléj, życie społeczne pojawia się już u zwierząt: prawdopodobną tedy jest rzeczą, że człowiek rodzi się już z usposobieniem do popędów współczuciowych. Twierdzenie więc p. Ś. o pochodzeniu popędów społecznych od samolubnych zdaje się być tylko abstrakcyjną hipotezą, niemogącą miéć zastosowania w rodzie ludzkim, który ma już pewne dziedziczne skłonności do życia towarzyskiego. Ale gdy p. Ś. nie oświadczył, że poprzedni wywód jego jest hipotetycznym, to twierdzenie o odziedziczaniu usposobień do popędów współczuciowych staje *obok* owego wywodu bez wyraźnego połączenia lub rozdzielenia, tém bardziéj, że podług p. Ś. „egoizm“ popędów społecznych jest wyraźniejszych niż „innych“ (t. j. oczéwiście samolubnych) str. 214. Rozbiór sam kwestyi dziedziczności jest i trzeźwy i trafny; zasługuje na uwagę uogólnienie p. Ś-go, że „dziedziczność jest proporcyonalną do ogólności cech organicznych,“ to znaczy, że im cechy rodziców są ogólniejsze, tém łatwiéj przechodzą na ich potomków. Żeby uogólnienie to miało znaczenie prawa, nie powiémy, gdyż stają temu na przeszkodzie tak zwane wyjątki np. odziedziczanie cech zupełnie indywidualnych, których kilka przykładów znajdujemy u Darwina, daléj atawizm i t. p.

Oprócz popędów samolubnych i współczuciowych wyróżnia jeszcze p. Ś. popędy *moralne*, mówiąc nawet o świadomém lub nieświadomém *poczuciu powinności*. Wyrażeniem tém chciał chyba p. Ś. usprawiedliwić swoje zarzuty robione wielu filozofom, że ci wyprowadzali prawa moralne tylko ze świadomych pierwiastków ducha, gdyż nie pojmuję jak można mówić o *nieświadomém* poczuciu moralności, jeżeli się odrzuca zmysł czyli władzę moralną. *Powinność*, *obowiązek* nie miałyby właściwego sobie etycznego znaczenia, gdyby im odjęto jednę z cech najważniejszych, świadome ich pojęcie. Gdyby można było nieświadomie spełniać obowiązek, to dachówkę spa-

dającą na głowę zbrodniarza możnaby było nazwać sędzią sprawiedliwym, nie w przenośném, ale i w istotném słowa znaczeniu. Wprawdzie p. Ś. stara się dowiéść, że człowiek odziedzicza taką wewnętrzną organizacyą, która przy odpowiednich warunkach zewnętrznych może wytworzyć *popędy moralne*. „Jednostka nie odziedzicza przez poprzedzające ją generacye przygotowanego i określonego *zmysłu moralnego*, lecz tylko zdolność nabycia go w pewnych warunkach swego rozwoju“ (237). Pomijając tę okoliczność, że takie pojęcie popędów moralnych zbliża się bardzo do stanowiska umiarkowanych zwolenników władzy moralnéj, przeciwko którym p. Ś. zbrojnie wystąpił, zauważę, że zestawienie *popędów* z pojęciem *moralności* jest *contradictio ad adjecto*; popęd bowiem może być bezwiedny i takim w początkach rozwoju dziecka zawsze bywa; moralność koniecznie musi być świadoma jeżeli ma być *moralnością*, a nie działaniem sił przyrodzonych. Jeżeli więc przypatrzymy się bliżéj owemu odziedziczaniu mniemanych popędów moralnych, z konieczności musimy dojść do przekonania, że odziedziczanie stosuje się tylko i wyłącznie do ogólnéj organizacyi umysłowéj, która z natury swojéj ani moralną, ani niemoralną być nie może. Jeżelibyśmy chcieli twierdzić, że moralne usposobienia dziedziczą się i na dowód tego przytaczali objawy piromanii, kleptomanii i t. p. (czego zresztą p. Ś. nie robi); to musielibyśmy chyba twierdzić, że dziecko rodzi się z gotowemi już i ściśle określonemi pojęciami sprzecznemi z przepisami kodeksu, co byłoby nieścisłością logiczną w wysokim stopniu. Ażeby przyjść do pojęcia powinności a zatém i moralności, potrzeba koniecznie użyć refleksyi, która, jak wiadomo, dość późno się rozwija. Zresztą p. Ś., postawiwszy teoryą dziedziczenia usposobień do popędów moralnych, w dalszym wywodzie nie używa jéj w celu wyprowadzania praw moralnych; lecz się zwraca do popędów samolubnych i spółczuciowych. Taki zwrot byłby niepotrzebny, gdyby p. Ś. ufał zupełnie dziedziczeniu usposobień moralnych; gdyż dosyćby było pielęgnować te popędy, ażeby się doczekać najpiękniejszych owoców etycznych. Złudzenie, które doprowadziło p. Ś. do przyjęcia dziedziczności usposobień moralnych, opiéra się prawdopodobnie na fakcie, że dzieci ludów ucywilizowanych i rodziców moralnych łatwiéj dają się prowadzić drogą wzniosłéj moralności niż dzieci ludów dzikich i rodziców niemoralnych. Lecz złudzenie to pryśnie, jeżeli się zastanowimy, że pierwsze dzieci w ogóle rodzą się z bardziéj wykształconą organizacyą nerwową, niż drugie, i że zostają wychowywane pod korzystniejszemi dla ich rozwoju warunkami. Dziecko po urodzeniu nie ma, właściwie mówiąc, ani samolubnych, ani współczuciowych popędów; ulega bowiem wyłącznie

wrażeniom i wykonywa same *odruchy*, które oczéwiście za objaw woli wcale uważane być nie mogą; a tém bardziéj cechy moralności lub niemoralności na sobie nie noszą.

P. S. powiada, że mniemanie o możności dziedziczenia usposobień do popędów moralnych podziela mniéj więcéj Aleksander Bain (237), ale żadną cytatą nie udowadnia swego twierdzenia, a ja, o ile znam dzieła Baina, nie znalazłem w nich téj doktryny. Przytoczone zaś przez autora słowa Wundta odnoszą się wyłącznie do dziedziczenia usposobień duchowych w ogóle, nie zaś specyalnie moralnych. Wreszcie, jak wspomniałem, sam p. Ś. porzuca, jak się zdaje, teoryą dziedziczności usposobień moralnych i utrzymuje (str. 238), że popędy moralne nie mają *żadnego osobnego źródła*, lecz są popędami *samolubstwa* lub *współczucia* ujętemi w pewną społecznie pożądaną, lub nakazaną normę *siłami powinności*. Wątpliwość pewną rodzi tu nieokreślone pojęcie „sił powinności." Czy to są siły wrodzone? ależ w takim razie wrócilibyśmy do teoryi dziedziczności popędów moralnych. Czy to są pojęcia? Na to nie znajdujemy odpowiedzi. W każdym jednak razie następujące po tych określenia nie są dwuznaczne: „*Każdy* popęd może stać się moralnym, jeżeli jego pobudki działać będą tylko w granicach téj oznaczonéj normy, podobnie jak każdy dyament może stać się brylantem jeśli przybierze kształt właściwego oszlifowania. Wzór tego oszlifowania, téj normy musi przyjść do popędów *zzewnątrz*, gdyż one same z siebie mogą dążyć tylko w kierunku własnych nieuregulowanych pożądań a nie stałéj powinności. Słowem więc popędy moralne są tylko szczególną postacią samolubnych i współczuciowych powstałą w koniecznych stosunkach równowagi *woli społecznéj*" (238). Z tych słów wynika, że tak zwane przez p. Ś. „*popędy* moralne" (1) rozwijają się w życiu społecznem *powoli* i *świadomie*; gdyż zastosowanie się do woli społecznéj wymaga koniecznie świadomości, jeżeli nie chcemy się zgodzić na gotowe już instynkta moralne. Nie wiémy tu tylko, jak powstaje *wola społeczna* i jakim sposobem ze zbioru jednostkowych popędów samolubnych lub współczuciowych, dążących tylko w kierunku własnych nieuregulowanych pożądań, może przecięż wyjść pojęcie powinności, będące odbiciem woli ogólnéj? Wiémy o tem, że p. Ś. wyjaśnia tę kwestyą starciem się samolubstw i współczuć w grupie społecznéj, ale zamiast przyjąć, że pojęcie powinności może się wy-

---

(1) W rozprawie niemieckiéj nie ma takich popędów; jest tylko uczucie moralne Moralgefühl).

kształcić w *każdéj* społecznéj jednostce, utrzymuje, że to pojęcie musi przyjść zzewnątrz. tj. od woli społecznéj, która przecież jest tylko uogólnieniem pragnień jednostkowych ze względu na ich wspólność.

Ostatni rozdział pracy p. Ś. nosi napis: „Warunki powstawania praw moralnych.“ Zaznacza tu autor, że moralność ludzkiego rodzaju ma za poprzedniczkę moralność zwierzęcą; ściśle więc biorąc, kwestya powstawania praw moralnych wśród ludzi jest zbyteczną. Ponieważ jednak objawy wszelkie, mimo swéj nieograniczonéj łączności, ułożyły się w umyśle naszym w odmienne charakterystyczne szeregi; ponieważ na polu wiedzy musimy obrabiać zadania szczegółowe, bodaj sztucznie odgraniczone: więc też i powstawanie praw moralnych wśród ludzkości może się stać przedmiotem poszukiwań. Następuje potém rozbiór znaczenia moralnego popędów samolubnych i spółczuciowych (o moralnych popędach nie ma tu już mowy). Obie te grupy popędów w zetknięciu się z popędami innych jednostek ulegają ograniczeniu. Co się tycze najprzód samolubstwa, to skutki zetknięcia się jego z samolubstwem innych albo są pokojowe, jeżeli jedno nie przeszkadza drugiemu, albo téż wrogie i wtedy następuje walka jako ciąg powolnych i nieprzerwanych procesów. *Siła* jest jednym z najpotężniejszych czynników tworzących obyczaje, bo może nietylko *ustanowić społeczne stosunki*, ale je podtrzymać, a nadto zawsze zwłaszcza w grupach pierwotnych wzbudza cześć najwyższą. Drugim takim czynnikiem są *pojęcia religijne*. Ponieważ człowiek pierwotny wszystkie zjawiska przyrody tłómaczył podobnemi procesami, jakie w sobie odkrywał; przypisywał im więc wolę: że zaś często wola ta objawia się z niepokonaną siłą, człowiek zatém, ulegając jéj, do najrozmaitszych względem niéj poczuwa się obowiązków. Podobnież rzecz się ma z popędami spółczuciowemi. Ulegają one również ograniczeniu, ponieważ, objawiając się nieograniczenie, zamiast korzyści przynosiłyby ustawiczną szkodę społeczeństwu. Muszą więc one ulegać woli ogólnéj.

Z tych dwu grup popędów, zmodyfikowanych i zrównoważonych w życiu społeczném, powstają wszystkie powinności; a więc i obowiązki względem bóstwa i względem siebie samego. „Żaden Jehovah lub Allah nie określa swego stosunku do ludu sam, lecz w osobie Żydów lub Muzułmanów.“ Podobnież te właściwości jednostki, które jéj spółtowarzyszom przynoszą korzyść i zapewniają ich spółczucie, stają się z czasem przymiotami, wymaganemi *dla własnego jéj dobra*.

Tym sposobem powstają *obyczaje*. Utrwalają się one za pośrednictwem przystosowywania się do istniejących warunków i odziedzi-

czania *właściwości* nabytych przez pokolenia poprzedzające. Według wszelkiego prawdopodobieństwa odziedziczanie właściwości psychicznych przekazuje się głównie *obyczajowym*, nie fizyologicznym procesem. Tu więc przystępuje do dzieła *wychowanie*, wpajające pewne zasady, *przyzwyczajenie*, *język* i *religia*. Wreszcie *użyteczność* moralnych reguł może najdzielniéj przyczynić się zarówno do ich powstawania jak i utrwalania się.

Wniosek z poprzednich rozumowań wyprowadza p. Ś. w téj formie: „Wszystkie te stosunki popędów woli, które zwyciężywszy inne postacie ich społecznego układu, nietylko chwilowo, ale i tak długo w rozwoju utrzymać się zdołają, że z czasem staną się dla następnych pokoleń *dobrowolnie* zachowywanemi i obowiązującemi normami postępowania, tworzą *wzory* praw moralnych“ (251.252). A na pytanie skąd powstają prawa moralne p. Ś. daje taką krótką odpowiedź: „Prawa moralne powstają z utrwalonych norm społecznie zjednoczonéj i uporządkowanéj ludzkiéj woli. Ich rodowód, w głównych stopniach zawarty, przedstawia się w szeregu następujących przemian: z popędów woli rodzą się czyny, z czynów ich normy (obyczaje), z norm ich formuły—moralne prawa“ (252).

Taki jest rezultat pracy p. Ś-go o powstawaniu praw moralnych. Zdaje mi się, że on przedstawia dopiéro połowę zadania, określonego napisem rozprawy; gdyż wyjaśnia *możliwość* powstania reguł moralnych, ale nie tłómaczy, jak one rzeczywiście powstają. P. Ś. pominął zupełnie cały proces psychologiczny uogólniania pojedynczych spostrzeżeń zarówno u człowieka pierwotnego jak u dziecka w pewne z początku szczegółowe, późniéj coraz ogólniejsze grupy. Nie uwzględniwszy pierwiastku samowiednego i refleksyjnego, nie zrobił dokładnéj analizy tego, co nazywamy *powinnością* i w skutek tego w ogólnikowych tylko słowach powiedział o powstawaniu *praw* (tj. reguł) moralnych, zająwszy się głównie kwestyą kształtowania się obyczajów i w ogóle wszelkich stosunków społecznych. W téj zaś kwestyi nie wytłómaczył nam pojęcia *woli ogólnéj*, która gra tak wielką rolę w jego analizie; a kładąc wielki nacisk na znaczenie siły brutalnéj w formowaniu się obyczajów, nasunął myśl, jakoby jednostka w społeczeństwie żyjąca tylko *z zewnątrz* mogła nabrać pojęcia o obowiązku. Jeżeli jednak weźmiemy każdą jednostkę społeczną z osobna i powiémy, że do niéj pojęcie o obowiązku przyszło *z zewnątrz*, to gdzież znajdziemy to *zewnątrz*, kiedy właśnie jednostki te stanowią społeczeństwo. Na takie zapatrywanie się może być odpowiedź: jednostka silniejsza narzuciła swą wolę jednostkom słabszym, i ta jéj wola stała się dla nich *obowiązkiem*, *powinnością*. Nie zaprzeczając bynajmniéj ogromnego znaczenia sile brunatnéj w tworze-

niu się stosunków społecznych, nie sądzę przecięż, aby w niéj jednéj widział p. Ś. źródło związków ludzkich; gdyż sam nazywa bezzasadném twierdzenie Supińskiego, że siłą zawiązującą społeczność była *trwoga* (str. 129). Według mnie zarówno w tworzeniu się obyczajów jak i w powstawaniu pojęć moralnych większy należało położyć nacisk na *potrzeby* jednostki zarówno fizyczne jak psychiczne, aniżeli na przymus zewnętrzny. Dlatego téż obok potrzeb wzajemnéj pomocy, przechowania swego gatunku itd.; obok uczuć estetycznych wymieniłbym jako najważniejsze źródło obyczajów, uczucia i pojęcia religijne, wyrażające pierwotnie tajemniczy stosunek człowieka do przyrody. Mówi o nich p. Ś., ale zdaje się im zakréślać bardzo szczupły zakrés *obrzędowości*, kultu religijnego, gdy tymczasem one początkowo rozciągały się do wszystkich stosunków życia prywatnego i publicznego, tak że najdrobiazgowszych nieraz przepisów moralnych stawały się powodem. Myśl Adama Smitha, choć nieściśle wyrażona, o wielkiém znaczeniu pojęć religijnych w tworzeniu się moralności (1), stwierdzona zresztą całą dotychczasową praktyką społeczeństw, w których religia ściśle łączy się z etyką, zasługiwała na większe uwzględnienie, niż to ma miejsce w rozprawie p. Świętochowskiego.

Jakkolwiek w wielu punktach nie zgadzam się z autorem rozprawy: „O powstawaniu praw moralnych;“ jakkolwiek zarzut nieścisłości w rozumowaniu niejednokrotnie musiałem powtarzać; nie mogę jéj nie przyznać nieposolitego znaczenia w naszém piśmiennictwie. Ona pierwsza *u nas* wprowadza do etyki metodę indukcyjną, która dla rozwoju téj nauki, jak i dla innych, ma decydujące znaczenie; ona pierwsza, zająwszy stanowisko dzisiejszéj umiejętności, w badaniu pojęć moralnych obszernie posługuje się faktami etnograficznemi i zamiast podmiotowych mniemań przedmiotowe zasady stara się ustalić. A nadto jest pracą sumienną, na dokładnych i samodzielnych studyach opartą; więc w obec niewielkiéj liczby prac tego rodzaju na szczery poklask zasługuje.

---

(1) Theory of the moral sentiments, Część III, rozd, V. (W przekł. franc. z r. 1798, str. 343—365.

Piotr Chmielowski.

Mały zwierzyniec.—Historya naturalna, wierszem dla dzieci ułożona przez J a n a z R z e s z o w a, z rycinami—w 12-tce str.—107. Warszawa. Nakładem Ferdyn. Hösicka r. 1878.
Pytania i odpowiedzi. – Pierwsza książeczka obrazkowa dla zabawy i nauki małych dzieci od lat 3-ch do 6-ciu przez Starego nauczyciela. Rozwijanie myśli i pojęć metodą poglądową za pomocą obrazków, pytań i odpowiedzi. W dużym formacie, tablic 12. Warszawa. Nakładem Ferdynanda Hösicka, r. 1878.

Mały zwierzyniec zaczyna się od wstępu charakteryzującego ogólnikowo wszystkie zwierzęta. Potém następuje opisanie gromad zwierzęcych, mianowicie: ssaków (ssących), ptaków, płazów, ryb i owadów. Formą językową całéj książki, jest wiersz.

Opisanie ssących zaczyna się od opisu lwa, jako tak zwanego króla zwierząt; daléj idą inne zwierzęta drapieżne, poczém następują wybitniejsze zwierzęta innych rzędów.

Gromada ptaków, zaczynając się znowu od drapieżnych, ogranicza się na przedstawieniu kilkunastu indywiduów z różnych rzędów. Podobnie inne gromady w mniejszéj tylko liczbie są przedstawione; w ogóle wszystkich pozycyj jest 76 i prawie tyleż rysunków.

Taki jest, mniéj więcéj, układ książki,—a teraz parę uwag:

Najprzód wybór formy jest najnieszczęśliwszy. Mowa wiązana jest wogólności dla dziecka rzeczą trudniejszą, może nie do spamiętania, ile do zrozumienia tego, co ona wyraża, zwłaszcza przy tak obrazowym stylu:

„Zarłoczny rekin jest korsarzem morza: Baterya zębów ostrzejszych od noża, Zajmuje paszczę—ta pewną śmierć wieści, Całego bowiem człowieka pomieści, A lubi wielce chłonąć ludzkie ciało; Rekin popełnia rozbojów nie mało, Pożera ryby i wszystko, co *tonie* Mogą zawierać w swem głębokiem łonie“ (str. 93.)

Historya naturalna zasadza się na obserwacyi,—jeżeli zaś dajemy dzieciom definicyą wierszową, to znaczy, że licząc na pamięć znosimy potrzebę obserwacyi. Jeżeli dziecko ma dostrzegać cechy w zwierzęciu, to powinniśmy mu zostawić możność samodzielnego wyrażenia tego, co zauważyło; a więc nie wiersze, ale żywe zwierzęta, okazy wypchane, dokładne kolorowane rysunki, słowo wreszcie nauczyciela składają się na początki zoologii.

W obec tego, zdaje nam się, że poezya, w tym razie, nie czyni żadnéj przysługi zoologii, czego dowodem liczne usterki, napoty-

kane w książce, o któréj mowa. We wstępie zaraz autor więcéj myślał o rymie, niż o dokładności, jak np:

„Są jeszcze raki, *owady*, robaki,
Różne pająki, *żyjątka*, mięczaki."

albo następujące definicye gromad (tamże)

„U promieniaków—ciało skórkowate
U zwierzokrzewów—galaretowate".

Nadmieniamy, że te wiersze mają być pierwszym i ostatnim wyrazem, gdyż w książce nic się już więcéj o owych promieniakach i zwierzokrzewach nie mówi. Daléj:

„ Człowiek *napada* i na tego zwierza Które, gdy ranne (chyba: który, gdy ranny), śmiało *nań uderza*" (str. 24). Z tego wynika niezbyt pochlebna dla człowieka zmiana roli.

Tego rodzaju niekorzystnych dla zoologii wierszy znajduje się wiele, które wystarczają na usprawiedliwienie twierdzenia, że poezya historyi naturalnéj liche oddaje usługi.

Prócz tego stosowanie mowy wiązanéj do opisu zwierząt naraziło autora na wiele usterek językowych, np. co za pospolity rym: „*liczy się*", a odpowiedni mu „*rysie*" (str. 8); albo wyrażenia: „*rozmiażdża szkaradnie*" (str. 26); „zając mieszka *w leśnéj norze*" (str. 41)—czy w norze i czy tylko w leśnéj?; tu autor staje w sprzeczności z dawniejszą poezyą: *siedzi sobie zając pod miedzą....* daléj „*a nozdrza mu* (wielorybowi) *służą do oddychania, więc gdy się wynurzą z morza, to woda tryska, jak z sikawki, ztąd też te nozdrza nazwane pryskawki*" (str. 51), to znaczy, że wieloryb oddycha wodą; „*łupkowo-czarny*" (kondor) str. 59, gdyby kondor był kolorowany, prędzéj może domyślilibyśmy się: co to za kolor łupkowo czarny.

Autor w przedmowie pisze wyraźnie, że książeczka jego ułożona dla dzieci, chybaby tylko ze względu na ryciny, bo już pominąwszy trudności, wypływające z mowy wiązanéj, czyż dla dzieci są zrozumiałe tego rodzaju zwroty:

„*Toż pancerz* jego (nosorożca) *kuli się nie boi,*
Karabinowe o niego się płaszczą;
Zwierz ma róg, albo dwa rogi nad paszczą,
Ten w Indyjach, tamten w Afryce żyje".... (str. 22)

albo: „*pokarmem jego cały świat roślinny*" (str. 25).

„Zajmuje (bóbr) *tylko* Szwecyi okolice *Oraz* w północnéj gnieździ Ameryce" (str. 40); albo to:

„Uderza (przepiórka) jednak w swéj *klatki pręciki* w jesieni, gdy ma lecieć do Afryki" (str. 73).

Takie niedokładności spotykają się w téj książce dość często, zatém cel, w tytule wyrażony „*dla dzieci*", zupełnie chybiony został.

Nadto nie wiémy dlaczego autor nie uwzględnił naszych zwierząt domowych, jak: wołu, owcy, kury, kaczki, czyby dlatego, że są dobrze nam znane, czy téż, że się do poezyi nie nadają?...

Co do rycin, to te są dosyć staranne, jak w ogóle całe wydanie książki; niezawsze jednak ryciny zgadzają się z wierszami; mowa jest np. o wielorybie, a rysunek obok przedstawia ludojada czyli rekina (Squalus carcharias). W obec tylu usterek, mało da się powiedzieć o dodatniéj stronie téj książki, chyba to, że autor dowiódł łatwości wierszowania, ale nie dowiódł ścisłości, która tak jest potrzebną w naukach przyrodzonych.

Sądzimy, że prędzéjby był dopiął celu przy innym nieco układzie swéj książki, mianowicie nadając opisom formę zagadek. Ryciny osobno zebrane byłyby pomocą przy ich odgadywaniu; na końcu zaś książki pod właściwym odsyłaczem, mieściłyby się nazwy zwierząt.

Co się tycze drugiéj książki, mającéj być przedmiotem naszych uwag, to takowa wydana jest starannie, na dobrym papiérze i z dość dokładnemi, kolorowanemi rysunkami.

Wedle przedmowy, książeczka ta ma służyć bardzo młodemu pokoleniu, bo do lat 6-ciu, a pomieszczony text jest tylko próbą, w jaki sposób mają się rozmowy z dziećmi prowadzić o przedmiotach.

Książka ta składa się z 12 tablic. Każda tablica, złożona z kilkunastu lub więcéj rysunków, stanowi całość, wyczerpując najważniejsze przedmioty, jednym procesem myśli związane, tak więc każda tablica jest jakby jednym rozdziałem nauki poglądowéj.

Tablica pierwsza służy do utrwalenia w pojęciu dziecka ilości w zakrésie dziesięciu, czego dokonywa się na rozmaitych przedmiotach jednakowych lub różnych, w rozmaity sposób kombinowanych.

Tablica II-ga zwraca uwagę dzieci na kształt, kolor, położenie przedmiotów, tudzież ich podobieństwa lub różnicy.

Tablica III-cia przedstawia dziecku kuchnią z tém wszystkiém, co do niéj należy. Najprzód widzimy tu gotującą kucharkę, daléj pokarmy i przyprawy w surowym stanie, jak: zając, gęś, kartofle, marchew, cebula i t. d., następnie szafę z naczyniami; nakoniec różne narzędzia kuchenne.

Tablica IV-ta dotyczy wieku człowieka, ubioru, zajęć i wyrobów. Tablica V-ta przedstawia zabawki dziecinne. Tablica VI-ta—wyroby z drzewa. Tablica VII-ma—wodę i to wszystko, co z nią styczność mieć może. Tablica VIII-ma—koleje zboża, a więc uprawa roli, żniwa i wypiek. Tablica ta jest bardzo pouczająca; dziecko

bowiem widzi na niéj jaki proces musi przechodzić ziarno zbożowe, zanim produkt z niego w postaci obwarzanka, strucli, bułki lub słodkiéj babki dostaje się do jego buzi.

Ostatnie cztery tablice przedstawiają zwierzęta domowe tudzież pożytki z nich.

Przedmioty na każdéj tablicy są ułożone w formie ramy szerokiéj, a środek zajmuje text, zawiérający pytania, odnośne do przedmiotów i ich stosunku do siebie. Żałować nam tylko wypada, że text ów pozostawia nieco do życzenia. Spotykamy się np. z pytaniem, na które trudno znaléść odpowiedź, jakoto: „*Czem się to dzieje, że gęś zabita, która, jak widzisz, jest tu zawieszona, nie ma ani piór, ani głowy, ani nóg*“? (tabl. III-cia.)

Pytanie (tablica IV-ta) „*które z tych bułów i trzewików—z kapeluszy, kapelusików należą do dziadka, matki, chłopczyka, a które do małéj dziewczynki*“? wychowawca musi rozkładać na drobniejsze pytania. Zresztą cały text tablicy czwartéj jest niedokładny, gdyż ma się odnosić do używalności odzieży, a mówi o własności. Daléj takie np. pytania:

„*Które z tych przedmiotów dzieci mogą użyć, jako muzykę*“?(tab.V).

„Do czego potrzebne drzewo *wszędzie* w zimie, *w każdym domu*“? (tabl. VI.)

„*Czy zboże samo z siebie rośnie*“? (tabl. VIII.)

„Ile widzisz koni wierzchowych, *wyścigających się*“? (tabl. X.)

Z tém wszystkiém jednak, mimo tych niedokładności w texcie, które przez umiejętnego przewodnika łatwo sprostowane być mogą, książka niniejsza może być nietylko ładnym, ale i pożytecznym podarkiem dla dzieci.

Życzyć nam tylko wypada, aby inteligentniejsi rodzice mniéj wydawali na bezmyślne i zbytkowne zabawki, a więcéj na podobne książki, będące zdrowym pokarmem dla młodziutkiego umysłu.

Feliks Witkowski.

KRONIKA NAUKOWA.

Nowe doświadczenia Tyndalla nad powstawaniem organizmów w nalewkach roślinnych i zwierzęcych.

Tyndall nie przestaje pracować nad powstawaniem istot mikroskopijnych w nalewkach organicznych. Ważna ta kwestya, tylokrotnie związana z życiem i przemysłem ludzkim, stała się jego ulubionym przedmiotem. Zmieniwszy całą metodę badań tego rodzaju, ustaloną od czasów Pasteur'a, i wzbudziwszy przekonanie w umysłach, które dotąd wahały się przyznać słuszność rezultatom otrzymanym przez chemika francuskiego, Tyndall zajmuje się teraz w dalszym ciągu niezmiernie subtelnemi doświadczeniami, mającemi na celu odkrycie źródeł błędów i wykazanie warunków rozwoju i zagłady tych dobroczynnych i złowieszczych organizmów najniższych, dla których, jakby umyślnie utworzono przysłowie: *natura in minimis maxime miranda est.*

Na przebieg jego prac pilnie baczyliśmy i podaliśmy już kilka o nich sprawozdań w naszéj „kronice". Dla zaokrąglenia jednak niniejszego artykułu, przypomnimy czytelnikom główne punkta rezultatów otrzymanych przez Tyndalla.

Kilkaset naczyń otwartych, napełnionych gotowanemi przez pięć minut nalewkami wołowiny, baraniny, wieprzowiny, siana, rzepy, zająca, królika, bażanta, kuropatwy i rozmaitych ryb morskich wstawił Tyndall w skrzynki zamknięte, powleczone od wewnątrz gliceryną, do któréj przylgnęły pyłki znajdujące się w powietrzu. Pozostając nawet długi czas w tém powietrzu „optycznie czystém," nalewki okazały się po wydobyciu ze skrzynki zupełnie świeżemi. Pod mikroskopem nie można w nich było znaléść ani śladu jakichkolwiek bądź organizmów, a gołemu oku przedstawiały się one czyste-

mi, klarownemi, bez mętu, piany i pleśni, będących nieomylném świadectwem rozwoju i rozmnażania się organizmów mikroskopijnych.

Gotowanie przez pięć minut zawsze, wystarczało do wyjałowienia (sterylizacyi) nalewek, a wielka ilość naczyniek i zgodność rezultatów w nich otrzymanych daje dostateczne świadectwo, że płyny raz wyjałowione niezdolne już są do rozwoju życia w powietrzu zupełnie czystém.

Po takim stanie rzeczy w nalewkach, trwającym kilka miesięcy, otwiérano drzwiczki skrzynek dla wpuszczenia do nich powietrza laboratoryjnego, nieoczyszczonego, i tym sposobem umożliwiano zetknięcie się substancyj zawieszonych w powietrzu z płynami wyjałowionemi. W skutek tego następował zawsze jeden i tenże sam rezultat. Organizmy rozwijały się w wielkiéj obfitości. Niekiedy były to wyłącznie tylko bakterye, innym razem grzybki, a czasami mięszanina pierwszych i drugich.

Oprócz doświadczeń powyższych, Tyndall wykonał jeszcze cały szereg innych, podobnych do tych, jakie robili jego poprzednicy. Wystawiał nalewki materyj wspomnianych na wpływ powietrza pozbawionego cząstek zawieszonych, za pomocą filtrowania przez watę lub bawełnę, albo téż wypalonego w rurze porcelanowéj, i wreszcie zostawił znaczną liczbę naczyniek z płynami w próżni możliwie doskonałéj, otrzymanéj w dużych zbiornikach, uprzednio filtrowaném powietrzem napełnionych. Wszystkie te nalewki po pięciominutowém gotowaniu stały się tak trwałemi, że nawet po upływie długiego czasu nie okazały zmiany barwy, nie zmąciły się, a pod mikroskopem nie można było w nich wykryć najmniejszego śladu życia.

Doświadczenia te były robione w epruwetkach otwartych. Przygotował téż Tyndall sto trzydzieści próbek w małych retortach, które ogrzéwał w oleju, lub rostworze soli, i zatapiał podczas wrzenia cieczy z największą starannością. Do nalewek używał tych samych materyj co i powyżéj. Rezultat był znowu ujemny: ani śladu zgnilizny, ani śladu życia w nich nie było.

Wszystkie te próbki oddane były pod dozór członków Towarzystwa Królewskiego (Royal Society). Otwiéranie skrzynek i retort oraz badanie ich zawartości, również przy ich obecności odbywało się.

„Jedném słowem," powiada Tyndall, „dowód otrzymany z sześciomiesięcznéj usilnéj pracy, podczas jesieni, zimy i wiosny 1875/76 roku, wykazał w sposób stanowczy, że w warunkach istniejących wówczas w laboratoryum Towarzystwa Królewskiego ani jedno z kil-

kuset naczyń i rurek poddanych doświadczeniu nie uniknęło sterylizacyi w skutek pięciominutowego gotowania i nie osiągnął żadnéj podstawy pogląd, że którakolwiek z tych nalewek, zostawszy raz wyjałowioną, mogła jeszcze sama z siebie dać początek rozwojowi życia.“

Oto treść i wyniki pierwszych zasadniczych doświadczeń Tyndalla. Rezultaty ostatnio przedstawionych Towarzystwu Królewskiemu są następujące. Podamy je szczegółowo, gdyż od szczegółów zależy ich jasność i doniosłość.

W lecie roku 1876 Tyndall użył do doświadczeń nalewki rzepy, do któréj dodał rozmaite ilości séra tłuczonego, w siedmiu gatunkach. Pięćdziesiąt siedm epruwetek napełnionych podobną mieszaniną wystawił na wpływ powietrza optycznie czystego w skrzynkach zamkniętych. Większa część tych próbek została bez zmiany, mniejsza roiła się organizmami. Przyczyny téj ostatniéj okoliczności szuka Tyndall w ochraniającém działaniu séra, które przyrównywa do wpływu ścisłéj masy ziarek gorczycy. Ziarka te bowiem związane w karton opiérają się daleko dłużéj wpływowi wrzącéj wody aniżeli wtedy, gdy się je wprost wsypie do wody. Zdaje się więc, że warunkiem zniszczenia władzy życia w nasionach jest nie tyle przenikanie ciepła ile roztworów. Gdy dyfuzya płynów jest wstrzymaną, wtedy zarodki mogą oprzéć się temperaturze dostatecznéj do ich zabicia. Że zaś sér jest nieprzenikliwy dla wody, więc masą swą może dawać ochronę zarodkom.

Szerszych wniosków nie wyciąga Tyndall z tych izolowanych doświadczeń; opracowanie ich zostawia na czas późniejszy, a tymczasem przystępuje do rozbioru doświadczeń z nalewką siana, w których leży środek ciężkości raportu, oraz cała jego doniosłość.

Nalewki siana po pięciominutowém gotowaniu, będąc wystawione na działanie powietrza samodzielnie oczyszczonego, albo też pozbawionego zawieszonych substancyj przez wypalenie lub przefiltrowanie przez watę, okazywały się w licznych przypadkach i w różnych czasach niezdolnemi do rozrodu życia. Po upływie kilku miesięcy, gdy czystość i przezroczystość ich nie pozostawiała nic do życzenia, dodawał Tyndall kropelkę płynu zwierzęcego, lub roślinnego zawiérającego bakterye. W dwadzieścia i cztery godzin po zasianiu bakteryj barwa się zmieniała i płyn mętniał w skutek rozrodu organizmów.

Tak się zawsze działo. Tymczasem w jesieni roku 1876 rzeczy przybrały zupełnie odmienną postać. Nalewki siana, które z taką łatwością dawały się wyjałowić, wytrzymywały bezkarnie nietylko pięcio, ale i piętnastominutowe gotowanie. Jednakże niektóre

nalewki, zrobione z próbek siana kupionego w jesieni r 1876, zachowywały się zupełnie tak samo jak nalewki siana z r. 1875: wyjaławiały się całkowicie w skutek pięciominutowego gotowania.

Co było przyczyną téj odmienności rezultatów?

Dla zbadania jéj przedsięwziął Tyndall liczne i uciążliwe doświadczenia z sianem pochodzącém z rozmaitych miejscowości. Doświadczenia te okazały, *że nalewki niedające się wyjałowić*, jakeśmy to już w jedném z poprzednich sprawozdań zaznaczyli, *zostały zrobione z siana starego*, *zachowujące się zaś przeciwnie—z siana świeżego*, w którém zarodki spadłe z powietrza nie zdołały jeszcze wyschnąć dostatecznie. Późniejsze doświadczenia zupełnie potwierdziły tę różnicę pomiędzy sianem starém a świeżém.

Dla rozjaśnienia pola widzenia, Tyndall przeszedł do doświadczeń z substancyami, nie tak suchemi jak siano, lecz soczystemi, w których zarodki prawdopodobnie wyschnąć nie mogły. Substancyami temi były np. grzyby, ogórki, melony, buraki, karczochy i t. p. Spodziéwając się z góry, że nalewki tych substancyj dadzą się łatwo wyjaławiać, Tyndall został niezmiernie zdziwiony, gdy spostrzegł, że prawie wszystkie próbki, a była ich bardzo znaczna ilość, roją się organizmami i pokrywają pianą pomarszczoną. Kwestya więc tylko się skomplikowała.

W skutek tego Tyndall zaczął sprawdzać poprzednie doświadczenia z nalewkami, które poznał doskonale i których sterylizacya nie przedstawiała żadnych trudności. Przedsięwziął na nowo tę pracę, czując, że światło jego odkryć na tém polu zaczyna się wielce zaciemniać z powodu ostatnich doświadczeń. Zabrał się więc znowu do nalewek mięsa wołowego, baraniego, ryb i t. p. Lecz jakkolwiek ostróżności, które zachowywał, były daleko większe niż w roku 1875, i jakkolwiek gotowanie trwało często kwadrans, jednakże nalewki prawie zawsze się psuły od rozrodu organizmów. Czasami udawało mu się wyjałowić nalewkę i przypisywał wtedy swe powodzenie niesłychanéj ścisłości doświadczenia, ale natychmiast powodzeniu przeciwstawiało się niepowodzenie tak doniosłe, że musiał je uważać za regułę, a pomyślny rezultat za wyjątek.

„Miałem najzupełniejsze przekonanie“, powiada, „o dokładności mych pierwszych doświadczeń; i w saméj rzeczy błąd w ścisłości doprowadziłby do konsekwencyj wręcz przeciwnych tym, do których doszedłem. Błędy w wykonaniu napełniłyby moje naczynia i rurki organizmami, a nie zostawiłyby ich przezroczystemi i pozbawionemi życia. Z doświadczeń niepomyślnych, przytoczonych powyżéj, wynika bardzo jasny wniosek. Albo nalewki ryb, mięsa i roślin pozyskały w r. 1876 wewnętrzną energią płodności, któréj nie

posiadały w r. 1875, albo też jaki nowy zarazek zewnętrzny, daleko upartszy od zarazka z 1875, dotknął je w r. 1876. Umysł naukowy nie będzie się wahał w wyborze jednéj z tych dwóch alternatyw.“

Doświadczenia i rozwaga doprowadziły Tyndalla do wniosku, że atmosfera w któréj pracował była już tak obciążoną organizmami, tak zarażoną i zaraźliwą, że unicestwiała wszelkie jego środki ostróżności przedsiębrane dla ochrony od nieczystości i uniemożliwiała sterylizacyą, łatwo się udającą w powietrzu mniéj zaraźliwém. Przeniósł się więc Tyndall z laboratoryum do innych sal Towarzystwa Królewskiego, ale i tu mu się nie powodziło, jeśli nie zawsze, to w znacznéj większości przypadków. Uznał więc za konieczne rozebrać wszelkie warunki możliwości zarazy, zależne od miejsc w których pracował, oraz od sposobu wykonywania doświadczeń.

W tym celu udał się do ogrodu botanicznego w Kew i tam w laboratoryum miejscowém rozpoczął doświadczenia z najuporniejszemi nalewkami. Rezultat ich był taki, że nalewki, które w laboratoryum Tow. Królewskiego opiérały się gotowaniu przez 200 minut i jeszcze potém roiły się organizmami, zostały w Kew wyjałowione po pięciominutowém gotowaniu.

Następnie robił podobne doświadczenia na poddaszu gmachu Towarzystwa Królewskiego, używając skrzynek, które wprost od fabrykanta na poddasze przyniesiono. Nalewki jednak uległy zepsuciu. Tyndallowi przyszła myśl do głowy, że powietrze na poddaszu mogło być zarażone przez asystentów, którzy wprost z laboratoryum do poddasza przechodzili. Zarządził więc dezinfekcyą poddasza i polecił asystentom zmienić ubranie. Skutek okazał, że przypuszczenie jego było uzasadnioném: sterylizacya była zupełną po pięciominutowém gotowaniu.

Nie ulegało więc wątpliwości, że powietrze laboratoryum było zaraźliwém w wysokim stopniu i że ono unicestwiało wszelkie usiłowania sterylizacyi. Lecz czemu przypisać przyczynę odmiennego zachowywania się jego w roku poprzednim? Tyndall spostrzegł, że podłoga jego laboratoryum była zasypana w r. 1876 pęczkami siana starego i wyschłego, które za poruszeniem wydawały mgły kurzu delikatnego. Pył ten był bardzo płodnym i wielki opór przedstawiał działaniu temperatury. Przed użyciem siana w laboratyum, sterylizacya była łatwą i dopiéro po jego przyniesieniu rozpoczęły się trudności i niepowodzenia, których przedtém Tyndall nie doświadczał.

Nieudawanie się doświadczeń w téj zarażonéj atmosferze było dla Tyndalla źródłem nieustannego nieukontentowania. Próbował więc rozmaitych sposobów, aby przemódz siłę odporną zarazków. Gotował więc nalewki rzepy i ogórka od pięciu do trzysta sześćdzie-

sięciu minut i spostrzegł, że granica sterylizacyi leży pomiędzy 180 a 240 minutami, t.j. że te nalewki, gotowane przez 180 minut, były jeszcze zdolne do rozwoju życia, w drugim zaś peryodzie własność tę traciły.

Sądząc, że przyczyną tak długiego opiérania się wpływowi temperatury było przylgnięcie zarazków do górnéj części naczyń, gdzie się stykały nie z cieczą, lecz z powietrzem, coby wpływało na osłabienie zabójczego wpływu temperatury, Tyndall wprowadzał jak najostróżniéj nalewki do wypalonych i napełnionych powietrzem balonów szklanych w ten sposób, że mógł być zupełnie pewnym, iż zarodki nie osiadły na górnych częściach naczynia, gdzieby mogły wyschnąć i pozyskać nadzwyczajną wytrzymałość. Lecz nalewka starego siana umieszczona w takich warunkach, po cztero, a nawet pięcio, sześcio i ośmiogodzinném gotowaniu, zachowywała w dalszym ciągu zdolność do rozwoju życia.

Takie to wytrzymałe zarodki pochodzące ze starego siana zaraziły atmosferę laboratoryum i wywołały powyższe trudności, zarażając inne nalewki obcym im zarazkiem.

Czyż więc żadnym sposobem niepodobna ich zniszczyć? Czy zwykłe sposoby dezinfekcyi są w obec nich zupełnie bezsilne.

„Zupełnie pewną jest rzeczą,“ powiada Tyndall, „że opiérają się działaniu ciepła w nadzwyczaj wysokim stopniu. Poznano, że są zdolne do zarażania nalewek czy to zwierzęcych, czy roślinnych. Jakie będzie ich działanie w szpitalu? A zresztą są zakłady zajmujące się konserwacyą mięsa i roślin. Czy doznają one zawsze klęsk niewytłómaczonych? Uważam za rzecz pewną, że potrząśnięcie pęczkiem siana suchego w atmosferze zakładu podobnego rodzaju, powinno uczynić zupełnie bezskuteczném zwykłe gotowanie (konserw) przez kilka minut i spowodowywać znaczne straty. Mają one, jak poniżéj zobaczymy, wielką gwarancyą zupełnego oczyszczenia puszek blaszanych pozbawionych powietrza.“

Rozważając naturę i fazy jakie przechodzą zarodki, aby stać się organizmami widzialnemi, Tyndall zdołał wyjałowić nalewki najuporczywsze, ogrzewając je przez czas bardzo krótki, uznany powyżéj za niedostateczny do osiągnięcia tego celu. Czas potrzebny zarodkom do przejścia ze stanu twardego, suchego, nieczułego w stan plastyczny i czuły, nie jest dla wszystkich jednakowy. Niektóre więcéj stwardniały jak inne i dlatego téż dłużéj moczyć się muszą, czyli że jedne więcéj drugie mniéj czasu potrzebują do rozmiękczenia się, do przygotowania się do przyjęcia stanu czułego na ciepło. Jeśli je wystawimy na temperaturę wrzenia, to zarodki rozmiękczone zginą, inne zaś nie. Ale jeśli po kilku minutach przerwiemy gotowa-

nie i rozpoczniemy je na nowo po dziesięciu lub dwunastu godzinach, to nowa partya zdoła się przez ten czas rozmiękczyć, i nowe, kilkuminutowe gotowanie zniszczy je zupełnie. Powtarzając tę operacyą dostateczną liczbę razy, zniszczymy wszystkie zarodki aż do ostatniego.

Rzeczywistość stwierdziła to rozumowanie Tyndalla. Wyjaławiał zupełnie przez pewną liczbę ogrzewań przerywanych nalewki, w których nie zdołało zabić zarodków życia piętnaście razy dłuższe gotowanie. Cztery minuty w niektórych razach znaczyły więcéj, aniżeli w innych cztery godziny.

Metoda ta, jeśli jest prowadzona w sposób odpowiedni, jest według Tyndalla nieomylną. Zresztą nie potrzeba nawet ogrzéwać aż do temperatury wrzenia, gdyż wiadomo, że bakterye giną już przy 60° C.

Oprócz tego wynalazł Tyndall drugi sposób sterylizacyi nalewek. Wiadomo, że bakterye pochłaniają tlen i powietrze, i płomień zanurzony w gaz znajdujący się nad nalewką, na któréj utworzyła się pienista błonka bakteryalna, gaśnie natychmiast. Inne obserwacye kazały wnieść Tyndallowi, że powietrze jest niezbędnym warunkiem życia bakteryj. Z tego powodu zadał sobie pytanie: coby się stało, gdyby nalewki zostały pozbawione powietrza? Tylko doświadczenie mogło dać zadawalniającą odpowiedź na to pytanie.

Do opróżniania naczyń z powietrza używał najprzód zwyczajnéj machiny pneumatycznéj. Rezultat był nader pomyślny. Życie w nalewkach uległo wielkiemu osłabieniu w skutek zastosowania takiéj próżni.

Dla dokładniejszego odciągnięcia powietrza z nalewki i z przestrzeni nad nią się znajdującéj, użył późniéj uczony angielski pompy tęciowéj Sprengla i opróżniał nią naczynie przez jednę do ośmiu godzin. Okazało się, że w wielkiéj liczbie przypadków nalewki bez gotowania zostały wyjałowione, jeżeli były pozbawione powietrza, przez pięcio lub sześciogodzinne pompowanie tak, iż prawdopodobną jest rzeczą, że gdyby próżnia była doskonałą, to sprawiłaby zupełną sterylizacyą w nalewkach bez współdziałania wysokiéj temperatury. Pewna ilość nalewek, które pomimo utraty powietrza dały początek organizmom, Tyndall wyjaławiał zupełnie za pomocą gotowania przez jednę tylko minutę; do tego stopnia osłabiła w nich próżnia funkcyą życia.

W jednym tylko wyjątkowym razie, w doświadczeniu z nalewką starego siana, nie wystarczało gotowanie przez czas dziesięć razy dłuższy od potrzebnego do wyjałowienia innych nalewek: wprawdzie rozwój życia był bardzo słaby, ale jednak dał się zauważyć. Pomi-

mo to i te zarodki zabite zostały przez gotowanie w czasie dwa razy krótszym, aniżeli przy obecności powietrza.

W skutek odciągnięcia powietrza, życie zarodków *nie* pozostaje w *zawieszeniu*, w letargu, z któregoby się mogły ocknąć po napływie powietrza z zewnątrz, przeciwnie jest ono zupełnie *zniszczoném*, zarodki są zabite. Gdy do nalewek wpuścimy powietrze, zachowując ostrożność, aby się z niém nie przedostały do naczynia świéże zarodki, to wcale nie zauważymy w nalewkach powrotu zdolności do rozwoju życia. Zarodki udusiły się z braku powietrza i nowy jego przypływ już nie jest w stanie przywrócić im życia.

Zrozumimy teraz jaką rolę odgrywa gotowanie w zakładach konserwowania mięsa i jarzyn. W skutek wrzenia i parowania cieczy powietrze zostaje zupełnie wydalonėm z puszek blaszanych. które się podczas wrzenia zatapiają. Gdyby w nich powietrze zostało, to bez wątpienia zawartość psułaby się.

Podobnie jak brak, zabija również zarodki w nalewkach nadmiar tlenu. Doświadczenia Tyndalla wykazały, że tlen pod ciśnieniem dziesięciu atmosfer zupełnie sterylizuje nalewki. Zarodki więc bakteryj tak samo, jak większe i wyższe organizmy, giną podobnie w skutek otrucia nadmiarem tlenu, lub jak w skutek zaduszenia, z powodu jego braku.

Zestawiając to wszystko, dochodzimy do następujących wniosków, tłómaczących nam odmienność rezultatów do jakich dochodzili rozmaici uczeni.

1º Że zarodki stare, wyschłe, szczególniéj do starego siana przylegające, bardzo silnie się opiérają niszczącemu działaniu wysokiéj temperatury, tak że nieraz kilkogodzinne gotowanie jest względem nich bezskuteczne.

2º Że pęczki starego siana mogą zarazić atmosferę laboratoryów lub zakładów do tego stopnia, iż nie udaje się sterylizacya nalewek, bardzo łatwo zwykle tracących zdolność do rozwoju życia.

3º Że dla zabicia tych zarodków w nalewkach, trzeba je poddawać gotowaniu przerywanemu, albo téż pozbawiać je powietrza za pomocą machiny pneumatycznéj, lub przez zatapianie naczyń podczas wrzenia cieczy.

Znużenie i odpoczynek nerwów.

Nadzwyczaj interesującém jest powszechnie znane i przez każdego doświadczane zjawisko zmęczenia organizmu, następujące po każdéj dłuższéj trwającéj czynności; stosownie do natężenia pracy jestto albo osłabienie, albo zniesienie zdolności organizmu do pracy,

i potrzeba mniéj lub więcéj długiego czasu do zupełnéj regeneracyi sił. Pomimo powszedniości tych zjawisk, nie są one jeszcze dokładnie zbadane, szczególniéj co się tyczé nerwów, przedstawiających tę trudność, że znużenie ich oceniać możemy tylko z zachowywania się połączonych z niemi mięśni i dlatego też często nie wiadomo czy obserwowana w doświadczeniu bezczynność jest skutkiem zmęczenia nerwu, lub muskułu. Panu J. Bernstein udało się, jak podaje „Naturforscher,“ usunąć te trudności i otrzymać rezultaty następujące:

Przy równéj sile bodźców (mechanicznych, chemicznych, elektrycznych) i równym czasie ich działania mięśnie o wiele prędzéj ulegają znużeniu niż nerwy.

Akt zmęczenia i odpoczynku nerwów, przy działaniu rozmaitych czynników, jest podobny do zmęczenia i odpoczynku mięśni. Po każdém zmęczeniu nerwu, może nastąpić krótszy lub dłuższy okrés bezwładności, po którym, przy odpowiednich warunkach, następuje wypoczynek. Bieg sprawy odpoczywania jest zawsze charakterystyczny. Podczas peryodu niemocy, którą można nazwać letargiem, następuje często jeden lub kilka przelotnych powrotów do sił, które Bernstein nazywa „wahnięciami odpoczynkowemi“ (Erholungsschwankungen). Po nich następuje stałe odświeżenie sił, *zaczynające się powoli, szybko potém wzrastające* i *wreszcie przy zmniejszonéj szybkości dosięgające stanu normalnego.*

Bernstein zwraca uwagę na podobieństwo téj sprawy w nerwach, z niektóremi procesami powrotu do sił całego organizmu. Największą jest analogia z powrotem do sił po znacznéin wyczerpaniu lub po ciężkiéj chorobie. Podczas rekonwalescencyi następują częste przejściowe polepszenia, podobne do nowych wahnięć odpoczynkowych. Następnie, przy sprzyjających warunkach, następuje powolny, stały przyrost sił, który wkrótce wzrasta z coraz większą szybkością. Gdy jednak szybkość ta doszła do pewnego stopnia, proces regeneracyi zaczyna się stawać powolniejszym, i normalny stan sił powraca żółwim krokiem. Zdaje się więc, wnosi Bernstein, że sprawa wypoczynku nerwów przewodniczy powrotowi do sił całego organizmu.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kiedyśmy ostatnią kronikę zakończyli wzmianką o kradzieżach, nie sądziliśmy bynajmniéj, że wypadnie nam jeszcze raz do téj sprawy powrócić. Robimy to jednak obecnie, ponieważ przestępstwa w tym krótkim przeciągu czasu stały się faktem tak dominującym u nas, że w obec nich, dla Warszawy przynajmniéj, wojna wschodnia i wewnętrzne zawikłania we Francyi prawie na drugi plan zeszły. A przecież jeżeli co, to dzisiejsze wypadki polityczne mogłyby pochłonąć uwagę ogólną.

Pierwsza połowa Listopada była dla Warszawy, jeżeli nie straszną, to w każdym razie niezwykłą. W jednym dniu byliśmy świadkami morderstwa ś. p. prof. Girsztowta i niedoszłego zamachu na życie dwu innych osób, uwieńczonego samobójstwem. Potém nastąpiło morderstwo dystrybutorki i dystrybutora spełnione w sposób prawie jednakowy i równie tajemniczy. Daléj, dwa samobójstwa i cały szereg kradzieży i napadów ulicznych, dokonywanych z niesłychaną bezczelnością.

Obecnie jedną z najświeższych z dziedziny téj wiadomości (nie wiémy bowiem co nam jutro przyniesie!), są bezimienne listy wysłane do dwu obywateli p. p. Or. i Ja., którym nieznane indywidua rozkazują wypłacić sobie pewne sumy pieniężne, w razie zaś nieposłuszeństwa grożą śmiercią, Brakuje tylko, aby ukryci w cieniu złoczyńczy zaczęli chwytać ludzi i nakładać okup za ich uwolnienie!...

Rzecz prosta, że ogół zatrwożył się temi wypadkami i władze zwróciły na nie uwagę. Pismom zakomunikowano parę artykułów

nietyle uspakajających, ile wyjaśniających, a nadewszystko obiecano zwiększyć dozór policyjny w mieście, które prawie że było go pozbawione. Odbyła się też podobno sesya władz policyjnych i sądowych, w celu obmyślenia energiczniejszych środków zaradczych.

I dziwna rzecz! gdy wieść o wzmocnieniu publicznego bezpieczeństwa rozeszła się po mieście, wypadki nadużyć stały się, jeżeli nie mniéj liczne, to przynajmniéj straciły zbyt ostry charakter. A może też i przyzwyczailiśmy się do nich.

Już w drugiéj połowie roku zeszłego pojawiły się w całym kraju zatrważające wskazówki, jak przekonywa o tém „Sprawozdanie sądowe wydziału kryminalnego z r. 1876," przez p. R. Buczyńskiego. Liczba przestępstw „dotyczących zewnętrznych form porządku publicznego" (jak mówi p. Buczyński) zmniejszyła się, lecz wzrosła liczba tych, które dotyczą porządku moralno-społecznego. Oto cyfry:

	w I-ém półr. 1876	w II-ém półr. 1876
Wykroczeń przeciw przepisom kościelnym	169	29
Wykroczeń przeciw przepisom lekarskim	193	117
Przeciw bezpieczeństwu publicznemu	110	89
Przeciw powinności wojskowéj	265	188
Przeciw ustawie ogniowéj	136	82
Przeciw ustawie akcyznéj	2024	146
Przeciw ustawie budowlanéj	91	10
Pogróżek	155	67

O ile mnie się zdaje, przestępstwa te dochodziły się dawniéj przeważnie na skutek zaskarżenia policyi, która, osobliwie na prowincyi, za pomocą tego rodzaju odkryć lubiła składać dowody swéj czujności i gorliwości. Otóż, gdy dziś władzę policyi bardzo słusznie ograniczono, skargi podobne zmniejszyły się, choć liczba czynów mogła pozostać taką samą. Zbyt rażący odskok, między cyframi, zdaje się potwierdzać tę opinią.

Inaczéj jednak rzecz się ma z przestępstwami podkopującemi byt społeczny, te bowiem nagle i olbrzymio wzrosły. Uporządkujmy je według siły rozwoju:

	Liczba przestępstw w półroczach 1876 I	Liczba przestępstw w półroczach 1876 II	Przyrost stosunkowy
Występki przeciw bezpieczeństwu co do ciała	1106	1153	4,2%
Przeciw dobréj sławie	721	890	12,3 „
Dzieciobójstwo	155	222	43,2 „

	Liczba przestępstw w półroczach 1876 I	II	Przyrost stosunkowy
Występek przeciw obyczajności. .	197	300	52,6 „
Oszustwo, sprzeniewierstwo i fałsz	325	532	63,9 „
Samowola	1145	2001	74,9 „
Kradzież	2481	4870	96 „
Zabójstwo (umyślne).	61	137	124,6 „
Rabunek	78	238	205,1 „
Podpalenie	162	456	243,2 „

Zastanawiając się nad przyczynami tak dziwnego wzrostu występków, p. B. sądzi, że w pewnym stopniu przyczyniła się do tego ogólna stagnacya ekonomiczna, choć w latach 1861, 62 i 63, była ona jeszcze większa, a jednak upadku moralności nie wywołała. Nie ma też wskazówek co do większéj ścisłości w śledzeniu występków, lecz natomiast są niewątpliwe fakta dowodzące osłabienia represyi. W I-ém półroczu na 13.570 obwinionych skazano 5.039 czyli 36,4%, w II-ém zaś na 2.077 obwinionych przed sądami okręgowemi (inne bowiem kategorye trudno obliczyć) skazano 17,9% czyli dwa razy mniéj.

Represya w nowych sądach okazuje się słabszą nietylko ilościowo, lecz i jakościowo, i tak: na 100 ogólnéj liczby skazano na kary:

	Główne	Poprawcze z pozbawieniem praw.	Poprawcze bez pozbawienia praw.
w nowych sądach	6,06%	31,40%	62,54%
w dawnych	12,50 „	29,59 „	57,80 „

P. B. porównywa w końcu represyą sądów nowych z represyą sądów innych krajów europejskich i dochodzi do wniosku, że sądy nasze pod względem uwalniania zajmują pierwsze miejsce, a pod względem karania ostatnie. I tak:

Na 100 oskarżonych uznano za niewinnych:

W sądach:	w Bawaryi	Austryi	Prussach	Francyi	Belgii	Anglii	Rosyi	Królestwie
z przysięgłymi	10,04	16,1	18,5	29,9	28	23,9	32,77	
bez przysięgłych	9,68	10,7	13,1	8,3	17	32,3	28	49,1

Najwięcéj uwolniono z pod zarzutu krzywoprzysięztwa 93,56% i podpalenia 86,95%,—najmniéj z pod zarzutu dzieciobójstwa 22%. Nie było uwolnionych pomiędzy oskarżonymi o tułactwo. Z oskarżonych o samowolność połączoną z udręczeniem, osoby z pewną oświatą wszystkie były skazane i przytém na najsurowsze kary; z innych jednak obwinionych téj saméj kategoryi skazano tylko 39,6%.

Z uwag powyższych zaczerpniętych z Gazety Sądowéj i wypowiedzianych przez tak wytrawnego człowieka, jakim w rzeczach statystyki kryminalnéj jest p. Buczyński, wypada: że zmniejszenie represyi, wzrost przestępstw i wprowadzenie nowych sądów stanowią zjawiska współczesne. Myślę téż, że teorye o nieodpowiedzialności wyrobione na zachodzie a znane i u nas niemałą odegrywają tu rolę.

Jakkolwiek jednak teoryom tym do pewnego stopnia, można przyznać racyą bytu, nie mniéj jednak i z faktami życiowemi liczyć się potrzeba. Do takich faktów między innemi należą następne: 1-o Że w każdém społeczeństwie są jednostki, już to pozbawione uczuć moralnych, jużto znajdujące się wśród pewnych trudnych okoliczności, które ich do nadużyć popychają. 2-o Że między temi złemi i nieszczęśliwemi indywiduami są takie, które obawa kary zatrzymuje w połowie drogi do występku. Wymiar więc sprawiedliwości musi być takim, aby złych usuwał, a wahających się, niezdecydowanych, nie uzuchwalał przynajmniéj. Inaczéj prawo i sądy, obrońcy i oskarżyciele nie mieliby racyi bytu, a społeczeństwo o innych środkach zabezpieczenia się pomyśléćby musiało.

O kwestyi téj jednak nie ma co rozprawiać. Niewątpliwie sędziowie po półtorarocznĕm doświadczeniu zmienią wiele poglądów; obawiać się raczéj należy tego, aby po nagłém zmniejszeniu nie nastąpiło zwiększenie represyi, i aby policya utraciwszy niektóre przywileje nie otrzymała szerszych.

Represya sądów raz zachwiana, choćby następnie naostrzona, nie tak rychło zmniejszy cyfry występków, a stanowczo pozostanie bez wpływu na moralną równowagę ogółu. Tu już samo społeczeństwo, jego siły zdrowe, uczciwe i oświécone muszą wystąpić do walki. Trzeba bowiem nietylko karać złych, ale wpoić przekonanie we wszystkich, że rzeczywiście istnieje granica między występkiem a cnotą. Trzeba wygładzić przepaść oddzielającą ubogich od majętnych, a surdutowych od sukmanowych, trzeba w końcu młode pokolenie wychować na innych niż dzisiejsze zasadach.

W kraju naszym zachodzi jeszcze inne, dziwne zjawisko. Kiedy klasa ludzi od 21 do 30 lat stopniowo się poprawia, klasa małoletnich, niemających lat 21, stopniowo się pogorsza, i tak:

Udział w przestępstwach osób od 21—30 roku wynosił:

od 1865—1869 r.	32,85%
„ 1870—1874 „	27,08%
1875	26,32%
1876	23,5%

Tymczasem z małoletnimi rzecz się ma odwrotnie, ich bowiem udział wynosił:

od 1865—1869 r.	9,63%
„ 1870—1874 „	10,29%
1875	10,63%
1876	12,30%

Że do zjawiska tego przyczynia się złe wychowanie, dowodzi fakt, iż np. w r. 1876 między nieletnimi przestępcami znajduje się tylko 8,8% niepiśmiennych, a 13,6% piśmiennych, że liczniejsza i upośledzona klasa wyrobników dostarczyła 13,14%, a mniéj liczna i światlejsza klasa profesyi wyzwolonych 14,3% nieletnich przestępców. Dopiéro, gdy obałamucony dzieciak wejdzie w życie, gdy się zetknie z rzeczywistością nie zaś z teoryami, gdy zamiast pochłaniać fałszywe opinie innych, poczyna sam myśléć, wtedy następuje w nim zwrot ku lepszemu, co znowu odbija się w statystyce kryminalnéj.

Czy objaśnienie to jest prawdziwe, nie będę się spierał, natomiast pewny jestem, że podany przez d-ra Jana Banzemera (Nowiny Nr. 62) projekt „Stowarzyszenia pomocy naukowéj" bardzo odpowiada potrzebie naszych czasów. Tę samę myśl poruszył wcześniéj „Tygodnik Ilustrowany", a po nim p. Wł. D. korespondent „Gazety Polskiéj" z Mławy; widzimy więc, że wisi ona już w duchowéj atmosferze kraju i łatwo znaléśćby mogła przyjazny grunt dla siebie.

Przedewszystkiém Tygodnik zwrócił uwagę na ogromny (20%) procent młodzieży gimnazyalnéj, która nie ma czém wpisu opłacić, przypomniał, że przed kilkoma laty myślano już o utworzeniu towarzystwa pomocy, lecz że odnośny projekt został odrzucony przez władzę. Obecnie radzi Tygodnik powtórzyć próbę dzisiaj, w nadziei, że może się uda.

P. Wł. D. z góry przypuszcza, że projekt stowarzyszenia zostanie zatwierdzony i oblicza przypuszczalne dochody towarzystwa na 25.000 rs. P. Banzemer również bierze pod uwagę możliwe źródła dochodów i bardzo słusznie, opiérając się tylko na dobréj woli inteligencyi, sądzi, że przy składce rs. 1 od każdego ze stowarzyszonych, możnaby miéć 20.000 rs. na rok.

Projekt p. Banzemera jest najpełniejszy, obejmuje on bowiem nietylko stronę finansową, lecz cel i organizacyą stowarzyszenia. Co do celu, przypomina autor przedewszystkiém ustawę Towarzy-

stwą Pomocy Naukowéj w W. X Poznańskiém, którą streszczają słowa: „wydobywać z mas ludu zdatną młodzież, a wykrywszy jéj talenta obrócić ją na pożytek kraju, dając pomoc i stosowny kierunek jéj wykształceniu.“ Nawiasowo objaśnia autor, że Towarzystwo Pom. Nauk. w Poznańskiém ma dochodu ledwie 7.000 rs., a mimo to od 37 zdołało zebrać przeszło 30.000 rs kapitału żelaznego i kształci swoim kosztem około 100 młodzieńców co roku.

U nas stowarzyszenie pomocy naukowéj, według p. B., musiałoby mieć szerszy program z powodu niskiego poziomu oświaty elementarnéj i fachowéj, skutkiem tego musielibyśmy się starać, aby: 1-o nauka w szkołach ludowych była jasno i przystępnie wykładana i 2-o aby o ile można wszystkie dzieci uczęszczały do szkoły.

Co do organizacyi towarzystwa radzi autor, aby się utworzyły komitety powiatowe i miejskie, a nad niemi dyrekcya główna w Warszawie. Byłaby ona wybiéraną z grona i przez członków płacących większe składki. Do obowiązków jéj należałoby: 1) nadawać odpowiedni kierunek zebranym funduszom; 2) czuwać nad działaniem komitetów powiatowych i nad postępowaniem wychowańców; 3) zdolniejszych z pośród nich umieszczać w odpowiednich instytucyach; 4) zbiérać dane statystyczne o stanie oświaty w kraju; 5) zakładać szkółki, dostarczać nauczycieli, tanich książek i t. d.

Artykuł ten redakcya *Nowin* poprzedziła wstępem, w którym odwołuje się do arystokracyi rodowéj i finansowéj, aby one zajęły się urzeczywistnieniem téj myśli i wyjednaniem odpowiedniego pozwolenia.

Jeżeli kiedykolwiek doczekamy się podobnego towarzystwa, to już my w imię dobra publicznego błagamy arystokracyą: aby dała piéniądze, wystarała się o koncesyą, zajęła wszystkie miejsca honorowe i błyszczące, ale samo urzeczywistnienie myśli powierzyła ludziom z innéj gliny wylepionym. Że panowie ci mają najlepsze chęci, że serca ich i kieszenie chętnie otwiérają się dla pożytku ogólnego, to wszyscy uznajemy. Ale że sama szlachetność i ofiarność nie wystarcza do czynów, dowodzi tego Muzeum Przemysłu ze swym wiekuistym komitetem i pustemi salonami.

Co zaś do projektu d-ra Banzemera, jest on istotnie wszystkim z pod serca wyjęty, bardzo piękny i piękne wydałby owoce, tylko sądzę, że czcigodny uczony pisał go błąkając się myślą gdzieś około Nowego-Yorku, Londynu, Berlina lub Wiednia. U nas, koło Warszawy, przynajmniéj w dzisiejszych czasach należałoby go bardzo zmodyfikować: rozszerzyć co do treści, lecz obciąć pod wzglę-

dem form. Zresztą byłbym zawsze zdania, że każdą rzecz należy zaczynać od drobiazgu i następnie rozwijać, choć u nas niestety robi się odrazu olbrzymy, które skutkiem znudzenia inicyatorów i wykonawców spadają do zera. Bióro dla szukających pracy, w którém dzięki obojętności prawodawców już prawie żadne nie załatwiają się interesa, jest najlepszym tego dowodem.

A propos podań i koncesyj, przypominam sobie fakt następny. Przed kilkoma laty podaną została prośba o zatwierdzenie ustawy towarzystwa pomocy dla literatów. W kilka miesięcy po wysłaniu prośby otrzymano odpowiedź, że należy przylepić na podaniu markę wartości 60, czy 80 kop., skutkiem czego markę przylepiono, dokumenta wysłano drugi raz, poczém nastąpiła cisza, co naprowadza mnie na domysł, że już pewnie żadnéj marki nie brakuje. Ponieważ jednak potrzeba towarzystwa pomocy literackiéj jest dziś przynajmniéj tak silna jak i wówczas i ponieważ nie wiemy co się dzieje z podaniem i projektem, upraszamy więc tych, którzy się zajmowali sprawą, aby zechcieli udzielić nam stosownych informacyj.

Z pośród wydawnictw kalendarzowych, których coraz większą liczbę zagniéwany Bóg rzuca na kraj i miasto, parę nosi na sobie cechy użyteczności i zasługuje na wzmiankę. Pierwsze miejsce należy się „Kalendarzowi Rolniczemu na rok 1878 A. Strzeleckiego“ w dwu książeczkach. Jestto dziełko rzeczywiście wysokiéj wartości. Prócz zwykłych kalendarzowych rubryk (spis świętych, jarmarków i t. d.), kartek do notat na każdy dzień roku, tudzież (w Części II-éj) różnych rozprawek dotyczących wytwarzania nawozu i postępowania z nim, hodowli i budowy bydła, ras owczych i suchéj destylacyi drzewa, znajdujemy w części I-éj szacowne materyały cyfrowe, do prowadzenia gospodarki wyższéj, na ścisłym, o ile można, rachunku opartéj.

Czego bo tam nie ma? Najprzód bowiem jest miła sercu ziemian tablica do obrachowywania procentów, daléj 10 tablic obejmujących cyfry wysiewów, zbiorów, wagi, ubytku, wartości pożywnéj i składu chemicznego popiołów różnych roślin.

Potém następują tablice dotyczące nawozów, ich produkcyi i składu chemicznego; daléj wartość resztek pozostałych w ścierniskach, ilość mączki w kartoflach, cukru w burakach, ilości produktów otrzymywanych z różnych roślin i tabelka wagi różnych części ciała zwierzęcego. Daléj idą wykazy robót gospodarskich i czasu do wykonania ich potrzebnego, wymiary budowli, koszta transportów, liczby z zakrésu technologii leśnéj, a w końcu miary i wagi. Słowem, wszystko, co w gospodarstwie da się podciągnąć pod ra-

chunek, co może mieć stały, lub w pewnych granicach zawarty współczynnik, jest tu odnotowane i uwzględnione.

Nasi praktycy dość steptycznie zapatrują się na cyfry podobne, raz dlatego, że są one dość elastyczne, drugi raz, że obchodzić się z niemi nie umiémy. Kto jednak chce ze swéj pracy około roli usunąć o ile można przypadkowość, mieć chociaż przybliżone liczbowe pojęcie o swym warsztacie i zjawiskach w nim zachodzących, temu dziełko p. Strzeleckiego rzeczywiste odda usługi. Kwestyi nie ulega, że osobliwie w początkach, cyfry rzeczywiste, z realnych otrzymane operacyj, różnić się będą od wyników rachunkowych, samo jednak zajęcie się podobnemi zestawieniami, nada rozumowaniom gospodarczym pewną ścisłość, pozwoli im stopniowo odgadywać dziś niewytłómaczone kaprysy roli, ziarna i nawozu, i z czasem całe rolnictwo wprowadzić może na nowe drogi. Przez błędy dochodzi się do prawdy, a zresztą i astronomia, ideał zgodności między rachunkami i zjawiskami, z bardzo skromnych wypłynęła źródeł. Tam jednak nie zniechęcano się początkowemi niedokładnościami, nie odrzucano teoryj (np. Ptolomeusza), choć były z gruntu fałszywe a i w owych czasach okrutnie kulały!

Pięknym dodatkiem wzbogacił Kalendarz swój p. G. Unger, a mianowicie: „Rocznikiem Polityczno-Ekonomicznym“ państw Europejskich, ułożonym przez p. Augusta Helcina. Praca ta ma być wstępem do innych, jakie w tém samém wydawnictwie ukażą się w latach późniejszych. Znajdujemy w niéj najważniejsze momenta politycznego życia narodów, a więc: ustrój państwowy, stan finansów, oświaty, siły zbrojnéj, handlu, komunikacyi i t. d; wszystko to oparte na źródłach urzędowych. Państwo Rosyjskie przedstawione jest najbardziéj szczegółowo i w historycznym rozwoju. Dla wszystkich, którzy dziś tak gorliwie zajmują się polityką, rocznik ten może się okazać bardzo użytecznym. Rocznik ten zgadza się o tyle z biegiem wypadków współczesnych, że opisano w nim nawet konstytucyą Cesarstwa Ottomańskiego.

Mówiąc jednak o ulepszeniach, nie możemy zamilczeć o stracie, jaką poniósł u nas ten rodzaj literatury. Oto najlepszy i najpoważniejszy „Kalendarz Jaworskiego“ w roku bieżącym przestał wychodzić.

Wydawnictwo to ze śmiercią założyciela przeszło na własność p. Jana Noskowskiego, wydawcy i właściciela drukarni, i wyznać należy, że na zmianie téj nic nie straciło. Młoda, lecz sumienna i ruchliwa firma, która działalność swoję zaznaczyła wydaniem „Bajek Lafontaina,“ ilustrowanych przez Dore'go, umiała Kalendarz utrzymać

na dawnéj wysokości. Redagował go p. Wincenty Korotyński, pracownik zdolny i niestrudzony. Edycya pod względem drukarskim nie pozostawiała nic do życzenia, a dość było przejrzéć spis przedmiotów, aby się przekonać o bogactwie treści. Oprócz powieści i poezyi, znajdowały się działy bardzo ważne: kronika bieżąca roczna, sprawozdania z życia społecznego, ze stanu nauki, technologii, rolnictwa, literatury krajowéj i zagranicznéj, a w końcu mnóstwo dat statystycznych, odnoszących się do stanu oświaty, przemysłu rolnictwa, handlu, rękodzieł, moralności i innych objawów życia społecznego w kraju naszym, pracowicie wyrażonych w cyfrach przez p. Aleksandra Makowieckiego.

Naprawdę, że wielka szkoda tego Kalendarza, który upadł, przywalony śmieciem różnych „słowiańskich" i niesłowiańskich edycyek. Na pokrycie kosztów trzeba było sprzedać 3.000 egzemplarzy po rublu, że zaś rozeszło się tylko 2.000, więc p. Noskowski stracił i wydawnictwo zawiesił.

Czy tylko p. Noskowski nie pośpieszył się z decyzyą? Każda książka poważniejsza musi liczyć na niewielką liczbę czytelników. Kalendarz p. N. mógł posiadać stałą klijentelę, dla któréj podwyższenie ceny o połowę nie stanowiło chyba tak wielkiéj różnicy. Sądzimy więc, że wydawca lepiéjby zrobił podnosząc cenę, aniżeli wycofując swój kalendarz, na miejscu którego nic możemy nic postawić.

Wypadek ten robi tém konieczniejszą dawno uznaną potrzebę wydawania: „Rocznika statystyki krajowéj," do czego materyały ile tyle dokładne i zupełne znaléść można w urzędowych rocznikach gubernialnych, takichże pismach peryodycznych i sprawozdaniach p. Oberpolicmajstra Warszawy. Książka taka nie mogłaby mieć wielu czytelników, ci jednak, którzy jéj potrzebują, jak: przemysłowcy, redakcye, urzędnicy wreszcie, nie przestraszyliby się ceny nawet kilku rubli. Myślę więc, że wydawcy mogliby zaryzykować.

W końcu, polemika, czy wyjaśnienie, bo nie wiém jak to nazwać. Mówiąc o wystawie lwowskiéj wspomniałem o dwu wozach, podobnych z powierzchowności do wozu p. Wejherta, które to podobieństwo tak mnie uderzyło, że *nie posądzając o plagiat wystawców*, radziłem jednak pierwotnemu wynalazcy, aby zbadał rzecz na gruncie i przekonał się, czy nie został skrzywdzonym.

Z powodu téj wzmianki, jeden z wystawców, a mianowicie p. Rzewuski z Bartkowic nadesłał list, w którym usiłuje mi dowieść: 1) że posądziłem go o plagiat; 2) że zrobiłem to niesłusznie, ponieważ p. Rzewuski jest wspólnikiem p. Wejherta, jako wspólnik wóz jego

wystawił i odnośne dowody, oprócz ogłoszeń w różnych pismach, złożył w komitecie wystawy.

Miło mi jest, że mogę przy téj okazyi i powitać w p. Rzewuskim człowieka, który nie wahał się ofiarować kapitał na upowszechnienie wynalazku krajowego, a według zdania specyalistów użytecznego. Mimo to jednak zarzutów p. R. uznać nie mogę, z powodów:

1) Jeszcze raz powtarzam, że o plagiat ani p. R., ani dwu innych wystawców podobnego wozu nie posądzałem, nie dlatego żebym się lękał nazywania rzeczy po imieniu, lecz dlatego, że na plagiat nie miałem dowodów. Wóz z osiami ruchomemi może mieć najrozmaitsze wymiary, różne nachylenie dyszla, mógł posiadać całkiem nowe, nieznane pierwotnemu wynalazcy, a ważne szczegóły. System zasadniczy mógł być ten sam, lecz tak głęboko zmieniony i udoskonalony, że mógł zasługiwać na oddzielny patent. Czyż wiedząc o tém, bez narażenia się na śmieszność mogłem ja znowu mówić o plagiacie? Czyż dla tego, że każda żniwiarka składa się ze skrzydeł, stołu i noży, ma prawo jeden wynalazca posądzać drugiego o przywłaszczenie pomysłu, czy sądy przyznałyby mu racyą i czy tém bardziéj miałby prawo wyręczać je w potępieniu dziennikarz?

Sądzę, że p. R., musi przyznać, iż co do tego punktu nie ma racyi.

2) Dziwi się p. R., że ja będąc na wystawie nie dowiedziałem się o stosunku istniejącym pomiędzy nim a wynalazcą. Z jakiego źródła? Pytać o deklaracyą w komitecie, innemi słowy: *sprawdzać* rzecz, nie miałem powodu, jedynym zaś dokumentem, jaki mi wpadł w oko, była przylepiona, czy położona na wozie kartka z adresem p. Rzewuskiego, którą niezwłocznie deszcze zmyły, tak że ci, którzy oglądali wóz później, nie widzieli nawet o nazwisku wystawcy. Już to mówiąc nawiasowo, intytulacye okazów na wystawie lwowskiéj dużo pozostawiały do życzenia, a ofiarą tego padł nietyle p. Rzewuski, ile ja, który *musiałem* niedokładne sprawozdanie napisać, nie z własnéj winy.

W końcu pochlebiam sobie, że zarówno p. Wejhert, jak i wspólnik jego p. Rzewuski, dla mnie osobiście mogą żywić tylko uczucie wdzięczności, za to, że pomimo ich i przeciw nim nawet pilnowałem ich interesów i ostrzegłem o możliwém niebezpieczeństwie. Że zaś niebezpieczeństwa nie było, tém lepiéj, moja bowiem usługa wartości nie traci, a wspólnicy nie potrzebują z przywłaszczycielami toczyć procesów!

A propos wystawy, wyszedł obecnie ostatni zeszyt publikacyi, p. t. „Wystawa Lwowska przez Jana Lama, Sygurda Wiśniowskiego i Tadeusza Romanowicza,“ nakładem G. Ungra. Radzimy ją kupić tym, którzy chcą zapoznać się z obszernym i pięknym opisem téj uroczystości, popartym dokładnemi rysunkami.

Aleksander Głowacki.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Ateneum"

w ciągu Listopada r. 1877.

Kalendarz Rolniczy na rok 1878, A. Strzeleckiego. Część I-a i II.

Początki języka polskiego. Książka do czytania, ułożona podług stopniowego rozwoju pojęć, mowy i gramatyki, p. Władysława Nowickiego. Warszawa, 1877.

Fałszywy kierunek. Komedja w 5-iu aktach, oryginalnie napisana p. Feliksa Ehrenfeuchta. Warszawa, 1877.

Rozbrat myśli i ujemne strony naszego piśmiennictwa. Napisał M. Krasuski. Lwów, 1877.

Opowiadania z Żywotów ŚŚ. Pańskich dla chrześcian katolików, tłómaczone z angielskiego. Poznań, 1877.

Praktyczny poradnik dla matek D-r Chavosse (advice to the mather), podług XII-go wydania opracował D-r Kl. Koehler. Poznań, 1877.

Karol Vogt. — Listy o fizyologii, przekład D-ra Konrada Dobrskiego. Nakładem tłómacza. Warszawa, 1877.

O kredycie rolniczym w Galicyi, napisał D-r Tadeusz Skałkowski. Lwów, 1877.

Siła i Materya, czyli stopniowy rozwój pojęć o tych przedmiotach, p. Lekarza Józefa Chwiećkowskiego. Warszawa, 1877. 2 tomy.

Wychowanie publiczne na podstawach ekonomii politycznéj, p. Alex. Czarnowskiego. Warszawa, 1877.

Pierwsza nauka biblijna dla dzieci. Warszawa, 1877.

Pytania i odpowiedzi. — Pierwsza książeczka obrazkowa dla zabawy i nauki małych dziatek od lat 3-ch do 6-iu, przez Starego nauczyciela. Nakład F. Hösicka. Warszawa, 1878.

Mały zwierzyniec.. Historya naturalna wierszem dla dzieci ułożona p. Jana z Rzeszowa, z rycinami. Nakł. F. Hösicka. Warszawa, 1878.

Pokój dziadunia. Opowiadania z dziejów przeszłości dla młodocianego wieku napisał K. W. Wójcicki. Z rycinami. Nakład F. Hösicka. Warszawa, 1878.

Dokładny słownik języka polskiego i ruskiego ułożony przez P. Dubrowskiego. Zesz. V. Nakład F. Hösicka. Warszawa, 1877.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzić będzie na początku każdego miesiąca zeszytami. najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

W „Ateneum“ pomieszczane będą: studya ze wszystkich gałęzi nauk historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; opisy podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne; krytyka dzieł polskich i obcych. bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królestwa, oraz zagranicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wynosi:

Rocznie	Rs. 12.
Półrocznie	„ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	„ 3.

Prenumerować można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała, Nr. 7,

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

PP. Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsełanie prenumeraty *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.



Дозвол. Цензурою. Варшава, 21 Ноября 1877 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska, 23.